



Karolina Ciernicka

# TYGRYSICA

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA Z TŁEM HISTORYCZNYM

Karolina Ciernicka

Tygryśica

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA Z TŁEM HISTORYCZNYM

## **ROZDZIAŁ I**

### **„AGNIESZKA, ZNACZY NIESKALANA”**

Zgromadzeni na zamkowym dworze austriackiego margrabiego w Melku dostojnicy niecierpliwie czekali na wieści. Nieco dalej, w komnacie pełnej szybko uwijających się położnych, krzyczała z nieopisanego bólu żona władcy, margrabina Agnieszka, córka buntowniczego cesarza, sławnego z odległego już nieco w czasie, niegdyś najgłośniejszego wydarzenia średniowiecznej Europy – zacieklego sporu o inwestyturę, Henryka Czwartego z dynastii salickiej. Drzwi nagle otwarły się z głośnym stukiem. Pierwsza przybiegła młoda akuszerka, która z przejęciem szepnęła coś na ucho dostojnej pani dworu, a ta – szambelanowi. Wokół zapanowało niecierpliwe poruszenie. Podekscytowany dostojnik z dystynkcją podszedł do władcy, pokłonił mu się nisko z szacunkiem i rzekł niezwykle dyplomatycznym głosem: – Panie, to córka!

Twarz margrabiego Leopolda rozpromieniła się błyskawicznie i zawołał z dumą do zgromadzonego tłumu dworzan oraz dostojników świeckich i duchownych:

– Chwała Bogu w Trójcy Jedynemu niechaj będzie teraz i na wieki wieków! Tę ochrzcimy Agnieszka, to znaczy „nieskalana”!

Z oddali dobiegł płacz nowo narodzonej księżnej, Agnieszki ze sławetnego rodu Babenbergów. Był, jakże szczęśliwy dla całego austriackiego państwa margrabiego Leopolda i jego poddanych, Rok Pański 1111.

Matką chrzestną małej dziedziczki austriackiego tronu, czyli kmotrową, została siostra jej ojca, margrabiego Leopolda Trzeciego, margrabianka Agnieszka Austriacka z Babenbergu, zaś ojcem chrzestnym – szacownym kmotrem – rodzony brat matki małej dziewczynki, Agnieszki von Waiblingen, syn awanturniczego wroga papieżstwa, wspomnianego już cesarza Henryka Czwartego, jego niemniej dumny i bałwochwalczy imiennik – Henryk Piąty Salicki, który właśnie w owym roku, 1111, został wybrany Świętym Cesarzem Rzymskim Narodu Niemieckiego. Imię zatem otrzymała mała dziedziczka po swojej matce rodzonej oraz po kmotrowej – matce chrzestnej ze strony ojca. Jak nakazywało ówczesne prawo, zaledwie w osiem dni po narodzeniu, 16 maja Roku Pańskiego 1111, dokładnie w Wigilię Zesłania Ducha Świętego, odbył się niezwykle uroczysty i pięknie odprawiony chrzest małej Agnieszki Babenberg.

Podczas uroczystego nabożeństwa dziecko, ubrane w krześniak, czyli białe, koronkowe i bogato zdobione sukienki oraz grube pieluszki – powojniki, zanurzone zostało aż po szyję w chrzcielnicy przez trzymającego je kapłana, samego arcybiskupa Melku, który odmawiał przy tym rytualne modlitwy. Ksiądz nałożył dziecku na główkę biały czepek z kosztownymi perłami, zaś kmotrowa dodała jeszcze białą chusteczkę z drogocennego jedwabiu z własnoręcznie wyhaftowanym na niej srebrnymi nićmi imieniem dziewczynki. Następnie kapłan ułożył

dziewczynkę na ołtarzu, powierzając ją w żarliwej modlitwie Bogu Wszechmogącemu, i odmawiał kolejne litanie, a wierni w skupieniu prosili Pana w Niebie o opiekę nad tą maleńką istotką, przed którą roztaczała się tak ważna do spełnienia misja.

Po uroczystej Mszy Chrztu Świętego, margrabia Leopold, ojciec dziecka, zaprosił serdecznie wszystkich dostojnych gości, krewnych, całą rodzinę i przyjaciół, a także samego arcybiskupa na wystawną, kilkudniową ucztę, wydaną specjalnie z okazji narodzin jego ukochanej córki Agnieszki. Wiązanie, czyli prezent od obojga kmostrów, przekazali oni na razie rodzicom dziewczynki: było to bogate uposażenie od Agnieszki Austriackiej i Henryka Piątego oraz liczne kosztowności, jakie miały w poważnym stopniu przyczynić się do wzbogacenia posagu tej ślicznej dziewczynki, przyszłej polskiej władczyni. Tak oto młoda monarchini wstąpiła do chrześcijańskiej wspólnoty.

Dziewczynka dorastała na dworze swego religijnego ojca w miłości i poszanowaniu dla najważniejszych wartości chrześcijańskich, podobnie jak jej liczne rodzeństwo. Przeważnie roześmiana i wesoła, umiała błyskawicznie spoważnieć, gdy jakaś sprawa dotyczyła – w jej mniemaniu – kwestii ważnych i istotnych. Charakter tej uroczej dziedziczki tronu austriackiego i spadkobierczyni sławetnego nazwiska europejskiej dynastii miał wielce pomóc owej rezolutnej panience w dalszej karierze politycznej. A było to wówczas niezwykle

istotne zagadnienie wobec trudnej sytuacji, jaka zaistniała w tamtych burzliwych czasach na europejskim kontynencie...

Kiedy traktat w Verdun podzielił ogromne państwo Karolingów na trzy niezależne monarchie, ich związki stopniowo rozluźniały się, by w końcu przybrać postać wręcz wrogą i nieprzyjazną względem siebie. Każda z nowo powstałych monarchii ulegała kolejnym podziałom na mniejsze marchie i księstwa. Frankonią władali właściciele potężnego bawarskiego grodu, leżącego nad rzeką Regnitz – dopływem Menu – Babenberga, stąd zwano ich potocznie „Babenbergami”, zaś od imienia najstarszego władcy, protoplasty tego szlacheckiego rodu, Poppa Pierwszego, rządzącego swym państwem w IX wieku, nazywano ich też czasami „Popponami”. Babenbergowie często ścierali się zbrojnie z sąsiednimi spadkobiercami potężnych niegdyś Karolingów, aż wreszcie zostali ostatecznie pokonani w latach 897–906 w słynnych „wojnach babenberskich” przez rywalizujący z nimi inny silny ród wschodniofrankijski, Konradynów. Po wymarciu w czasie tych krwawych walk głównych przedstawicieli rodu, do władzy doszła boczna linia babenberskiej dynastii, wywodząca się od rządzących na wschodzie władców frankijskich, znanych z męstwa i chwalebnych czynów – Luitpoldingów, założona w X wieku przez margrabiego Leopolda. Od nazwy nadanego mu przez cesarza Ottona II państwa frankońskiego – Marchii Wschodniej („Ostmark”, inaczej „Ostarrîchi”,

czyli „wschodnie władztwo” ) – kraj ich potocznie zwano „Austrią”. Margrabiną austriacką została wówczas żona władcy, Richarda von Eppenstein. W warownym zamku, wzniesionym na wzgórzu w Melku, Leopold stworzył swoją wspaniałą rezydencję, w której odtąd przez stulecia przebywali kolejni Babenbergowie, sprawując mądre rządy nad swoim państwem.

Jego syn, sławetny siłacz, Henryk Pierwszy, nie bez znaczenia otrzymał przydomek „Mocny”. Współcześni opowiadali z niekłamanym podziwem dla jego wyczynów, jak dzielnie od najmłodszych lat, jeszcze jako młodzian, unosił ciężkie miecze i władał nimi z łatwością, jak szybko przyswoił sobie tajniki rycerskiego kunsztu i ruszył na wyprawy wojenne, odnosząc w nich spektakularne zwycięstwa i okrywając się wojenną sławą. Zginął w wielkiej bitwie pod Vlaardingen w 1018 roku, kiedy to holenderski hrabia Dirk Trzeci niespodziewanie obrócił swą początkową klęskę w wygraną, dokonując rzeczy, zdawałoby się, w owych czasach niemożliwej – pokonując silną armią samego cesarza Henryka Drugiego, którego wspierał między innymi właśnie Henryk Pierwszy Babenberg, dziedzic austriackiego państwa. Po bezpotomnej śmierci Henryka Mocnego tron objął jego młodszy brat, Adalbert Pierwszy Babenberg, mąż sławnej margrabiarki, mającej prorocze sny, obwieszczającej rycerstwu spodziewane klęski w kolejnych zmaganiach wojennych, księżnej Glismot. Władczyni ta twarz miała pociągłą, silnie podkrążone i zapadnięte oczy koloru

szarego, wysokie czoło i długi nos, zaś włosy jej, stale skryte pod chustą zawiązaną ciasno wokół głowy, były płowe i bardzo rzadkie. Szczupła, wysoka i niezbyt zgrabna, nie odznaczała się niczym szczególnym w swoim wyglądzie zewnętrznym, toteż budziła powszechne przerażenie wśród zebranych, pojawiając się często na dworze podczas wojennych narad swego męża i straszliwym głosem zapowiadając obradującym kolejne klęski.

Ich syn, złotowłosy i nader przystojny Ernest Pierwszy, odznaczył się w wielkich potyczkach europejskiego rycerstwa: pod Przecławą, gdzie Słowianie Połabscy pokonali w zażartym boju Święte Cesarstwo Rzymskie, oraz w krwawej bitwie powstańców saskich z cesarzem Henrykiem Czwartym pod Homburgiem, za co ów władca z rodu Babenbergów otrzymał zasłużony przydomek „Mężny”. Synem Ernesta i Adelajdy, znanej z nieskazitelnych rysów księżniczki miśnieńskiej, był z kolei Leopold Drugi, słynący również z wyjątkowej urody i z tego też powodu nazwany już przez siebie współczesnych „Pięknym” lub „Urodziwym”. Był on dziadkiem naszej bohaterki, przyszłej władczyni Polski.

Ojciec panny Agnieszki, Leopold Trzeci Babenberg, był zacnym władcą Austrii, znanym fundatorem i budowniczym opactw, kościołów i klasztorów w tym pięknym i zamożnym kraju, niezwykle pobożnym i religijnym człowiekiem. W młodości twarz miał jasną, rysy wyostrzone, czarną niewielką bródkę, okalającą cały



dół twarzy, ciemne gęste włosy i łagodne spojrzenie. W podeszłym wieku dochował się gęstej, siwej brody, przykrywającej cały podbródek oraz takichże samych wąsów. Odziedziczył wiele cech urody i dystynkcji po swym ojcu, wspomnianym Leopoldzie Drugim Babenbergu, zwanym „Pięknym” z powodu wyjątkowej gracji oraz urodziwego wyglądu i te cechy wyraźnie widoczne były także u dzieci Leopolda Trzeciego. Założył on słynne opactwa w Melk oraz w Klosterneuburg pod Wiedniem, istniejące długie wieki i mające obok swych terenów, dodatkowo utworzoną przez tego znanego dobrodzieja Kościoła szkołę, gdzie nauczali kanonicy świętego Augustyna. Przy opactwie w Klosterneuburgu Leopold wybudował również swą wspaniałą rezydencję, gdzie często przebywał z rodziną, zatem margrabianka Agnieszka od wczesnego dzieciństwa wychowywana była w atmosferze niezwyklej, nawet jak na owe czasy, religijności.

Przyszła władczyni państwa piastowskiego była starannie wykształconą i rezolutną osobką. Od najmłodszych lat pobierała nauki, najpierw na dworze swego ojca, zaś później – w przyklasztornej szkółce obok opactwa w Klosterneuburg. Ponieważ w owych czasach nauczano wyłącznie metodą zapamiętywania, młodziutka margrabianka od dzieciństwa miała świetnie wyrobioną pamięć, biegle władała językiem łacińskim, czytała często Biblię oraz modlitewniki i roczniki, ucząc się pilnie śpiewów liturgicznych. Agnieszka miała przepiękny głos.

Z czasem, już w wieku dojrzałym, w wyniku wielu nieszczęśliwych zrządeń losu, stał się on surowszy oraz ostrzejszy w brzmieniu, jednakże w czasie swego przybycia do Polski świergotała prześlicznie, niczym ptaszyna, delikatnie i śpiewnie przy tym podkreślając dźwięczne spółgłoski, co powodowało, że każdy słuchacz bez jakiegokolwiek wyjątku miał wrażenie, jakby „szeleściła” swoimi maleńkimi usteczkami, przy wypowiedaniu niektórych wyrazów, co czyniło je jeszcze miłszymi dla ucha w odbiorze. Jej ulubionym przedmiotem od początku nauczania były rachunki – Agnieszka ze względu na doskonałą pamięć potrafiła w myśli błyskawicznie dokonać trudnych obliczeń i podać ich prawidłowy wynik. Dlatego też od początku była najpilniejszą z uczennic w klasie i nauczające ją siostry zakonne zwracały uwagę na nieprzeciętny umysł, ogładę i nienaganne maniery pięknej dziedziczki tronu.

Margrabia Leopold Babenberg, znany dobrodziej Kościoła, ufundował również opactwo cysterskie w Heiligkreuz i sławetne opactwo w Mariazell, które wkrótce stało się najświetniejszym sanktuarium maryjnym w całej Austrii i miejscem pielgrzymek wielu władców ówczesnej Europy. Nieraz przybywali do niego również książęta piastowscy, których państwo wkrótce miała poznać śliczna Agnieszka. Nic też dziwnego, że już za życia otaczał Leopolda Trzeciego kult świętości i szacunku dla jego niezwykłych dzieł oraz hojnego wspierania Kościoła. Miało to zaowocować w przyszłości

wyniesieniem tego wybitnego władcy na ołtarze.

Tymczasem w Europie doszło do epokowych wydarzeń, jakże brzemienne w skutki w kolejnych latach. Oto bowiem w 1125 roku zmarł cesarz Henryk Piąty, szwagier margrabiego oraz ojciec chrzestny młodziutkiej Agnieszki, i spora część elektorów Rzeszy Niemieckiej to właśnie Leopolda wybrała następcą słynnego najeźdźcy państwa Bolesława Krzywoustego i wodza wojsk niemieckich spod Głogowa, jednak Leopold Trzeci skromnie odmówił, by pozostać w rodzinnym kraju i kontynuować swe dzieło umacniania rządów i wspomagania Kościoła. Dzięki temu Agnieszka mogła dorastać w ojczyźnie aż do swojego wyjazdu.

Jej zaślubiny z dziedzicem tronu polskiego, synem Bolesława Krzywoustego, odbyły się w trudnym momencie w dziejach obu tych państw, jednakże ojcowie obojga liczyli na ścisły sojusz i współpracę swych dwóch monarchii. W Rzeszy Niemieckiej trwała właśnie krwawa wojna o tron przeciw wspólnemu wrogowi obu rodów, królowi niemieckiemu i przyszłemu cesarzowi Lotarowi, z którym walczyli bracia przyrodni Agnieszki, wnukowie poprzedniego cesarza, książęta Konrad i Fryderyk. Ten ostatni, zdradzony podczas prowadzonej wojny przez część swych sojuszników – podstępnych książąt z Dolnej Lotaryngii i Frankonii, został podczas zmagających wojennych oblężony przez wojska Lotara w Norymberdze, gdzie podczas mężnej obrony stracił jedno oko, co przyczyniło się do poważnej choroby, a dodatkowo ostatecznie

przekreśliło jego ambitne plany i w konsekwencji uniemożliwiło mu starania o koronę. Mąż Agnieszki z Piastowiczem mógł zatem przyczynić się do wzmocnienia sojuszu Polski i Austrii, a być może – także Szwabii (w której panował Fryderyk, zwany obecnie „Jednookim”) przeciw napadom i planom ekspansji agresywnego władcy Niemiec.

Wspomniany saksoński książę, król Niemiec, a wreszcie i Święty Cesarz Rzymski, Lotar z Supplinburga, był drugim władcą o tym imieniu, zasiadającym na tronie cesarskim, jednak ze względu na dawne rządy karolińskiego króla, Lotara Drugiego, sprawowane w Lotaryngii, uznano iż saksoński książę otrzyma tytuł Lotara Trzeciego, na tymże tronie występującego. Początkowo sojusznik, z czasem stał się śmiertelnym wrogiem poprzedniego władcy, Henryka Piątego z dynastii salickiej, słynnego najeźdźcy polskiego państwa piastowskiego z 1109 roku, który wprowadzał w Rzeszy samowolne rządy, próbując ograniczyć wpływy władców lokalnych. Podczas decydującej bitwy pod Welfesholz, jaka rozegrała się 11 lutego 1115 roku, sprzymierzeni z Lotarem możnowładcy, biskupi i książęta rozgromili potężną armię Henryka, zmuszając go do haniebnej ucieczki z pola bitwy. Lotar zasiadł na tronie wbrew woli umierającego cesarza, który wyznaczył swoim następcą rywala w walce o tron, wspomnianego już księcia Szwabii Fryderyka Drugiego Hohenstaufa, zwanego potem „Jednookim”. Opozycja tego rodu wybrała wówczas

antykróla, Konrada Trzeciego, przyrodniego brata przyszłej polskiej księżnej Agnieszki, co nasiliło krwawą wojnę domową w Rzeszy.

Przyszły cesarz od początku ingerował w wewnętrzne sprawy sąsiadów, aby umocnić swą pozycję i wpływy w Europie. Z tego zatem względu poparł starania władców Marchii Wschodnich, Albrechta Niedźwiedzia i Konrada Wettyna, do rozszerzania terytorium ich państw kosztem Polski, a w późniejszym terminie mieszał się wielokrotnie w sprawy sąsiednich monarchii – zakończył wojnę polsko-czeską, rozgromił opozycję Hohenstaufów we własnej ojczyźnie, zlikwidował dwuwładzę w Rzeszy, zwyciężył też podczas wyprawy sycylijskiej. Okres rządów tego wybitnego władcy usiany był zatem pasmem spektakularnych sukcesów. Lotar, człowiek postawny i wysoki, wzbudzał respekt już samym wyglądem, podobnie jak i przenikliwym spojrzeniem swoich czarnych, przesywających wręcz na wskroś oczu oraz gęstej, ciemnobrązowej brody, i takich-ż samych, poskręcanych w gęste loki, bujnych włosów, okalających twarz pociągłą, z charakterystycznym, długim nosem i zaciętymi ustami, wygiętymi wiecznie w podkowę, jakby niezadowolony był z całego otaczającego go świata.

Jego żoną była nadobna niewiasta, prawdziwy – rzecz by można – wzór cnót dla ówczesnych kobiet – Rycheza von Northeim, która dzięki Bogu odziedziczyła swoją wyjątkową urodę nie po ojcu, hrabim Northeim, człowieku gnuśnym i nieporadnym, który z powodu

nadmiernej tuszy zwany był już za życia „Henrykiem Tłustym”, lecz po swojej matce, pięknej Gertrudzie von Braunschweig z Brunonów. Urodziwa Rycheza nosiła zawsze charakterystyczne dwa długie warkocze w kolorze dojrzałych kłosów zbóż, spadające luźno po obu stronach skroni, tuż za uszami, na ramiona i piersi. Dla współczesnych sobie niewiast stanowiła przykład wielkiej kobiety i władczyni. Nic też dziwnego, że na europejskich dworach traktowano ją zawsze z najwyższym szacunkiem. Jedynie wróg jej ukochanego wnuka, Henryka Welfa – zwanego z racji swych mężnych czynów „Lwem” – Albrecht Niedźwiedź, niechętny był wstawiennictwu cesarzowej za jego rywalem w krwawej walce o Saksonię, choć i on nie mógł odmówić jej wielkości i godności, właściwej tylko wyjątkowym niewiastom.

A zatem wreszcie, po długich przygotowaniach i dyplomatycznych zabiegach, nastął tak ważny dla Polski oraz Austrii Rok Pański 1126, kiedy to na dwór ksiązący Bolesława Trzeciego w Płocku zawitała z dawna oczekiwana delegacja prześlicznej margrabianki Agnieszki Babenberg. Piętnastoletnia dziewczyna przyjechała z ziemi austriackiej do Polski nieco przestraszona wieściami, jakie docierały do niej na dwór ojca o tym dzikim kraju i jego nieposkromionych księżętach, jednakże od początku była przekonana, iż ma tutaj do spełnienia ważną misję: umocnienia pozycji swego męża, seniora rodu, księcia Władysława, jako przyszłego władcy Polski.

– Panie, oto jestem! – powiedziała odważnie, zjawivszy się ze swoim orszakiem na dworze księżęcym Krzywoustego i ukłoniła mu z szacunkiem.

Ubrana w precudną bordową suknię z delikatnego jedwabiu, pozłacaną drogocennymi ozdobami przy toczku, rękawach i staniku, pełna wdzięku i powabu, wyróżniała się obyciem, dystynkcją oraz gracją i odstawała wyraźnie od panien z tutejszego dworu.

Agnieszka była dziewczyną piękną, choć niewielkiego wzrostu, o bystrym, rezolutnym spojrzeniu ciemnoszarych oczu, cerze jasnej, łagodnym wyrazie twarzy. Jej włosy miały barwę ciemną, brązową, z nielicznymi pasmami czarnych tuż przy skroniach, co dodawało jej powagi i majestatu. Wismukła kibić i dobrotliwy wyraz twarzy sprawiały wrażenie młodziutkiej kobiety niezwykle szczerej i serdecznej, ale i ambitnej, uczonej oraz postępowej, wyjątkowo chętnie dążącej do wywierania wpływu na sprawy polityczne. Spojrzenie jej wielkich, przenikliwych oczu świadczyło dobitnie o tym zamyśle ciągłego ingerowania w politykę i współudziału w sprawowaniu władzy u boku przyszłego męża, dziedzica tronu.

Spodobała się surowemu księciu polskiemu Bolesławowi ta urocza, piętnastoletnia załedwie, dziedziczka austriacka, jego przyszła synowa, osóbką drobna i wątlą, lecz o oczach bystrych, przenikliwych, świadczących o silnym charakterze i nieustępliwości. Ślub pary księżęcej miał się odbyć w uroczystym dniu, w

Płocku, a udzielić miał go sam metropolita gnieźnieński – Jakub ze Żnina, potomek sławetnego rycerskiego rodu Porajów–Różyców. Księżna Agnieszka od początku starała się wspierać swego przyszłego męża w jego dążeniu do wzmocnienia swojej pozycji w państwie piastowskim. Ambitny Władysław, starszy od swej przyszłej małżonki o sześć lat, był zachwycony młodą, uroczą i mądrą żoną.

Najstarszy syn Krzywoustego był postawnym, roslym młodzieńcem, z dużym czołem i wyraźnie zarysowanymi kośćmi policzkowymi, z brązowymi, prostymi włosami, spadającymi nieco z tyłu, za uszy, wąsem niewielkim wtedy jeszcze, zaś z czasem – podrosłym na boki, sterczącym z obu stron spiczasto, ostro zakończonym. Do tego miał nieco niepewny wyraz twarzy, zawsze właściwie spoglądał gdzieś na boki, ni to szukając wsparcia w innym rozmówcy, ni to – zdawało by się – wyrażając niepojętą chęć czmychnięcia stąd czym prędzej, gdzie pieprz rośnie. Nie dodawało mu to, bynajmniej, majestatu ani też powagi, jakiej oczekiwać zgoła należało od następcy tronu i seniora tak znamienitego rodu. Jego oczy, wyraziste i granatowe, zdawały się spoglądać niepewnie, z trudnym do pojęcia lękiem i obawą. Krzaczaste brwi nad oczami dodawały jeszcze tym płochliwym oczom wyrazistości i świadczyć miały o silnej woli księcia, co nie zawsze było zgodne z prawdą. Z pewnością wpływ na takie zachowanie dziedzica piastowskiego tronu miała obecna, bardzo dlań trudna



sytuacja w jego państwie, niespodziewana śmierć ukochanej matki i rządy niechętnej mu macochy, która na każdym kroku czyniła starania, aby umniejszyć pozycję pierworodnego syna swego męża, Bolesława Krzywoustego i zastąpić go swoimi potomkami, których rodziła mu jednego po drugim.

Jedną z najwierniejszych dworek przybyłej do Polski księżnej Agnieszki była nieco młodsza od niej, zaledwie dziesięcioletnia wówczas, jasnowłosa Adelajda z Salzburga. Towarzyszyła swojej pani podczas jej podróży z Austrii do Polski, w czasie przejazdu przez ten dziwaczny, lecz – jakże piękny kraj, była przy powitaniu Agnieszki przez księcia Bolesława Krzywoustego i jego żonę, od początku wyraźnie niechętną młodej następczyni tronu księżną Salomeę, wreszcie – sama osobiście podawała Agnieszce suknię ślubną z białego jedwabiu tuż przed zawarciem związku małżeńskiego z Władysławem i niosła jej welon ślubny.

Niezwykła uroda młodzieńczej Adelajdy nie mogła pozostać długo niezauważona przez licznie zgromadzonych na piastowskim dworze synów polskich możnowładców. Kilku z nich zaczęło też zaraz smolić cholewki do nieśmiałej dworki. Jednym z nich był przystojny młodzieniec, jej rówieśnik, syn miecznika książęcego, Sławomira, Bronisz Miecznikowski, którego zacny ród od pokoleń zawiadywał zamkową zbrojownią i nosił miecz przed panującym w kraju Piastem.

Do pierwszego spotkania Bronisia i Adelci doszło

przypadkiem, podczas wjazdu orszaku księżnej Agnieszki na rynek książęcy w Płocku. Przyszły miecznik książęcy stał obok swego ojca, tuż przy boku księcia Bolesława, gdy ten przyjmował z honorami austriackich gości. Widok tej urodziwej panny zaskoczył i onieśmielił skromnego chłopaka. Ciągłe patrzył tylko na cudnej urody dworke, zatem i ona zwróciła na niego uwagę. Adelajda wyglądała przepięknie w swej długiej sukni z zielonego aksamitu, z haftowaną złotą taśmą przy dekolcie oraz rozszerzających się rękawach, z jasnożółtą suknią spodnią, widoczną nieznacznie u dołu; z białą chustą na głowie i bujnymi, jasnobrązowymi, gdzieś znowuż złotymi lokami, spiętymi silnie na głowie, wymykającymi się niesfornie tu i ówdzie spod chusteczki. Synowi miecznika też niczego nie brakowało – stał oto przy księciu i swym ojcu, książęcy mieczniku, piękny młodzian, w tunice rycerskiej z oliwkowego aksamitu, zdobionej złotą taśmą przy dekolcie i z rękawami ze sznurowanymi mankietami, spod której wyglądała nieznacznie stójka białej koszuli. Jakby wręcz umówili się obydwójce, tak piękną parę stanowili – i z urody, i ze stroju!

Po oficjalnych powitaniach Krzywousty wydał wielką i wspaniałą ucztę na cześć przybyłej księżniczki oraz jej planowanego zamążpójścia z jego pierworodnym synem. A uczyty średniowieczne na dworach książęcych należały w owych czasach do najwspanialszych w dziejach! Goście austriaccy byli zachwyceni przepychem, jaki ujrzeli na uginających się od potraw stołów! A książę Krzywousty

na niczym oszczędzać nie pozwolił, każąc podawać wszystko to, co najlepszego mogli przygotować wówczas jego nadworni kucharze dla tak znamienitych gości.

W wiekach średnich ludzie jadali zazwyczaj po dwa posiłki główne w ciągu każdego dnia: południowy – bardzo obfity obiad oraz wieczorną, dużo skromniejszą kolację. Kościół wyraźnie przestrzegał przed groźnym grzechem obżarstwa, traktowanego wówczas zgoła jako postępowanie wielce niemoralne, podobnie jak też przed przesadnym używaniem życia przy suto zastawionych stołach czy pijaństwem i lubieżnością podczas wszelakich wymyślnych biesiad, szczególnie nocnych. Fakt faktem jednak, iż na dworach władców nie przejmowano się zbyt tymi zakazami, a i duchowni, głosząc podczas nabożeństw owe zakazy, sami niejednokrotnie chętnie brali udział w całonocnych biesiadach.

Powszechne praktykowanie narzucanych postów w epoce Średniowiecza stało się wręcz nakazem, lecz dotyczyło głównie warstw uboższych, zatem wielu ludzi biednych i tak nie jadało niczego przez całe tygodnie, pomimo wykonywania bardzo ciężkich nieraz prac fizycznych. A tych w średniowieczu nie brakowało, nawet biorąc pod uwagę same tylko kobiety, zwłaszcza te, mieszkające na wsi. Zajmowanie się obejściem, rodziną, przygotowywanie potraw, pielęgnowanie starców, kalekich oraz dzieci, dogłądanie, wypasanie i karmienie hodowanych zwierząt, uprawa roślin przydomowych, prace w polu, szycie, haftowanie, sprzątanie, opierunek...

– tak, bez wątpienia średniowieczne niewiasty miały się czym zajmować!

Oprócz dwóch wspomnianych posiłków głównych, w wiekach średnich bardzo rzadko zjadano jeszcze jakiegokolwiek przekąski w ciągu całego dnia. Z czasem w średniowiecznych miastach bądź na targowiskach i jarmarkach wiejskich można było zakupić takie właśnie przekąski; były to przeważnie gorące placki kukurydziane lub pszenne, przygotowywane w specjalnych piecach, umieszczonych na kółkach. Stanowiły one jedne z nielicznych form przekąsek, na które wówczas łaskawie zezwalano.

Potrawy średniowieczne gotowano w prostych naczyniach wielokrotnego użytku, jedzono zatem zazwyczaj dania jednogarnkowe: zupy lub gulasze mięsne, solidnie okraszone słoniną i innymi tłuszczami. Obok garnków, w kuchniach stosowano patelnie, czajniki, kotły, różna, chochle, noże, łyżki oraz tarki, za pomocą których przygotowywano najrozmaitsze potrawy. W bogatych domach dodatkowym wyposażeniem każdej kuchni obowiązkowo były móżdżerze z tłuszczami oraz sitka do przesiewania, aby przyrządzane potrawy miały bardziej gładką konsystencję. Takich dań na dworach książęcych oczywiście nigdy zbraknąć nie mogło.

W domach mieszkalnych palenisko było zawsze otwarte i znajdowało się na samym środku głównej izby, co rzecz jasna sprzyjało częstym pożarom i błyskawicznemu spalaniu całego domostwa. Stopniowo

ten układ zmienił się nieco, paleniska przesunięto pod jedną ze ścian, z czasem oddzielono je całkowicie od reszty pomieszczeń, otaczając jadalnię ze stołem i miejscami siedzącymi i w ten sposób stopniowo wyodrębniła się średniowieczna kuchnia. Palono nade wszystko drzewem, którego spore pokłady musiały zawsze być zgromadzone przy budynku mieszkalnym. Profesja kucharza z czasem nabrała całkiem nowego charakteru. Nic też dziwnego, iż w książęcych bądź możnowładczych domach w kuchni pracowało nawet po kilkaset osób.

Popularne stały się w Średniowieczu gorące dania z ryb wędzonych, pieczonych lub smażonych, spożywanych głównie na wybrzeżach, jak również na terenach, znajdujących się nad rzekami, potokami czy jeziorami, w których ryby te występowały. Wołowinę z kolei przeważnie gotowano, natomiast wieprzowinę – pieczono na ruszcie. Wielokrotnie zdarzało się, iż podawane potrawy pochodziły z ubitego zwierza, z którego skórę najpierw ściągano, następnie mięsiwo przerabiano, krojono, mielono, przyprawiano i marynowano, po czym na powrót wkładano do tych samych pozostałości skórnych, bądź też obciążano w skóry innych zabitych zwierząt i dopiero w takiej postaci stawiano gościom na stołach.

Zwierzęta hodowane, jak na przykład świnie, trzymano w prywatnych obejściach, ale bywało, iż wielokrotnie chodziły swobodnie po całych wsiach i były

karmione czymkolwiek, nawet odpadkami kuchennymi. Sporym uznaniem cieszyła się spożywana dziczyzna, lecz należała ona w tamtych latach do najdroższych towarów i jadali ją tylko najbogatsi. Dodatkowo hodowane owce dostarczały jeszcze wełny do wyrobu odzieży, zaś hodowany drób: kury, gęsi czy kaczki stanowiły również cenne źródło pierza do wyrobu poduszek, kołder i pierzyn. Jadano także inne ptaki: gołębie, łabędzie, pawie, przepiórki, kuropatwy, bociany, żurawie, skowronki. Mięsiwa były kilkakrotnie, a nawet – jak ryby – kilkanaście razy droższe niż produkty zbożowe czy mleczne i w średniowieczu spożywano ich stosunkowo niewiele, zwłaszcza w ubogich domostwach.

Świeże produkty spożywcze suszono na słońcu i wietrze, w piecach, piwnicach, na strychach, wędzono je, solono, fermentowano, kiszono, utrwalano specjalnymi, słodzonymi miodami, zalewami bądź alkoholami.

We wczesnym średniowieczu uprawa zbóż była bardzo trudna z powodu braku dostatecznej ilości dogodnych pól i stąd jedzono zazwyczaj proste, skromne posiłki, złożone z kaszy czy owsa. Bardzo rzadko spożywano pieczone chleby, które początkowo – jako stosunkowo drogie i szczególnie trwałe produkty – podawano zazwyczaj jedynie bogatym dostojnikom oraz rycerzom wyruszającym na wyprawy wojenne. W miarę spopularyzowania spożycia tego wyrobu, coraz większego znaczenia nabrali zajmujący się przygotowywaniem wypieków piekarze. Wyrabiano przeważnie chleby

okrągłe, wielkie, wystarczające do jednorazowego wykarmienia całej rodziny. W Europie uprawiano na polach: żyto, jęczmień, grykę, proso i owies. Najbogatsi mieszkańcy grodów jedli wyroby zbożowe, wytwarzane z jasnej mąki, najbiedniejsi wieśniacy – ciemne, gruboziarniste, z dodatkiem otrąb. Biedota zazwyczaj spożywała jako swe całodniowe posiłki placki lub tańsze chleby, maczane w wodzie czy – rzadziej – bulionie i stąd nazwa tej niezwykle popularnej w wiekach średnich, postnej potrawy: „wodzianka” albo też „maczanka”.

Wśród warzyw największym uznaniem cieszyły się: kapusta, buraki, marchew, czosnek, cebula, ciecierzycy, bób i groch, które codziennie spożywano w najbiedniejszych domach w bardzo dużych ilościach. Podobnie jak i owoce, warzywa przyrządzano na wiele sposobów: suszono, gotowano, pieczono, smażyono, i – oczywiście – spożywano na surowo. Coraz popularniejsze stawały się warzywne lub owocowe konfitury.

Wielokrotnie wyrabiano również potrawy, które stanowiły swoistą mieszankę kilku wcześniej znanych, na ten przykład do owsianek dodawano w średniowieczu owoce lub miody, do mięs czy ryb – owoce, warzywa, jajka, sery czy nawet placki zbożowe.

Hodowano krowy, owce i kozy, z których mleka wyrabiano najprzeróżniejsze potrawy: maślanki, serwatki, sery, masła, śmietany. Świeże mleko w tamtych czasach ulegało dość szybko zepsuciu, dlatego było rzadko spożywane, zwłaszcza przez dorosłych mieszkańców wsi.

Za to jego przetwory stały się w średnich wiekach niezwykle popularne.

Pito głównie wodę, przetwory mleczne, jak serwatkę, kumys czy maślankę, preferowano natomiast zdecydowanie napoje alkoholowe: wina, piwa, sfermentowane przetwory owocowe. Piwa często wyrabiano z uprawianych zbóż: pszenicy, owsa oraz jęczmienia. Popularne były również soki i pitne miody, a także ziołowe napary. Do napojów często dodawano cenne przyprawy, tworząc w ten sposób na przykład alkoholowe grzańce czy miody. Popularne stały się zatem produkujące te trunki browary oraz gorzelnie, których dochody błyskawicznie wzrastały.

W wiekach średnich kobiety same wyrabiały masło w domach mieszkalnych. Dzięki wypasaniu krów, owiec lub kóz na pastwiskach bogatych w wartościową, świeżą trawę oraz dzięki ich dodatkowemu karmieniu w obejściach zdrowymi resztkami ze stołów, mleko miało doskonałą jakość, było smaczne, gęste i bardzo tłuste. Zlane do wiader, pozostawało przez czas jakiś w piwnicy, po czym specjalną warzechą gospodyni zbierała z niego dość twardą warstwę wierzchnią – śmietanę, następnie przekładała ją do drewnianej maśniczki, zatykała okrągłym dekle i ubijakiem dokonywała bardzo pracołłonnego zagęszczania śmietany poprzez ciągłe mocne, wielogodzinne bicie w górę i w dół. Gotowe, gęste masło wyjmowano z maśniczki, wkładano do misy z lodowatą wodą i wypłukiwano tak długo, aż było całkiem



czyste. Masło przekładano potem do glinianego garnka i trzymano w chłodzie, zaś znakomitą maślankę z maśniczki podawano domownikom do popijania podczas obiadu. Pozostałe mleko można było odstawić na przykład do skwaszenia i przygotowania wybornych serów.

Coraz częściej wyrabianiem znanych i niezwykle cenionych w wiekach średnich produktów spożywczych zajmowali się mnisi. Pojawiły się więc ich lecznicze syropy, wina, maści, ziołowe preparaty. W średniowiecznych klasztornych ogrodach znaleźć można było: mirt, rutę, kminek, mięte, szałwię, wrotycz, gorczycę, wawrzyn, koper i koperek, kolendrę, czarnuszkę, anyż, pietruszkę, oregano, jałowiec, tymianek, majeranek, czosnek. Dodawane do dań czy napojów, urozmaicały ich smak. Dodatkowo wyrabiano tu też olejki do ciała czy wody pachnące, na przykład różaną – swoisty rodzaj naturalnych, średniowiecznych perfum.

Przyprawy, jakie stosowano do rozmaitych potraw, były różnorodne, lecz nieraz bardzo drogie z uwagi na ich kosztowne sprowadzanie z odległych krajów czy nawet kontynentów. Znano wówczas już i powszechnie stosowano: pieprz, imbir, cynamon, goździki, cukier, sól, szafran, gałkę muszkatołową, kardamon. Ich użycie istotnie dodawało potrawom niezwykłego smaku bądź aromatu, lecz na taki zbytek mogli pozwolić sobie tylko nieliczni, gdyż zakupienie owych luksusowych specjałów zazwyczaj było niewspółmierne do ceny świeżych produktów. Często zatem do zakonserwowania żywności

stosowano mieszanki niewielkich ilości drogich przypraw i większych porcji miejscowych, tańszych ziół. Dla poprawy smaku potraw stosowano także wina, kwaśne, słodkie lub cierpkie soki oraz ocet czy też musztardy.

Desery średniowieczne były słodkie dzięki dodawaniu do nich miodu pochodzącego z hodowli bądź pozyskiwanego od dzikich pszczół, albo też cukru lub słodkich owoców. Mogły to być różnego rodzaju placki, jajka, pasty owocowe, ciasta z owocami czy z dołączonym innym, słodkim nadzieniem, wreszcie – otaczane w miodzie lub cukrze orzechy. Prawdziwym rarytasem stały się przywiezione przez Arabów do Europy techniki wyrabiania lodów, sorbetów, nugatowych cukierków, czy też marcepanów. Kontakty z przedstawicielami innych kultur europejskich oraz licznie odbywane podróże średniowieczne pozwoliły na poznawanie wciąż nowych sposobów wyrobu doskonałych potraw oraz na dodawanie do nich składników przedtem nieznanych.

Podczas zatem owej przebogatej, wystawnej uczyty powitalnej na cześć przybyłej do Płocka margrabianki Agnieszki Babenberg i jej austriackiego dworu, młody syn miecznika książęcego, Bronisz, pierwszy raz osobiście pokłonił się usługującej swojej pani, uroczej dziewczynie o jakże wdzięcznym imieniu Adelajda. I ona rzecz jasna zauważyła jego wyraziste spojrzenie i płomienne oczy, patrzące tylko na nią podczas powitania. Młodzian był wysokim, potężnym i wyjątkowo barczystym jak na swe lata chłopakiem, a zachwycąły szczególnie jego

wyjatkowo dobre oczy i wielka bujna czupryna opadająca z jednej strony na czoło. Pierwsza rozmowa dwojga młodych z początku była cicha, nieśmiała i przerywana, jednakże z czasem oboje zaczęli wspólnie coraz śmieiej dyskutować o wyjątkowych zdarzeniach, jakie miały miejsce w tych czasach, a które wielce ich zaabsorbowały, a mianowicie – o odbytej niedawno przez europejskie rycerstwo krucjacie do Ziemi Świętej i sukcesie rycerstwa starego kontynentu nad Seldżukami w bitwie pod Azaz.

## **ROZDZIAŁ II**

### **„POD ZNAKIEM KRZYŻA”**

Tematyka słynnych krucjat nie bez powodu absorbowała w tych czasach wszystkich świątlejszych obywateli. Dziadek księżnej Agnieszki Babenberg ze strony jej ojca, margrabia austriacki Leopold Drugi Piękny, zmarł w październiku pamiętnego Roku Pańskiego 1095, zaś zaledwie miesiąc później w Clermont odbył się słynny synod po przewodnictwem papieża, Urbana Drugiego, na którym uroczyście ogłoszono rozpoczęcie wielkiej wyprawy rycerstwa europejskiego do Ziemi Świętej w celu jej wyzwolenia z rąk niewiernych. Zapoczątkowała ona szereg kolejnych kampanii, organizowanych w ciągu następnych stuleci. Od symbolu, umieszczonego na płaszczach uczestników, a nawiązującego do Drzewa Krzyża Świętego, nazywano je „wyprawami krzyżowymi” lub krócej – „krucjatami” od łacińskiego słowa, oznaczającego ten właśnie symbol wszystkich chrześcijan. Nadmienić tu należy, iż w średnich wiekach przywiązywano olbrzymią, niezwykłą wręcz wagę do religii oraz wiary chrześcijańskiej, która dominowała w każdej właściwie dziedzinie życia ówczesnych ludzi, a panujący i wszechobecny teocentryzm nasilał ascezę oraz bogobojęność mieszkańców Europy. Nic też dziwnego, iż wiadomość o zajęciu przez Turków Seldżuckich w 1072 roku Jerozolimy i wywiezieniu z niej świętych relikwii

chrześcijańskich do Persji wywołała na dworach starego kontynentu powszechne oburzenie i trwogę. Wszędzie krążyły mroczne opowieści o tym, iż muzułmanie, prowadząc swą świętą wojnę przeciw chrześcijanom, świadomie i celowo znieważali ośrodki kultu chrześcijańskiego, bestialsko plądrowali i burzyli świątynie, plugawili cześć Boga, przeprowadzali rzezie niewinnych, bezbronnych wiernych, zamieszkujących tamtejsze tereny.

Fakt faktem jednakże, iż nadarzającą się sposobność do zorganizowania walecznych wypraw skwapliwie wykorzystali również zbuntowani awanturnicy i żądni krwawej wojny rycerze europejscy, często – popadający w swoich państwach w olbrzymie długi i szukający teraz ucieczki przed swymi surowymi wierzycielami. Apel papieża trafił też na podatny grunt wielu ambitnych, rywalizujących ze sobą władców europejskich, mających zamiar za wszelką cenę udowodnić teraz swą przewagę na kontynencie, swój wyjątkowy kunszt i umiejętności wojskowe, szczególnie podczas swoistego wyścigu kilku, oddzielnie maszerujących, orszaków zbrojnych krzyżowców. Walka w imię Boże była najdoskonalszym pretekstem, aby pokonać wrogów politycznych, pohańbić ich, udowodnić swoją wyższość nad nimi i powrócić w chwale zwycięzcy do ojczyzny.

Krucjaty zostały również wymierzone przeciw nowemu zagrożeniu, jakie pojawiło się w Europie i niezwykle niepokoiło Kościół. Byli nim katarzy. Ruch ten

narodził się w południowej Francji i północnych Włoszech. Odrzucał on obecne stosunki feudalne, składanie przysięg wiernopoddańczych seniorom przez ich wasali, czy nawet – posiadanie jakichkolwiek poddanych, jak również ganił służbę wojskową, związki małżeńskie, oddawanie czci krzyżowi i ideę czyścica, głosił życie w ubóstwie, wegetarianizm oraz wstrzemięźliwość od wszelkich uciech cielesnych. Katarzy odrzucali wszystko, co było związane z otaczającym ludzi światem, gdyż głosili, iż jest on diabelskim dziełem i powstał jako materialny twór złego ducha – boga, anioła lub diabła i znajduje się w ciągłej sprzeczności z idealnym światem duchowym – dziełem Dobrego Boga. Papiestwo uznało te poglądy za absolutne herezje, czyli jawne i wyraźne odstępstwa od wiary chrześcijańskiej. Pomimo licznych aresztowań, błyskawicznych procesów z wyrokami śmierci oraz masowego palenia na stosie wyznawców kataryzmu, ruch ten błyskawicznie się rozprzestrzenił, zdobywając olbrzymie rzesze kolejnych wyznawców, co poważnie niepokoiło zarówno władców świeckich, jak i duchowieństwo.

Nie bez znaczenia były u podstaw słynnych krzyżowych wypraw także powody natury czysto ekonomicznej: Włochy, rozbite wówczas na szereg maleńkich państewek, dzięki rozwojowi handlu mogły błyskawicznie się wzbogacić, a nowe szlaki, prące śmiało na nieznany jeszcze wtedy dobrze, tajemniczy Wschód,

mogły im w tym skutecznie pomóc, zaś bezrobotni, zubożali rycerze i bezrolni chłopci europejscy szukali nowych źródeł dochodu oraz dalszych ziem na osiedlenie się i założenie kolejnych grodów. Ziemia Święta wydawała się być dla nich rajem upragnionym i z dawna poszukiwanym. Sam zresztą papież Urban Drugi, jako polityk przewidujący i dalekowzroczny, ogłaszając na synodzie ideę świętych krucjat, pragnął tym krokiem upiec dwie pieczenie na jednym ogniu – wyzwolić Ziemię Świętą spod władzy muzułmanów, jak również po raz kolejny podkreślić swą przewagę nad ówczesnym Cesarstwem Rzymskim Narodu Niemieckiego i jego władcą, sędziwym Henrykiem Czwartym Salickim, dziadem księżnej Agnieszki ze strony jej matki.

Albowiem należy tu nadmienić, że ówczesna Europa powoli goiła swe głębokie, jeszcze długo nie zabliźnione rany i z trudem podnosiła się z wyczerpującej obie strony, wielkiej i krwawej, niezwykle dramatycznej oraz tragicznej walce cesarstwa z papieżem o prymat i panowanie na całym kontynencie.

Zarówno władza świecka, jak i kościelna dążyły w tych zmaganiach do umocnienia swoich wpływów w Europie średniowiecznej kosztem strony drugiej, starając się przy tym zachować pozory poszanowania świętości i prawa, co wcale nie było łatwą rzeczą. Przeżywająca we wczesnym Średniowieczu głęboki kryzys struktura kościelna, borykała się z poważnymi problemami natury moralnej, co skwapliwie wykorzystywali ambitni cesarze,

starając się podporządkować sobie całkowicie papieżstwo i obsadę swych popleczników na tronie Stolicy Apostolskiej. Duchowieństwo, nie zważając na opinię zgorszonych i zszokowanych wiernych, coraz częściej łamało świętą zasadę celibatu i powszechny stał się nikolaizm. Głęboko zakorzeniona w średniowiecznej świadomości wiernych wstrzeźliwość, surowość obyczajów oraz asceza kłóciły się wyraźnie z takim postępowaniem samych księży. Powszechne oburzenie ludności budziła także masowa symonia, polegająca na kupczeniu kościelnymi stanowiskami do tego stopnia, że często urzędy duchowne sprawowali ludzie całkowicie do tego nieprzygotowani.

Musiało to wcześniej czy później doprowadzić do nieuchronnego konfliktu z przedstawicielem Świętego Cesarstwa Rzymskiego. Zwłaszcza, kiedy wielkiego dzieła reformy Kościoła podjął się ambitny Benedyktyn i wychowanek słynnego opactwa w Cluny, Hildebrand. Dość długo przypatrywał się on bezbożnemu działaniu cesarzy, takiemu, jak chociażby wydarzenia, jakie zaszły podczas wygnania z Rzymu samego papieża Grzegorza Szóstego, którego był on osobistym sekretarzem i któremu towarzyszył przez cały czas na hańbiącym wygnaniu, ale i przy podejmowanych próbach zreformowania organizacji kościelnej przez kolejne głowy Rzymskiego Państwa. Oburzony samowolą świeckich monarchów, poprzysiągł za wszelką cenę ukrócić ich – jak mawiał – „szatańskie działania”. Z tego też powodu w 1073 roku, kiedy sam lud



rzymski wybrał go papieżem, co kardynałowie jedynie skwapliwie zatwierdzili, zakonnik Hildebrand, przyjąwszy imię swego wielkiego, wygnanego poprzednika, już jako Grzegorz Siódmy nie poinformował – jak to czynili inni papieże – dworu cesarskiego o tym wyborze ani też nie zwrócił się doń z prośbą o jego zatwierdzenie, podkreślając tym samym swoje dążenie do całkowitego uniezależnienia się od władzy świeckiej. Zasady swego uniwersalizmu papieskiego zawarł w słynnym edykcie „Dictatus Papae”. Trafił jednak na wyjątkowo trudnego w negocjacjach, agresywnego, wybuchowego, żądnego sławy i rozgłosu władcę, jakim był Henryk Czwarty, dziad przyszłej władczyni Polski, naszej bohaterki, margrabianki austriackiej Agnieszki.

Już na początku pontyfikatu Grzegorza Siódmego taka polityka doprowadziła do poważnego zaognienia sporu o inwestyturę i zaledwie w dwa lata po jego obiorze, podczas odprawianej uroczystej Pasterki, uzbrojeni żołnierze, sprzyjający opozycji antypapieskiej i królowi niemieckiemu, Henrykowi Salickiemu, wtargnęli niespodziewanie do kościoła, porwali zaskoczono papieża, wywlekając go siłą za włosy na oczach zdumionego i zatrwożonego tłumu, po czym wtrącili go do więziennej wieży, gdzie był poddawany licznym, bestialskim torturom, mającym na celu jego zastraszenie i ustępstwo. Po ochłonięciu i pierwszym, szokującym wrażeniu Rzymianie, wierni wybranemu papieżowi, zebrali jednak broń i szturmem zdobyli wieżenie

papieskie, odbili skatowanego Grzegorza i po krótkim leczeniu skłonili go do dokończenia przerwanej Mszy świętej.

Wkrótce spór zaognił się jednak na nowo. Kiedy Henryk Salicki, wbrew papieżowi, sam mianował duchownych w swym państwie, Ojciec Święty zagroził mu klątwą, lecz poddani w Rzeszy Niemieckiej nieoczekiwanie poparli swego władcę wbrew Rzymowi i ten, pewien swojej przewagi, odmówił ukorzenia się, a nawet zażądał ustąpienia papieża. W odpowiedzi na to reformator Kościoła na synodzie rzymskim w 1076 roku obłożył króla niemieckiego zapowiadaną klątwą, co wywołało nową falę rozruchów w Rzeszy i głowę podniosła znowu ukrywająca się dotąd opozycja, dążąca do ukrócenia władzy samowładnego salickiego monarchy, grożąc mu obecnie detronizacją.

Opuszczony nagle przez sojuszników Henryk Czwarty ostatecznie musiał zgodzić się na ustępstwo i, umiejętnie kryjąc złość oraz dumę, pojechał, udając szczerą skruchę i pokorę, wprost do Włoch, aby wnieść prośbę o cofnięcie klątwy papieskiej. Dowiedziawszy się o marszu agresywnego awanturnika ku niemu, przerażony papież Grzegorz Siódmy, w obawie o swe życie, bezskutecznie próbował namówić lokalnych książąt do poparcia swego działania przeciw wybuchowemu królowi, po czym jak najprędzej zabarykadował się przed nim w zamku wzniesionym na malowniczej górze pod Canossą. Tam 25 stycznia 1077 roku osamotniony i upokorzony

Henryk Salicki zmuszony był błagać Ojca Świętego o łaskę i cofnięcie klątwy. Dopiero widząc swego zacieklego przeciwnika, stojącego lub często nawet klęczącego zimą przez trzy doby na siarczystym mrozie, na śniegu, bez jedzenia i picia, boso, w pokutnym zgrzebnym worze, łatwowierny Grzegorz pod naciskiem swych doradców zgodził się na spotkanie z dotychczasowym wrogiem i spełnienie jego żądania – cofnięcie ekskomuniki. Uznał, iż upokorzył go już dostatecznie i spór jest wygranym przez niego. Jakże się jednak mylił! Nie znał bowiem zdradzieckiego i dwulicowego charakteru salickiego awanturnika...

Tymczasem żona owego monarchy, królowa Berta, babka naszej przyszłej księżnej Agnieszki Babenberg, była zrozpaczona ostatnimi wydarzeniami, gdyż po ogłoszeniu klątwy i wyjeździe króla z kraju, opozycja możnych w Niemczech już postanowiła podzielić skórę na niedźwiedziu – oto uznała ona jej męża, Henryka Czwartego, ostatecznie przegranym i w międzyczasie obrała nowego króla Niemiec, Rudolfa Szwabskiego. Choć zbereźny i nie znający w tej materii żadnego umiaru Henryk, przebierający bezwstydnie wciąż w nowych nałożnicach, dziewczkach, córkach, a nawet żonach możnowładczych, sprowadzanych mu na zamek siłą dla pustej rozrywki i niecnej rozpusty, nienawidził swej pięknej i pobożnej żony i przez wiele lat czynił usilne starania o unieważnienie tego małżeństwa, zawartego między nimi kiedy byli jeszcze dziećmi (on miał wówczas

lat 5, Berta – zaledwie 4), to jednak wierna żona wspierała go ciągle w walce z coraz liczniejszymi wrogami, towarzyszyła mu nawet podczas podróży do Włoch i ukorzenia się przed papieżem. Ta postawa dzielnej kobiety zyskała jej powszechne uznanie i szacunek w całej Europie. Taką niewzruszoną zasadę postępowania przyswoiła sobie również w przyszłości jej córka, Agnieszka von Waiblingen, która z kolei przekazała ją swoim córkom – trwać przy mężu do końca, wypełniając święty obowiązek wiernej i oddanej żony.

Owa niezłomność i wierność pięknej małżonki zdumiała jej niewdzięcznego, lubieżnego męża i wyraźnie podniosła na duchu buntowniczego króla, który – po uzyskaniu w Canossie upragnionego błogosławieństwa papieskiego i cofnięciu przeklętej ekskomuniki – błyskawicznie przystąpił do zemsty – oto rozpoczął działania, zmierzające do jak najszybszego ukrócenia samowoli możliwych niemieckich. Mając – jak chełpliwie przypuszczał – poparcie zbyt łatwowiernego Ojca Świętego, zażądał od niego klątwy wobec niemieckiego antykróla, zaś w razie odmowy ponownie zagroził mu zrzuconiem z tronu Stolicy Piotrowej. Zaskoczony papież kategorycznie odmówił, a wówczas oburzony Henryk postanowił wcielić w życie swe groźby i błyskawicznie zwołał synod w Brixen, podczas którego 25 czerwca 1080 roku 30 niemieckich i włoskich biskupów oraz ekskomunikowany nie tak dawno kardynał Hugo Candidus wspólnie odwołali Grzegorza Siódmego z

papieskiego tronu, powołując na jego miejsce arcybiskupa Rawenny, Wiberta (także obłożonego klątwą w 1076 roku, zaciętego wroga obecnego Ojca Świętego), który przyjął imię papieża Klemensa Trzeciego.

Nowe klątwy wobec Henryka i jego zwolenników, rzucone kolejny raz przez przerażonego i całkowicie zdumionego takim obrotem sprawy Grzegorza, nie zrobiły już żadnego wrażenia na dworach europejskich. Natomiast dzięki takim działaniom ambitny niemiecki władca błyskawicznie zyskał sobie przychylność części przedstawicieli Kościoła w ojczystej Rzeszy, zaatakował ze zdwojoną siłą zaskoczoną jego chwalebny powrót spod Canossy opozycję, i po kilku klęskach pod Mellrichstadt i Flarchheim, w krwawej bitwie pod Hohenmölsen, nad rzeką Białą Elsterą, 15 października 1080 roku ostatecznie rozgromił wojska przeciwników, a sam antykról Rudolf, początkowo tam zwyciężający, po ciężkich ranach otrzymanych w podbrzusze i odcięciu prawej ręki, wykrwawił się w straszliwych mękach na polu bitwy na śmierć. Jego klęska i potworne męczarnie przy skonaniu w walce wywołały wstrząs, przerażenie i popłoch w Rzeszy.

Mściwy Henryk, głosząc wszem i wobec dokonanie się w ten sposób kary Bożej za zdradę, za sprzeniewierzenie się jemu i jego rozkazom, ruszył natychmiast do swego państwa, aby rozprawić się ostatecznie z sojusznikami zmarłego antykróla. Po morderczym oblężeniu i zdobyciu, doszczętnie spalił

zamki w Teuchern, Hohenmölsen, Gruanau i Pegau, gdzie rozpaczliwy opór bezskutecznie próbowały stawiać niedobitki armii Rudolfa. Na jego wrogów padła trwoga. Rozwścieczony i chępliwy król, wracając w chwale z Canossy, niszczył po drodze wszystko, co świadczyło o jakiegokolwiek niesubordynacji wobec jego rozkazów. Wygrawszy z opozycją, umocnił swoją pozycję w państwie niemieckim. Jednak wkrótce uznał, iż to za mało. Dość długo przygotowywał się do nowej, znacznie poważniejszej wyprawy. W końcu zdecydował się na niezwykle karkołomny krok i zaatakował sam Rzym, za co papież Grzegorz Siódmy ponownie obłożył go ekskomuniką, teraz jednak jego nowe klątwy, rzucane ciągle na lewo i prawo po królewskich, szlacheckich oraz książęcych dworach, nie wywołały już żadnego wrażenia. W 1084 roku Henryk Salicki zajął ostatecznie bez większych problemów całe Wieczne Miasto ze wszystkimi jego dzielnicami. Część kardynałów, zatrwożona takim obrotem sprawy, potulnie przeszła na jego stronę, wypierając się wierności Grzegorzowi i popierając antypapieża Klemensa Trzeciego. Henryk Czwarty Salicki ponownie triumfował.

Jego sukces został wreszcie uwieńczony 31 marca tego samego roku wspaniałą koronacją na cesarza przez wybranego przezeń papieża oraz ukoronowaniem jego nielubianej, wiernej i pobożnej żony, Berty, na cesarzową rzymską. Zdruzgotany tak niefortunnym obrotem spraw Grzegorz próbował jeszcze bezskutecznie bronić się na

lewym brzegu Tybru, w Zamku Świętego Anioła, skąd wysyłał rozpaczliwe pisma do ówczesnych władców Europy, błagając ich usilnie o pomoc. Cóż za ironia! Teraz wszyscy dla odmiany odwrócili się od niego! Na apel obalonego papieża odpowiedział jedynie żądny przygód i sławy książę Apulii, Kalabrii i Sycylii, ambitny władca Robert Guiscard (czyli: „Chytry”), przywódca normańskich wojowników w południowych Włoszech, ekskomunikowany wprawdzie wcześniej przez tegoż samego papieża, Grzegorza Siódmego, za swe liczne podboje w Italii i bezpośrednie zagrożenie papieskich posiadłości, jednak potem przezeń ułaskawiony, gdyż Ojciec Święty po kolejnym zadrażnieniu stosunków z Henrykiem Salickim w 1080 roku, to właśnie w Robercie słusznie upatrywał swego najwierniejszego sojusznika w walce z Niemcami i klątwę swą cofnął, czego teraz na pewno nie żałował...

Ponieważ Robert Chytry dążył nawet do opanowania i zajęcia tronu Bizancjum, tamtejszy zagrożony cesarz, Aleksy Pierwszy Komnen, wspomógł w walce w Europie cesarza Henryka Czwartego przeciw Ojcu Świętemu, Grzegorzowi Siódmemu. 30 tysięcy Normanów Roberta Guiscarda od 27 maja 1084 roku doszczętnie plądrowało Rzym, samowolnie niszcząc i doprowadzając do ruiny wiele dzielnic tego przepięknego miasta, na dodatek głosząc, iż czyni to na wezwanie i w imieniu obalonego papieża. Opór rozjuszonych mieszkańców został krwawo stłumiony, po czym Robert z uwolnionym Ojcem

Świętym wyjechał do Salerno.

Rozwścieczeni Rzymianie, szukając zemsty za krwawe rzezie oraz zrównane z ziemią dzielnice Wiecznego Miasta, to Grzegorza Siódmego obarczyli główną winą za grabież Rzymu przez normańskich najeźdźców. Załamany tym i całkowicie osamotniony papież zmarł ostatecznie na wygnaniu 25 maja 1085 roku. Marzenie Henryka Czwartego Salickiego nareszcie ziściło się! Tymczasem ambitny książę Apulii Robert Chytry wyruszył na nowy podbój Bizancjum, tym razem jednak towarzyszyła mu grupa niechętnych jego podbojom spiskowców, którzy wraz z nim zdradziecko przepłynęli na odbudowanej flocie na Korfu i w Kefalonii 17 lipca 1085 roku zadali ostateczny cios swemu wodzowi, zatruwając specjalnie przygotowanymi ziołami podczas uczty, wydanej przed atakiem na obleżone miasto, wino, jakie miał wypić podejrzliwy Robert Guiscard, w wyniku czego władca ten, wychyliwszy jedynie odrobinę zatrutego napoju, nie umarł od razu, lecz poważnie zachorował i wkrótce zmarł w straszliwych męczarniach. Podobnie, jak i w poprzednich wyprawach, także i w tej towarzyszyła mu jego urodziwa oraz równie jak i on wojownicza żona, księżniczka lombardzka, Siszelgajta z Salerno, stojąca zawsze u boku męża, która przemierzała wraz z Robertem wszystkie niebezpieczne szlaki wojenne konno i w pięknej, błękitnawej zbroi. Po jego straszliwej śmierci popełniła samobójstwo, rzucając się z rozpaczy ze skały w przepaść.



Pokonawszy ostatecznie swego największego wroga w osobie Grzegorza Siódmego, triumfujący cesarz Henryk Czwarty powrócił po raz kolejny w chwale do ojczystych Niemiec, gdzie na powrót zmusił siłą do uległości zbuntowanych książąt, rozpoczynając tworzenie koalicji przeciwko polskiemu państwu piastowskiemu, przeżywającemu w tych czasach poważny kryzys dynastyczny i targanemu licznymi, krwawymi walkami wewnętrznymi. Zdecydowanymi przeciwnymi antypolskiej wyprawy byli jednakże nade wszystko Sasi i do jej zorganizowania ostatecznie nie doszło. Henryk umocnił za to swe wpływy w tej części kontynentu europejskiego, nadając w Moguncji swojemu wiernemu sojusznikowi, czeskiemu władcy Wratysławowi, dożywotni tytuł króla czeskiego i polskiego. Ówczesny książę piastowski, Władysław Herman, młodszy brat wygnanego i zmarłego na Węgrzech króla Bolesława Śmiałego, musiał przystać na to, uznać zwierzchnictwo Wratysława nad całą Małopolską oraz płacić mu trybut za Śląsk. Jednak jego małżeństwa z córką Wratysława, Judytą, a po jej śmierci – z siostrą samego Henryka Czwartego, rozwiązała i lubieżną Judytą Marią, ocaliły ostatecznie Polskę przed najazdem wspólnych, niemiecko–czeskich sił na państwo polskie. Te zmagania obserwowała z przejęciem na dworze cesarskim córka lubieżnego, niewiernego i buńczucznego władcy, Agnieszka von Waiblingen, matka polskiej księżnej o tym samym imieniu.

Kontynent europejski w wiekach średnich był zatem targany licznymi walkami i konfliktami wewnętrznymi, nic też dziwnego, iż skonsolidowanie wspólnych sił przeciwko wrogom z Azji, którzy zajęli Ziemię Świętą, stanowiło dla ówczesnych władców nie lada wyzwanie.

Równocześnie wreszcie krucjaty – jak głosił sam papież Urban Drugi podczas synodu w Clermont – stały się odpowiedzią na rozpaczliwe apele pomocy, wysyłane na zachód Europy przez Aleksego Pierwszego Komnena, bizantyjskiego cesarza i doskonałego wodza, który – pomimo odwagi i męstwa – nie był w stanie tak długo stawiać czoła przeważającej liczbie wrogich muzułmanów, najeżdżających i pustoszących ciągle jego państwo. Odpusty i błogosławieństwo za udział w krucjacie, obiecane w 1095 roku na synodzie w Clermont, zyskały dla tej idei ogromną przychylność i aprobatę wielkiej ilości rycerzy, książąt i władców, dokonujących na ówczesnym starym kontynencie okrutnych zbrodni, nieraz – nawet na najbliższych sobie krewnych. Obietnica uzyskania szybkiej oraz łatwej – zdawałoby się – pokuty za te winy podczas wojennej wyprawy i to w imię Boże nie mogła, rzecz jasna, pozostać bez echa!

Apel papieżstwa spotkał się przede wszystkim z olbrzymim entuzjazmem setek tysięcy rycerzy i wieśniaków, którzy zdecydowali się na wyruszenie w tę niebezpieczną podróż na Wschód. Francuski zakonnik i wędrowny kaznodzieja, Piotr Pustelnik, agitował zatem ludność wieśniaczą do szybkiej reakcji na to błaganie o

pomoc Ojca Świętego i – wezwawszy do świętej wyprawy 12 kwietnia 1096 roku w Kolonii – stanął na czele olbrzymiej, liczącej początkowo około 20 tysięcy ludzi grupy zubożałej ludności europejskich miasteczek oraz wsi, drobnych przestępców i rycerstwa niemieckiego pod wodzą tak znanych wówczas, szlachejnych mężów, jak: Hugona, hrabiego Tybingii, Henryka, hrabiego Schwarzenbergu i Waltera z Teck. Podczas marszu na południowy wschód do armii tej dołączali kolejni ochotnicy.

Odrębną armię rycerską z Niemiec prowadził słynny awanturnik, hrabia Emich z Leisingen, znany ze swych walecznych, acz nie zawsze zgodnych z prawem dokonań, który podążając z wojskiem przez tereny Rzeszy, dokonywał wszędzie masowych pogromów ludności żydowskiej, wbrew rozpaczliwie broniącym jej, miejscowym biskupom. W efekcie jego wojsko wykruszyło się, zanim dotarło do Bizancjum i część powróciła do domów, zaś pozostali wsparli wyprawę rycerską, przygotowywaną właśnie przez sławetnego Gotfryda z Bouillon. Ostatecznie węgierski król Koloman, rozwścieczony samowolami, jakich dopuszczali się wędrowcy, zadał wędrującym przez jego tereny i plądrującym krzyżowcom niemieckim klęskę, najpierw masakrując jeden z ich oddziałów, któremu uprzednio bezskutecznie nakazywał kilkakrotnie złożenie broni, następnie zaś – w wielkiej bitwie pod Wieselbergiem.

Wyprawa ludowa awanturnicznych rycerzy z Rzeszy

Niemieckiej zakończyła się zatem sromotną porażką, a w tym samym czasie wojska prowadzone przez Piotra Pustelnika–Eremitę i Waltera Sans–Avoir, noszącego przydomek „Bez Mienia”, w wyniku nieporozumień i waśni także poróżniły się z Węgrami oraz wojskami bizantyjskimi, doszło między obiema stronami do krwawych bitew i ostatecznie, po nowych rzeziach i splądrowaniu przez krzyżowców ziem, należących do Bizancjum, wojska krzyżowców zostały rozgromione przez Turków pod Kserigordon i Civetot. Niedobitki tej armii przyłączyły się do kolejnych wojsk, przybywających tu z Europy.

Nie do końca jednakże można zarzucać, jak to się zwykło przeważnie czynić wśród ówczesnych dziejopisarzy, jedynie przywódcom owych niefortunnych przedsięwzięć powody takich haniebnych klęsk pierwszych armii krzyżowych. Uczestnicy wyprawy ludowej wielokrotnie zwracali się bowiem do władców państw, jakie przemierzali w swej morderczej wędrówce do Ziemi Świętej, z prośbami o dostarczanie im należytej ilości wody oraz żywności. Nie otrzymując ich, w odwecie bestialsko dziesiątkowali napadaną ludność chrześcijańską, całkowicie wypaczając cele i święte idee wypraw krzyżowych. Ci buntownicy masowo pomierali głodem, a obojętność napotykanym po drodze mieszkańcom kolejnych mijanych państw, grodów, osad i siół dodatkowo jeszcze ich rozgoryczała: oto oni, w chwale i sławie, z błogosławieństwem samego Ojca

Świętego, szli na Wschód, aby wyzwolić Świętą Ziemię Pana spod władzy niewiernych, lecz tu, w ich ojczystej ziemi, nikt o nich nie dbał, nikt nie szedł z pomocą, nikt nie wspierał... Pozostawało im zatem w ostateczności spożywać cokolwiek, by tylko przeżyć – z czasem zaczęli więc jeść padlinę, korzenie, trawę i podejrzane zioła, pić skażoną wodę, a znane były nawet nierzadkie przypadki kanibalizmu. W dodatku Turcy stosowali wobec nich wymyślną taktykę tak zwaną „spalonej ziemi”, polegającą nie tylko na doszczętnym wypalaniu rozległych bizantyjskich pól uprawnych, ale i zatrutowaniu studni czy też niszczeniu cystern na wodę na terenach całego Cesarstwa Wschodnio-Rzymskiego. Nic też dziwnego, że w szeregach krzyżowców masowo szerzyły się epidemie, do czego w dużej mierze przyczyniły się wysokie amplitudy temperatur na tym terenie, tak nietypowe dla mieszkańców Europy, a sięgające nieraz ponad trzydziestu stopni w ciągu jednej doby. Hańbiąca klęska i złe echa tej ludowej wyprawy początkowo załamały ambitnego papieża.

Jednak główne nadzieje Ojciec Święty Urban Drugi bez wątpienia pokładał w zgoła innej inicjatywie wojennej rycerzy, będącej żywołową, dużo lepiej przygotowaną odpowiedzią na jego wezwanie do wyzwolenia Ziemi Świętej spod panowania niewiernych. Oto bowiem wkrótce po ludowej, na wschód wyruszyła pierwsza krucjata rycerska. Jej przywódcą duchowym papież mianował biskupa Le Puy – Ademara, a spośród

sławetnych wodzów starego kontynentu wyróżnili się w niej: bracia Gotfryd z Bouillon i Baldwin z Boulogne, prowadzący rycerstwo z Lombardii, Rajmund, hrabia Tuluzy, przewodzący rycerstwu z Prowansji, Robert Krótkoudy, zwany potocznie „Krótką Opończę” – syn samego Wilhelma Zdobywcy, prowadzący rycerzy z Normandii oraz Boemund z Tarentu, dowodzący oddziałami Normanów z Sycylii.

Krzyżowcy dzielnie szli na Wschód, śpiewając po drodze bojowe pieśni:

W imię Boga w Trójcy Jedynego  
Maszeruję–m do Grobu Pańskiego,  
W imię Tego, który Krzyż zwyciężył,  
Wyzwolimy Ziemię tę orężem!

Mmmm... Mmmm...

Idą tabuny wojsk.

Mmmm... Mmmm...

Ciągną tabuny wojsk.

Mmmm... Mmmm...

Taki rycerski los.

Mmmm... Mmmm...

Ciężki rycerza los.

Mmmm... Mmmm...

Pora nam ruszać w bój!

Mmmm... Mmmm...

Pora nam skruszyć mur!

W imię Boga w Trójcy Jedynego  
Maszeruję–m do Grobu Pańskiego,

Co Go armia niewiernych psubratów  
Krwią zalała, bezecnych żołdaków!

Mrmm... Mrmm...

Idą tabuny wojsk.

Mrmm... Mrmm...

Ciągną tabuny wojsk.

Mrmm... Mrmm...

Taki rycerski los.

Mrmm... Mrmm...

Ciężki rycerza los.

Mrmm... Mrmm...

Pora nam ruszać w bój!

Mrmm... Mrmm...

Pora nam skruszyć mur!

Pobłogosław świętą wojnę, Panie,

Wejrzyj dzisiaj na nasze wołanie,

Okaż łaskę, wesprzyj swoje dzieci,

Zatrac wrogów w wojennej zamieci.

Mrmm... Mrmm...

Idą tabuny wojsk.

Mrmm... Mrmm...

Ciągną tabuny wojsk.

Mrmm... Mrmm...

Taki rycerski los.

Mrmm... Mrmm...

Ciężki rycerza los.

Mrmm... Mrmm...

Pora nam ruszać w bój!

Mmmm... Mmmm...

Pora nam skruszyć mur!

Już jesienią 1096 roku ta blisko czterdziestotysięczna armia dotarła do murów Konstantynopola, gdzie po rozbiciu obozu krzyżowcy niechętnie musieli złożyć narzuconą im przysięgę cesarzowi bizantyjskiemu, Aleksemu, na oddanie mu wszystkich posiadłości, jakie zdobędą podczas walk, co – jak się potem okazać miało – wcale jeszcze nie oznaczało, iż przysięgi tej zamierzają dotrzymać. Dopiero bowiem po takiej przysiędze Bizantyjczycy wsparli europejskie wojska. Flota wenecka i bizantyjska wspomogły błyskawiczną przeprawę morską rycerstwa na Ziemię Świętą, wykorzystując zaskoczenie sułtana Kilidża Arslana, który nie zdążył przybyć z pomocą oblężonej Nikei, zdobytej przez krzyżowców 19 czerwca 1097 roku. Bitwa pod Doryleum 1 lipca także przyniosła sukces Europejczykom. Baldwin z Boulogne ruszył ze swoimi wojskami do ormiańskiej Edessy, której władca potulnie uznał go za swego dziedzica i przekazał mu tron, w wyniku czego rycerz ten utworzył tu – wbrew przyrzeczeniu, złożonemu nie tak dawno bizantyjskiemu władcy – swoje własne Hrabstwo Edessy – pierwsze państwo krzyżowców na Bliskim Wschodzie.

Wyczerpujące i wielomiesięczne oblężenie Antiochii zdawało się być ostatnim punktem walk osłabionego i zdziesiątkowanego epidemiami rycerstwa ze starego kontynentu. Walki pod murami przeciągały się, zimą 1097 roku głód zmusił krzyżowców do zjadania własnych koni,



a nawet zdarzały się wśród nich ponowne przypadki kanibalizmu. Przerażony szerzącym się pogromem przy zarazie tyfusu oraz samymi, krwawymi walkami dawny przywódca krucjaty ludowej, Piotr Pustelnik–Eremita, zdradziecko zbiegł z wojska, lecz wysłano za nim pościg, który go schwytał i na powrót przywiódł siłą do Antiochii. Haniebny koniec tej krucjaty był bliski... Jednakże szczęście sprzyjało przybyszom z Europy – w wyniku zbiegu nieoczekiwanych wypadków losy tej wielomiesięcznej walki zakończyły się dla nich niezwykle pomyślnie.

Oto bowiem na czele garnizonu tureckiego, broniącego Baszty Dwóch Sióstr oraz sąsiednich wież Antiochii, stał Ormianin, niejaki Firuz, dawniej chrześcijanin, który chętnie przeszedł na wiarę muzułmańską i wielokrotnie podkreślał swe bezgraniczne oddanie Allahowi oraz wojnie z niewiernymi Europejczykami. Czarnooki i czarnowłosy, o śniadej cerze i złączonych u nasady nosa gęstych, wiecznie gniewnie ściągniętych brwiach, zdawał się być zazartym aż po grób wrogiem przybyłych z Europy oddziałów chrześcijańskich. Kiedy jednak dowiedział się o zdradzie swojej bezwstydney żony z tureckim żołnierzem, zastając ich przypadkowo w swej własnej komnacie podczas prowadzonych na zewnątrz obronnych walk, a na dodatek dowódca antiochijskiego zamku Jaghi Sijan nakazał publicznie go ubiczować za przetrzymywanie zboża, mocno dotknęło to dumnego Ormianina, który –

upokorzony przed szydzącymi z niego najeźdźcami islamskimi – poprzysiągł w duchu zemstę na muzułmanach za te niesprawiedliwe zniewagi wobec niego i jego wierności sułtanowi. Podjął zatem poufne rokowania z dowódcami krucjaty, w wyniku czego nocą z 2 na 3 czerwca 1098 roku potajemnie otworzył im wrota i wpuścił normandzkich krzyżowców do swej baszty, a oni już sami, jak to zostało wcześniej ustalone, otwarli Bramę Świętego Jerzego i wpuścili przez nią do obleganego miasta pozostałe oddziały.

Potworne rzezie muzułmanów pochłonęły tej nocy tysiące ofiar, w tym i chrześcijańskich Ormian, zabijanych omyłkowo przez krzyżowców w nieprzepastnych ciemnościach. Sam dowódca muzułmański, Jaghi Sijan zginął, zaś jego syn, Szams ad-Daul, zabarykadował się w antiochijskiej cytadeli. Na odsiecz przybył mu z olbrzymią armią namiestnik Mosulu, Kurbugha, który zabił Rogera z Barnevill, po czym wzmocnił swoimi ludźmi oddział Szamsa. Masowe dezercje przerażonych krzyżowców i rozsiewane fałszywe plotki o upadku miasta i zajęciu go przez Turków spowodowały nieoczekiwane wstrzymanie posiłków bizantyjskich dla sojuszników z Zachodu. Oburzony takim zachowaniem i postawą cesarza Aleksego Komnena Boemund nakazał 12 czerwca podpalić domy, w których próbowali schronić się tchórzliwi rycerze europejscy, lecz wskutek silnych porywów wiatru ogień przeniósł się błyskawicznie na inne budynki, trawiąc wielką część Antiochii. Rycerstwo

europiejskie było tym zdruzgotane. I znowu Bóg wysłał krzyżowcom znak swego bezgranicznego miłosierdzia – oto bowiem 14 czerwca na niebie pojawiła się nagle wielka, ognista kula, która z olbrzymim impetem spadła wprost na część silnych wojsk muzułmańskich, niszcząc doszczętnie te atakujące oddziały. Pod naciskiem swoich zbuntowanych żołnierzy, struchlały ze strachu takimi wyrazistymi, Boskimi znakami Kurbugha, zdecydował o przerwaniu szturm.

W walkach tych brał udział między innymi uczestnik nieudanej wyprawy ludowej, francuski służący prowansalskiego pielgrzyma, Piotr Bartłomiej. Z wielką łysiejącą głową, chuderlawymi, patykowatymi nogami i rękami oraz gęstą brodą na twarzy budził raczej wśród współtowarzyszy litość i pogardę, lecz z czasem miał się okazać największym i najznamienitszym jasnowidzem całej tej krucjaty. Wieśniak ten miał podczas trwania oblężenia miasta sny prorocze ze świętym Andrzejem, który prowadził go do kościoła świętego Piotra w Antiochii, pokazywał miejsce ukrycia relikwii chrześcijańskiej i nakazywał opowiedzenie o tym hrabiemu Rajmundowi. 15 czerwca 1098 roku, dzień po tym, jak pamiętny meteoryt spadł z nieba, siejąc spustoszenie w szeregach tureckich, rycerze powiadomionego o snach wieśniaka Rajmunda bezskutecznie kopali w miejscu wskazanym im przez chłopskiego wizjonera, aż w końcu on sam, zniecierpliwiony brakiem rezultatów, wskoczył do dołu i

nieoczekiwanie wyciągnął z niego – jak twierdził – niezwykłą relikwię świętą – samo ostrze Włóczni Przeznaczenia, którą wedle tradycji chrześcijańskiej rzymski legionista, Kasjusz, przebił bok konającego Jezusa Chrystusa, przybitego do Krzyża.

Widząc to, krzyżowcy wyraźnie podnieśli się na duchu, masowo padli na kolana wobec kolejnego znaku od Boga i – prosząc Pana o wsparcie w dalszej walce – poczęli czynić znak krzyża i modlić się żarliwie. Poselstwo wysłane do tureckiego wodza na czele z owym francuskim wizjonerem, Piotrem Bartłomiejem, nie uzyskało zgody Turków na odstąpienie od miasta, co oznaczało kolejną, nieuchronną i decydującą bitwę. Przygotowując się do niej krzyżowcy przez trzy dni pościli, spowiadali się i odbywali procesje ze Świętą Włócznią, wydobytą z ziemi, a ostatniego dnia wszyscy przyjęli Komunię Świętą i istotnie, spotkała ich kolejna łaska Pana – 28 czerwca 1098 roku zdecydowali się opuścić mury Antiochii, po czym – niosąc triumfalnie znalezioną przez francuskiego wieśniaka relikwię – na otwartym polu wydali bitwę namiestnikowi Mosulu, którego bezwzględne rozkazy budziły coraz większy opór jego zbuntowanych, muzułmańskich podwładnych. Ostatecznie Kurbugha został pokonany pod murami Antiochii i, zaskoczony oraz załamany takim obrotem sprawy, wycofał się czym prędzej do Azji Środkowej.

W armii chrześcijańskiej zapanował nieopisany wprost entuzjazm, a ten spektakularny sukces był

powszechnie uważany za następstwo cudownego znaleziska Piotra Bartłomieja. Jednak nie wszyscy zawierzyli słowom podejrzanego wizjonera. Legat papieski Ademar nazwał go wprost szarlatanem i perfidnym kłamcą, wskazując na ewidentne dowody oszustwa i zarzucając mu podawanie zwykłej włóczni, schowanej pod ubraniem przed skokiem do krypty, za rzekomą świętość. 1 sierpnia Ademar jednak nieoczekiwanie zmarł, co wywarło olbrzymie wrażenie na wszystkich rycerzach, zaś Piotr Bartłomiej nazajutrz ogłosił uroczystie, że zmarły legat papieża pojawił się w jego śnie, opowiedział o rozmowie ze świętym Andrzejem i osobiście potwierdził świętość znalezionej włóczni, w którą wcześniej powątpiewał.

Coraz więcej rycerzy europejskich nie wierzyło jednak w jego słowa, zwłaszcza kiedy zaczął dodatkowo głosić, że miał wizje senne z samym Jezusem, który nakazał całej krucjacie udać się do Jerozolimy boso. W wyniku sporu doszło nawet do poważnego konfliktu między rycerzami broniącymi prawdziwości jego słów oraz tymi, którzy ciągle oskarżali go o umiejętne wykorzystywanie trudnej sytuacji i nastrojów, panujących w szeregach wyczerpanych wojną krzyżowców, o kłamstwa i praktyki szarlatańskie. Obrażony Piotr zażądał wówczas przeprowadzenia sądu Bożego i ostatecznie 8 kwietnia 1099 roku poddał się tak popularnej w wiekach średnich próbie ognia, która polegała na chwytaniu przez badanego rozgrzanych do czerwoności prętów oraz

chodzeniu po rozżarzonych węglach, wreszcie – na przetrwaniu w płomieniach na stosie przez określony czas. W wyniku tych kaźni doznał bardzo poważnych obrażeń, po których konał w niemiłosiernych mękach, a kilkanaście dni później ostatecznie zmarł. Dla obrońców jego słów nadal był jednak świętym wizjonerem, którego podczas tego sądu obronił rzekomo widoczny w płomieniach sam Jezus Chrystus, aby Piotr nie spłonął tam żywcem od razu i tym samym dał świadectwo prawdzie. W każdym bądź razie hrabia Tuluzy, Rajmund, przez cały czas święcie wierzył wszystkim jego słowom i – zgodnie z przekazanymi w wizjach sennych Piotra przez świętego Andrzeja nakazami – ruszył z rycerstwem dalej, do Jordanu, aby dokonać w nim rytualnych obmywań.

Albowiem – po wspaniałym i spektakularnym zajęciu Antiochii oraz wycofaniu się Turków – droga do Jerozolimy nareszcie stała przed rycerzami pierwszej krucjaty otworem! Spory o podziały dotychczasowych zdobyczy terytorialnych zatrzymały jednak, jak to zwykle bywało w wiekach średnich, ich triumfalny pochód na dalsze kilka miesięcy. Ponieważ dowódcą w decydującej, wygranej bitwie o Antiochię obrano błękitnookiego, rosłego i walecznego Boemunda de Hauteville, obecnie dowódcy krucjaty uzgodnili wreszcie po wielu zaciętych kłótniach, iż to jemu należy się panowanie nad tym terenem, zatem odłączył się on od reszty wyprawy i osiadł tu, tworząc kolejne chrześcijańskie państwo wschodnie – Księstwo Antiochii.

Podczas dalszego marszu krzyżowców na Wschód poszczególne emiraty arabskie poddawały się im. Z Europy szeregi dzielnych, acz niezmiernie już wycieńczonych wojowników chrześcijańskich wspierały nowe posiłki rycerskie. Do tych przybyłych obecnie, dołączył również niewielki oddział, zebrany naprędce na terenach Europy Środkowej spośród drobnego rycerstwa i możnych. W nim znalazł się nieśmiały, lecz niezwykle waleczny przedstawiciel rodu Miecznikowskich, służącego na polskim dworze piastowskim, Sławomir herbu Lubicz. Młody, zaledwie dwudziestotrzyletni młodzieniec, miał wielkie ambicje i wierzył święcie w sławę wojenną, jaką – co powtarzał często – zdobyć podczas tej wyprawy niechybnie musi.

Pochodził z możnego rodu, którego najstarsi wiekiem mężowie usługiwali na książęcym dworze jako miecznicy piastowscy. Sam szlachetny Sławomir nie został przeznaczony do tego zadania, gdyż był czwartym z kolei synem miecznika Lutogniewa, mieszkającego w wieku chłopięcym wraz ze swym ojcem, ówczesnym miecznikiem, na dworze króla Bolesława Drugiego, zwanego „Śmiałym” bądź „Szcodrym”. Przybygniew Miecznikowski, dziad Sławomira, popierał całym sercem politykę swego ukochanego władcy i brał wraz z nim udział we wszystkich kampaniach wojennych. Podczas najazdu na Ruś w 1077 roku w imieniu swego sojusznika, Izjasława, męża siostry dziada Śmiałego, polskiego króla Mieszka Drugiego Lamberta, władca polski dowiedział

się o wielkim poruszeniu, jakie powstało w jego wojsku. Rycerze masowo burzyli się przeciwko tak długim wyprawom wojennym króla, gdyż doszły do nich słuchy o haniebnych zdradach ich własnych żon pod nieobecność małżonków. Drużyna książęca, co było wówczas rzadkością trudną wręcz do pojęcia!, zbuntowała się nieoczekiwanie i... odmówiła królowi dalszego wspierania jego niepewnego kijowskiego sojusznika za tak wysoką cenę!

Rozzłoszczony władca pognał za własnym, uciekającym, jak tchórzliwe szaraki na Zachód wojskiem, a w Krakowie postanowił natychmiast ukarać winnych. Rycerzy, którzy dopuścili się haniebnej dezercji, skazał albo na przykładowe, acz niezwykle okrutne kary śmierci w męczarniach przez gotowanie w smole lub też rozrywanie końmi, innych zaś – na odebranie ziem oraz majątków i herbów, czyniąc z nich włościan i osadzając na roli, którą mieli odtąd uprawiać jako zależni chłopci, podlegli woli innych rycerzy bądź możnych. Natomiast ich niewiernym żonom, które już poczęły powijać nowonarodzone dzieci ze swych grzesznych, lubieżnych związków, nakazał natychmiast odebrać im te niemowlęta, które odtąd miały karmić suki, zaś dla odmiany tamtym do nabrzmiałych od mleka piersi rozkazał podstawić szczenięta, by boleśnie kąsały przy każdym picciu mleka sutki bezwstydnym zdrajczyń. W kraju strach padł na poddanych po tak surowym wymiarze kary przez nieubłaganego króla. Pomimo jego długoletniego, gorącego poparcia i



aktywnego udziału w obozie gregoriańskim wspomnianego papieża Grzegorza Siódmego podczas pamiętnego sporu z Henrykiem Czwartym Salickim o inwestyturę, pomimo nawet hojnego wspierania licznymi datkami Kościoła w Polsce oraz poczynionymi dlań bogatymi fundacjami, przeciw tak straszliwym karom króla wystąpił sam biskup krakowski Stanisław ze Szczepanowa, biorąc w obronę ukaranych rycerzy i ich żony.

Bolesław Szczodry, zaskoczony taką postawą duchownego, z początku próbował jeszcze wymóc na nim uległość, ale nic tym nie wskórał, na dodatek biskup obłożył go klątwą, zatem uznał on tę nieugiętą postawę duchownego, stojącego nieoczekiwanie w obronie zdrajców–rycerzy oraz ich lubieżnych żon, za jawne sprzeniewierzenie się złożonym jemu, jako władcy, przysięgom wiernopoddańczym. Za taki postępek groziła tylko jedna kara: śmierć przez poćwiartowanie. Wpadłszy do kościoła pod wezwaniem świętego Michała na Skałce, akurat podczas celebrowanej Mszy świętej, porywczy Bolesław Drugi schwycił stojącego przed ołtarzem, oniemiałego biskupa za długie, zaczesane do tyłu, siwe włosy, po czym wyjął swój miecz i na oczach zgromadzonych tam, zastygłych z przestachu wiernych, obciął mu głowę, ręce i nogi, krzycząc, iż kara taka spotyka każdego zdrajcę piastowskiego państwa. Krew rozbryzgała się na stopnie przed ołtarzem i jasną, marmurową posadzkę, na całe wnętrze kościoła oraz

ławki, z których wybiegli w popłochu przerażeni wierni. Przybygniew Miecznikowski, dziad krzyżowca Sławomira, nadaremnie próbował powstrzymać rozgniewanego króla. Wysłana przez władze miasta straż areztowała Bolesława, który teraz, w szoku po dokonanej zbrodni, stał nadal bez ruchu ze swym zakrwawionym mieczem nad ciałem zabitego, którym wstrząsały jeszcze straszliwe konwulsje, a sącząca się z licznych ran krew zalewała buty dumnego władcy. Decyzją rady miasta, do której dołączyli teraz także wstrząśnięci możnowładcy z innych ziem, Bolesław Szczodry został wygnany z kraju wraz ze swoją najbliższą rodziną.

Po tym makabrycznym wydarzeniu miecznik Przybygniew został przeznaczony do pełnienia służby na dworze nowego księcia, brata wygnanego króla, Władysława Hermana, ojca późniejszego władcy kraju, znanego nam już Bolesława Krzywoustego. Po nim, w 1090 roku, urząd miecznika przypadł jego najstarszemu synowi, Lutogniewowi. Z dumą wyprawiał on niespełna dziewięć lat później swego młodszego syna, Sławomira, na krucjatę rycerską dla wspomoczenia chrześcijańskich wojowników na Bliskim Wschodzie.

Lutogniew miał dziesięcioro dzieci: czterech synów i sześć córek. Jednakże jego trzej najstarsi synowie: Przebor, Radowit i Siemir polegli wskutek krwawych wojen, jakie prowadził książę piastowski Władysław Herman oraz jego palatyn, Skarbimir, z Pomorzanami. Zrozpaczony tym, starzejący się miecznik, oczekiwał

teraz z niepokojem szczęśliwego powrotu z wyprawy krzyżowej swego jedyne go żyjącego obecnie następcy, aby jemu, zgodnie z tradycją rodu Miecznikowskich, przekazać ów ważny urząd dworski.

Sławomir początkowo wziął udział jedynie w kilku mniejszych bitwach krzyżowców z niewiernymi. W grudniu 1098 roku, po kilkutygodniowym oblężeniu, wygłodniali rycerze europejscy zdobyli kolejny punkt oporu Turków – Maarrat an–Numan, gdzie dokonali straszliwej masakry ludności cywilnej. Z powodu ciężkich warunków i braku żywności, celowo niszczonej przez uciekających w popłochu Seldżuków, krzyżowcy znowu zaczęli dopuszczać się przerażających aktów kanibalizmu. Tymczasem egipscy Fatymidzi postanowili skwapliwie wykorzystać ich osłabienie i wyparli ze Świętego Miasta Turków, zajmując je na początku 1099 roku. W czerwcu 1099 roku armia chrześcijańska, po wyniszczającym marszu, dotarła wreszcie pod mury Jerozolimy, rozpoczynając jej mordercze, trwające kilka tygodni, oblężenie. Ogromne wieże oblężnicze dla Gotfryda z Bouillon i Rajmunda z Tuluzy miały ułatwić zdobycie murów obronnych. Na czele oddziałów niewiernych stał fatymidzki namiestnik Iftichar ad–Daul. Okrucieństwa obu walczących stron podczas zacieklej zmagania o Jerozolimę były straszliwe! Krzyżowcy dokonywali pokazowych egzekucji jeńców pod murami miasta, torturując ich bestialsko, aby ich krzyki i błagania o litość spowodowały załamanie obrońców, którzy z kolei

demonstracyjnie profanowali krzyże i wyrzynali ostatnich chrześcijan, zamieszkujących jeszcze to miasto. Ulice Świętego Miasta znowu spłynęły krwią... I znowu Europejczyków uratował zwykły przypadek – oto muzułmanie, stosując ogniste pociski greckie podczas walki – sami spowodowali wybuch kilku z nich na swych murach od strony północnej, w wyniku czego błyskawicznie doszło tam do potężnego wybuchu i pożaru, jaki strawił większą część murów i wywołał panikę uciekającej stamtąd w popłochu załogi. Jej miejsce skwapliwie zajęli szturmujący miasto krzyżowcy. 15 lipca mury Świętej Jerozolimy nareszcie stanęły przed nimi otworem. Obietnica, dana papieżowi, została spełniona. Jednakże żądni łupów i zemsty rycerze wtargnęli teraz całą gromadą na ulice i rozpoczęli potworną rzeź muzułmanów. Ich trupów było z czasem tak wiele, że zwycięzcom groził kolejny wybuch zarazy, zatem zaczęto wywozić owe szybko rozkładające się w lipcowym upale zwłoki wielkimi wozami za mury miasta i układać stosami, które wyglądały przerażająco i miejscami – zdawać by się mogło – stanowiły piramidy większe nawet niżli sąsiednie domostwa!

Syn miecznika piastowskiego, Lutogniewa, Sławomir Miecznikowski wziął udział w owym epokowym, wielkim szturmie na Święte Miasto Chrześcijan – Jerozolimę, lecz oglądane wszędzie wokół okrucieństwo i rzezie wywarły na nim niesamowite wrażenie.

Część rycerstwa powróciła po zdobyciu miasta na

stary kontynent, część natomiast pozostała w Palestynie. Rajmund z Tuluzy odmówił przyjęcia ofiarowanej mu korony, zatem 22 lipca 1099 roku Gotfryd z Bouillon został okrzyknięty królem nowo powstałego Królestwa Jerozolimskiego, jednakże on również nie zgodził się na taką tytulaturę i sam siebie nazwał „Advocatus Sancti Sepulchri”, co oznaczało „Obrońcę Grobu Świętego”. Prowadząc kolejne walki z muzułmanami, władca ten poległ w następnym roku podczas oblegania Hajfy, a wówczas Baldwin z Boulogne, jego brat, został królem Jerozolimy. Wokół Świętego Miasta Chrześcijan, na kolejnych zajętych terenach, krzyżowcy stworzyli własne państewka – Rajmund z Tuluzy został hrabią Trypolisu, Tankred – księciem Galilei, zaś Boemund I – księciem Antiochii. Opór egipskich Fatymidów ostatecznie złamano podczas krwawej bitwy pod Askalonem, rozegranej 12 sierpnia 1099 roku, w której w ręce chrześcijan wpadły bogate łupy, w tym – między innymi – tonący w złocie i klejnotach obóz wielkiego wezyra armii egipskiej, Al-Afdala. W bitwie tej również walczył przyszły piastowski miecznik dworski, Sławomir herbu Lubicz. Po tym sukcesie przybył w panteonie męstwa i sławy do Polski.

Zwycięzcy krzyżowcy wracali do Europy w chwale wyzwolicieli Jerozolimy i całej Ziemi Świętej, przywożąc ze Wschodu cenne łupy wojenne, choć wielu z nich tchórzliwie uciekło z pola walki dużo wcześniej, o czym na starym kontynencie z początku nie wiedziano.

Opowiadali z przejęciem o bogactwach i cudach, jakie widzieli na tamtych odległych terenach, rozbudzając w ten sposób wyobraźnię wielu żądnych sławy i zysku Europejczyków. Haniebnie dezerterując w najtrudniejszych momentach wyprawy i znajdując schronienie na dworze bizantyjskim lub dworach włoskich, spotykali się często potem, kiedy prawda ujrzała już światło dzienne, z jakże słuszną, surową krytyką najbliższego otoczenia i – aby dotrzymać złożonych ślubów, uratować swój honor oraz odpowiedzieć na apel władców państw chrześcijańskich – z pokorą wracali ponownie na Wschód, wspierani liczebnie przez żądnych sławy i bogactw nowych ochotników.

Z tych powodów, zaraz po pierwszej krucjacie, w Europie zorganizowano kilka kolejnych, spontanicznych grup, które miały za zadanie oczyszczenie szlaków, prowadzących do Ziemi Świętej celem przygotowania trasy przyszłej, nowej krucjacie rycerskiej. W roku 1100 wyruszyła zatem kolejna wyprawa, złożona w większości z uczestników pierwszej krucjaty, a od miejsca jej rozpoczęcia – Lombardii – została później nazwana „lombardzką”. W jej szeregach maszerowali rycerze, wieśniacy, biedota, duchowni, a nawet kobiety i dzieci. Przywódcą został arcybiskup Mediolanu, Anzelm z Buis. Plądrując po drodze wsie, domy i kościoły, uczestnicy wyprawy stali się z czasem groźni i niewygodni dla samego cesarza bizantyjskiego, któremu nawet zabili

podczas starć ulubionego lwa. Mediacji podjął się ostatecznie sam Rajmund z Tuluzy, a do awanturycznej armii wkrótce dołączyła druga, którą wiosną 1001 roku poprowadził zbiegły kilka lat temu spod Antiochii hrabia Stefan Henryk de Blois, zmuszony przez oburzoną jego czynem żonę, nadobną córkę księcia Normandii i króla Anglii, Wilhelma Zdobywcy, hrabinę Adelę z Normandii, do powrotu na Ziemię Świętą w celu zmycia hańby swojej tchórzliwej dezercji. Na czele całej tej armii stanął Rajmund, prowadząc ją ku Jerozolimie. Podczas wykańczającego marszu Turcy umiejętnie ich nękali, niszcząc zapasy żywności, paląc okoliczne pola i wsie. Taktyka zwinnych konnych łuczników muzułmańskich, zasypujących lawiną strzał szeregi zaskoczonego, niemrawego wroga z Europy, błyskawicznie przyniosła Seldżukom spektakularne zwycięstwo w bitwie pod Merzifon. Schwytanych jeńców, głównie kobiety i dzieci, wyrznięto lub sprzedano w niewolę. Nie zdążył do tych wojsk dołączyć kolejny przybyły z Europy oddział, dowodzony przez Wilhelma Drugiego, hrabiego Nevers, a zwycięzcy Turcy błyskawicznie rozbili go pod Herakleą. Wkrótce po Niwerańczykach, na tereny Azji Mniejszej dotarli Akwitańczycy pod wodzą księcia Wilhelma Dziewiątego Trubadura oraz Bawarczycy na czele z Welfem Pierwszym, ale wpadli w zasadzkę muzułmanów i zostali niemal doszczętnie wycięci w pień przez wojska muzułmańskie. Klęski tych niefortunnych wypraw europejskich wzmocniły pozycję Turków, którzy coraz

śmieiej zaczęli atakować chrześcijańskie słabe punkty oporu na Wschodzie.

Jesienią 1107 roku w Europie rozpoczęła się jeszcze jedna wyprawa krzyżowa, mająca wspomóc nowo powstałe państewka chrześcijańskie na Wschodzie, której po raz pierwszy w historii przewodził osobiście koronowany władca państwa – król norweski Sigurd Pierwszy z dynastii Ynglingów. Pochodzący z nieprawego łoża syn i następca władcy Norwegii, Magnusa Trzeciego Bosego, dzięki tej odważnej i ambitnej wyprawie zyskał sobie przydomek „Jorsalfare”, co oznacza: „Krzyżowiec”. Walczył on po drodze w Galicji i Cieśninie Gibraltarskiej z piratami, w Portugalii toczył zżarte boje z Maurami, zaś w Jerozolimie wspomagał króla Baldwina w walkach z Turkami, wszędzie odnosząc wspaniałe zwycięstwa. Za pomoc Baldwinowi otrzymał bezcenną relikwię – drzazgę z Krzyża Chrystusowego. Po powrocie do Bizancjum Sigurd Yngling przekazał swoją olbrzymią flotę zachwyconemu jego zdobyczami cesarzowi Aleksemu Pierwszemu Komnenowi, za co dostał od niego w zamian konie i prowiant na dalszą, powrotną drogę. Wracając w chwale do swej ojczyzny, spotkał się ze wspomnianym już cesarzem Lotarem Trzecim, zaciętym wrogiem polskiego państwa piastowskiego.

Krucjaty oraz losy ich uczestników, jakkolwiek niezwykle absorbujące, nie były w tym czasie jedynymi problemami Europy. Stary kontynent borykał się wówczas z dużo poważniejszymi trudnościami. Dziesiątkujący od



stuleci ludność Europy sporysz w ziarnach zbóż, którego zatrucie nazywano potocznie „ogniem świętego Antoniego” lub „świętym ogniem”, czyli „fuoco di Sant’Antonio”, zabijał głównie wieśniaków, którzy zatruli się mocno zanieczyszczonym przetrwalnikiem sporyszu – pośladem żytnim. Ta plaga znana była już w początkach średniowiecza i w 944 roku zmarło z jej powodu około czterdziestu tysięcy ludzi. Powodowała ona przerażającą martwicę rąk, twarzy i nóg, które stopniowo siniały i obumierały, natomiast część chorych miała dodatkowo kurcze i drgawki, zwane przez współczesnych nieco przewrotnie „tańcem świętego Wita”. Ludzie, zarażeni tą straszliwą chorobą, tak powszechną w wiekach średnich, stopniowo tracili poszczególne części ciała, które w przerażający sposób odpadały od reszty, pozostawiając w końcu jedynie bezwładny tułów, czasami jeszcze tylko część odrażająco wyglądającej przy tej chorobie twarzy. „Święty ogień” powodował ochłodzenie całego ciała chorego człowieka i niemożliwym było jego ponowne rozgrzanie, stąd też zarażeni, tracący powoli swoje obumierające kończyny, objęte straszliwą zgorzelą, mieli ciała tak zimne, iż sprawiali wrażenie już zmarłych, choć jeszcze dawali słabe oznaki życia. Z uwagi na masową śmiertelność, w roku 1093 wspomniany papież Urban Drugi, inicjator pierwszej krucjaty do Ziemi Świętej, założył w Vienne w południowo-wschodniej Francji zakon religijny, a miał on za zadanie leczyć chorych na „Sacer Ignis” w specjalnie tam

przygotowanym szpitalu, którego wrota były pomalowane na charakterystyczny, ognistoczerwony kolor. W opactwie w Vienne znajdowały się ku przestrodze, zgodnie ze słynną maksymą łacińską „Memento mori!”, wystawiane co jakiś czas na widok publiczny, wyschnięte czarne kończyny chorych, którzy zmarli na tę przeklętą chorobę. W 1129 roku sporysz pochłonął w Europie kolejne tysiące ofiar. A nie była to przecież jedyna choroba, nękająca ludność starego kontynentu u progu epoki krucjat. Dżuma, cholera, tyfus, ospa, biegunka, gorączki krwotoczne, dur brzuszny i dyfteryt zbierały również przerażające żniwo.

Tymczasem wkrótce po szturmie i zdobyciu murów jerozolimskich, dzielny Sławek Miecznikowski zdecydował o powrocie wraz z pozostałymi uczestnikami krucjaty na europejski kontynent. W domu witał go z radością i nieopisaną ulgą sędziwy ojciec oraz zatroskana matka, Hubysława Milena Dobszewiczówna ze sławetnego rodu herbu Wieprzowa Głowa. Obejmując w 1100 roku urząd miecznika na dworze nieudolnego księcia Hermana, Sławomir zdawał sobie doskonale sprawę, iż jego losy związane będą już z następcą chorowitego władcy. A był nim jego młodszy syn, Bolesław, zwany potem od charakterystycznego znamienia na wardze, wyniesionego z bojów z pomorskimi poganami, „Krzywoustym”.

W 1110 roku Sławek poślubił nadobną i niezwykle silną zarazem swym nieugiętym charakterem niewiastę z możnej dynastii krakowskiej Daneckich, noszącej herb

Leliwa, zawierający w polu błękitnym złoty półksiężyc, zwrócony swymi oboma rogami ku górze, ze złotą gwiazdą sześcioramienną, ponad nim jaśniejącą, zaś w klejnocie – pawie ogon zielony z takimi–ż samymi, złotymi: półksiężycem i gwiazdą. Elżbieta Danecka była przy tym kobietą niezwykle ciepłą i serdeczną, co odpowiadało idealnie tak samo usposobionemu Sławomirowi. Razem stanowili wspaniałą parę dobrych, życzliwych wszystkim i miłościwych ludzi. Ośmioro swoich dzieci wychowali w poszanowaniu odwiecznych praw Boskich i w wielkim kulcie dla każdej, najmniejszej nawet świętości. W ich domu, zawsze czystym i schludnym, panował pokój, dobrobyt (pomimo ubożego życia, jakie wiedli), radość oraz wdzięczność z każdego dnia, jaki dać raczył ich rodzinie Dobry Bóg i wszechobecna miłość. W takim oto ciepłym, dobrym domu przyszło wychować się naszemu wspaniałemu miecznikowi, Bronisiowi.

Swoją potężną, muskularną posturę zawdzięczał on dziadowi ze strony matki, sławnemu rycerzowi małopolskiemu, Leszkowi Daneckiemu. Matka Bronisza, Elżbieta, zawsze pochylona nieco ku przodowi, ze skromnie opuszczoną małą główką, także była postawną, wysoką kobietą, lecz jej ojciec i syn przybrali postawy i sylwetki wprost imponujące, tak iż z łatwością mogli dosięgnąć koron drzew i unieść jak lekkie piórko spore ciężary. Błękitnooka i jasnowłosa Elżbieta dbała starannie o wykształcenie swoich ukochanych pociech: najstarszego

syna, Bronisza, potem dwóch córek: Nadziei oraz Krzemisławy, syna Miogniewa, bliźnięt: Sędzysława i Bodzepora, szarookiej Wyszeniegi oraz najmłodszego z całego rodzeństwa: Samogosta. Jej jasnobrązowe, gdzieś prawie płowe, bujne, kręcone włosy, splecione zawsze w okazały, gruby warkocz, opadający z tyłu na plecy bądź zwinięty ciasno i upięty w tyłu głowy w olbrzymi kok, przesłonięty wielkim czepkiem, dodawały tej uroczej, nadobnej niewieście wyjątkowego czaru. Była to kobieta piękna i zarazem niezwykle nadobna. Spuszczając zawsze skromnie swe jaskrawo–niebieskie, jak lazur nieba oczy, otoczone gęstymi, czarnymi brwiami i wielkimi, podkręconymi w górę rzęsami, zdawała się być zdjętą z portretu mistrza jakowegoś postacią – niezwykłą i nienaturalną zarazem ostoją spokoju i równowagi w tym pełnym chaosu i bezwładzie świata.

### **ROZDZIAŁ III**

#### **„NA PIASTOWSKIM DWORZE”**

Tak więc podczas przyjęcia, wydanego na cześć przybyłej do Polski w 1126 roku margrabianki austriackiej Agnieszki, pierwszy raz dyskutowali wspólnie Bronisz i Adelcia. Okazało się, że oboje młodzi znali nieco bliżej tereny południowej Europy, gdyż Adelajda wielokrotnie odbywała w ostatnich latach ze swą panią podróże do sąsiadujących z Austrią Węgier, zaś Bronisz pojechał tam wraz ze swym ojcem oraz z księciem Krzywoustym, gdy ten zmuszony był odbyć pielgrzymkę pokutną do klasztoru świętego Idziego, po okrutnym okaleczeniu i zabiciu swego przyrodniego brata, Zbigniewa. O tych burzliwych dziejach w historii państwa polskiego jął tedy rozpowiadać zaciekawionej Adelci młody następca dworskiego miecznika.

Pierworodny syn Hermana, książę Zbigniew, był postawnym, wysokim i szczupłym młodzieńcem, nosił małą czarną bródkę dookoła dołu swojej starannie ogolonej twarzy, miał wyostrzone rysy i mocne spojrzenie czarnych, wyrazistych oczu. Był synem Przeclawy z niedynastycznego rodu Prawdziców i z tego powodu w kraju polskim uznawano go za niegodnego dziedzica z nieprawego łoża, wytykając go palcami, szkalując na każdym kroku i zakazując panującemu władcy, Władysławowi, przekazania mu sukcesji. W 1080 roku pod naciskiem możnych Herman ostatecznie zgodził się –

acz bardzo niechętnie – i oddalił swą pierwszą żonę, po czym poślubił czeską księżniczkę Judytę z rodu Przemyślidów, co głęboko przeżył wrażliwy i mocno miłujący swą matkę Zbigniew. Jednak Judyta Przemyślidka, kobieta o gołębim sercu, kochająca poddanych i wspomagająca ich przy każdej nadarzającej się okazji, wkrótce po urodzeniu Władysławowi długo wyczekiwanego syna Bolesława (zwanego później „Krzywoustym”) zmarła wskutek ciężkiego porodu i powikłań oraz choroby po nim. Ojciec pod naciskiem swojej nowej żony, Judyty Marii Salickiej, siostry wspomnianego, awanturniczego cesarza Henryka Czwartego, starał się odsunąć Zbigniewa od władzy i dlatego w 1089 roku wysłał go do Saksonii, do żeńskiego klasztoru w Kwedlinburgu, gdzie przeoryszą była siostra macochy – Adelajda Salicka. Wkrótce nieudolny władca Polski uzależnił się całkowicie od wszechwładnego palatyna Sieciecha, z którym jawnie zdradzała go trzecia żona, lubieżna i bezwstydna Judyta Maria. Pewny siebie włodarz dokonywał na oczach poddanych okrutnych zbrodni i sprawował nieograniczone rządy, niczym prawowity potomek Piastów. Moźni śląscy, oburzeni tą wszechwładzą palatyna i brakiem reakcji ze strony słabego monarchy, postanowili wziąć sprawę w swe ręce, zawiązali spisek przeciwko niemu i siłą napadli na klasztor, porwali stamtąd Zbigniewa i nakazali Hermanowi osadzenie go na tronie jako prawowitego władcę. Wojna domowa nie rozstrzygnęła sporu, a

Sieciech i młodociany książę Bolesław zostali tym razem porwani i uwięzieni.

Nowe, krwawe walki przyniosły zmianę sytuacji, przewagę zdobyli ponownie wrogowie nieprawego dziedzica i teraz dla odmiany do więzienia trafił Zbigniew. Bolesław zwany potem „Krzywoustym” nienawidził go od samego początku, lecz starał się to umiejętnie ukrywać, czekając tylko sposobnej chwili, aby się pozbyć niewygodnego krewnego. Już po śmierci ojca nakazał oślepić go, lecz pamiętać należy, iż oślepienie takie w owym czasie polegało nie tylko na wypalaniu oczu rozgrzanym prętem lub końcówką miecza, jak to czyniono w sąsiedniej Rusi, lecz podczas takiej tortury stosowano bardziej wymyślną, brutalną i boleśniejszą metodę – oczy wydzierano za pomocą specjalnych cęgów, a jeśli skazaniec nie chciał dobrowolnie otworzyć gałek ocznych przed takową karą, wyrywano mu je dodatkowo wraz z powiekami. Taką właśnie kaźń zastosowano wobec Zbigniewa, w wyniku czego w silnie krwawiącą ranę błyskawicznie wdało się zakażenie i przyrodni brat Krzywoustego zmarł w nieopisanych męczarniach, co ten ostatni przyjął z niewymowną ulgą.

Jeden z najświetniejszych władców państwa polskiego, zwany przez potomnych „Krzywoustym”, był imiennikiem sławnych przodków, zaś każdy z nich panował w Polsce jako król. Pierwszym był pierworodny syn samego twórcy państwa, Mieszka Pierwszego i czeskiej księżniczki Dobrawy, pierwszy król Polski, który

za męstwo i nieustrudzone dążenie do celu w walce o tron, sąsiednie ziemie oraz koronę, uwieńczone w końcu sukcesem, otrzymał zasłużony przydomek „Chrobry”. Drugim słynnym Bolesławem był prawnuk pierwszego, wsławiony licznymi datkami i niezwykłą hojnością na rzecz rozbudowywanej wówczas organizacji kościelnej na polskich ziemiach, słynny wojownik i sojusznik wspomnianego już Ojca Świętego Grzegorza Siódmego w toczącej się wówczas w Europie zacieklej walce cesarstwa z papiestwem, który zasłużył sobie na miano „Szczodrego” oraz „Śmiałego”, lecz wskutek intryg i knowań niecznych możnych, niechętnych jego władzy i uzyskaniu za zgodą papieża w 1076 roku królewskiej korony, popadł w omawiany już nieco wcześniej konflikt z biskupem Stanisławem ze Szczepanowa, doprowadzając ostatecznie do jego męczeńskiej śmierci, za co został skazany wraz z całą rodziną na wygnanie i śmierć na obczyźnie.

Był też wreszcie Krzywousty imiennikiem bliżej nieznanego władcy polskiego, którego raz tylko w poufnej rozmowie wymienił pięknej dworcy Adelcy zalękniony młody Bronisz, trwożliwie rozglądając się dookoła, a mianowicie Bolesława, zwanego już wówczas „Zapomnianym”. Jako pierworodny syn króla Polski, Mieszka Drugiego (pradziada Krzywoustego), otrzymał on, zgodnie z tradycją i zasadą pierworodztwa (choć nie pochodził z prawego łóża, co było wówczas – można to chyba śmiało stwierdzić – dość częstym zjawiskiem,



nawet na chrześcijańskich dworach), po jego śmierci tron ojca i królewską koronę. Wkrótce jednak dał się bardzo szybko poznać poddanym jako władca wyjątkowo okrutny, mściwy i bezlitosny. Przez wieki po jego zgonie wśród ludu krążyły jeszcze opowieści o bestialskich, pogańskich praktykach, dokonywanych przezeń nawet na najwyższych rangą dostojnikach państwowych, w tym także duchownych. Kraj spłynął krwią niewinnych ludzi, wszędzie płonęły puszczane z dymem domostwa, całe sioła i grody, bezradny lud płakał i szukał ratunku, a zewsząd przekazywano sobie złowróżbne słowa, iż kara Boża nie minie tego okrutnego zbrodniarza. Przy tym król ten czerpał niewymowną rozkosz z zadawania bólu, katuszy oraz z cierpień swoich ofiar, a stosowane wówczas przez niego tortury były coraz wymyślniejsze.

Powszechnie stało się za rządów Bolesława Zapomnianego topienie żywych ludzi w gotowanej smole czy wrzątku, powolne łamanie ich kołem, ćwiartowanie machinami lub przez rozbiegające się w cztery strony konie, obcinanie uszu przez specjalnie skonstruowane w tym celu hełmy, nabijanie nieszczęśników na zastrzony lub – celowo: nie – pal... Nic też dziwnego, że jeszcze za życia nadano mu zasłużenie przydomek „Okrutny” i w końcu zawiązano spisek przeciw niemu, aby zgładzić go i zakończyć tak potworne rządy, co ostatecznie uczyniono. Zaatakowany zniemacka podczas snu przez służących, którzy w spisku tym brali udział, został zadźgany nożami co najmniej przez kilkunastu sprawców równocześnie.

Znaleziono go nazajutrz na łożu, całego we krwi.

Po tak przerażającej śmierci niegodziwego króla Bolesława Zapomnianego, w kraju piastowskim zapanował chaos, który groził anarchią i odłączeniem się poszczególnych dzielnic oraz rozbiciem politycznym Polski, dlatego też specjalnie zwołana rada możnowładztwa zdecydowała się, po zabiciu i znalezieniu ciała okrutnika, sprowadzić do kraju jego młodszego brata, Kazimierza, przeznaczonego już dawno przez jego ojca, króla Mieszka Drugiego, do stanu duchownego i przebywającego wówczas w Niemczech, jak również wykreślić imię zmarłego władcy z wszelkich przekazów, dziejopisów, kronik oraz roczników wszelakich za jego zbrodnie i okrutne rządy. W ten sposób skazano tego bestialskiego i żądnego krwi Piasta na najgorszą z możliwych kar – „*Damnatio memoriae*” – wieczne zapomnienie przez potomnych. Z tego też powodu, obecnie rządzący Polską, Krzywousty, był podawany przez dziejopisów jako Bolesław Trzeci, nie zaś – Czwarty.

Ojcem obecnego księcia polskiego był młodszy brat wygnanego króla Bolesława Śmiałego. Niestety, wobec toczącego się wówczas w Europie, już wspomnianego wcześniej sporu o inwestyturę, książę ten nigdy nie zdołał uzyskać zgody na koronację królewską. Władysław Herman był człowiekiem niskim, ociężałym i od urodzenia poważnie chorym na nogi, poruszał się zatem niemrawo, z trudem i bardzo wolno. Twarz jego była

poorana licznymi bruzdami oraz oszpecona potwornie strasznymi liszajami, które stanowiły pozostałość po niezliczonych wręcz chorobach, jakie przechodził jako dziecko i młodzieniec. Gęsta, ciemna broda oraz spadające na czoło pukle brązowych włosów nie zdołały przykryć wszystkich niedoskonałości jego wyglądu. W dodatku już jako książę, panujący w państwie, Władysław został jeszcze na dodatek dotknięty chorobą wrzodową twarzy, która wykrzywiła niemiłosiernie jego oblicze, zaś okropne wrzody, jątrząc się ciągle i zalewając żółto–czarną ropą twarz, wydzielały przy tym niezwykle przykry zapach, przypominający gnijące, nieświeże mięsiwo. Otoczenie z przerażeniem spoglądało na postępującą chorobę i spodziewało się rychłego zgonu nielubianego i niepopularnego władcy.

Jednak raz jeden, przy poważnym nasileniu się jego straszliwej choroby, książę miał niespodziewanie widzenie senne – oto sama Matka Boska przyszła do niego, nakazała mu znalezienie za murami Krakowa miejsca porośniętego leśnymi fiołkami, z którego miał zebraną ziemię wraz z piachem nałożyć sobie na zniekształconą potwornie twarz celem jej wyleczenia, polecając mu potem zbudowanie w tym miejscu kościoła Jej poświęconego. Książę uczynił to czym prędzej i faktycznie – ku zdumieniu wszystkich – wyzdrowiał cudownie, wznosząc w podzięce pod Krakowem kościół Najświętszej Marii Panny na Piasku.

Krzywousty bez wątpienia odziedziczył po swoich

sławnych przodkach hart ducha, męstwo i upór w nieustannym dążeniu do celu. Niezwykle też imponował tymi cechami charakteru młodej synowej, margrabiance Agnieszce Babenberg. Był przy tym bardzo przystojnym człowiekiem, wysokim, postawnym, z gęstymi brwiami, takimiż samymi, ogromnymi i sumiastymi wąsami oraz prostymi, mocnymi włosami, opadającymi niedbale na oczy pełne żaru i ognia, iskrzące wprost na każdego rozmówcę podczas jego niezliczonych opowieści o sławnych bojach, nowych szykowanych wyprawach wojennych oraz swoich wrogach, których pokonanie planował w najbliższym czasie. Dla tego władcy, zdawało się, nie było zgoła rzeczy niemożliwej! Cechę wyróżniającą stanowiła, przy bliższym przyjrzeniu się jego ogorzalej i pełnej głębokich bruzd twarzy, nieznaczna rysa przy lewym kąciku ust, sprawiająca wrażenie unoszenia się ku górze, co dawało efekt wykrzywienia warg i całej lewej części oblicza monarchy. Szrama ta i blizna na wargach była pozostałością głębokiej rany, jaką zadano mu podczas morderczych podbojów plemion pomorskich, które prowadził od 1115 roku. Charakterystyczna blizna na ustach miała w przyszłości stać się jedną z najbardziej rozpoznawalnych cech polskiego władcy i przyczynić się do nadania mu jednego z najbardziej znanych przydomków w historii – „Krzywousty”.

A mordercze wojny, jakie wiódł całe lata z północnymi poganami, kosztowały go niemało...

Zacznijmy jednak od początku tę opowieść o podbojach sławnego Bolesława, o których teraz rozprawiał z zaciekawioną Adelajdą młody Bronisz Miecznikowski. Kiedy w 1034 roku nastąpił upadek państwa piastowskiego, trzy lata później cześnik zmarłego piastowskiego władcy, wspomnianego już Mieszka Drugiego, zdradziecki Masław, sam ogłosił się księciem i na Mazowszu utworzył swoje odrębne państwo. Poparł go zbrojnie sąsiedni Pomorzanie, sami również tworząc błyskawicznie osobne państewko, całkowicie niezależne od Polski. Mimo że syn i następca zmarłego króla, Piast Kazimierz Pierwszy, powrócił z wygnania do kraju, dawny cześnik jego ojca, Masław, znowu złamał prawo i – miast oddać mu cześć i należny hołd oraz swe mazowieckie ziemie – nieoczekiwanie podjął z nim brutalną walkę, ale w 1048 roku w zacieklej bitwie pod Pobiedziskami został ostatecznie pobity, dzięki czemu książę Kazimierz rozpoczął żmudny proces scalania ziem polskich. Po latach wdzięczni poddani nadali mu za te działania należny przydomek „Odnowiciela”. Poprzysięgając wtedy zemstę, niewdzięczny Masław uszedł na ziemie Prusów, którzy wraz z Jaćwingami wspomagali go dotychczas w bojach przeciw Piastom, lecz tam został wkrótce zdradziecko zasztyletowany przez mazowieckich możnych, gdyż osobiście naraził się im, porywając ich żony i puszczając z dymem gospodarstwa. Tereny Pomorza odtąd ciągle próbowały na trwałe odseparować się od reszty kraju polskiego.

Po wielu nieudanych próbach podporządkowania sobie ich niesfornych książąt przez kolejnych Piastów na polskim tronie, tego trudnego zadania podjął się Bolesław Krzywousty. Normując stosunki z Czechami podczas zjazdu nad Nysą Kłodzką w 1114 roku oraz poślubiając Salomeę – siostrę żon książąt: czeskiego Władysława i ołomunieckiego – Ottona zwanego „Czarnym”, polski książę zapewnił sobie ich przychylną w ekspansji na północ. Dlatego też począwszy od roku 1115 rozpoczął systematyczne podbijanie ziem pomorskich. Wykorzystał to zdradziecki możnowładca, władający państwem w zastępstwie nieobecnego księcia, palatyn Skarbimir z rodu Awdańców.

Niegdyś wychowawca i powiernik oraz najbardziej zaufany doradca Krzywoustego, z czasem stał się dumnym, niezależnym panem, próbującym za wszelką cenę ograniczyć wpływy Bolesława. Ponieważ sam brał udział w 1079 roku w haniebnej wyprawie na Węgry wraz z wygnanym z Polski Bolesławem Szczodrym i jego rodziną, a powrócił do Polski razem z synem wypędzonego króla, Mieszkiem Bolesławowicem, wiedział doskonale, jak ważne jest poparcie możnych dla panującego. Wstrząśnięty otruciem Mieszka przez spiskowców nasłanych potajemnie przez Hermana, sprzeciwił się palatynowi Sieciechowi, a odsunawszy od opieki nad małoletnim Bolesławem jego piastuna, starego krewnego znienawidzonego palatyna, Wojysława Powagę Ogończyka, sam zajął jego miejsce, zaś w 1102 objął

urząd palatyna. Początkowo wyraźnie dążył do kierowania wszystkimi posunięciami politycznymi wielkiego Bolesława, z tego też powodu doprowadził do porozumienia z jego przyrodnim bratem, Zbigniewem, podjął trudne próby rokowań z czeskim księciem, Borzywojem Drugim, który w 1103 roku najechał zbrojnie i złupił Śląsk, wreszcie skłonił Bolesława do podjęcia wyprawy przeciw Czechom, w których upatrywał głównego wroga państwa piastowskiego, a w 1106 roku został mianowany wojewodą krakowskim. Jednak nadal pamiętał o roli, jaką w państwie ogrywają możnowładcy i dlatego ostro sprzeciwił się dążeniu Krzywoustego do uregulowania sprawy następstwa tronu w związku z ponownym ożenkiem tego księcia oraz narodzeniem się jego drugiego syna, Leszka.

Zdaniem Skarbimira, jedynie przedstawiciele polskich rodów możnowładczych powinni decydować o tym, kto w przyszłości zasiądzie na tronie piastowskim. Krzywousty jednak nie należał z pewnością do władców tchórzliwych i dających się wodzić za nos byle komu, którzy potrafią ulec naciskom, szantażom, groźbom oraz próbom narzucenia woli i ich obalenia przez zbuntowanych urzędników, nawet swych dotąd zaufanych doradców. Ogłosił zatem swoją niewzruszoną wolę wprowadzenia w życie ustawy, w jasny sposób regulującej zasadę następstwa tronu po jego śmierci, nakazując możliwym zaprzysiężenie jej warunków. Skarbimir, pewny swej wyjątkowej pozycji w państwie,

kategorycznie odmówił. Odważny Bolesław nie czekał długo i natychmiast zrzucił go z urzędu, co poskutkowało krwawą wojną domową między nim a byłym palatynem, zakończoną bezwzględny rozprawieniem się z butą i zbytnią chępliwością niepokornego poddanego, którego Krzywousty nakazał oślepić, wyrywając mu gałki oczne wraz z powiekami. W 1117 roku zastąpił go przedstawiciel potężnego rodu śląskiego pochodzącego ze Skandynawii herbu Łabędź – Piotr Włostowic, który jednak wskutek podejmowanych prób buntu został zrzucony z tego urzędu w 1121 roku, zatem okaleczony Skarbimir znowu wrócił do łask, zostając palatynem księżęcym aż do swej śmierci w 1131 roku.

Niestety, zdradziecki bunt Skarbimira odciągnął Krzywoustego od jego ambitnego planu podboju całego Pomorza. Co więcej, spisek ten skwapliwie poparli ruscy książęta: Włodzimierz Monomach oraz jego żądni sławy i nowych zdobyczy terytorialnych synowie: Mścisław, Roman, Wiaczesław, Andrzej Dobry i Jerzy Długoręki, nazwany tak celowo od ciągłego napadania na sąsiednie ziemie wołyńskie w celu ich zagrabienia. Wygnany przez nich z Wołynia Jarosław Świętopełkowicz znalazł schronienie w Polsce, za co w 1120 roku Andrzej najechał nasz kraj, a Bolesław w odwecie w 1121 roku napadł na Czerwień. Łupieskie wyprawy Rusinów na państwo piastowskie wspomagali zbrojnie ałtajscy Połowcy, noszący wówczas nietypowe dla reszty Europy, charakterystyczne stroje – krótkie lekkie kaftany oraz



dziwaczne uczesania – ogolone głowy i pozostawione na nich jedynie dwa niezwykle długie warkocze, często okręcone fantazyjnie dookoła szyi, aby nie przeszkadzały im podczas prowadzenia walki.

Dodatkowo przeciw Polsce wystąpił wtedy również władca samowładczego Księstwa Przemyskiego, które odłączyło się od Księstwa Włodzimiersko–Wołyńskiego. Dopiero interwencja palatyna Włostowica i wzięcie przezeń do niewoli księcia Wołodara w 1122 roku zakończyła tę wojnę. Zniewolonego wykupił brat, Wasylko. W 1123 roku Krzywousty ponownie uległ prośbom Jarosława Świętopełkowicza i wraz z posiłkami czeskimi oraz węgierskimi podjął całkowicie nieudaną wyprawę na Wołyń, podczas której poprzednio obalony książę Jarosław nieoczekiwanie zmarł, a zatem Bolesław stracił sojusznika i dalsze walki o tron w jego imieniu nic by już teraz nie dały.

Krzywousty równocześnie toczył na północy zacięte boje z poganami. Na gryfickich polach pod Niekładzem zdołał pokonać sprzymierzonych ze sobą i prowadzących potężne armie książąt pomorskich Warcisława Pierwszego i Świętopełka. W bitwie tej Sławomirowi Miecznikowskiemu, dworskiemu urzędnikowi, służył jego syn, Bronisz. Podczas kulminacyjnego momentu przewagę zyskały oddziały pomorskie. Książę Bolesław na próżno starał się dawać rozpaczliwe znaki, aby czekające w pobliskim lesie posiłki wspomogły go. Mgły i bagienne wyziewy przesłoniły całą okolicę. Wówczas,

widząc beznadziejną sytuację polskich wojsk, miecznik zdecydował się na niezwykle ryzykowny krok i za zgodą księcia posłał swego Bronisia z rozkazem, aby oddział kasztelana Mojmira Wiaczesława, czekający na sygnał do ataku, ruszył co prędzej ku nim. Widząc uchodzącego pospiesznie z pola bitwy młodego Miecznikowskiego, jeden z zawistnych rycerzy natychmiast zareagował, aby tylko wykorzystać sposobność i dopiec walecznemu Sławkowi:

– Oj, nie udał ci się, mości mieczniku, syn pierworodny i senior rodu twego, nie udał! Ha–ha–ha! Oto widać, jak pospiesznie umyka na tyły wojsk naszych. Wejrzyjcie jeno, mości panowie, jak syn miecznika księżęcego tchórzem podszyt, czmycha czym prędzej z pola walki, jak – nie przymierzając – płochliwy szarak! – to mówiąc grubaśny możnowładca wskazał palcem na odjeżdżającego Bronisza.

Zmarszczył groźnie swe gęste brwi na te słowa sam książę Krzywousty, po czym ryknął mocno na roześmianego złośliwie możnowładcę:

– Pomiarkuj się, panie rycerzu, pomiarkuj w tym, co ci ślina na język przynosi, co byś po próżnicy gęby, potwarze tak nieroztropnie rzucającej, nie musiał potem w brudnym popiele tarzać, odszczekując takowe brednie i wszystko łgarstwo, jak pies z podkulonym ogonem! Z rozkazami moimi syn miecznika wysła–n został, aby ci łeb cały na karku ratować, bo – miast bronić ziem naszych – pleciesz głupoty, odważniejszych od siebie niesłusznie

znieważając!

Na to zamilkł niefortunny żartowniś, bo mu wstyd wielki księżę publicznie przy krewnych i kamratach poczynił, gnuśność oraz niedołęstwo wymawiając i na dodatek jeszcze wskazując, iż młodzian jakiś życie ratować mu musi i z opresji wyzwalać.

Dzięki szybkiej pomocy Bronisza i dotarcia na czas odsieczy, Polacy wygrali szczęśliwie ten bój i pokonali pomorskich książąt. Wziąwszy ich wówczas do niewoli, Bolesław Trzeci zgodził się dobrodusznie po ich ukorzeniu, aby zostali uwolnieni i byli odtąd jego lennikami. Następnie, wykorzystując umiejętnie ten spektakularny sukces, ruszył na Szczecin, który zajął przez zaskoczenie, wykorzystując wyjątkowo surową zimę przełomu lat 1121 i 1122, kiedy to zamarznęte bagniska nadodrzańskie, prowadzące do tego silnego, świetnie ufortyfikowanego grodziska, umożliwiły jego wojskom przeprawę do głównego punktu oporu nie spodziewających się takiego fortelu pogan. Opornych mieszkańców Szczecina spotykał jedyny los – okrutna śmierć z rąk bezwzględnych wojów książęcych. Straszliwa rzeź Szczecinian wywołała szok na całym wybrzeżu. Wiele miejsc poddawało się „Straszliwemu Księciu” już bez jakiegokolwiek oporu. Tym sposobem Bolesław podporządkował sobie rozległe Pomorze Zachodnie. Aby uniemożliwić bunty podbitej i uzależnionej od siebie ludności pomorskiej, rozpoczął burzenie pogańskich świątyń, całych grodów i masowe

przesiedlanie miejscowej ludności na centralne polskie ziemie. Jego ofiarą padły też plemiona, zamieszkujące ziemie sąsiednie i podbijane równocześnie przez księcia Saksonii – Lotara Trzeciego z Supplinburga : wieleccy Czrezipianie, Tolensanowie i Kicyni oraz obodrzyccy Warnowie.

W 1122 roku Krzywousty sprowadził specjalnie w celu schrystianizowania Pomorza Zachodniego mnicha Bernarda, zwanego „Hiszpanem”, lecz widok przestraszonego, ubogiego i bosego wyznawcy nowej religii mocno zdenerwował agresywnych Pomorzan, którzy w Wolinie rzucili się na niego i tylko dzięki pomocy pogańskich kapłanów, panicznie bojących się zemsty „Straszliwego Księcia”, jak zwano na Pomorzu Krzywoustego, nie zakatowano go na śmierć, a jedynie – dotkliwie obitego – oddano z powrotem piastowskiemu władcy. Niezadowolony z takiego obrotu sprawy Bolesław przekazał go klasztorowi w Bambergu. W 1123 roku sam książę pomorski Warcisław, który już wcześniej popierał potajemnie nową religię, zgodził się nareszcie przyjąć chrzest. Za jego przykładem poszli i inni pomorscy możnowładcy.

To umożliwiło kolejnemu misjonarzowi, Ottonowi z Bambergu, rozpoczęcie w 1124 roku szeregu wypraw chrystianizacyjnych na tereny pomorskie. Misjonarz ten czuł się w Polsce pewniej od swego poprzednika, Bernarda Hiszpana, gdyż przebywał tu już, znał tutejsze obyczaje i mentalność mieszkańców. Wcześniej Otto

działał w Gnieźnie i był dworskim kapelanem księżnej Judyty Marii Salickiej, zwanej potocznie „Szwabską” – znieawidzonej przez lud i rozwiązłej macochy Krzywoustego, kobiety przebiegłej i okrutnej, która przed poślubieniem księcia piastowskiego Władysława Hermana była królową węgierską i także tam prowadziła lubieżne, bezwstydné działania, ubliżając tym samym swemu zdradzanemu mężowi, Salomonowi, który zresztą nie zamierzał pozostawać jej dłużnym w tejże materii i też publicznie zdradzał ją ze sprowadzanymi na wizytowane w całym kraju zamki białogłowami węgierskimi z okolicznych domów. W Polsce Judyta Salicka zhańbiła piastowski tron, publicznie pokazując się ze swymi licznymi kochankami, jak chociażby ze wspomnianym już, wszechwładnym palatynem Sieciechem. Oboje oni liczyli na odebranie władzy nieudolnemu Hermanowi i z tego powodu starali się zniwelować plany polityczne seniora rodu, Zbigniewa. Nie przypuszczali jeszcze wtedy, że na książęcym dworze dorasta dużo potężniejszy dziedzic, junior Bolesław, wybitny wódz i przyszły władca, który wzmocni kraj i swoją pozycję w całej Europie.

Brat Judyty, cesarz Henryk Czwarty, dziadek księżnej Agnieszki Babenberg, przyjął misjonarza Ottona serdecznie i uczynił dworskim kapelanem oraz kanclerzem w swym niemieckim państwie, zaś w 1102 roku Otton został biskupem Bambergu. Jego talent w zakładaniu nowych ośrodków chrześcijańskich stawał się

powoli słynnym i wzorcowym dla całej Europy Środkowej. Nic też dziwnego zatem, iż w 1124 roku Bolesław Krzywousty przesłał mu zaproszenie przyjazdu do Polski z misją chrystianizacyjną. Otton jednakże wielokrotnie zbyt ambitnie ingerował w politykę zagraniczną księcia piastowskiego, napotykając coraz większy jego opór, by nie rzec wręcz: wrogość.

Albowiem Bolesław Trzeci zamierzał kontynuować dzieło wybitnych przodków i umocnić pozycję swego państwa na kontynencie europejskim. Wszak pochodził on z silnego rodu, władającego od kilku pokoleń tym państwem! Wrzała w nim nadal ta sama krew, te same cechy męstwa i dzielności dawały znać o sobie! Przed wiekami na terenach polskich, porośniętych gęstymi borami, nad rozlewiskami szerokiej rzeki, zwanej Odderą, mieszkało niewielkie plemię pogańskich Słowian. Jego księciem był sławetny i odważny Chościsko, pojmany jako dziecko przez Germanów podczas walk ze Słowianami, niegdyś giermek w służbie merowińskiego rycerza, Diakojmira, poddanego słynnego cesarza Franków, Karola Wielkiego z frankijskiej dynastii Karolingów. Po odbyciu służby rycerskiej, rycerz Chościsko przybył na ziemię nad rzeką Elbą, należącą niegdyś do jego germańskich panów i stamtąd udał się dalej, na wschód, osiadając ostatecznie wraz ze swymi towarzyszami w wiosce, zniszczonej kilkadziesiąt lat wcześniej przez łupieżcze najazdy Awarów.

Założona przezeń nad Odderą osada szybko rozrosła

się, a Chościsko został wodzem całego plemienia, zwanym potocznie księciem. Sprawował władzę mądrze, rozsądnie i sprawiedliwie, mężnie odpierając ataki wrogów z zewnątrz i nie łamiąc świętych praw plemiennych, jakie wpoili mu przodkowie. Jednak żądni nowych zdobyczy możni w słowiańskiej osadzie zawiązali spisek przeciw niemu i księżę padł jego ofiarą. Na czele zbuntowanych Słowian stał okrutny wódz Popiel, który zajął teraz tron księcia, a jego rodzinę nakazał podstępnie zgładzić. Jednakże żona zgładzonego władcy, księżna Katosława Niemira, potajemnie uciekła nocą wraz ze swymi dziećmi z więzienia, stworzonego w pieczarze pod zamkiem kruszewickim, wywołując w nim pożar, po którym zostały jedynie zgliszcza, co błędnie odczytano na dworze Popiela jako pewną śmierć całej księżęcej rodziny w ogniu podczas pożaru. Nikt nie wiedział, że bliscy Chościska uszli cało i dzięki pomocy wiernych rybaków przepłynęli łodzią na jedną z wysp, porośniętą gęstymi puszciami i znajdującą się na rozlewisku rzeki Oddery. Potem przenieśli się nieco dalej, nad jezioro Gopło, aby tam znaleźć bezpieczne schronienie. Tam odtąd mieszkał najmłodszy syn zabitego księcia, Piast, oraz jego krewni. Chłopak nosił takie imię, gdyż jego zadaniem miało być przyszłe piastowanie, czyli staranie o dobytek i zamek księcia, swego ojca, czego jednakże nie mógł wykonać w obliczu uwięzienia, wygnania i późniejszej ucieczki.

Kiedy zmarła matka, Piast przepłynął z bratem rzekę i zamieszkał w wiosce pod grodziskiem, którym

zawiadywał okrutny Popiel. Osiadł tutaj na stałe. W wiosce tej wiódł życie ubogiego rolnika. Mieszkał wraz ze swoją żoną, mądrą i roztropną Rzepichą, która urodziła mu pierworodnego syna, Siemowita. Grodzisko od gniazda, założonego tu przez białego orła książęcego, nazywano potocznie Gniezdem. Popiel, odkąd tylko skrytobójczo zgładził Chościska i sam zajął jego tron, władał swym państwem niegodnie, dokonywał masowych zbrodni i często łamał odwieczne prawa przodków, ku postrachowi i przerażeniu podbijanej ludności. Jego dwaj gnuśni synowie, Pomścibor i Spicygniew, przejęli po ojcu cechy niegodziwych okrutników. Podły i podstępny władca był tak bardzo znienawidzony przez swoich poddanych, że w końcu zdecydowali oni o jego zrzuceniu z tronu.

Na czele buntu stanęli dwaj dawni rycerze Chościska, Lutogniew i Mironiek. Opór ten poparli również dwaj przybyli do Gniezna tajemniczy zagraniczni goście, podróżujący ze Wschodu, którym dumny Popiel odmówił gościny i udziału w uroczystości postrzyżyn syna, wyrzucając ich z zamku, gdyż przypuszczał, iż są żebrakami. Butny władca gnieźnieński nie wiedział, iż pod ich skromnymi okryciami wierzchnimi znajdują się złote zbroje rycerzy samego cesarza, którzy wracali z dalekiej wyprawy do swej ojczyzny na Zachodzie Europy z cennymi łupami. Wygnanych haniebnie z grodu, przyjął w swej chacie ubogi Piast, który wyprawiał akurat postrzyżyny jedynego syna, Siemowita Piastowicza.



Goście za okazaną im łaskę i życzliwość przepowiedzieli wielkie czyny, jakich miał dokonać w przyszłości ten skromny chłopak. Z wdzięczności przekazali oni gospodarzowi kilka podarków, wiezionych ze Wschodu, które Piast przyjął z pokorą, a nocą podczas uroczystej uczty relikwie te spowodowały cudowne rozmnożenie się jadła.

Popiel zamordował swoją pierwszą małżonkę, siostrę sprawiedliwego Chościska, Oluchnę, którą zdradziecko poślubił jedynie po to, aby wkraść się w łaski dobrotliwego księcia, a potem go zgładzić. Niemiecka księżna, druga żona Popiela, podła Witusza, namawiała męża do pozbycia się niewygodnych możnych – dalekich krewnych poprzedniego władcy, na co ten skwapliwie przystał i nieoczekiwanie zaprosił pewnej nocy dwudziestu możnych ze starszyzny plemiennej na wieczerzę w swym zamku, na której, gdy tylko przybyli i zasiedli za stołem, podał im zatrute wino, skazując na śmierć w potwornych męczarniach, czemu sam przyglądał się z niebywałą rozkoszą! Tak, był straszliwym okrutnikiem, jakich mało i przed nim, i po nim nosiła polska ziemia! Mieszkańcy grodu i podgrodzia powiadali, że tamtej nocy dały się słyszeć potworne jęki, piski, zawodzenia i wołania nieszczęsnych nieboszczyków, tak podstępnie zgładzonych krewnych Chościska, jakby całe złe moce ciemności poruszone zostały i wyszły z grobów. Książę od tej pory zniknął w tajemniczy sposób wraz ze swoją rodziną. Nadaremno szukano go po lochach i

komnatach zamkowych. Według podań ludowych, przekazywanych potem z pokolenia na pokolenie, z ciał zatrutych na uczcie możnych wylęgły się stada myszy, jakie wygoniły okrutnika na wyspę, na której niegdyś schroniła się rodzina zabitego Chościska, i tam w wieżycy gryzonie ostatecznie dopadły go i jego bliskich, pożerając wszystkich żywcem.

Powstanie przeciwko znieprawionemu oprawcy, okrutnemu księciu Popielowi, poprowadził sam Siemowit Piastowicz. Podległa okrutnikowi ludność cieszyła się z obalenia niegodziwego księcia, osadzając na opuszczonym tronie młodego wnuka zabitego niegdyś Chościska. Przewisko, pochodzące od ojca, ubogiego rolnika, przyłgnęło do niego i jego potomków, niczym nazwisko rodowe. Piastowie zaczęli zatem panować w państewku plemiennym, które nazywano odtąd potocznie „Krajem Polan”. Po Siemowicie, jak każe prastary obyczaj, panowali kolejno jego potomkowie: mężny i dzielny Lestek, syn Siemowita, sprawiedliwy i roztropny Siemomysł, syn Lestka i wnuk Siemowita, a następnie – syn Siemomysła, wnuk Lestka, a prawnuk Siemowita, Mieszko, który podjął się dzieła niezwykle trudnego, lecz – jakże brzemiennego w skutki. Książę ten zaczął bowiem stopniowo podbijać okoliczne plemiona słowiańskie, scalając razem sąsiednie ziemie, i tworzyć z nich jeden kraj pod swoim zwierzchnictwem. Tereny te stanowiły odtąd jego ojcowiznę, zarządzał zatem nimi wedle własnej woli. Prowadził walki z ludami zamieszkującymi obszary

wokół jego państwa, a także – z władcami krajów ościennych. Był wybitnym wodzem i strategiem. Z czasem łupieżcze najazdy niemieckich margrabiów na młode państwo Polan pod pretekstem szerzenia wiary chrześcijańskiej stały się jednakże dla niego samego oraz dla jego poddanych tak uciążliwe, iż w końcu Mieszko zdecydował się na dość ryzykowny krok.

Oto postanowił – za wielokrotnie powtarzanymi namowami swoich doradców – przyjąć nową religię, niezwykle popularną już wówczas na świecie, a wywodzącą się swymi korzeniami z prowincji Starożytnego Rzymu, leżących w Azji Mniejszej. Chrześcijaństwo dawało sporo przywilejów oraz wymiernych korzyści i zażegnywało groźby ciągłego atakowania Polski przez sąsiednie państwa, głoszące konieczność rozszerzania wpływów i walki z pogaństwem, lecz równocześnie narzucało na władcę i jego poddanych niezwykle surowe warunki, jakich należało bezwzględnie przestrzegać. Mieszko musiał zrezygnować z posiadania siedmiu dotychczasowych żon, z którymi miał wspólnie aż dwadzieścioro dzieci i które bardzo kochał. Oddalenie bliskich sobie kobiet i ich dzieci, a swych potomków, w tym i prawowitych wedle piastowskiej, rodowej zasady następców książęcego tronu, mieszkających dotychczas wraz z księciem na jego zamku, było warunkiem twardym i surowym, acz niezbędnym do ochrzczenia i poślubienia chrześcijańskiej księżniczki, którą została wybrana Czeszka, Dąbrówka.

Przedstawicielka czeskiego rodu Przemyślidów wniosła na książęcy dwór nieokiełznanego dotąd, surowego pogańskiego księcia Polan, nowe zgoła zwyczaje: wstrzeźliwość, posty, surowy żywot i absolutnie bezwzględne przestrzeganie praktyk religijnych. Mieszko z początku nieco opornie wyrażał zgodę na te przełomowe zmiany, lecz musiał przyznać w duchu, iż imponowała mu ta surowa, wysoka i niezwykle powabna niewiasta o długich, jasnych włosach, pociągłej twarzy i pięknych, choć smutnych w swym wyrazie oczach. Dobrawa nie była przy tym kobietą najmłodszą, można wręcz rzec, że jak na owe czasy jej wiek podczas ślubu z Piastem określano wprost jako „mocno w latach podeszły”. A jednak prawie czterdziestoletnia kobieta potrafiła umiejętnie pokierować decyzjami swego męża, urodziła mu też chrześcijańskiego następcę tronu, Bolesława – jak miało się już niedługo okazać – jednego z najwybitniejszych władców w całej historii państwa polskiego, oraz córkę, Świętosławę Sygrydę Dumną, późniejszą królową Danii i Szwecji, której syn, Kanut Wielki, zdobył nawet odległą Anglię.

Uroczysty przyjazd do Polski Dobrawy wiązał się z rozpoczęciem faktycznego tworzenia w kraju sieci organizacyjnej nowej religii. Nie było to jednakże łatwym zadaniem na ziemiach, które przez wiele wieków silnie związane były z pogańskimi wierzeniami. Pogrzebanie na zawsze i dobrowolne wyrzeczenie się wiary przodków poddani Mieszka Pierwszego traktowali z początku jako

sprzeniewierzenie się swym największym świętościom. Nic zatem dziwnego, iż powszechnie buntowano się przeciwko takiej polityce władcy. Przywiązanie do starej religii było silniejsze, niż początkowo przypuszczali doradcy piastowskiego władcy. Wierzenia przodków mocno scalały dotychczasowe organizacje plemienne, wyznaczały zakres zależności w nich obowiązujący, nakazywały konkretne działania, surowo zakazując wykonywania innych, wiązały losy ludności i jej zajęcia z porami roku, zmianami klimatu czy dzikiej i nieokiełznanej przyrody.

Pierwotnie – jak wierzono w dawnej Polsce – nie było ziemi, lecz „Wieczna Woda”, po której pływał na „Wielkiej Łodzi Początku” jedyny bóg, Światowit, zwany też powszechnie Perunem od władania piorunami i błyskawicami. Bóg ten podzielił się raz pewnego na dwie boskie osoby: Welesa i Peruna, zwanego też często przez Słowian „Swarożycem”. Weles zajął głębię wody, zaś Światowit–Swarożyc – jej powierzchnię. Z garści piasku, przyniesionej z dna „Wiecznej Wody”, ci dwaj bogowie wspólnie stworzyli małą wysepkę, lecz potem zawistny Weles bezskutecznie próbował zrzucić z niej swego śpiącego brata, aby podstępnie objąć władzę nad całym światem, za co został w końcu obalony do „Bezkresnej Otchłani”, a powiększająca się ciągle i zaludniana ziemia zniechęciła pozostałego na niej Peruna tak bardzo, że postanowił odtąd żyć z dala od niej i mieszkających tu ludzi, w Niebie.

Jak wierzyli poganie, po swej śmierci ludzie byli porywani przez tęczę i niesieni do „Wyraju”, gdzie zimowały ptaki i gdzie wszelkie stworzenie ziemskie znajdowało dla siebie bezpieczne schronienie. Na tym etapie pośmiertnej wędrówki, podczas unoszenia zmarłych przez tęczę, żywi mogli jeszcze kontaktować się z duchami zmarłych przodków, czyli Nawiami, co skrzętnie wykorzystywali liczni wróżbici Słowian, by takowe kontakty (lub – chociażby ich próby) skutecznić. Następnie ludzie, którzy odeszli z ziemi na „Drogę Tęczy”, trafiali do krainy Welesa, Nawii, zwanej też „Wyrajem”, i tam odbywał się boży sąd dobrych i złych uczynków każdego ze zmarłych. W przypadku wielu dobrych uczynków, surowy bóg pozwalał czasami zmarłemu na częstsze kontakty ze światem żywych.

Pogański bóg Światowit – jak wierzono – widział i słyszał wszystko, dlatego też miał cztery oblicza, patrzące uważnie w cztery strony świata. Był bogiem wojny i urodzaju i z tego powodu trzymał w rękach róg pełen darów i plonów. Przy jego licznie wznoszonych posągach odprawiano najważniejsze wróżby, poświęcając konie oraz rzucając losy – tak czynili na przykład wodzowie plemienni przed zbrojną wyprawą, licząc na przychyłność wielkiego boga i swój sukces. Pogańskie świątynie miały wyrocznie, skarbcę, a nawet swoje własne zbrojne drużyny.

Na wschodzie przodkowie słowiańscy czcili liczne bóstwa, jak chociażby Białoboga – dobre bóstwo,

wspomagające ludzi i jego przeciwieństwo – Czarnoboga – bóstwo zła. Cześć oddawano również Chorsowi – bogu tarczy słonecznej, Dadźbogowi – dawcy życia i wszelkich dóbr oraz Trzygłowi – panu całego świata. Na wzgórzach oraz w słowiańskich gajach wznoszono poza tym posągi Trojana – nadającego władzę i wywodzącego się od słynnego cesarza rzymskiego o podobnym imieniu, jak również Jarowita – bóstwa wojennego, Kupały – boga uciech, zabawy, urodzaju i miłosnych zalotów, Radogosta – opiekuna podróżnych.

Charakterystycznym był posąg pięciogłowego Porewita – boga borów i lasów oraz nadludzkiej siły. Inne sławetne bóstwo pogańskie to Rujewit – bóg wojny, przedstawiany zazwyczaj na posągach z siedmioma twarzami i ośmioma mieczami. Niemalą wagę przywiązywano do opiekunów sił przyrody: Siemargła – boga wszystkich ziemskich roślin, Strzyboga – dawcy dobra i szczęścia, złotowąsego Usłada, Marzanny – bogini śmierci i zimy, Jaryły – boga płodności i wiosny, ukazywanego boso i ze snopem zboża w jednej ręce oraz głową ludzką w drugiej; Nyji – boga śmierci, czy też Zorzy – pięknej i zmysłowej bogini Jutrzenki. Słowianie dodatkowo oddawali cześć licznym demonom, na przykład: Pereplutowi, zastępującemu podróżnym drogę tak długo, aż nie poczęstowali go oni winem, Mokoszowi – opiekunowi przedzenia lnu i strzyżenia owiec, a także Żywej – demonowi życia i wzrostu. Jak zatem widać, wiele bóstw oraz demonów słowiańskich wywodziło się z

otaczającej ludzi, wielkiej i groźnej przyrody. Oddawano cześć także duchom zmarłych, wierząc, iż część z nich tuła się nadal po świecie jako krwiożercze wampiry, czyli przerażające Strzygi – istoty z dwiema duszami. Aby się przed nimi ustrzec, ciała zabitych i tragicznie zmarłych należało natychmiast spalić w „Świętym Ogniu Peruna”, ewentualnie – przebić im jeszcze wcześniej serca drewnianymi kołkami, by nawet po śmierci dusze tych nieszczęśników nie powracały na ziemię.

Demony wodne – Wiły, Wodniki, Rusałki, Topielice i Utopcy – atakowały i topiły ludzi na jeziorach oraz podczas przepraw przez rzeki, napadając na nich z nienacką i wciągając podstępnie w wodne wiry. Były to dusze zatopione tam niegdyś przez ludzi, samobójcze lub też dusze ofiar takich demonów, które teraz powracały, aby dopełnić okrutnej zemsty na kolejnych łatwowiernych nieszczęśnikach. Szczególnie niebezpieczne były piękne Rusałki czy Wiły, wabiące swym wdziękiem i powabem, tańcem, śpiewem, przybieraniem postaci ziemskich, bliskich sercu napotkanego wędrowca. Jeśli nawet nieszczęśnik zdołał cudem ujść żywy ze szpon takich złowieszczych boginek, był zazwyczaj obsypany trudno gojącymi się, niezwykle uciążliwymi w leczeniu liszajami, zaś kobiety brzemiennie po takim spotkaniu zwykle ciężko chorowały, po czym w nieopisanych bólach roniły. Gnuśny Ćmuch, potężna paskudna żaba z okrągłymi uszami i podkręconym ogonem, oraz obleśny Ćmok, ni to wąż wodny, ni to jaszczurka, atakowały za to



wystraszonych zbłąkanych podróżników i wciągały ich do zdradzieckich bagien.

W środku dnia na polach rolników dopadały z kolei demony zwane Południcami. Były to dusze nieszczęsnych kobiet, zmarłych tuż przed ślubem lub też tuż po nim, teraz ukazujące się zazwyczaj pod postaciami zgrzybiałych staruszek. Zawsze były ubrane w białe płótna. Karały w okrutny sposób ludzi, przebywających na polach o południowej porze. Nosiły na plecach worki do porywania dzieci oraz sierpy, aby okaleczać napotykaną ofiary. Były straszliwymi demonami, które ukazując się nagle w potwornej postaci pracującym albo też wypoczywającym na roli, przyprawiały o niespodziewaną śmierć swoje przerażone ofiary. Potrafiły udusić śpiących, pociąć ich ciała, poobcinać członki bądź też zabić. Nie znały żadnej litości! Bywało, że zjawiały się w postaci pięknych, młodych dziewczyn, rozpoczynały z napotkanymi ludźmi, nieświadomymi swego nieszczęsnego losu dyskusję, zadając im podchwytliwe pytania, na które odpowiednio sformułowane odpowiedzi wędrowców miały zdecydować o dalszym losie nieszczęśników – śmierci, okaleczeniu czy też – najrzadziej – darowaniu im życia.

Złowieszcze i niszczycielskie burze gradowe czy też ulewne deszcze, tak często nawiedzające ziemie słowiańskie, były z kolei sprawką latających węży – Chałów, które w swym szale były zdolne nawet do kłosa Słońca, Księżyca czy gwiazd. Latem pola

uprawne zajmowali dodatkowo niscy mężczyźni o ziemistej cerze i brodach ze złotych kłosów zbóż – byli to Polewoje, demony, które znęcały się nad przebywającymi od południa do wieczora na roli ludźmi: pracujących omamiały i nikczemnie zsyłały na manowce, śpiących dusiły, zaś pijanych zabijały kosami, obcinając im członki wraz z głowami. Chowały się i czały w ostatnich snopkach ściętego zboża, które pod koniec żniw należało z wielką czcią zebrać z pola i natychmiast schować w stodole, aby czasem Polewojów mocniej nie rozzłościć.

W lasach na ludzi czyhał straszliwy demon – Borowy i jego żona, Borowa Baba, która jako stara kobieta zwabiała do swej chatki na kurzej stopie małe dzieci, by ugotować je w kotle i pożreć. Atakowała ona też dorosłych, których zaduszała swymi olbrzymimi, obwisłymi piersiami. Pomocnikiem Borowego był bladolicy olbrzym – Leszy, zwany też Leśnym Dziadem, który w zależności od tego, jak ludzie zachowywali się w puszczech oraz borach i jak dbali o leśne zwierzęta, mógł ich zmiażdżyć i poddać okrutnym torturom lub też uratować i zaprowadzić ściganych w głąb puszczy albo z niej wyprowadzić zagubionych.

Na nieboskłonie latali Chmurnicy i Obłoczniczy – byli to dawni samobójcy lub tragicznie zmarli, którzy jako złe demony atakowali teraz gwałtownymi gradowymi burzami, dlatego ludzie zmuszeni byli nosić ze sobą spore ilości mąki, aby rzucać ją w ogień czy na wiatr i w ten sposób pozyskać przychylność owych polnych demonów.

Pośród nich fruwały dusze powieszonych złoczyńców – Latawice i Latawce, które atakowały ludzi, by spowodować ich straszliwe męczarnie, opuchlizny i sparaliżowanie całego ciała. Czasami do Chmurników i Latawców dołączali młodzi i piękni mężczyźni, porywani przez tęczę, aby w górze toczyć wśród chmur walkę z burzowymi kłębiskami.

Nawet w swych domach, skądinąd – miejscach świętych i za takowe uważanych – Słowianie nie mogli czuć się bezpiecznie: za progami, po kątach czy na strychach czaiły się Ubożęta, które domagały się od domowników obfitej ofiary w postaci bogatej strawy, a gdy jej nie otrzymywały, uprzykrzały na długie lata życie mieszkańcom. Jeśli jednak gospodarze pokornie spełnili żądania tych demonów, odpłacały się im one hojnie ostrzeżeniami przez nieszczęściem, proroczymi snami czy opieką nad całym gospodarstwem.

Zazwyczaj odwiedziny demonów oznaczały dla ludności ciężkie czasy. Na przykład odziana w postrzępione szmaty kobieta pod postacią straszliwej, wysokiej kwoki, Kikimora, nienawidząca mężczyzn i małych dzieci, nocami głośno przędła na drewnianych strychach i dziergała koronki, czym budziła nieustannie domowników, co uznawano powszechnie za złowieszczy znak rychłego nieszczęścia.

Jednym z takich demonów był także Jaroszek, wabiący ludzi na bagnistych polach w postaci bażanta, zajęcia bądź też kuropatwy, by ich zatopić. Jeśli jednak

został on umiejętnie złapany i przyniesiony w worku do chaty, przemieniał się zazwyczaj w dobrego pomocnika domu i mieszkał odtąd z domownikami jako ich krewny.

Podczas snu ludność słowiańska była nękana przez złośliwą Nocnicę, kładąca się na piersiach śpiących i duszącą ich. Najbardziej lubiła znęcać się nad niemowlętami, stad ich rozpaczliwy płacz oznaczał zawsze zjawienie się w domu tego przeklętego demona.

W gumnie, gdzie męło się zboże, mieszkał Gumiennik, złowrogi kot szczekający jak pies, który błyskawicznie przemieniał się w niskiej postury staruszka z długą brodą, włosami opadającymi na ramiona i wąsiskami aż do samej ziemi. Wyganiając szkodniki i złodziejów ze spizarni, karał gospodarzy za prace w polu w dni świąteczne lub w porze zbyt wietrznej i – obrażony takim bezbożnym zachowaniem – bezceremonialnie podpalał cały ich dobytek, niszcząc zapasy, których przedtem sam strzegł.

Inny słowiański demon domostw to Kłobuk, który wcześniej był zakopany pod progiem domu – w miejscu magicznym, stanowiącym jakże istotną granicę między domostwem a przestrzenią zewnętrzną. Ów Kłobuk był straszliwym, przerażającym, zesłanym na ten dom przez inne demony, poronionym płodem, zaś po siedmiu dniach ożywał, aby pomnażać dobytek i bogactwo domowników, co czynił dzięki podstępnemu okradaniu ich sąsiadów. Jeśli jednak gospodarze nie zakopali takiego płodu, albo zmarłego noworodka, stawał się on potężnym demonem,

Porońcem, niweczając całe obejście, nieustannie nawiedzając dom i w końcu zabijając w straszliwy sposób jego umęczonych torturami mieszkańców.

Okradaniem sąsiednich domostw zajmowały się też sprytne Korgorusze, wcielające się zazwyczaj w postacię kotów i pomagające gospodarzom w obejściu.

Do szczególnie złośliwych demonów domowych należały porośnięte gęstym włosem pół kobiety, pół zwierzęta, czyli potworne Mamuny – dusze białogłów zmarłych w połogu, które teraz czyhały na nowo narodzone dzieci, by je porwać i wszczepić im swym okrutnym, złowieszczym pocałunkiem nieuleczalną chorobę, czym tłumaczono niedorozwój potomków, ich tępotę czy podobne schorzenia lub nagłą śmierć.

Kąpieli w łaźni nie należało natomiast nigdy rozpoczynać bez odpowiedniego zabezpieczenia się przed zatonięciem w balii, które powodował inny jeszcze podstępny demon – Bannik – straszliwy starzec z przeogromną, rozmierzwną brodą. Specjalnie dla niego odłożona była zatem misa czystej wody i czarna kura, składana w ofierze. Tylko takie dary zapewniały Słowianom pomyślne przeżycie zwyczajnej, zdawać by się mogło, kąpieli i wyjście z niej cało.

Najgorsze plagi ścigało na domowników Licho, przed którym nie było ucieczki. Schorowana, szpetna, koścista niewiasta z jednym wyłupionym okiem przynosiła ludziom wszystko, co najgorszego zdarzyć im się mogło: zarazy, choroby, śmierć, plagi, głód, biedę,

pożary lub powodzie. Powodowała także najgorsze nieszczęścia w domostwach, niszcząc przedmioty i narzędzia tak, aby ludzie sami niechcący ranili się nimi, a nawet zabijali. Nie uchroniły się przed nią również zwierzęta domowe i hodowlane, zaś swymi zarazami dotykała ona nawet owoców i warzyw.

Bywało, że nieliczne demony słowiańskie od początku swego istnienia były bardzo przychylne ludziom i takim był na przykład maleńki Pokuć, który przesiadując po kątach i w zakamarkach domu, opiekował się obejściem i – karmiony – chętnie biesiadował z domownikami.

Wierzenia pogańskie, jakkolwiek konsekwentnie zakazywane przez kolejnych chrześcijańskich władców słowiańskich, były na tyle mocno zakorzenione w świadomości ich poddanych, iż jeszcze przez wiele stuleci znajdowano na ziemiach polskich oraz ruskich nowe posągi czy też świątynie, wznoszone przez wiernych ku czci bogów i demonów. Bolesław Krzywousty również musiał zmierzyć się z tym, jakże ważkim problemem, wyznaczając sobie u początków rządów ambitny plan podboju całego Pomorza. Bez wątpienia takiego zadania mógł się podjąć jedynie władca silny, nieugięty i konsekwentny w swych dążeniach.

Młodziutka austriacka dworka księżnej Agnieszki, Adelajda Salzburska, z przestraczem spoglądała na surowe oblicze polskiego władcy, słuchając opowieści syna miecznika o jego wcześniejszych walkach i

niejednokrotnym barbarzyństwem, o bezwzględnym rozprawieniu się z niewiernym palatynem Skarbimirem, który sprzeciwił się polskiemu władcy i został przezeń oślepiiony, jednakże młody Bronisz uspokajał ją szczerym uśmiechem i aksamitnym spojrzeniem wielkich, granatowych oczu, mówiąc przy tym, aby się nie lękała, gdyż Krzywousty tylko dla wrogów państwa i zdrajców jest okrutny, ich zaś popiera szczerze, bo bardzo zależy mu na sojuszu z margrabią Leopoldem, ojcem księżnej Agnieszki i na połączeniu obu ich rodzin przez tak wspaniałą mariaż ich potomków. Poza tym, Adelajda lękać się nie musi, bo wszak on, Bronisz, jest przy niej i dlatego nic złego stać się jej nie może. Na takie zapewnienia młodzianka dziewczyna z pewnością przystać musiała, gdyż coraz miłszym jej sercu okazywał się ten wysoki, przystojny syn urzędnika dworu księcia Krzywoustego.

– Boże Wszechmogący! Toż to straszny człek! – powiedziała szeptem struchlała z przerażenia piękna austriacka dworka księżnej pani. – Rzec by można – diabeł w ludzkim ciele!

– A, gdzie tam! – zawołał z uśmiechem chłopak, potrząsając jasną głową. – Pan nasz, miłościwie nam panujący książę Bolesław Trzeci, to najzaciejszy i najlitościwszy władca, o jakowyśm kiedykolwiek słyszał!

– Jakże to, mości panie Broniszu? – lekko zmarszczyła delikatne brwi dworka. – Wszak opowiadasz mi tu historyje nieprawdopodobne o jego wyczynach, o

zabójstwach i krwiożerczych zapędach, o okaleczaniu i bezwzględny wyrzynaniu wszystkich wrogów bez żadnego cienia litości czy choćby ludzkiego odruchu ocalenia dla bezbronnych... Jakże zatem możesz tak prawić?

– Książę czynił rzeczy okrutne, to fakt niezaprzeczalny, lecz pomnieć tu należy, że zawsze przy tym miał na względzie dobro swego kraju i jego poddanych, całego i niepodzielnego terytorium, obrony państwowości oraz krzewienia wiary chrześcijańskiej! – odpowiedział stanowczo młodzian.

– Ja jednakże lękam się okrutnie jego surowego oblicza, pooranego bruzdami głębokimi, groźnego spojrzenia oczu przenikliwych i blizny straszliwej nad lewą wargą. Przeraza mnie ten władca nieodgadniony, nieobliczalny i nieokrzęsany! Biedna pani moja, kiedy za jego syna za mąż idzie i w jego rodzinie odtąd się znaleźć niechybnie musi!

– Kochana moja, dajże pokój, bo tu zaraz i zmysły postradam, tak się zalęknioną i bogobojną mi teraz wydajesz! Przecie książę nasz to człek mądry i rozważny, zależy mu na sojuszu z wami i z waszym miłościwie panującym margrabią Ludwikiem dla wspólnego działania przeciwko wspólnemu wrogowi, zatem włos tu wam z głowy spaść nie może, póki on rządzi krajem i póki wszyscy, nawet te pogańskie psubraty pomorskie, słuchać go się we wszystkim muszą!

– Lecz jego żona obecna dziwnie przenikliwym i



niechętnym okiem spoglądała podczas powitania na moją ukochaną panią, margrabiankę Agnieszkę!

– To i prawda niezaprzeczalna, kochana pani moja, masz i rację! – młodzian odrzekł z nutą żalu. – Księżna Salomea niechętna jest owemu mariażowi, nie jest to i bynajmniej tajemnicą jakowąś, gdyż szczerze popiera przyszłą sukcesję po swoim mężu dla swych potomków, jakich ciągle mu rodzi, z pominięciem seniora rodu piastowskiego, księcia Władysława Bolesławowicza. Wielce rada byłaby ona zatem, gdyby senior ten popadł w niełaskę.

– Cóż zatem stać się może? – zapytała z niepokojem Adelajda, wznosząc do góry zatrwożone, prześlicznie błękitne oczy.

Bronisz przytulił ją serdecznie do swej piersi i odrzekł miękkiem głosem:

– Pani moja najmilejsza, nie lękaj się! Nasz pan, książę Bolesław, jest mądrym i sprawiedliwym władcą, swój rozum ma, zatem nic mu na owo czcze, babskie gadanie zazdrosnej macochy jego pierworodnego syna! Fakt faktem, miłuje ją mocno, bo to człek kochliwy i podatny wielce na niewieście wdzięki, lecz przecież i swą pierwszą ślubną małżonkę miłował nad życie i swego syna, z niej zrodzonego, ukrzywdzić nie zezwoli! Tak jej poprzysiągł na łożu śmierci i tego słowa dotrzyma, bo to człowiek prawy i uczciwy! Tedy nie masz się i czego obawiać, miła moja... A i ja tu przecie jestem i bronić cię będę, tak mi Boże, w Trójcy Jedyny, dopomóż, od tej

chwili aż po wsze czasy, aby ci nic przenigdy zagrozić nie mogło! – po tych gorących zapewnieniach przykleknął i ucałował z namaszczeniem oraz pokorą śnieżnobiałe dłonie zawstydzonej, uśmiechniętej Adelajdy.

Oboje zatem rozprawiali i o księciu, i o sławetnych wyprawach wojennych średniowiecznego rycerstwa, i o swych wyjazdach zagranicznych, poznawaniu nowych krajów i ich kultury, o innym, odległym, fascynującym świecie. Zamiłowanie do podróży zbliżyło ich bardzo do siebie, zatem już po pierwszych rozmowach stali się sobie bliscy, niczym dawni, starzy przyjaciele. Odtąd spotykali się często na płockim zamku księcia Bolesława, rozprawiając o rzeczach ich interesujących i coraz bardziej czując potrzebę przebywania ze sobą częściej i dłużej.

Pewnego dnia, podczas samotnego spaceru księżnej austriackiej w książęcych płockich ogrodach, przyszedł dworski miecznik odważyć się wyznać prawdę.

– Pani, winien ci jestem wyjaśnienia, gdyż dłużej zwlekać nie umiem! – Bronisz pokłonił się księżnej Agnieszce, padając jej do stóp i całując z pokorą jej dłoń.

Młoda pani, zdumiona tym postępowaniem, podniosła klęczącego przy niej rosłego chłopaka o dobrotliwym wyrazie oczu i gołęmbim sercu.

– W czymże ci pomóc mogę, zacny młodzieńcze?

– Kocham z serca całego twoją dworke, pani najmilejsza, i proszę o łaskę! Pobłogosław nam i wyraż zgodę na usługiwanie jej, o pani!

Agnieszka domyśliła się, o której damie jej dworu mówi ten potężny syn urzędnika książęcego, i kiwnęła głową.

– Wiem z pewnego źródła, że i ty, panie, nie pozostajesz jej obojętny! – szepnęła mu z szerokim uśmiechem.

Bronisz na te słowa spojrział rozanielony na swoją księżną, padł jej do nóg znowu i ucałował mocno dłonie po kilkakroć.

Z oddali przyglądał się tej scenie zaufany doradca księżnej Salomei, cześnik Mściwój z Lutomyśla. Kiedy opowiedział jej obejrzone z daleka spotkanie, stara władczyni roześmiała się złowrogo i powiedziała do swych dworek z wielką satysfakcją: – Zdaje mi się, że ta podła jędza, bezwstydną cudzołożnica, ułatwi nam szybko zadanie! Pozbędziemy się i jej i tego jej męża, przeklętego bękarta, Władysława!

Nigdy bowiem nie traktowała swojego pasierba jako prawowitego następcy tronu polskiego.

Na razie jednak czekał ją trudny wręcz do zniesienia widok roześmianych i roztańczonych par, w tym i samego pierworodnego syna księcia Bolesława, gdyż mąż jej wydał kolejną wspaniałą ucztę, połączoną z wystawnym balem, aby młodzi poznali się nieco lepiej i aby dworki i dworzanie austriaccy, przybyli do Płocka wraz z margrabianką Agnieszką Babenberg, mogli poczuć się swobodniej w całkiem nieznanym im kraju piastowskim.

W wiekach średnich przywiązywano olbrzymią wagę

do tańca jako formy rozrywki, wyrażenia swych emocji i uczczenia ważnej uroczystości. A znano już wówczas wiele wymyślnych tańców ze skomplikowanymi nieraz figurami, których znajomość świadczyła o obyciu i renomie, o doskonałym przygotowaniu edukacyjnym i towarzyskim młodych tancerzy. W wykonywaniu na ten przykład ductii białogłowy początkowo tańczyły same w rytm powolnej, stonowanej muzyki, obchodząc z gracją swoich partnerów, stojących spokojnie pośrodku sali tanecznej i przyglądających się im z radością. Każda niewiasta musiała okrążyć samotnie swojego tancerza w tanecznym pląsie, trzymając w lewej dłoni połę długiej sukni, zaś zgiętą w łokciu prawą mając wspartą w talii. Następnie podchodziła do niego i kłaniała się z wdziękiem, schyliwszy dystyngowanie głowę oraz uchwyciwszy obiema rękami suknię, po czym tańczyła dookoła niego tak samo, jak poprzednio, tyle że w stronę przeciwną. Po kolejnym wdzięcznym dygnięciu panny pozostawiały stojących prawie nieruchomo w tym samym miejscu młodzieńców, a same podążały dalej tanecznym krokiem w takt spokojnej muzyki na obrzeża sali, gdzie tańczyły tym razem jedne z drugimi w parach, to chwytając swe uniesione w górę dłonie, przybliżając się do siebie, to znowu oddalając, i obchodząc je przy tych figurach dookoła, a następnie – puszczając się i podnosząc obie ręce wysoko, jakby chciały nieba dosięgnąć.

W hiszpańskim, skocznym estampie, do dziewcząt podbiegali ochoczo ich tancerze i rozpoczynali szybki

taniec, wykonywany dookoła sali w parach. Wirowali przy tym wesoło i podczas obrotów najpierw panowie, potem zaś panie silnie przytupywały nogami w rytm głośnej muzyki. Często przy takich obrotach panny wyskakiwały nieco wyżej, ponad głowami swych partnerów, trzymających je mocno w talii, aby im czasami nie umknęły zbyt daleko, i unoszących je w górę podczas obrotu, po czym opadały lekko, jak piórka, podtrzymywane silnymi ramionami swych młodzieńców i dalej tańczyły z przytupami.

Podczas ronda z kolei tancerze wraz ze swoimi uroczyimi tancerkami najpierw wykonywali te same figury w całym zespole, przechodząc to na lewo, to na prawo i tańcząc w całej gromadzie, dotykiem wyciągniętej w górę i zgiętej w łokciu ręki muskając każdego z tańczących i tak przemierzając całą, ogromną taneczną salę. Pod koniec tych płaśów para książęca rozpoczynała swój samotny taniec pośrodku sali i – wykonując ciągle te same figury – to podnosząc w górę ręce, to znowu je opuszczając, kłaniając się sobie dystyngowanie, tańczyła tak dookoła siebie, po kolistej linii, zaś pozostali tworzyli swoiste koło wokół księcia i księżnej i z tymi samymi figurami, tak samo wykonywanymi, obchodzili całą posadzkę dookoła sali i pary tańczącej pośrodku, to dotykając wzniesionych rąk, to znowu je opuszczając i kłaniając się sobie nawzajem z wielką gracją, odchylając przy tych ukłonach poły tunik czy też sukni nieco bardziej ku tyłowi i skłaniając głowy z uszanowaniem. W ten

sposób podczas rodna każdy tancerz tańczył co najmniej kilkakrotnie z każdą tancerką z całej grupy.

Podczas zainicjowanego przez solistę, w miarę szybkiego carole, tańczono czas jakiś w jednym wielkim kole, zaś poruszano się najpierw w lewo, a potem w prawo. Śmiech i radość przeogromna towarzyszyły tym swawolnym pługom podczas wzajemnego trzymania się za ręce i poczucia wspólnej bliskości oraz solidarności wszystkich tancerzy. Wielkie koło z czasem dzieliło się na nieco mniejsze, poruszające się w lewo bądź w prawo i pokrzykujące radośnie. Następnie znowu bawiono się razem w jednym kole tanecznym. Potem solista rozpoczął długi korowód, przerywając owo olbrzymie, solidarne koło i kierując tańczących w stronę dużo chłodniejszego o tej porze dnia ogrodu. Przewodnik, śpiewając donośnym głosem pieśń, prowadził w ten sposób najpierw rej kolisty, zamknięty, potem zaś rej otwarty, czyli taneczny korowód.

Przechodził on z czasem w żywiołową balladę, podczas której energia i okrzyki poruszały całą salę, nawet starszych wiekiem widzów, wszyscy dodawali sobie jeszcze animuszu wesołymi okrzykami i podskokami oraz przytupami, co zwinniejsi wykonywali nawet podczas tańca fikołki i piruety, zaś cała grupa, pługająca w rytm wygrywanej na lutni bądź śpiewanej skocznej muzyki, wspólnie wykrzykiwała żartobliwe wierszyki czy też wyuczone strofy, po każdej z nich dokonując nagłych zwrotów tanecznego koła w drugą

stronę. Często po takim szaleńczym, kolistym tańcu, schwytane dłonie nagle puszczano, a młodzi oraz starsi upadali w końcu na posadzkę, śmiejąc się wesoło i padając sobie w ramiona.

Minstrel nie tańczył, a jedynie wykonywał partie śpiewane podczas pląsów całej sali i w ten sposób rozpoczynano z jego udziałem powolne discordo – taniec stonowany, wyraźnie wyciszający wcześniejsze, przeważnie żywiołowe harce, z krokami suwanymi, miękki, powolny, kołyszący, z wymyślnymi figurami, wyrafinowanymi i niezwykle dystyngowanymi. Tu tancerze wprawiali w delikatny, prawie niewidoczny ruch swoje biodra, ramiona, często też rozpoczynali z partnerkami swoistą taneczną grę miłosną, pełną elegancji i powagi. Minstrel, wykonujący swe utwory z pamięci i wielokrotnie przy tym improwizujący, na specjalne życzenie tańczących często zmieniał słowa lub melodię swej pieśni. Krokiem stąpanym i dosuwanym przemierzano spokojnie całą salę.

Tak oto zabawami i tańcami, nieraz wielodniowymi, zakańczano wielkie uroczystości średniowieczne. Toteż po zawarciu związku małżeńskiego swego pierworodnego syna, Krzywousty wydał rzecz jasna kolejną, wspaniałą ucztę weselną, a po niej – tańce dla młodych Piastów i ich gości oraz dworzan. Podczas tych zabaw młody syn miecznika odważył się po raz pierwszy zbliżyć nieco bardziej do swej ukochanej. Podeszedłszy zatem do siedzącej skromnie wśród innych dworek księżnej

Adelajdy, skłonił się jej nisko z wielkim szacunkiem i, wyciągając dłoń, rzekł: – Pani, chciałbym prosić cię pokornie, abyś w swojej łaskawości uczyniła mi ten zaszczyt...

Adelajda spłonęła się cała, lecz z przemiłym uśmiechem kiwnęła lekko główką, wstała, dygnęła z gracją, podała dłoń Bronisiowi i oboje podeszli na środek sali, gdzie już tańczyli inni młodzianie ze swymi wybrankami. Rozpoczęli taniec, podczas którego stary minstrel śpiewał przy akompaniamencie orkiestry nadwornej księcia pana. A, im dłużej tak tańczyli, tym bardziej się w tym tańcu zatracali. Każde spojrzenie, ukłon, ruch nóg czy dotyk dłoni był przez oboje wyczekiwany i stanowił dla nich niewymowną przyjemność, choć dziewczyna starała się bardzo, aby nie dać poznać po sobie, jak bardzo jej sercu miłe były te ogniste spojrzenia dobrotliwych oczu kochającego ją przyszłego miecznika książęcego, jak oglądał się raz za razem za jej wysmukłą postacią przy każdym zwrocie, obchodzeniu innych par czy delikatnych płasach.

Dziewczyna miała tego dnia na sobie czerwoną, aksamitną suknię, obszywaną drogocennymi wstążkami z jedwabiu w kolorze pomarańczowym, tańczyła z maleńkimi jedynie ozdobami, wplecionymi w bujne, rozpuszczone, poskręcane w pukle, jasne włosy. Suknię spodnią miała z białego lnu, o zwykłym, prostym kroju, ozdobioną delikatnym haftem wokół dekoltu, dołu oraz na rękawach. A młody chłopak – w tunice z czarnej wełny,



podszytej takim–ż samym, hebanowym lnem, zapinanej na ręcznie robione guzy z czarnego lnu, z porozcinanymi szykownie do łokci, szerokimi rękawami, w spodniach z szarego lnu, ściągniętych mocno wielkim pasem z okuciami – także wyglądał nader elegancko i szykownie.

Przy dźwiękach fletu i bębena jeden z tancerzy zainicjował wesoły korowód całej sali, do którego chętnie pobiegli i inni młodzi tancerze. Zabawa bawiącego się korowodu objęła dwie taneczne komnaty zamku oraz przylegający do nich, a teraz rozświetlony pochodniami, wielki ogród. Adelajda roześmiana, z rozwianymi włosami, tańczyła, ściskając mocno dłoń Bronisza, który wpatrywał się z umiłowaniem w jej przepiękne usta, śnieżnobiałe zęby, ukazywane ciągle w dziewczęcym, szczerym uśmiechu, i w końcu, kiedy już popadali prawie wszyscy zmęczeni i uradowani na zieloną murawę książęcego ogrodu, aby złapać dech w piersiach, oni nadal stali, a Bronisz przygarnął do siebie mocno jej wiotkie ciało i ucałował w czerwone usta ukochane. Oboje przejęło niezwykle ciepło, płynące z ich serc. I stali tak, przytuleni, roześmiani, szczęśliwi. A z oddali zerknęła z okna komnaty zamkowej zadowolona ze szczęścia swej ulubionej dworki księżna Agnieszka Babenberg.

Potem widzieli się jeszcze kilkakroć. Podczas takich spotkań Bronisz zwykle siadał przy nogach drobniutkiej Adelki, rękami przygarniał jej wątłe kolana i, wpatrując się z miłością w jej twarz jasną, otoczoną aureolą jasnobrązowych, gdzieś złoty, drobniuteńkich

loczków oraz dwa grube warkocze, zwinięte silnie w koła i spięte przy bokach głowy, pytał miękkiem głosem:

– A miłujesz–że ty mnie choć trochę?

Na to dziewczyna skromnie spuszczała głowę i odpowiadała cicho, acz stanowczo:

– Miłuję!

– Mam–że ja ci wierzyć, miła moja?

– Masz!

– Jako Bóg w niebiesiech?

– Jako i Bóg!

Po tych słowach milkli oboje i trwali tak, w pełni szczęścia i miłości, on kładł głowę na jej kolanach, ona zaś mocno przytulała ją do swego łona i gładziła gęste, jasne, niesforne kosmyki jego bujnych włosów.

Tymczasem niedługo po ślubie, jako najstarszemu ze swych synów, Krzywousty nadał Władysławowi cały Śląsk ze stolicą we Wrocławiu oraz Ziemię Lubuską jako dzielnicę, którą miał teraz samodzielnie władać w jego imieniu. Tam też przeniósł się zatem dwór Agnieszki. Młoda księżna martwiła się negatywnym stosunkiem i ciągłymi intrygami swej teściowej po kądzieli – macochy jej męża, Salomei, która opiekowała się już trzema swymi dorastającymi synami, Leszkiem, Kazimierzem i Bolesławem, a niedawno powiła kolejnego następcę, Mieszka. Krzywousty kochał ją bardzo i słuchał często jej rad, a Agnieszka doskonale wiedziała, że w tamtych trudnych i burzliwych czasach to nie pierwrodne urodzenie, lecz po częstokroć – miecz i zbrojna drużyna

decydowały o przywództwie i władzy. Dlatego też młoda księżna, władczyni mądra i przewidująca, od początku zwróciła uwagę na nieprzychylnie spojrzenie Salomei i jej wyniosły ton. Macocha księcia, od poznania w dniu przyjazdu austriackiego orszaku, szczerze nie lubiła ani jej ani też swego pasierba, którego wszak nie znosiła tutaj, odkąd tylko zamieszkała w Polsce, i wcale nie starała się tego ukryć. Z tegoż zatem powodu, młoda księżna Agnieszka namawiała swojego niezdecydowanego męża do decyzji stanowczych i roztropnych w celu umacniania swej pozycji w zarządzanych dzielnicach bez względu na przyrodnych braci, kolejnych dziedziców tronu. I im jednak Bóg pobłogosławił: już w 1127 roku Agnieszka powiła pierwородnego syna Władysława, któremu dano imię wielkiego dziadka, Bolesława. Nic też dziwnego, że stał się on ukochanym wnukiem sławnego władcy kraju i stale przebywał u jego boku.

Salomea jako obecna żona polskiego władcy, podkreślała jednak wielokrotnie swoją przewagę w uzyskiwaniu wpływu na jego decyzje. Jako kobieta zaborcza i uparta, umiała istotnie dość często postawić na swoim, wprawić w zdumienie męznego i zazwyczaj nieugiętego polskiego księcia, który z podziwem spoglądał na jej stanowczość i niezłomną postawę. Jakże różniła się od jego pierwszej małżonki, bogobojnej, pobożnej i małomównej Zbysławy! Salomea, wychowana na dworze hrabiowskim Bergu w Szwabii, była zdecydowaną przeciwniczką jakiegokolwiek uległości oraz

ustępstw wobec wrogów, przy czym dla niej takim wrogiem przeciwnikiem był każdy, kto stanowił zagrożenie dla realizacji jej osobistych, jakże ambitnych planów. Rodząc księciu kolejnych dziedziców i następców tronu, pragnęła jak najszybciej pozbyć się rywala w postaci pierworodnego syna władcy, swojego znenawidzonego pasierba, Władysława. Stanowił on naturalne zagrożenie dla osiągnięcia jej dynastycznych celów. Do tego mąż przez długie lata wspominał wyjątkowo cklewie swoją poprzednią żonę, matkę Władysława, Zbysławę, co dodatkowo wzbudzało w Salomei przeogromną zazdrość i nagłe napady niepohamowanej złości. Wówczas ta postawna, wysoka i silnie zbudowana kobieta krzyczała rozwścieczona, biła pięściami swe służące, zaś jej niebieskie oczy zaczynały przybierać barwę ciemnogrnatową, a pomiędzy brwiami tworzyła się głęboka bruzda ciągłego gniewu i nagłych ataków furii. Szarobiałe włosy wymykały się spod czepka lub chusty z nałożonym nań książęcym diademem i opadały na twarz pociągłą, złowrogą, z mocno wysuniętym podbródkiem i kilkoma wyrazistymi brodawkami na twarzy. Podczas takich napadów gniewu cała jej zalękniona służba wiedziała, że trzeba mieć się na baczności, spełniać potulnie wszelkie jej rozkazy i baczyć, aby w czymś nie zaniedbać jej poleceń, bo kara, wtedy wymierzana, była najsurowszą i bardzo dotkliwą.

Wyjazd młodej pary książęcej do Wrocławia tak szybko po zawartym ślubie zaskoczył niezmiernie

zakochanych. Adelajda musiała, rzecz jasna, udać się do stolicy śląskiej wraz ze swą panią. Bronisz ciężko przeżył rozstanie z ukochaną i Krzywousty zauważył zmianę w zachowaniu swego pogodnego zazwyczaj i wiernego sługi. Podczas poufnej rozmowy wypytał go o powód tej nagłej zmiany, a zrozumiałwszy, iż to serce dyktuje Broniszowi tęsknotę i smutek, dobrotliwie wysłał go natychmiast z pilną misją do Wrocławia, gdyż przygotowywał właśnie nową wyprawę odwetową na niepokorne plemiona pomorskie, burzące się przeciw chryścianizacji, wprowadzonej tam wiele lat wcześniej. Przybył zatem wiosną 1128 roku Bronisz na śląski dwór księcia Władysława, przekazując mu wojenne plany ojca, a podczas odpoczynku spotkał się nareszcie z tęskniącą również za spotkaniem z nim dworką Adelajdą. Padli sobie w ramiona ku wielkiej uciechu Agnieszki, kiedy ta wraz ze swoimi paniami dworu haftowały obok w komnacie zamkowej śląskiej stolicy. Księżna popierała całym sercem ten związek, gdyż wyraźnie widziała przemianę zachowania swojej ulubionej dworki, tęskniącej dotąd ogromnie za opuszczoną ojczyzną, i jej wielką miłość do przystojnego syna miecznika.

– Pani, trzeba mi na nową wojnę jechać, na której niechybnie i polec mogę, daj mi zatem swój znak, abym mógł go z dumą nosić odtąd jako symbol, żeś panią mego serca, którą zechciej pozostać na wieki.

– Nie, nie mów tak! – Adelajda zapłakała rzewnymi łzami, nie mogąc nawet do myśli swych dopuścić tego,

żeby jej ukochany miał zginąć i już więcej z nią nie porozmawiać. Przytulona do niego zaczęła potrząsać jasną główką. – Miej ufność w Bogu, módl się, Pan Wszechmogący nie da ci zginąć! – to mówiąc z wielkim przekonaniem, podała mu na białej dłoni rzemyk, spleciony w warkocz twardy i mocny, po czym obwiązała go dokładnie wokół jego silnej, męskiej dłoni. Na jego końcu znajdował się maleńki drewniany krzyż. – Niech cię strzeże po wsze czasy! – To powiedziawszy ucałowała z miłością usta ukochanego. Wierzyła mocno, że dobry Pan Bóg ocali go i już niebawem przywiedzie ponownie na dwór wrocławski.

Przed pożegnaniem udali się spokojnie na pobliskie wzgórze, za miastem, aby odetchnąć świeżym powietrzem i przysiąść na łące, by w błogiej ciszy spędzić kilka choć chwil tylko we dwoje.

Z oddali słychać było śpiew pracujących w polu chłopów:

Kiej mi te złote łąny, kiej,  
Przywiodą do dziewczyny mej,  
Co bym jej licka obocył  
I wejrzał głęboko w ocy?!  
Kiej mi te łąny, te zboża,  
Powiodą, gdzie dziołcha hoża,  
Poprowadzą do jej chatki,  
Aby paść do nóg jej matki?!  
Kiej mi te łąny, te złote,  
Przywiodą na myśl ochotę,

Przywiodą na myśl kochanie

I przy mej lubej ostanę?!

Zamyślili się oboje, słysząc te, tak dziwnie ich teraz wzruszające, słowa zwykłej, wiejskiej piosenki. Adeltcia przytuliła główkę do ramienia Bronisia i tak siedzieli w milczeniu, szczęśliwi, że chociaż tyle czasu mają dla siebie przed wojenną wyprawą. Powrócili na zamek, a potem rozmawiali, jak to czynili zazwyczaj: Bronisz siadał znów przy nogach drobniutkiej Adelki, rękami przygarniał jej wątle kolana i, wpatrując się z miłością w jej jasną twarz, pytał miękkim głosem:

– A miłujesz– że ty mnie choć trochę?

Na to dziewczyna skromnie spuszczała głowę i odpowiadała cicho z uśmiechem:

– Miłuję!

– Mam–że ja ci wierzyć, miła moja?

– Masz!

– Jako Bóg w niebiesiech?

– Jako i Bóg!...

Po tych słowach znowuż milkli oboje, on kładł głowę na jej kolanach, ona zaś mocno przytulała ją do swego łona i gładziła jego bujne włosy...

Po powrocie z Wrocławia przyszykowany już do wojny młodzian dowiedział się jednak o zmianach planów księcia, gdyż w międzyczasie o przygotowywanej wyprawie pomorskiej usłyszał sam biskup Otton i skierował do Krzywoustego oficjalne pismo, zakazując mu kategorycznie urządzania natarcia zbrojnego na Prusy,

albowiem w jego mniemaniu zaprzepaściłoby to ich wcześniejsze misje chrystianizacyjne na tamtych ziemiach, po czym sam udał się na Pomorze z nową pokojową akcją szerzenia wiary katolickiej.

Krzywoustemu było to w zasadzie na rękę, ponieważ uwagę skupił już na innym aspekcie swojej polityki zagranicznej – akurat w Europie toczyły się zmagania przy zachodniej i północnej granicy naszego państwa, zatem jego nadworny kanclerz przygotował projekt sojuszu, zawartego ostatecznie z królem Danii i Szwecji, Mikołajem Nielsem z dynastii Estridsenidów. Krzywousty dowiedział się bowiem o zdradzie pomorskiego księcia, Warcisława, o jego sojuszu z wrogiem Krzywoustemu Lotarem, wspomnianym już władcą Niemiec, a dodatkowo teraz ten pomorski książę najechał polskie dzielnice, Wielkopolskę i Mazowsze, wymordował mieszkańców Płocka i zbezczeszczył groby piastowskich książąt. To nie mogło ujść na sucho pomorskiemu zdrajcy! Przy pomocy skandynawskiego władcy, Mikołaja, Bolesław w odwecie zaatakował i zajął ponownie Pomorze Szczecińskie oraz wyspę Wolin, dokonując potwornej rzezi mieszkańców zajmowanych grodów.

Zmieniły się zatem kierunki wojennej wyprawy księcia, ale sama ona doszła do skutku, ku wielkiemu przestרחowi dworek i samej księżnej Agnieszki, gdyż ich ukochani musieli rzecz jasna wspomóc polskiego władcę. Bronisz, teraz już jako oficjalny urzędnik dworu



książęcego, sprawujący urząd tymczasowo w imieniu schorowanego ojca, Sławomira, towarzyszył w tej wojnie swemu panu, podobnie jak i jego najstarszy syn, książę Władysław Śląski, a księżna Agnieszka wraz z dworkami, codziennie po kilkakroć składały modły do Matki Bożej o wsparcie ich ukochanych w tej wyprawie. Podczas takich niespokojnych, codziennych wspólnych przesiadywań i haftowania przepięknych chust, bieżników, obrusów czy serwetek lnianych, panny dworskie śpiewały sobie tęskną pieśń:

Jakże—m rada była memu kochankowi,  
Jakże—m rada była memu miecznikowi,  
Tyle—ż on mi razy miłość okazywał,  
Tylu—ż on w turniejach rycerzy pozywał.  
Jakże—m ja wodziła swymi oczętami,  
Jakże—m wiedzieć chciała, jak to będzie z nami,  
Ale mi mój luby szepnął jeno tyle,  
Że się zetrze w boju i bitewnym pyle.  
Jakże—m ja bolała nad jego wojnami,  
Jakże—m ja płakała nad jego ranami,  
Ale mi mój luby nic nie rzecze teraz,  
Już na rękach braci przyjdzie mu umierać...

Po tych ostatnich słowach padały sobie wszystkie w objęcia, rzewnie płacząc, po czym znowu zanosiły na klęczkach modlitwy do Matki Boskiej o cud, o uratowanie i wybawienie od śmierci ich ukochanych.

Krwawa walka z Pomorzanami zakończyła się wspaniałym sukcesem Polaków, jednakże po niej Bronisz

padł do nóg swego najjaśniejszego władcy, prosząc serdecznie o łaskę i zgodę na zwolnienie go ze służby w Krakowie, gdyż tęsknota za ukochaną Adelajdą męczy go coraz mocniej, że już jeść ani spać nie może! Bolesław brwi tylko zmarszczył, po czym odrzekł surowym, acz dobrotliwym tonem, że po jego śmierci Bronisz, jak zwyczaj nakazuje w rodzie Miecznikowskich, służyć będzie na dworze kolejnego panującego w kraju Piasta, a będzie to z pewnością umiłowany, pierworodny syn księcia, Władysław, lecz na razie młody miecznik ma z nim tu na dworze pozostać i basta! Bronisz na te słowa potakiwał głową z pokorą, całując z miłością rękę wielkiego władcy.

Sprawa następstwa tronu polskiego była wówczas o tyle pewną, iż na dwór śląski dotarła właśnie niespodziewanie tragiczna wiadomość o nagłej śmierci najstarszego syna Bolesława i Salomei, a przyrodniego brata Władysława, księcia Leszka. Pomimo żałoby w rodzinie męża, Agnieszka odetchnęła z ulgą, gdyż niewiele młodszy Leszek stanowił naturalne zagrożenie dla jej małżonka w przyszłej walce o tron, zaś młodszy jego bracia jeszcze na razie nie byli brani pod uwagę jako potencjalni rywale. Leszek był człowiekiem spokojnym i pobożnym, dawniej chętnie rozmawiał i przebywał ze swoim starszym bratem, Władysławem (co wielce pochwałał sam Krzywousty), którego traktował jako naturalnie wyznaczonego prawem pierworództwa następcę ich ojca, jednakże matka, Salomea, kobieta

zaborcza i zachłanna, ciągle podjudzała swego najstarszego potomka do intryg przeciw bratu, do usługiwania we wszystkim ojcu i odsuwania od Bolesława jego pierworodnego syna. Leszka bolało takie zachowanie rodzicielki i na tym tle wielokrotnie dochodziło do utarczek słownych między nim a surową matką, którą jakkolwiek kochał mocno, lecz zrozumieć absolutnie nie umiał, nie chciał i nie mógł. Nie leżało w jego charakterze snucie intryg i szkodzenie starszemu bratu.

Teraz śmierć Leszka stała się dla Salomei prawdziwym ciosem, a i Władysławowi przysporzyła wiele przykrości, gdyż kochał mocno swego życzliwego mu, przyrodniego brata. Leszek zmarł jako nastoletni młodzieniec, świetnie zapowiadający się księżę, z ciekawymi i ambitnymi planami nowej wyprawy przeciw niewiernym na południu oraz podróży na północ, ku krajom skandynawskim. Zginął nieszczęśliwie podczas pojedynku z jakimś księciem ruskim, ubiegając się o rękę białogłowy z Krakowa, której cześć i dobre imię zostało przez tegoż księcia naruszone. Niestety, nikt nie wiedział, co to za białogłowa i co to za tajemniczy ruski zabójca, gdyż oboje nie zostali odnalezieni przez zrozpaczoną i żądną zemsty Salomeę, pomimo wysłania za nimi gońców i licznej służby. Informację o szykowanym pojedynku Leszek przekazał w tajemnicy tuż przed jego rozegraniem jedynie swemu młodszemu bratu, kilkuletniemu Bolesławowi, którego opowieści jednak z początku nie brano poważnie, uznając ją za

dziwaczne wymysły małego dziecka.

Niedługo potem zmarł nagle i drugi z najstarszych synów Krzywoustego i Salomei, szczególnie ukochany przez swą matkę, Kazimierz. Szczęście zatem sprzyjało ambitnym planom dążącej do wzmocnienia pozycji w kraju, energicznej Agnieszki Babenberg. Kazimierz zakończył żywot jeszcze bardziej tajemniczo niż Leszek, ponieważ jego ciało znaleziono niespodziewanie trzy dni po niepokojącym zaginięciu, leżące w ciemnym zaułku przy książęcej stadninie Krzywoustego, kiedy było już w stanie poważnego rozkładu. Poznano go tylko po książęcych pierścieniach oraz resztkach stroju. Z oględzin nadworni medycy mogli stwierdzić, że padł ofiarą tajemniczej choroby, jakiej nabawił się podczas codziennych, wielogodzinnych ujeżdżań od swych ukochanych koni, ponieważ i one zaczęły w ostatnich dniach padać masowo na nieznaną zarazę. Z miejsca nakazano rzecz jasna spalenie całej książęcej stajni w obawie przed rozszerzeniem się epidemii. Śmierć dwóch najstarszych synów w tak krótkim czasie mocno przybiła ich matkę, zatem na długie lata przywdziała ona teraz strój żałobny, który dodawał jej twarzy dodatkowego mroku i czynił jeszcze bardziej nieprzystępną. Całą swą nadzieję Salomea wiązała teraz ze swymi małoletnimi potomkami, Bolesławem i Mieszkiem.

Władysławowi trudno było podzielać entuzjazm żony po tych niespodziewanych zgonach braci przyrodnych, choć w głębi serca rozumiał jej stanowisko i przyznawał

jej rację. Wielokrotnie oboje rozprawiali o tym, komu po swej śmierci Krzywousty odda całą władzę w państwie. Senior uważał, iż należy zdać się na mądrą decyzję panującego, gdyż święcie wierzył w to, że jego ukochany ojciec nie skrzywdzi swego najstarszego syna. Księżna Agnieszka zgadzała się wprawdzie z tym poglądem, ale widziała też, jak bardzo o względy dla siebie i swoich dzieci starała się zabiegać nowa żona władcy polskiego, dlatego nieustannie przekonywała męża:

– Panie mój, lecz to tobie i tylko tobie, wedle prawa zwyczajowego i Boskiego, należna jest cała i niepodzielna władza w całym polskim państwie! Jako pierworodnemu, tobie jedynie przysługuje następstwo tronu i rządy nad całością polskich ziem! Pozbądź się jak najprędzej macochy i jej synów z kraju, jak niegdyś uczynił to twój sławetny przodek, Bolesław, pierwszy polski król, gdyż tylko w ten sposób uchronisz państwo przed zgubą. To jedyna i właściwa droga utrwalenia niepodzielnej władzy i zjednoczenia wszystkich polskich dzielnic! Posłuchaj mej rady, postaraj się, aby Salomea odeszła!

Księżę słuchał tych pouczeń żony, coraz bardziej przekonany co do tego, że przyszłe starcie zbrojne z przyrodnimi braćmi jest nieuniknione. I nie mylił się. Na razie jednak to Krzywousty panował w państwie i należało go sobie zjednywać, co nie było wcale sprawą prostą. Przy jego boku ciągle przeciw seniorowi i jego pięknej żonie nagabywała zazdrosna Salomea, nazywając młodą synową męża „mistrzynią chytrłości” i „przebiegłą

jędzą”, co nie tyle drażniło, ile rozbawiało kochającego ją Bolesława Trzeciego, zatem przymykał oko na te „niewieście zatargi”. Jednak zawistna Salomea knuła nadal swe intrygi.

Rok 1131 przyniósł natomiast Broniszowi wielki splendor – nareszcie spełniło się jego największe marzenie. Choć nie skończył jeszcze 20 lat, musiał zastąpić swego ojca w pełnieniu obowiązków urzędniczych i z tego powodu został rycerzem dworu książęcego, przyjętym do tego szlacheckiego grona wedle starego obyczaju.

Pasowanie na rycerza ambitny Bronisz przeżywał tak bardzo, że przez całą noc, poprzedzoną według rytuału oczyszczającą kąpielą i spędzoną teraz w śnieżnobiałej pościeli, nie był w stanie choć na moment zmrużyć oka. Ceremonia, jak każe pradawny obyczaj, odbyła się w Święto Zesłania Ducha Świętego, zwane potocznie „Zielonymi Świątkami” od majowej pory, pełnej kwiecica i roślin budzących się wówczas do życia w całej swej krasie. Pasującym był sam książę Bolesław, u którego miecznikiem był ojciec Bronia, a on miał oficjalnie zająć to miejsce po odejściu swego przodka.

Po zbudzeniu wczesnym świtem, Bronisz założył spodnie odzienie z białego lnianego płótna, symbolizującego czystość, na to zaś – jaskrawoczerwony strój, symbolizujący krew, jaką od tej pory – zgodnie z przysięgą, którą miał złożyć – będzie przelewał jedynie w obronie Kościoła, którego miał być odtąd zbrojnym

wspomożycielem, zaś na nogi przywdział brunatne obuwie jako pokorny znak padołu ziemskiego, do którego każdy z nas zmierza.

W otoczeniu dworu odbyła się wspaniała uroczystość. Na podniesieniu dostojnie zasiadał książę polski, Krzywousty z małżonką, obok dostojnicy świeccy i duchowni. Przyszły rycerz klęcząc przed nimi powtarzał uroczyście słowa przysięgi, jakie odczytywał starszy wiekiem przedstawiciel tego stanu, a tym razem był nim sam ojciec Bronia, nieco już słaby i schorowany, lecz niezwykle dumny z syna, Sławomir Miecznikowski. Mówił on zatem: – Czy przysięgasz wyznawać zawsze wiarę swych ojców w Boga w Trójcy Jedynej, być wiernym i oddanym swemu Bogu, ojczyźnie i panu?

– Przysięgam!

– Czy przysięgasz żałować szczerze swych przewinień wobec Pana popełnionych?

– Przysięgam!

– Czy przysięgasz podczas swej drogi ziemskiej wszędzie dawać dowody pokory i głosić prawdę, zaś przegrane bitwy znosić z honorem?

– Przysięgam!

– Czy przysięgasz zawsze miłować sprawiedliwość, jako najwyższą z cnót wszelakich i szanować wszystkich ludzi, jako swych braci tak, jak nakazał nam Pan nasz, Jezus Chrystus?

– Przysięgam!

– Czy przysięgasz bronić zawsze sierot, ubogich i

schorowanych, walczyć o nich i nieść im miłosierną pomoc, być hojnym dla potrzebujących, nie krzywdzić przenigdy słabszych?

– Przysięgam!

– Czy przysięgasz podczas swej ziemskiej pielgrzymki szczerze i odważnie walczyć w słusznej sprawie, bronić wiary chrześcijańskiej i wielkodusznie darować życie słabszym i pokornym?

– Przysięgam!

– Czy przysięgasz zawsze ambitnie podążać do celu, wyrzekając się słabości, tchórzostwa i fałszu?

– Przysięgam!

– Czy przysięgasz stanowić wzór godny naśladowania dla innych ludzi, jak przystało prawemu rycerzowi?

– Przysięgam!

– Czy przysięgasz znosić wszelakie prześladowania?

– Przysięgam!

– Czy przysięgasz na koniec być zawsze, aż do śmierci, wierny swym zasadom i ideałom?

– Przysięgam!

– Przyjmij zatem ten miecz i pas rycerski jako znaki twej wiernej służby Kościołowi i panu, którą odtąd uroczyście rozpoczniesz! W imię Ojca, i Syna i Ducha Świętego! – tu uczynił ponad jego głową znak krzyża.

– Amen! – Bronisz przeżegnał się i klęczał nadal.

Pośród religijnych pieśni, w obecności biskupów płockich i krakowskich, Krzywousty z dostojną miną



wstał, trzykrotnie uderzył lekko przyszłego miecznika, klęczącego przed nim teraz z pochyloną głową, swoim wielkim mieczem w prawe ramię, powtarzając trzykrotnie słowa: – Odrzuć, co diabelskie, przyjmij, co Chrystusowe. Amen!

Z kolei księżę pochwycił go silnie za ramiona i podniósł z klęczek. Uściskał serdecznie miłego jego sercu młodzieńca, następnie uczynili to dostojnicy jego dworu. Każdego z duchownych Bronisz pokornie ucałował w pierścień, na prawej ręce tkwiący. Następnie władca państwa piastowskiego podał Broniszowi miecz, poświęcony wraz z pozostałymi częściami jego rynsztunku, a wzruszony rycerz powstał, włożył go do pochwy i przytwierdził do pasa swego giermka, stojącego nieopodal, Gniewosza. Z kolei księżę Bolesław podał mu pas, którym Bronisz przepasał się dookoła swych bioder.

Potem rycerz, nadal w niskim ukłonie, odwrócił się z przejęciem do innych rycerzy, stojących nieopodal, a ci podeszli, poklepywali go serdecznie po ramionach, gratulowali pięknej uroczystości, złożenia przysięgi i wejścia do tak szacownego, rycerskiego grona i podawali ostrogi. Radość zapanowała na zamku piastowskim, księżę zarządził rozpoczęcie wystawnej uczyty i wszyscy przeszli do sali jadalnej, suto zastawionej winami oraz jadłem.



## **ROZDZIAŁ IV**

### **„RZĄDY KSIĄŻĘCE”**

Na zajętych przez Krzywoustego na północy ziemiach zaczęto z wolna tworzyć sieć organizacji kościelnej: pojawiły się pierwsze kościoły, a nawet diecezje, jak chociażby ta na Ziemi Lubuskiej, należącej obecnie do księcia Władysława. Ludność przystępowała do tych poczynań chrystianizacyjnych i przyjmowała nową religię nieco opornie i nieufnie, lecz bez wątpienia najtrudniejsze zadanie mieli przed sobą biskupi, działający na północnych obrzeżach Polski.

Równocześnie Krzywousty przygotował nową wyprawę, na którą ponownie pojechali wspierający go Władysław i Bronisz, i po zawarciu sojuszu z duńskim księciem, Magnusem, wyruszył na jego okrętach ze zbrojnymi rycerzami przeciw Rugii. Przerażone Agnieszka z Adelajdą i pozostałymi dworkami znowu na klęczkach błagały Najświętszą Panię o sukces Polaków i zachowanie przy życiu swoich ukochanych. I z łask słynąca Matka Boska im znów pobłogosławiła! Niespodziewanie bowiem dla wszystkich nie doszło tam jednak do krwawych walk, gdyż Ranowie na sam widok drużyny Bolesława, przybywającej na szybkich, siejących postrach, duńskich okrętach, uznali potulnie zwierzchnictwo Polski. Tym razem triumfujący Krzywousty, sam udając się jeszcze, zgodnie z obietnicą, do Danii, aby w zamian za okazaną pomoc wesprzeć

swego sojusznika w walce o tamtejszy tron, okazał wielką łaskawość i pozwolił wiernemu miecznikowi, by wraz z księciem Władysławem pojechał wprost z rugijskiej wyprawy do Wrocławia na dwór księżnej Agnieszki (która właśnie urodziła drugiego syna, Mieszka) z wieścią o kolejnym sukcesie jego rycerstwa. Tam za zgodą swej pani Adelajda przyjęła śluby wierności i miłości dozgonnej od ukochanego. Odtąd stanowili jedną parę i związani byli oboje z wrocławskim dworem.

– Kochasz ty mnie choć trochę, miła moja? – pytał często barczysty Bronisz, przytulając wątle ciało ukochanej do swej ogromnej piersi.

A ona w odpowiedzi tylko oczy spuszczała skromnie i uśmiechała się nieznacznie, cała spłoniona. Przyglądały się tym dwojgu z oddali inne panny dworu księżnej, jedne zazdroszcząc tak wielkiej miłości tak prześlicznej pannie, inne szczerze życząc im wiele szczęścia, wspólnej przyszłości i uczucia równie pięknego za lat dwadzieścia i więcej.

Jedne zatem powtarzały:

– Że też takiej to Pan Bóg dał i urodę, i rozum, i jeszcze kawalera tak zacnego!

Inne dopowiadały tamtym:

– Głupieś–cie są! Śliczna jest, to i serce ma dobre, i na takiego wojaka zasłużyła! Oboje oni kochani i kochający wszystkich! Niechże im tam i Pan Bóg pobłogosławi na długie lata!

Bronisz na wielokrotnie powtarzane, usilne prośby

Adelci ukochanej, przed wyjazdem na nową wojnę podarował jej symbol swego bezwzględnego oddania i miłości – odcisk pieczęci, przytwierdzonej na długim złotym łańcuszku, aby zawsze mogła go mieć przy sobie, zawieszony na szyi. Widniał tam dumny znak jego rodu Miecznikowskich – herb rycerski Lubicz – na tarczy podkowa z krzyżem kawalerskim, a powyżej trzy strusie pióra. Ukochana w zamian dała mu na drogę pierścień rodzinny, otrzymany od swej matki, dworki cesarzowej, Berty Sabaudzkiej, babki księżnej Agnieszki Babenberg, przedstawiający wizerunek patrona zakochanych, Świętego Walentego, z charakterystycznymi dlań atrybutami: kielichem i mieczem oraz z herbem ojca Adelci, dwoma niebieskimi i jednym białym polem z zaznaczonym na nim czerwonym kwiatem róży. Miecznik ucałował w pokorze ten dar i pożegnał się czule z ukochaną. Kilkudniowe zaledwie spotkanie obojga było ostatnim przed kolejnymi wojnami, do których już czynił przygotowania waleczny polski książę Krzywousty.

Oto bowiem w 1131 roku zmarł niespodziewanie węgierski król, Stefan Drugi z dynastii Arpadów, i Bolesław zdecydował się wykorzystać skwapliwie tę nadarzącą się sposobność, wmieszać w wewnętrzne sprawy węgierskiego państwa oraz poprzeć w walce o tron Borysa – syna swego dawnego sojusznika, Kolomana, zwanego „Uczonym”, oraz jednocześnie brata zmarłego króla. Przeciw nim wystąpił bezwzględny książę Bela, okrutnie oślepiony kilkadziesiąt lat wcześniej przez

swego stryja, wspomnianego Kolomana Uczonego, stąd jego przydomek, jaki zyskał już za życia: „Ślepy”. Bela, żądny teraz zemsty za okrutne męczarnie i odebranie mu wzroku, zebrał w kraju olbrzymią armię i dzięki jej zbrojnemu poparciu błyskawicznie zajął tron węgierski. Najazd Bolesława na Węgry dodatkowo rozwścieczył poddanych Beli, którzy błyskawicznie wyparli polskie wojska z kraju, a w odwecie zorganizowali najazd zbrojny na nasze państwo sprzymierzonych sił Węgier, Czech, Austrii i Niemiec. 22 czerwca 1132 roku nad rzeką Sajó rozegrała się decydująca bitwa.

Adelajda miała tej nocy widzenie. Przyśnił jej się przerażający, oślepiiony rycerz na czarnym koniu, który podjechawszy do niej bliżej, zdjął zakrwawioną opaskę z oczu i śmiał się jej w twarz okrutnie, krzycząc, że Bronisz nie żyje i leży martwy na polu bitwy, zalany krwią. Obudziła się przestraszona i cała we łzach i zaraz popędziła do swej pani, która już w komnacie odmawiała na kolanach z innymi dworkami „Zdrowaśki”, prosząc Matkę Boską o pomoc dla walczących Polaków. Inne dworki dołączyły do księżnej, modląc się żarliwie o ocalenie od śmierci ich rycerzy. Jednak tym razem zbyt pewność siebie i wiara w sukces za wszelką cenę zgubiły chępliwego Krzywoustego. Wojska wrogiej koalicji prawie zmiotły jego armię. Ciężko ranni zostali najbliżsi współpracownicy księcia, działający w otoczeniu władcy, a także jego synowie. Rycerze na noszach przywieźli na dwór wrocławski ledwie dyszących Władysława i

Bronisza oraz wielu innych, zacnych rycerzy. Przerazone damy dworu i sama księżna Agnieszka Babenberg wraz z medykami odtąd przez długie tygodnie na zmianę doglądały rannych, opatrując ich i podając leki. Adelajda była tak bardzo przestraszona stanem zdrowia swego ukochanego, iż nie odstępowała prawie na krok jego łoża, ciągle przy nim czuwając. Codziennie też pytała go, czy cierpi bardzo i codziennie tę samą odpowiedź słyszała od potężnego miecznika o gołębim sercu: – Pani moja, lepiej mi i nigdy w życiu moim nie było!

Zawstydzona uśmiechała się wówczas do niego z miłością i pochylała, aby ucałować ukochaną, pełną blizn i ran niezagojonych, twarz. A on spoglądał na nią z lubością i pytał, z trudem wypowiadając słowa: – A miłujesz—że ty mnie choć trochę?

– Miłuję!

– Mam—że ja ci wierzyć, miła moja?

– Masz!

– Jako Bóg w niebiesiech?

– Jako i Bóg!...

Podczas bitwy pod Sajo zdarzyła się rzecz haniebna, o której rozpowiadali z trwogą wszyscy wracający z wojny rycerze: oto — zobaczywszy zbliżające się, przeważające siły nieprzyjaciela — z pola walki zbiegł nagle w popłochu jeden ze sławetnych możnowładców polskich. Wywołało to zjadliwy śmiech w wojsku nieprzyjacielskim. Bolesław Krzywousty po powrocie do kraju zdecydował, iż nie będzie owemu deztererowi sam

wymierzał sprawiedliwości, lecz roztropnie, jak wielkiemu i mądrymu władcy przystało, dał mu szansę na zrozumienie swego czynu i podjęcie stosownej decyzji, po czym przesłał temu tchórzowi trzy dary: kądziel, znak niewiasty oraz typowego dla niej zajęcia, wrzeczono – symbol łgarstwa, a także skórki zajęcze, oznaczające człeka tchórzem podszytego. Rycerz błyskawicznie zrozumiał ten znak od księcia i sam nie mogąc wybaczyć sobie czynu haniebnego, ani też piętna, jakie na nim i jego rodzinie odtąd ciążyło, zrozpaczony powiesił się w końcu w kaplicy płockiej.

Poranieni w węgierskiej wyprawie z wolna dochodzili do siebie. Dworki na czele z sama księżną ofiarnie opiekowały się nimi w przekonaniu, iż na czas jakiś pozostaną w domu, aby wydobrzeć i nabrać sił. Jednakże czekały ich wkrótce nowe, tragiczne zdarzenia.

Najazd Bolesława Krzywoustego na Węgry przyniósł w kolejnych latach odwetowe wyprawy zbrojne na przygraniczny Śląsk, należący właśnie do księcia Władysława. Niestety, wobec olbrzymich sił i przewagi przeciwnika, nie był on w stanie sprostać oczekiwaniom walecznego ojca i jego ziemie wciąż pustoszyli Czesi, popierani dodatkowo przez Niemców. Adelajda od zmysłów odchodziła, kiedy pierwszy raz usłyszały z innymi damami dworu odgłosy walki, toczącej się niedaleko Wrocławia. Powtarzała swojej pani z trwogą, że jeszcze jedne rany nie zabiły się, a już kolejne otrzymają, zadane w wojnie, ich mężowie (albowiem od



ślubów wierności, złożonych jej przez miecznika, traktowała go jak swego poślubionego męża). Często też, samotnie siedząc i wyszywając w swej komnacie, śpiewała wdzięcznym, bolesnym głosem:

Gąski gęgają  
Ptaszki śpiewają,  
Kiej–że też mój miły  
Wróci ku mnie tej zimy? –

– Powiodają.

Kiej–że też mój miły  
Wróci ku mnie tej zimy? –

– Powiodają.

Wichry het wieją,  
Kury sam pieją,  
Kiej–że mi mój luby  
Złoży swoje śluby? –

– Się dziweją.

Kiej–że mi mój luby  
Złoży swoje śluby? –

– Się dziweją.

Razu pewnego, nie umiejąc sobie miejsca żadnego znaleźć, pobiegła wprost do komnaty księżnej Agnieszki.

– Pani najmilejsza, ileż jeszcze?! – płakała Adelajda.

– Ileż jeszcze muszą przeżyć?! Ile przecierpieć?! Ile krwi musi zostać rozlanej, aby pokój zapanował na tej ziemi?! Serce mi krwawi, bo nijak pojąć tego nie umiem!

– Adelciu kochana, rycerzami są, wszak to wiesz, a zatem do takich zadań powołał ich Pan! W ten sposób

mają służyć ojczyźnie, księciu i swym braciom oraz Panu Wszechmogącemu! To ich rycerska rzecz, walczyć, a może i polec!

– Nie, ja z tym pogodzić się nie umiem! Nie chcę, nie potrafię! – dziewczyna rzuciła się na łóżko i zrozpaczona poczęła mocno płakać.

Księżna Agnieszka podeszła do niej i pogładziła delikatnie dwa silnie zwinięte w kłębki, jasne warkocze. Adelajda podniosła się i siedząc wpatrywała z miłością oraz bólem w czarne oczy swej księżnej, kiedy ta tak dalej mówiła:

– Adelciu, i ja się martwię, i ja nocami oczy wypłakuję, i ja niepokoję się dnia każdego, lecz normalny to los i zadanie dla rycerza! Męską rzeczą jest być daleko, walczyć w obronie czci i dobrego imienia swego kraju, Boga, narodu. Modlić nam się jedynie i wierzyć w ich ocalenie przez Najświętszą Panią pozostaje. I czekać. Wiernie, nieustannie, nieprzerwanie czekać...

Przytuliwszy ją do siebie serdecznie, zaczęła płakać również.

Innym razem Adelcia podczas wspólnego przedzenia śpiewała wraz z pozostałymi dworkami piękną i wzruszającą pieśń:

Jak obłoki wysokie,  
Jako stepy szerokie,  
Tak i moje kochanie  
Wielkie przez to rozstanie.  
Mój, Bronisiu, mój jedyny,

Wróć—że do swej dziewczyny,  
Bo—ć i moje kochanie  
Wielkie przez to rozstanie.  
Jak wierzchołki górzyste,  
Jako szczyty skaliste,  
Tak ma miłość, mój luby,  
Przetrwa znoje i trudy!  
Mój, Bronisiu, mój jedyny,  
Wróć—że do swej dziewczyny.  
Nasza miłość, mój luby,  
Przetrwa znoje i trudy!  
Jak bezkresne słone morze,  
Tak i ty, moje nieboże,  
Powróć do mnie z daleka,  
Będę na cię tu czekać!  
Mój, Bronisiu, mój jedyny,  
Wsłuchaj się w śpiew dziewczyny,  
Powróć do mnie z daleka,  
Będę na cię tu czekać!

W roku 1132 przerażone kobiety próbowały uchronić się w swym zamku przed grabiącymi ich śląską dzielnicę wrogami. Władca czeski, Sobiesław Przemyślida, najechał wtedy po raz pierwszy Śląsk, pustosząc go niemiłosiernie i wywożąc wielu jeńców. Książę śląski, Władysław, nie sprostał mu na polu walki. Wielokrotnie ranny, musiał kolejny raz uchodzić z pola bitwy, pozostawiając ponownie swe ziemie na pastwę czeskim niszczycielom. Z pola bitwy znowu pomógł mu odjechać wierny Bronisz,

też poważnie ranny w głowę podczas boju. Sam wygrzebał go spośród ciał rannych i zabitych, po czym wyniósł na ramionach i wsadził na swego konia.

Agnieszka przyglądała się z przestraczem temu, co pozostawili już pierwszego roku wrogowie na tych ziemiach pięknych i żyznych, miodem i mlekiem płynących. Śląsk był doszczętnie splądrowany, wsie i grody spalone, wszędzie słyhać było zawodzenie kobiet, oplakujących swych zabitych bliskich, a ludzie przeklinali nieudolność księcia Władysława. Nowe lata przyniosły kolejne grabieżcze najazdy żądnych rozbojów i łupów Sobiesława. I znowu waleczny Bronisz, przebywający wtedy w Krakowie, został przysłany przez Krzywoustego do pomocy jego najstarszemu synowi, i znowu wobec przewagi przeciwnika nie zdołali oni odeprzeć jego najazdu, skazując ziemię śląskie na nowe zniszczenia, rzezie i plądrowanie najeźdźców. Agnieszka z dworkami oczekiwały z niepokojem powrotu swych mężów z wojny, a wśród mieszkańców Śląska narastała coraz większa niechęć i wrogość wobec rządzącego tą dzielnicą seniora rodu Piastów.

Podczas wspólnych robótek ręcznych, wykonywanych po to jedynie, aby zająć czymś niespokojny umysł i ręce, dworki śpiewały bolesnymi głosami popularne w owych czasach pieśni białogłów:

Jaśniutkie słońko wzeszło dziś późno,  
Na niebie świeci teraz na próżno,  
Nic mi po słońku, nic po promieniach,

Kiedy lubego serce z kamienia.  
Nic mi po słońku, nic po promieniach,  
Kiedy lubego serce z kamienia.  
Ptaszęta tryle śpiewają w górze,  
Powoje słodko pną się po murze.  
Nic mi po kwiatach, nic po ptaszętach,  
Kiedy mój miły mnie nie pamięta.  
Nic mi po kwiatach, nic po ptaszętach,  
Kiedy mój miły mnie nie pamięta.  
Chmury zakryły niebo pogodne  
I napędziły burze przygodne.  
Cóż mi do burzach i gromach z nieba,  
Kiedy–m miłemu już niepotrzebna?  
Cóż mi do burzach i gromach z nieba,  
Kiedy–m miłemu już niepotrzebna?  
Słoneczko znowu wzeszło na niebie,  
A mi tak bardzo tęskno do ciebie!  
Wyschną kałuże, opadną rzeki,  
Luby powróci z krain dalekich.  
Wyschną kałuże, opadną rzeki,  
Luby powróci z krain dalekich.  
Świat cały dzisiaj ciepłem ogrzany,  
Wrócił nareszcie rycerz kochany.  
Po burzy znowu jasność nastąpiła,  
Łzy starte, ale zadra została.  
Po burzy znowu jasność nastąpiła,  
Łzy starte, ale zadra została...  
Równocześnie sąsiedni władcy: czeski Sobiesław

Pierwszy i węgierski Bela Drugi w 1134 roku sprzymierzyli się razem i oficjalnie oskarżyli Krzywoustego o mieszanie się w spory dynastyczne ościennych państw, prosząc pokornie cesarza o pomoc. Lotar rzecz jasna skwapliwie przystał na tę propozycję, aby znowu móc ingerować w nasze polityczne sprawy i osłabić pozycję Krzywoustego, a wojska mściwego Beli Ślepego najechały po raz kolejny Małopolskę, pustosząc wiele jej grodów i dochodząc aż po Wiślicę. Agnieszka była wstrząśnięta tymi wydarzeniami, gdyż mogły one całkowicie zniweczyć jej plany wzmocnienia pozycji męża kosztem jego przyrodnych braci. Knowania czesko-węgierskie przyniosły także kategoryczne roszczenia cesarskie wobec polskiego władcy. Bolesław nie zamierzał jednak przyjeżdżać na spotkanie z wrogiem sobie cesarzem i godzić się na jego arbitraż, więc wysłał do niego początkowo tylko swoich posłów, ale ten, oburzony takim postępowaniem, odesłał ich natychmiast i ponownie zażądał absolutnie bezwzględnie osobistego stawienia się Krzywoustego przed cesarskim majestatem. Polsce groziła nowa interwencja zbrojna wojsk niemieckich i wyniszczająca kraj wojna z samym cesarzem.

15 sierpnia 1135 roku w Merseburgu Bolesław w końcu ustąpił i pojechał na spotkanie ze znenawidzonym cesarzem Lotarem. Dzięki swym niezwykłym umiejętnościom dyplomatycznym i wybitnym zdolnościom dowódczym, ku zaskoczeniu nieprzyjaznych

nam władców Czech i Węgier, Sobiesława i Beli, nie tylko uniknął najazdu wojsk cesarskich na Polskę, ale równocześnie zdołał dokonać rzeczy, zdawałoby się niemożliwej w jego sytuacji – załagodził swój spór z Lotarem Trzecim, obiecując mu wypłacenie trybutu i poddanie wasalne z tych ziem, zaś groźny cesarz dobrodusznie uznał z kolei zwierzchnictwo Bolesława nad podbijanym przez tyle lat Pomorzem! Podczas uroczystości kościelnych w Merseburgu Krzywousty niósł nawet miecz cesarski, co podkreślało jego wyjątkową pozycję wśród wszystkich władców Europy. Tak, bez wątplenia nie było w historii Polski polityka bardziej rezolutnego i umiejętnie potrafiącego każdą porażkę przemianować w swój sukces, niż ten wybitny władca z charakterystycznym znamieniem na swej lewej wardze!

Niestety, na tym zjeździe nie rozstrzygnięto ostatecznie kwestii śląskiej, więc Salomea skwapliwie to wykorzystywała i tym częściej podburzała teraz swego męża przeciwko księciu Władysławowi oraz jego żonie, nazywając go „tchórzliwym łamagą”, zaś ją – „najprzebieglejszą z białogłównych Tygrysyca” i ciągle powtarzała, że to przez nich i ich nieudolność Bolesław zmuszony był ukorzyć się w Merseburgu przed cesarzem.

Tymczasem na dwór śląski dotarła tragiczna wiadomość: 15 listopada 1136 roku podczas polowania sędziwy, sześćdziesięcioletni ojciec Agnieszki, austriacki margrabia Leopold Trzeci, zwany już przez jemu współczesnych „Pobożnym”, wielki dobrodziej Kościoła i

swych poddanych, nieszczęśliwie wpadł we wnyki, zastawione przez miejscowych chłopów i, leżąc długo ciężko ranny w głębokim borze, nawołując bezskutecznie swoich towarzyszy, by przybyli mu z pomocą, przywiódł swym zapachem i wołaniem wygłodniałego, olbrzymiego niedźwiedzia, który, podążając za tropem rannego, napadł na półprzytomnego władcę i zagryzł go okrutnie, nim przybyli inni uczestnicy łowów. Wstrząśnięta księżna Agnieszka Babenberg czym prędzej poczęła czynić przygotowania do wyjazdu na pogrzeb ukochanego ojca.

Nim przybyła na miejsce, w Austrii, okrytej teraz żałobą po śmierci wspnianego, pobożnego władcy, rozpoczęły się już uroczystości pogrzebowe. Ciało nieboszczyka położono najpierw na łożu, zaś później, zgodnie z tradycją – na marach, czyli prostych, nie heblowanych deskach, nogami w stronę drzwi w komnacie dziennej na jego zamku. Z powodu licznych, krwawych ran, ciało całe miał on poobwijane lnianymi płótnami i na nie dopiero włożono szaty monarsze. Jak kazał obyczaj, owinięto mu głowę całunem z odsłoniętą twarzą. Tak spoczywał przez jeden dzień, a bliscy modlili się u jego nóg. Kolejnego dnia przybył kapłan, by odmówić egzekwie, a następnie wielki kondukt żałobny wyruszył do kościoła. Towarzyszyli mu zakapturzeni znajomi zmarłego, dworzanie i najbliżsi doradcy, trzymając w rękach świece. Odziani w czarne, wielkie kaptury mężczyźni zawodzili i głośno płakali, a towarzyszący im i idący w kondukcje nieco dalej inni



uczestnicy pogrzebu, płacząc, wyrwali sobie włosy z głów i darli szaty, jak to czyniono zazwyczaj w wiekach średnich podczas takich bolesnych uroczystości.

W kościele, tuż po przyniesieniu, ciało zmarłego przełożono do przepięknie rzeźbionej, dębowej trumny, którą natychmiast zamknięto, gdyż podczas liturgii, jak nakazywało prawo, nie wolno było Mszy świętej odprawiać przy trumnie otwartej. Czyniono te wszystkie starania przy ciągłych żałobnych zawodzeniach uczestników pogrzebu. Ucichły one dopiero podczas samego nabożeństwa kościelnego. Po nim kondukt żałobny udał się na celebrację pochowania zmarłego, którego ciało spoczęło w krypcie kościoła w Klosterneuburgu, tegoż samego, jaki sam niegdyś ufundował. Załamana tą niespodziewaną śmiercią młoda księżna bardzo ciężko przeżyła cały pogrzeb i drogę powrotną z Austrii do Polski, w której jej, silne zazwyczaj i tryskające zdrowiem ciało, tym razem nie domogło, tak że wieźć ją trzeba było w osobnym, specjalnie do tego celu przygotowanym wozie, gdzie spoczywała na wielkim łożu.

Po tej tragedii, już pod koniec 1136 roku margrabią Austrii został brat Agnieszki, Leopold Czwarty, zwany przez potomnych z racji licznych dotacji kościelnych „Szcodrym”. Stało się to bezpośrednio po śmierci jego ojca, uznanego wiele lat później za świętego Leopolda Trzeciego, z pominięciem dwóch starszych synów zmarłego dobrodzieja Kościoła: Henryka Jasomirgotta i

Adalberta Drugiego Pobożnego, w wyniku czego między tymi młodymi Babenbergami wybuchła wówczas zacięta walka o koronę, która trwała przez wiele kolejnych lat. Ta wojna domowa poważnie absorbowwała polską księżną, która nie opowiadała się jednak zdecydowanie po żadnej ze stron konfliktu dynastycznego, toczzonego wszak między jej rodzonymi braćmi. W roku kolejnym zmarł jeden ze skłóconych spadkobierców tronu, brat Agnieszki, Adalbert Drugi Pobożny, ówczesny margrabia Austrii. Leopold Czwarty mógł wówczas swobodnie przejąć tron po ojcu.

Tymczasem w kraju Piastów powoli wygasaly konflikty przygraniczne. Dopiero 30 maja 1137 roku Bolesław Trzeci podpisał w Kłodzku porozumienie z czeskim najeźdźcą, które nareszcie przyniosło kres niszczycielskim najazdom na dzielnicę Agnieszki i Władysława. Pokój kłodzki miał jednak i swe ujemne strony, ponieważ odebrał Polsce bogate ziemie: opawską, karniowską i kłodzką, za co winą, nie bez knowań żony Salomei, niezadowolony Krzywousty bezpośrednio obarczył nieudolnego jego zdaniem najstarszego syna, Władysława. Bronisz już wtedy przebywał na stałe we Wrocławiu, na dworze księcia śląskiego, gdzie kilka miesięcy później odbył się jego ślub z ukochaną Adelajdą. Pełnił tam funkcję miecznika Władysława, służąc mu, jak niegdyś jego ojcu. Przy Krzywoustym funkcję tę obecnie sprawował, zgodnie z obyczajem rodu, młodszy brat Bronisza, Ninogniew Miecznikowski.

Do wspomnianej ceremonii zaślubin przygotowała się nade wszystko księżna Agnieszka Babenberg, która bardzo mocno popierała ten związek. Sprowadziła w tym celu specjalnego swata z ziemi ojczystej Adelci, Zybrachta z Salzburga, potem odbyły się tradycyjne zdaniny, podczas których Agnieszka, reprezentująca rodziców dworki, symbolicznie przekazała jej rękę panu młodemu, a następnie Mszę świętą odprawił sam biskup wrocławski Robert Pierwszy w kościele pod wezwaniem świętego Michała. Pierścienie małżeńskie, otrzymane wtedy przez dwoje nowo poślubionych, ich obwiązane stałą rękę oraz uroczysty, rytualny pocałunek rycerza przez księdza, a potem – przekazany Adelajdzie przez miecznika, zakończyły tę wyjątkową uroczystość. Weselna uczta i zabawa stały się jednymi z najwspanialszych, jakie w ówczesnym Wrocławiu widzieli jego mieszkańcy. W ten sposób piastowska para książęca chciała wynagrodzić swym wiernym sługom ich oddanie i lojalność. Adelajda miała suknię z białego jedwabiu, ozdobioną koronkami, zaś spodnią – z jasnobieżowego lnu, ozdobioną haftem seledynowym przy dekolcie i ramionach. Miecznik zaś do tego kolorytu swej ozdobnej tuniki, miał jeszcze dołożony płaszcz cienki, lniany, z haftami w tym samym wzorze, co i panna młoda, oraz eleganckie spodnie oliwkowe.

Na uroczystości była też obecna cała rodzina Bolesława Trzeciego Krzywoustego, zaproszona przez jego najstarszego syna w imieniu miecznika. Po

zaślubinach Salomea skorzystała z okazji i na osobności szepnęła jadowitym tonem do szczęśliwej Adelajdy: – Głupia–ś!

– A to czemu, miłościwa pani? – zapytała strwożona dworka Agnieszki.

– Nowego kochanka podsuwasz do łóżka tej podłej, bezwstydnego nierządniczy!

– O... o kim ty mówisz, księżno? – zapytała z przerażeniem panna młoda.

– Ot, spojrzij jeno, jak tańczą z radością oboje! – to powiedziawszy stara władczyni wskazała pomarszczoną dłonią w stronę sali, gdzie tańczyli Agnieszka z Broniszem.

Adelajda popatrzyła na nich z przestraszeniem.

Salomea wybuchnęła śmiechem:

– Naprawdę nie wiedziała–żeś o ich tajemnych miłostkach? Toż tylko po to on ciebie poślubił! Aby bliżej być twej pani! Dniami i nocami! I żeby księżę Władysław niczego się domyślić nie mógł!

Adelajda przerażona tym, co jej powiedziano, poczerwieniała cała, po czym szybko wybiegła do ogrodu i z wielkim bólem w sercu zaszlochała w ciszy. Wprawdzie potem przypomniawszy sobie, jak często słyszała ostrzeżenia swojej pani wobec księcia Władysława, aby miał się na baczności przed podłymi intrygami nienawidzącej ich księżnej Salomei, i teraz zaczęła sobie powtarzać dla uspokojenia, że to tylko kolejna nienawistna plotka złej macochy Władysława, jednak

pewien niepokój już wówczas zrodził się w sercu młodziutkiej, łatwowiernej dziewczyny.

Tymczasem postanowienia pokoju z Kłodzka powtórzone zostały wkrótce podczas uroczystości w Niemczy, kiedy to książę Władysław Śląski niósł do chrztu syna czeskiego księcia Sobiesława, Waclawa. Miało to przypieczętować wzajemne, dobrosąsiedzkie stosunki między obu państwami.

Rok 1137 umocnił w poważny sposób pozycję księżnej Agnieszki jako przyszłej władczyni Polski, gdyż wówczas jej przyrodni brat, Konrad Hohenstauf, został królem Niemiec jako Konrad Trzeci. Krzywousty, będąc dotychczas w ciągłym konflikcie z kolejnymi zaborczymi władcami państwa niemieckiego, odetchnął z nieskrywaną ulgą, gdyż nie bez powodu liczył na silne i efektywne poparcie szwagra swego najstarszego syna w nowych rozgrywkach politycznych w Europie Środkowej. Niestety, nie miał racji, co pokazać miały dobitnie tragiczne wydarzenia, jakie rozegrały się już po jego śmierci.

Tymczasem rodzina księżnej Agnieszki jeszcze kilkakrotnie brała udział w uroczystościach dynastycznych: w 1137 roku była obecna na ślubie przyrodniego brata księcia Władysława, Bolesława, z Wierzchosławą, córką Wsiewołoda Mściśławowicza, nowogrodzkiego księcia oraz na kolejnym ślubie – drugiego brata przyrodniego jej męża, Mieszka, z Elżbietą Węgierską. W każdej z tych uroczystości brali też udział

Adelajda ze swym mężem, Broniszem.

Władysław i Agnieszka przyglądali się tym mariażom ze spokojem, gdyż ich pozycja w państwie zdawała się być już dawno ugruntowana. Książę Władysław był najstarszym, pierworodnym synem starego władcy i już dawno dla niego przeznaczona była znaczna część ziem Polski wraz z koroną i tronem. Młodszy, przyrodni bracia, mogli zadowolić się jedynie obietnicami otrzymania pomniejszych terenów pod zwierzchnictwem seniora. Teraz to na Władysława kierowały się oczy wszystkich. Zwłaszcza, kiedy Krzywousty ogłosił publicznie swoją ostatnią wolę co do sukcesji po jego przyszłej śmierci. Aby zapobiec walkom między swymi synami, wprowadził tak bardzo krytykowaną przez palatyna Skarbimira, zasadę senioratu i to właśnie księcia Władysława, swojego najstarszego, pierworodnego syna, ustanowił, ku rozpaczce obecnej żony Salomei, seniorem spośród wszystkich członków swej dynastii. Agnieszka była niezmiernie dumna z tej nominacji i nieustającego popierania najstarszego syna przez wiekowego już księcia. Zdawała sobie jednak sprawę z zaciekłości i złości, jaką ciągle żywiła wobec niej macocha Władysława. Wiedziała, że jej wypędzenie z kraju jest jedyną możliwością zachowania władzy i zjednoczenia kraju pod rządami jednego panującego monarchy.

Władysław, jako najstarszy syn książęcy, miał w przyszłości przejąć swoją śląską dzielnicę dziedziczną, przekazywaną odtąd swoim potomkom, zaś poza nią –

ziemię senioralną (przypadającą odtąd każdemu seniorowi całego rodu piastowskiego). Każdy jego następca – jako najstarszy Piast – miał sprawować władzę nad młodszymi braćmi i krewnymi. A zatem, w myśl testamentu umierającego władcy, potomkowie każdego z jego synów mieli otrzymywać we władanie jedynie dzielnice dziedziczne, natomiast w Krakowie zasiadać miał zawsze kolejny senior całego piastowskiego rodu, sprawujący władzę nad dzielnicą senioralną oraz nadzorujący poszczególne dzielnice dziedziczne swych krewniaków. Mądry i roztropny, sędziwy już obecnie władca polski przypuszczał, iż w ten sposób zapobiegnie walkom dynastycznym pomiędzy swoimi potomkami. Trudno jednak orzec, czy istotnie wierzył w taką, realną możliwość, skoro sam był świadkiem zaciekłych walk o tron za życia jego ojca, a potem sam takowe toczył z bratem przyrodnim, Zbigniewem. Jakiegokolwiek jednak były powody takiej decyzji co do sukcesji po sobie schorowanego Bolesława Trzeciego, najbliższa już przyszłość pokazać miała wiele mankamentów tych ustaleń, wynikających może nie tyle z braku rozeznania w sytuacji politycznej księcia (bo tego mu absolutnie zarzucić niepodobna!), ile – ze zwykłego, ludzkiego, niepohamowanego dążenia do obalenia prawa i do zagarnięcia całości władzy wedle własnych ambicji i żądz, która przejawiała się u jego potomków.

W 1138 roku zmarła przyrodnia siostra Agnieszki, córka jej matki z pierwszego małżeństwa, Agnieszki von

Waiblingen i Fryderyka Szwabskiego, Berta, oraz jej rodzony brat, syn margrabiego Leopolda Trzeciego Pobożnego, Ernst. Młoda księżna przyjęła te wiadomości z wielkim smutkiem.

Kilka miesięcy później, 28 października 1138 roku, zaledwie pięćdziesięcioletni (lecz – już sędziwy, jak na owe czasy) władca Polski, podczas swego pobytu w Sochaczewie, poczuł się nagle niezwykle osłabiony, niedomagał tak dni zaledwie kilka, leżąc prawie nieprzytomny w wysokiej gorączce, po czym zmarł nieoczekiwanie, w otoczeniu całego dworu, zgromadzonego przy jego łożu. Wtajemniczeni podawali jednak wieść, iż Bolesław Krzywousty odszedł z tego świata z powodu postępującej choroby nowotworowej, trawiącej boleśnie już od czasu jakiegoś jego organizm, straszliwej choroby, która objęła w tym czasie całe jego wnętrze tak, że przez rok prawie cierpiał niezwykle katusze, lecz znosił to dzielnie, ukrywając swe schorzenie i utrzymując je w tajemnicy, i nie uskarżał się wcale, odmawiając nawet zażywania jakichkolwiek leków i przepędzając medyków ze swego dworu.

Po jego śmierci w życie wszedł statut z ostatnią wolą zmarłego i tym samym Władysław Śląski, zgodnie z decyzją swego poprzednika, został obwołany jego następcą. Na pogrzeb, który zgromadził olbrzymie tłumy poddanych, rozpaczających po tak nagłej śmierci wybitnego wodza i monarchy, przybyły delegacje ze wszystkich okolicznych państw, a duchowieństwo, w



podzięce za tak niezłomne, waleczne i wieloletnie próby ekspansji oraz chrystianizacji ziem pomorskich, przygotowało piękną, uroczystą Mszę żałobną, wspominając podczas niej najślawniejsze czyny Krzywoustego i przemilczając dyskretnie te mniej chwalebne, o których też godzinami można by było mówić nieprzerwanie... Zmarły władca, wybitny monarcha, jeden z najślynniejszych Piastów w historii państwa polskiego, spoczął w katedrze płockiej, w mieście, które szczególnie sobie umiłował za życia, tuż obok swego ojca, księcia Władysława Hermana.

Po uroczystościach pogrzebowych dwór seniora Władysława przeniósł się z Wrocławia do stolicy państwa, Krakowa. Adelajda zamieszkała ze swoją panią, a obok na dworze służył jej ukochany mąż, Bronisz, wierny miecznik, teraz znowu panującego w Polsce władcy całego kraju.

Księżna Salomea, otrzymawszy od umierającego męża posiadłości Ziemi Łęczyckiej, wyjechała tam, zabierając ze sobą swego małoletniego syna, księcia Henryka. Nie pałała wtedy rzecz jasna najmniejszą nawet sympatią do Agnieszki Babenberg, która zajęła teraz jej miejsce, zwłaszcza że Salomea była ponownie brzemienną – spodziewała się kolejnego potomka, urodzonego już po śmierci męża – był to pogrobowiec, książę Kazimierz, zwany przez przyszłe pokolenia „Sprawiedliwym”. Jej starsi synowie obiecali matce pomoc i wyjechali do przydzielonych sobie statumem

ojcowskim dzielnic: Bolesław Kędzierzawy – na Mazowsze, zaś Mieszko, zwanym później „Starym” – do zachodniej Wielkopolski.

Konflikt seniora z zazdrosną Salomeą nasilał się, a potęgowało go też mocne poparcie dla Władysława wielkiego i wpływowego palatyna Krzywoustego, Piotra Włostowica, którego teraz nowy władca kraju ustanowił swym najwyższym urzędnikiem i oddał w bezpośrednie władanie swoją bogatą, dziedziczną prowincję śląską.

Tymczasem dworki Agnieszki miały dodatkowe obowiązki, bo oto w 1140 roku księżna powiła swoją pierwszą córkę, której nadano wdzięczne imię Ryksa. Jednak mądra księżna, pomimo połogu, nadal interesowała się sprawami politycznymi i nader szybko dostrzegła zbliżające się niebezpieczeństwo. Margrabiankę babenberską niezmiernie martwiły wzmagające się w poszczególnych dzielnicach kraju bunty polskiego możnowładztwa. W dodatku w 1141 roku na dwór krakowski dotarła bolesna wiadomość – zmarł brat Agnieszki, Leopold Czwarty Szczodry – margrabia Austrii i książę Bawarii. Niestety, sprawy polityczne oraz niedomagania po ciężkim porodzie uniemożliwiły księżnej wyjazd na jego pogrzeb. Śledziła ona też z niepokojem wydarzenia na południu, w sąsiednim państwie Europy, gdzie jej siostra, Gertruda Babenberg, poślubiła siostrzeńca polskiej księżnej-wdowy, Salomei, Władysława Przemyślidę, który długo walczył ze stryjem i kuzynami o tron, a po sromotnej klęsce i ucieczce za

granicę, dopiero przy pomocy szwagra, przyrodniego brata Agnieszki i Gertrudy, wspomnianego niemieckiego króla Konrada Trzeciego, zaatakował ponownie Czechy i w końcu objął tam triumfalnie władzę. Siostra Agnieszki musiała wraz ze swym szwagrem, księciem Dypoldem, bohatersko bronić zamku w Hradczanach, który pod nieobecność jej męża próbował bezskutecznie zająć książę Konrad Drugi Znojemski. Obrona ta mało nie zakończyła się tragicznie dla młodej księżnej Czech.

Spodziewając się podobnych starć w kraju, Agnieszka zaczęła coraz częściej usilnie namawiać męża do podjęcia prób likwidacji podziału dzielnicowego, zjednoczenia całego państwa polskiego pod swoim berłem i wygnania zagrażających mu juniorów wraz z macochą. Mąż z początku bagatelizował namowy żony, która poważnie obawiała się dorastających i rosnących w siłę braci męża oraz ich nienawistnej matki. Wkrótce jednak musiał przyznać rację roztropnej i przewidującej Agnieszce.

Oto bowiem w jego państwie pojawiła się nowa kwestia dynastyczna, a mianowicie – zamążpójście córki Krzywoustego i Salomei, Agnieszki. Księżna–wdowa, łamiąc świadomie odwieczne polskie prawo polityczne, sama zadecydowała o wskazaniu córce przyszłego małżonka i w tym celu, bez powiadamiania władającego krajem seniora, zwołała w roku 1141 do Łęczycy, do jednego z grodów otrzymanych przez nią od umierającego męża, zjazd swoich synów i możnych polskich, aby

ustalić wspólnie szczegóły ślubu własnej córki z synem kijowskiego księcia Wsiewołoda Olegowicza.

Rozzłościło to niewiarygodnie Władysława, który poczuł się dotknięty do żywego (o co zresztą chodziło złośliwej Salomei), kategorycznie sprzeciwił się realizacji postanowień tego zjazdu łęczyckiego, ogłaszając go bezprawnym, oraz zażądał od swego dotychczasowego sojusznika na wschodzie wyjaśnień, więc przestraszony Wsiewołod odwołał wszelkie plany ożenku któregośkolwiek ze swoich synów z polską księżniczką, a w dodatku, aby udobruchać rozwścieczonego księcia, wysunął propozycję zamążpójścia własnej córki za najstarszego syna Władysława i Agnieszki, Bolesława. W 1142 roku Zwinisława Wsiewołodówna została zatem żoną Bolesława, późniejszego księcia śląskiego, zwanego potocznie „Wysokim”. Salomea na razie musiała dać za wygraną, lecz, żadna zemsty, nadal knuła intrygi, zbierała wokół siebie popleczników i przygotowywała się do decydującego starcia przeciw znieawidzonemu pasierbowi.

Na uroczystość zaślubin Bolesława Wysokiego i Zwinisławy zaproszono dostojnych gości i władców największych państw Europy. Zaślubinom tym towarzyszył wspaniały turniej rycerski, jaki zorganizował panujący w Polsce książę Władysław. Przybyli nań rycerze z sąsiednich krajów Europy, byli też słynni bohaterowie wypraw wojennych z Austrii, Francji i Włoch, którzy zamierzali zaprezentować swoje

umiejętności podczas toczonych walk, gdyż coraz częściej na dworach europejskich powtarzano ideę konieczności zorganizowania nowej wyprawy krzyżowców przeciw niewiernym do Ziemi Świętej. Turniej ten traktowano zatem jako swoisty chrzest bojowy przed przygotowywaną od dawna wyprawą najśłynniejszych i najdzielniejszych mężów ówczesnej Europy.

Rozpoczęto od potyczek rycerstwa zachodnioeuropejskiego, jako że gospodarze ustąpili pierwszeństwa swym gościom, wedle obyczaju. Potem czas przyszedł na naszych rycerzy. W szranki stanął wówczas także Bronisz, prosząc o wsparcie duchowe bliskiej jego sercu pięknej dworki, swej obecnej żony, Adelajdy, która podała mu z uśmiechem czerwoną szarfę. Jednakże na turnieju niespodziewanie pojawiła się także dawna miłość przystojnego miecznika, Jadwiga Chorążyczewska, córka przedstawiciela dumnego rodu rycerskiego, Strzegosława Chorążyczewskiego herbu Pierzchała, mającego w znaku rodowym w srebrnym polu czarną wieżę szachową, zaś z klejnocie – pięć strusich piór. Białogłowa ta niespodziewanie rzuciła swemu dawnemu adoratorowi na kopię swoją białą chusteczkę z własnoręcznie wyszywanymi piórami strusimi z rodowego herbu Miecznikowskich i Pierzchałów.

Widząc to, Adelajda spochmurniała i odprowadziła tęsknym wzrokiem jadącego na koniu, zmieszanego nieco zaistniałą sytuacją, rycerza. Pognał on, jak wicher, naprzeciwko drugiego walecznego wojaka i najpierw

uderzył silnie kopią jego zbroję, zaś przy kolejnym zamaszystym podjeździe, zwałił z konia na ziemię. Potem musieli jeszcze obaj zetrzeć się w walce wręcz na miecze. Strudzony miecznik walczył mężnie, kilkakrotnie otrzymał lekkie rany w ramię i nogę, lecz ostatecznie po kilku mocnych ciosach, zadanych swą silną, prawą ręką, przewrócił przeciwnika po raz kolejny na ziemię tak, że tamten już nie wstał i uniesioną z trudem ręką dał znak, iż uznaje się za poddanego i przegranego w tym pojedynku. Wiwaty rozległy się zewsząd. A Bronisz w chwale podszedł do balkonu, gdzie siedziała Adelajda, zdjął hełm, uklęknął i schyliwszy głowę, oddał jej pokłon z szacunkiem, po czym podniósł do ust jej czerwoną szarfę, a – ucałowawszy ją z namaszczeniem – położył sobie na sercu, po czym zatknął za część rękawicy. Rozległy się brawa, wiwaty i okrzyki radości. Adelajda pochyliła głowę zawstydzona, uśmiechnęła skromnie i kiwnęła głową na znak, że zrozumiała jego oddanie dla niej i bezwzględne posłuszeństwo jako damie swego serca.

Przypatrująca się temu z boku Jadwiga Chorążyczewska, zagryzła ze złości swe piękne usta prawie do krwi. Opuściła oczy i z trudem powstrzymywała łzy, płynące jej obficie do oczu i duszące w gardle. Dojrzała swą piękną, specjalnie na ten dzień dla dawnego narzeczonego wyhaftowaną, białą chusteczkę, leżącą teraz na placu boju, pobrudzoną niemiłosiernie końskimi kopytami i błotem. Odwróciła się i ze szlochem wybiegła ze swojego balkonu. Inne panny,

stojące obok, spojrzały za nią znacząco z kąśliwymi uśmieszkami i zaczęły cicho szeptać, widząc równocześnie przytulonych do siebie i oddalających się już w stronę komnat na ucztę weselną Adelajdę i Bronisza. Turniej trwał jeszcze czas jakiś, po czym goście i sławni wojownicy udali się na odpoczynek, a później – na biesiadę.

W tym samym roku senior piastowski, Władysław, przy poparciu militarnym z Rusi, ustąpił wreszcie wobec usilnych nalegań zaniepokojonej żony i w odwecie za zjazd łęczycki zaatakował zbrojnie juniorów, którzy musieli uznać jego przewagę i władzę, jaką nadal miał nad nimi wedle ustanowionego prawa ich ojca; najstarszy Piast wspaniałomyślnie pozwolił im pozostać w swych dzielnicach, czemu zdecydowanie przeciwna była księżna Agnieszka, dążąca ciągle do wygnania z kraju juniorów i ich matki.

– Panie mój, póki oni żyją w kraju, twoje rządy bezustannie są zagrożone, wierz mi!

– Jednak po swej klęsce uznali moją władzę nad nimi! Ukorzyli się przede mną!

– To prawda, lecz pomnij, iż zawsze tak robili, aby stworzyć pozory, to jednak ludzie przebiegli i mściwi! A ich upór podsycy matka, nienawistna Salomea! Wygnaj ich z Polski, zjednocz kraj pod swoim berłem! Bóg ci sprzyja, masz teraz władzę nad nimi! Wygnaj ich!

– Ot, chytra jędza i dziki potwór w ciele tak – zdawać by się mogło – pięknym i tak nadobnym! – cicho szeptał

do ucha kasztelana nadwornego cześnika, Macieja Skotnickiego herbu Bogoria, przysłuchując się z oburzeniem tej rozmowie. – Prawdziwa Tygrysyca! Ta przebiegła kobieta zgubi nas i cały kraj!

– Oby tylko nie okazało się, że to jednak ona jedna jedyna miała rację i była przezorniejsza od nas wszystkich! – odpowiedział mu na to zamyślony kasztelan krakowski, Jaksa Gryfita.

Rok 1143 przyniósł na dwór książęcy nową tragiczną wiadomość – oto zmarła sędziwa, licząca sobie ponad siedemdziesiąt wiosen, matka księżnej Agnieszki, jej imienniczka, Agnieszka von Waiblingen oraz jej córka i siostra polskiej władczyni, Elżbieta, żona hrabiego niemieckiego, Hermanna Drugiego von Winzenburga. Delegacja z samą księżną polską i jej damami dworu udała się ponownie do jej ojczyzny na uroczystości pogrzebowe. Margrabinę austriacką i księżną Szwabii, wielką i hojną władczynię oraz wspomożycielkę Kościoła w Austrii, Agnieszkę von Waiblingen, po odprawionej Mszy i pogrzebie pochowano obok jej męża, Leopolda Trzeciego Pobożnego, w podziemiach kościoła w Klosterneuburgu. Delegacja książęca wracała do Polski z tych uroczystości pogrążona w głębokim smutku, nieświadoma jednak jeszcze tego, co czeka ich w najbliższych latach.

W kraju nadal popierał seniora potężny palatyn, Piotr Włostowic, którego żoną była siostra ruskiego księcia, Wsiewołoda Olegowicza, Maria. I młodsi synowie



Krzywoustego początkowo, zdawać by się mogło, potulnie wypełniali wolę swego ojca, uznając zwierzchnictwo starszego, przyrodniego brata oraz jego wszechwładnego palatyna, który obsadzał także w ich dzielnicach urzędników państwowych, zaś niefortunny zjazd łęczycki tłumaczyli potulnie namowami żądnej władzy matki. W 1144 roku spotkała ich jednak wielka strata: Salomea zmarła, nie zdoławszy doprowadzić do pokonania Władysława za swego życia. Udało jej się jednak, przez wiele lat snucia intryg i knowań, zaszczerpić w sercach synów potęgującą się coraz mocniej niechęć do przyrodniego brata, zaś w możnowładcach, rosnących wówczas w siłę – dążenie do całkowitego usamodzielnienia.

Księżna-wdowa niedomagała już wcześniej od swej podróży z Krakowa do Łęczycy po nieoczekiwanej śmierci męża. Będąc brzemienną, bardzo źle znosiła też ciężę oraz cały poród. Nadworni medycy byli tak zatrwożeni jej stanem zdrowia, że spodziewali się najgorszego już w 1138 roku. Salomea urodziła wtedy swe dwunaste dziecko, kolejnego syna, któremu nadała imię po zmarłym, ukochanym potomku, zwanym „Starszym” – Kazimierz. Jednak rzadko już zajmowała się dbaniem o jego rozwój, pozostawiając to damom dworu, gdyż po porodzie jej brzuch miał dziwnie brunatną barwę, był owrzodzony i puchł niemiłosiernie, dodatkowo przysparzając wdowie niemiłosiernych cierpień. Wyjąc wielokrotnie dniami i nocami z bólu, stawiała tym na nogi

cały dwór. W tych cierpieniach stawała się też coraz bardziej przykra i nieprzyjemna dla otoczenia, wręcz zdziwaczała i pod koniec życia nie pozwalała się służącym myć ani obsługiwać, biła każdego, kogo tylko dopaść umiała, piła wątpliwej jakości napary z ziół, przynoszone jej przez podejrzone znachorki, daremnie wierząc w ich magiczną moc i możliwość ukojenia nieznośnego bólu. Umarła w katuszach, a jej śmierć z nieukrywaną ulgą przyjęli, zmęczeni ciągłymi zmianami nastrojów i ciężką ręką księżnej, służący oraz damy jej dworu.

Po śmierci macochy Władysław zażądał oprawy wdowiej, która w myśl testamentu Krzywoustego należała teraz do niego jako seniora, lecz nieoczekiwanie sprzeciwili się temu nieposłuszni mu nadal juniorzy. Oburzony Władysław ponownie zwrócił się o pomoc do sojusznika na wschodzie i sam nieopatrznie, nie czekając przezornie na jego wojska, wyruszył ze swą zbrojną drużyną przeciw zbuntowanym braciom. Niestety, zbyt pewność siebie zgubiła tym razem nieudolnego i bojaźliwego władcę. Wojewoda mazowiecki, Wszebor, wystąpił przeciw niemu w imieniu młodszych Piastowiczów i w 1145 roku niespodziewanie pokonał jego armię w zacieklej bitwie nad rozległymi bagnami Pilicy. Wieść z tą informacją zwała z nóg zatrwożoną Agnieszkę. Na szczęście w porę na pole bitewne dotarła odsiecz maszerujących od wschodu Rusinów i ostatecznie całą wojnę wygrano. Jednak pierwszy etap i zwycięstwo

zdradzieckiego Wszebora osłabiły pozycję seniora, a dodatkowo w tej walce Piotr Włostowic zachował po raz kolejny neutralność, co wywołało ostre protesty panującego księcia, domagającego się po walce jego bezwzględного poparcia dla prawowitego następcy. Włostowic zdecydował się na powolne przekonywanie panującego władcy do zaniechania działań zjednoczeniowych przeciwko przyrodnim braciom, wbrew dążeniom zapobiegliwej i rozsądnej Agnieszki Babenberg.

Na razie jednak obaj politycy byli jeszcze serdecznie ze sobą zżyci i żaden z nich nie przewidywał rychłego zakończenia tej sielanki. Pewnego razu, podczas wieczornego odpoczynku przy ognisku w puszczy, zorganizowanego po jednym z ich wspólnych polowań, Piotr poczuł wielkie zmęczenie i rzekł do seniora:

– Panie, pozwól mi się oddać na spoczynek, gdyż strudzo–n jestem wielce!

Władysław, widząc w blasku ognia jego zmordowaną twarz, zażartował głośno:

– Idźże, Piotrze, a jakże, odpocznij! Pewnie w tym czasie i żona twoja zmożona wielce, gdyż zabawia się od dni kilku z twym opatem ze Strzelna! – Na te rubaszne słowa księcia Władysława, zgromadzeni przy ognisku rycerze wybuchnęli gromkim śmiechem.

Piotr Włostowic z trudem odebrał spokojnie ten niefortunny żart, a jego twarz nabrzmiała ze złości, odwrócił się błyskawicznie i natychmiast odpalił księciu

podobnym:

– Masz i rację, wasza wysokość, że moja żoneczka droga zabawia się pewnie teraz z opatem, podobnie, jak i twoja małżonka, Agnieszka, noc tę spędza, jak to zwykła zawsze czynić pod twoją nieobecność, panie, z twym zaufanym rycerzem, pochodzącym, jak i ona, z ziem niemieckich, Dobieszem! Bo wszem i wobec wiadomą jest rzeczą dla wszystkich, że od ślubu z nią najśłynniejszym jesteś tego państwa rogaczem!

Po tych ostrych słowach palatyna ksiązę Władysław błyskawicznie zamilkł i spochmurniał, zamilkli także i pozostali, struchlali rycerze i złowroga cisza nastąpiła po tych ostrych słowach dumnego urzędnika, jedynie skry i palące się drewna słychać było przy rozgrzanym ognisku. Włostowic odszedł do namiotu kontent wielce, że tak rezolutnie odpalił seniorowi, lecz nie spodziewał się jeszcze wówczas, jak niezwykle daleko idące konsekwencje może przynieść ten jego jadowity, nieprzemyślany żart.

Księcia bardzo ubodło to, co usłyszał od swego sługi, ale jeszcze bardziej zabolęła go sama cisza, jaka nastąpiła zaraz po tym, miast zwykłego śmiechu ze strony słyszających to, rozbawionych rycerzy, co odebrał on jako pewny dowód prawdziwości słów Włosta i ciągłych zdrad jego pięknej żony, zatem do końca polowania chodził już struty, wciąż rozpamiętując haniebne pomówienie, jakie usłyszał o swojej ukochanej małżonce, Agnieszce, i o Dobieszu, rycerzu z Niemiec, późniejszym założycielu

wsi zagłębiowskiej koło Bobrownik na południu Polski, nazwanej od jego imienia Dobieszowicami, który istotnie – co teraz Władysław uświadomił sobie ze zdumieniem – nazbyt często, miast walczyć u boku swego księcia, pozostawał na dworze pod nieobecność władcy! W pamięci utkwiło seniorowi szczególnie słowo wypowiedziane przez Włosta jako ostatnie. Pozostało w świadomości nieprzyjemne i hańbiące przeświadczenie o znanych wszystkim w kraju (tylko nie samemu księciu), licznych zdradach jego niewiernej żony.

Ostro zareagował wybuchowy władca już tamtej nocy, do końca łowów pozostał pochmurny i małomówny, zaś po powrocie do Krakowa nie przywitał się czule z żoną, jak to zawsze dotąd miał w zwyczaju, i dopiero po jej usilnych błaganiach, aby wyjawiał przyczynę swojego złego i nietypowego nastroju, opowiedział o podłym żarcie palatyna i rozmówił się wyniośle z oskarżoną Agnieszka, pytając, skąd takie podejrzenie i takie słowa mogły powstać w umyśle dostojnika i czemuż to struchlali rycerze milczeli wtedy, jak zakłęci. Agnieszka, znieważona tymi pytaniami i wielce rozgniewana, wręcz dech straciła i opadła zemdlna na łoże, aż dworki musiały szybko ją cucić solami trzeźwiącymi. Potem całymi tygodniami błagała męża, aby nie ufał czczym plotkom zawistnego włodarza i zawierzył tylko jej zapewnieniom wierności jemu, prawowitemu mężowi, na co w końcu senior Piastów niechętnie przystał, jednakże sama księżna, ubodzona do żywego, w sercu poprzysięgła

okrutną zemstę na niegodziwym palatynie, który próbował ją pohańbić tak podłym oszczerstwem.

Pobył tego bezczelnego urzędnika na dworze jej brata, Konrada Trzeciego, stał się dla niej nowym pretekstem do pomówień o knowania w Niemczech przeciw Władysławowi Drugiemu. Mąż z początku nie dał wiary tym podszeptom żony, ale kiedy palatyn bez wiedzy księcia istotnie wyjechał tam i przywiózł z Magdeburga relikwię świętego Wincentego, książę zaczął spoglądać coraz bardziej nieufnie na jego dalsze poczynania.

– Panie mój, to zły człek, który zguby twojej szuka i na ciebie oraz państwo twoje sprowadzić pragnie nieszczęście! – słowa żony drażyły umysł wybuchowego władcy.

W 1145 roku sytuacja w kraju znów się zaogniła i Władysław zaczął przygotowania do ostatecznej rozprawy z rosnącymi w siłę, zbuntowanymi braćmi, będąc pewnym całkowitego poparcia dla siebie przez polskie możnowładztwo. Jednakże Piotr Włostowic ostatecznie zażądał w imieniu zaniepokojonych możnych, aby książę poniechał tych działań. Zaskoczony i rozgniewany Władysław uznał to postępowanie palatyna za jawną zdradę. Agnieszka, korzystając skwapliwie ze sposobności, aby się zemścić za zniewagi oraz oskarżenie jej o cudzołóstwo, poparła gorąco to nastawienie i domagała się natychmiastowego ukarania niegodziwego Włostowica, powtarzając przestrogi o niechybnym sprowadzeniu przez niego zagłady na cały kraj.

Tymczasem Piotr, niczego nie świadom, próbował ułagodzić stosunki z urażonym seniorem i dlatego wysłał doń zaproszenie na ślub jego syna, Świętosława–Idziego, oraz jego córki, Agafii–Beatrycze.

Władysław Drugi zdecydował wówczas, za namową żony, na wykorzystanie tego momentu i wysłał przeciw palatynowi zaufanego rycerza Agnieszki, wspomnianego już Dobiesza, który na jego dworze w Ołbinie podstępnie napadł na Włostowica i uwięził go, przywożąc pojmanego do zamku w Oławie, gdzie czekała już księżęca para. Agnieszka namawiała Władysława, aby ostatecznie i radykalnie pozbył się nienawidzonego palatyna raz na zawsze, bo – póki żyje, będzie knuł przeciwko niemu i sprowadzi na seniora nieszczęście, jednak ten nie był w stanie tego uczynić, przystał zatem jedynie na okrutne jego okaleczenie: nakazał wyłupić mu oczy i – jako kłamliwego oszczercy księżnej polskiej – wyrwać język. Straszliwie okaleczony, miał stanowić przestrożę dla podobnych zdrajców w kraju. Dla obmówionej i znieważonej podłym oskarżeniem księżnej była to jednak kara niewspółmierna do czynu, jakiego się dopuścił wobec niej i wobec prawowitego władcy, dlatego ciągle powtarzała:

– Mężu, panie mój, póki żyje ten niegodziwiec, twoje rządy i tron są zagrożone! Nie wypuszczaj go żywego! Nie oszczędzaj go! Nie czyn tego! Błagam cię! Sprzymierzy się z innymi i wystąpi przeciwko tobie! Wspomnisz słowa moje!

Wbrew ostrzeżeniom żony, łatwowierny książę Władysław zezwolił jednak na oszczędzenie Piotra i wygnanie okaleczonego do Wielkopolski, co okazało się jego kolejnym poważnym błędem politycznym, tak brzemienym w skutki... Tam bowiem, wstrząśnięci zbrodnią piastowskiego seniora możni, natychmiast zwołali nadzwyczajne posiedzenie, domagając się ukrócenia samowładnych rządów panującego księcia, który jawnie dąży do obalenia ostatniej woli swego zmarłego ojca. Oczywiście juniorzy błyskawicznie poparli ten bunt. W dodatku Piotr Włostowic, po podburzeniu juniorów i możnowładztwa polskiego, pojechał także na Ruś i na tamtejszym dworze książąt kijowskich nakłonił ich ostatecznie do zerwania sojuszu z Władysławem. Senior piastowski nagle stał się osamotniony w obliczu nowej wojny domowej.

Nie zważając na to, lekkomyślny Władysław wyruszył ze swymi rycerzami przeciwko juniorom, zajmując z początku całą Wielkopolskę, a na wschód wysłał do pomocy w walce o tron Wsiewołodowi swego starszego syna, Bolesława Wysokiego. Oczywiście i w tej wyprawie po jego stronie stał wierny Bronisz. Możni, popierani przez elity kościelne w kraju, zażądali od Władysława w 1146 roku bezwzględnego przestrzegania postanowień statutu Krzywoustego, a – wobec kategorycznej odmowy – arcybiskup Jakub ze Żnina obłożył księcia ekskomuniką. Tymczasem jego dwaj najstarsi przyrodni bracia, Bolesław Kędzierzawy i



Mieszko, zwany później „Starym”, zamknęli się w twierdzy obronnej w Poznaniu, a pod gród ściągnęło sporo przychylnych im oddziałów z innych polskich dzielnic, które otoczyły oblegające Poznań wojska Władysława Drugiego. Senior z trudem zdołał ująć całość z tej zasadzki i przedrzeć się do Czech, tracąc po drodze wielu swoich rycerzy z książęcej drużyny.

Pozostałą w Polsce Agnieszkę i jej rodzinę oraz cały książęcy dwór otoczono tymczasem w Krakowie, gdzie musiała mężnie stawiać daremny opór przez kilka dni. Bronisz był w rozterce, gdyż w kraju, ogarniętym teraz krwawą wojną domową, pozostała jego ukochana Adelajda, jednakże przedarcie się do niej i pozostawienie uchodzącego z Polski księcia było czynem ryzykownym. Pomimo tego zdecydował się stawić czoła wrogom i poprosił Władysława o zgodę na powrót na ziemie polskie. Po otrzymaniu takowej, z niewielkim oddziałem dotarł do Krakowa, gdzie trwało wyczerpujące oblężenie grodu. Przedarł się do księżnej tylko dzięki znajomemu rzemieślnikowi, który przeprowadził go przez tajemne przejścia pod murami obronnymi miasta.

Adelajda przywitała ukochanego z ulgą niezmierną, a księżna wypytywała go osobiście o losy męża i zdawała się być przy tym wielce wzburzona. Oboje odeszli nieco dalej, siedli koło stołu i rozmawiali półszepem. Po kilku chwilach wstali, machnęli rękami znacząco w kierunku zdumionej Adelci, że o sprawach poufnych rozmawiać będą, i odeszli do komnaty, zamykając za sobą drzwi,

jakby w wielkiej tajemnicy. Dobiesz, przyglądający się zapłakanej z emocji i radości dworcy, podszedł do niej bliżej.

– Czego chcesz? – zapytała ostrym tonem, kiedy próbował delikatnie objąć ją w pól.

– Cóżeś ty taka wroga wobec mnie? Albow to ja brzydki czy szczerbaty?

– Daj mi pokój! Nie wieszże, jam poślubiona Broniszowi, miecznikowi księcia!

– E, tam! – machnął ręką.

– Co chcesz przez to powiedzieć? Prawo Boskie masz za nic?! – zapytała, marszcząc gęste brwi.

– Wybacz mi, piękna pani, bo nie mam zamiaru ranić twej duszy, ale wszystkim na dworze wiadomym jest przecież, że to nie dla ciebie miecznik Bronisz tu przebywa i teraz oderwał się nawet od drużyny swego pana, Władysława, przedarł przez wrogie wojska i jest tu, by bronić was w Krakowie!

– Co?! Co takiego?! – Adelajda podeszła bliżej, lecz nagle przypomniała sobie słowa Salomei, wypowiedziane dawno temu, tuż po zaślubieniu Bronisza. Zagryzła wargi i spuściła oczy.

– Księżna Agnieszka nie jest mu obojętną i nigdy nie była, jeśli rozumiesz, co mam na myśli... – mrugnął porozumiewawczo i spojrzał na nią znacząco z uśmiechem. Piękna twarz przystojnego niemieckiego rycerza wyraźnie rozpogodziła się. – Nie jest ciebie wart! Tyle ci powiem, piękna pani! – To mówiąc skłonił się

nisko, udając szacunek i poważanie.

Przez twarz dziewczyny przebiegł grymas niepokoju, lecz znowu zmarszczyła gniewnie brwi i odrzekła dumnie:

– O ile dobrze wiem, mości rycerzu, to ty byłeś oskarżony o zdradzanie księcia z naszą księżną przez kłamliwego oszczercę, palatyna Włostowica! Czemu próbujesz zwalić winę na mojego Bronisza?! Czemu sobie gębę nim ocierasz?!

– Och, piękna i naiwna pani! – wzniósł oczy do góry rycerz, pobłażliwie uśmiechając się do Adelajdy. – Aż dziw, że w tym kraju, pełnym intryg i zdrady, uchowało się serce tak czyste i pełne miłości prawdziwej! – dorzucił z kpiną. – Ja wcale temu nie przeczę! – tu zmrużył zawistnie swe oczy i półszepem dodał, nachylając się do jej ucha: – Na zmianę z twoim mężem księżnej w łóżu służyliśmy i nadal służymy! Możemy i tobie tak samo! Starczy jedno twe słowo... – zaśmiał się straszliwie.

Adelajda, nie umiejąc powstrzymać nagłego przyływu złości, uderzyła go mocno w twarz, aż poczerwieniała i piękny, zaskoczony tym rycerz, napuchnął z miejsca od mocnego razu, zadanego nagle i niespodziewanie przez wątłe, zdawać by się mogło, rączki nadobnej niewiasty.

– Wara ci od niego i ode mnie! Nigdy w to nie uwierzę! Serce ma czyste i dobre! Mnie jedynej miłość przysięgał, jako i ja jemu jedynej! I tak będzie między nami! Na wieki wieków! A tobie wara! I pani mojej opinii nie szargaj, bo ci księżną jest i tylko jej głowa nas tu

chroni przez wrogami i niechybną śmiercią! – wybiegła ze szlochem z komnaty.

Rycerz pocierając opuchnięty policzek sam do siebie odrzekł z uśmiechem:

– To się jeszcze obaczy! To się jeszcze obaczy!

A zatrwożona dworka tej nocy przepłakała wiele godzin, słuchając z oddali odgłosów toczącej się walki obronnej na murach Krakowa, w której brał udział jej ukochany mąż, i wspominając słowa zazdrosnego Dobiesza.

Tymczasem obrona zamku krakowskiego powoli chyliła się ku upadkowi. Wobec przeważającej siły wroga, księżna pani, nie doczekawszy się znikąd posiłków, ostatecznie poddała gród, zaś przybyli tu spod Poznania juniorzy piastowscy wspaniałomyślnie darowali życie oblężonym i pozwolili dumnej Agnieszce Babenberg oraz jej rodzinie i otoczeniu wyjechać, ocaliwszy życie, pod warunkiem natychmiastowego opuszczenia Polski. Księżna przystała na to, ponieważ pragnęła jak najszybciej połączyć swe siły z mężem, wygnanym z Polski, aby wrócić potem wspólnie z nim do kraju i na powrót objąć należny im tron państwa piastowskiego. Rychła realizacja tego planu była dla niej jeszcze wtedy najpewniejszą rzeczą na świecie.

## ROZDZIAŁ V „TUŁACZKA”

Po wielodniowym marszu ze stolicy krakowskiej, księżna przedarła się w końcu z rodziną i dworem na południe, do męża. Przyjął ich w czeskiej stolicy, Pradze, szwagier Agnieszki Babenberg, Władysław Drugi Przemyślida. Przy powitaniu siostry padły sobie w ramiona. Długoletnia rozłąka jeszcze bardziej przyczyniła się do ogromnej tęsknoty oraz wspomnienia wielkiej, siostrzanej zażyłości i silnych więzi, jakie zawsze panowały między nimi. Teraz miały okazję, aby to nadrobić. Toteż w ciągu najbliższych dni, podczas wspólnych wieczornych spotkań, czeska władczyni, Gertruda, ze szczegółami opowiadała polskiej księżnej o przebiegu swoich bohaterskich walk pod Hradczanami i obronie zamku przez nią samą, o wieloletnich staraniach swego męża o tron czeski, wreszcie – o jego krwawej wojnie z rywalami. Agnieszka pamiętała doskonale tamte czasy, bo i u nich wtedy właśnie zaczęły się pierwsze poważniejsze niesnaski pomiędzy Piastami – synami Bolesława Krzywoustego, co w konsekwencji doprowadziło do buntu juniorów, obalenia testamentu zmarłego władcy, zniesienia zasady senioratu, a także – do zbrojnego starcia przeciwko jej mężowi książąt piastowskich oraz popierającego ich możnowładztwa. Ciągle jednak miała jeszcze głęboką nadzieję na rychły powrót do kraju i objęcie należnego im tronu w Krakowie.

Nie mogąc pomóc w powrocie do Polski oraz nie widząc osobistych korzyści w przebywaniu na praskim dworze Władysława Drugiego, zwanego teraz coraz częściej „Wygnańcem”, jego czeski imiennik odesłał go wkrótce do brata Agnieszki i swej żony, Konrada Trzeciego, do Niemiec. Z początku wysłano tam jedynie Bronisza, aby przygotował dyplomatycznie przyjazd jego pana. Rozłąka z ukochanym teraz, kiedy po niespodziewanym wygnaniu przebywali wszyscy na obczyźnie, była dla Adelajdy ciężarem nie do zniesienia. Wykorzystywał to podły Dobiesz oraz jego kompan, rycerz wrocławski Przybysław, któremu niegdyś piękna dworka też zawróciła w głowie i który – odkąd tylko ją zobaczył pierwszy raz na zamku śląskim – pokochał miłością złą i zaborczą, a wiedząc o odwzajemnionym silnym uczuciu, jakim darzyła ona miecznika piastowskiego Bronisza, na każdym kroku starał się umniejszać jego zasługi i uprzykrzać księciu Władysławowi jego osobę.

Teraz była sposobna chwila, aby upiec dwie pieczenie na jednym ogniu, dlatego też obaj ci rycerze co prędzej zaczęli zaraz po wyjeździe ukochanego Adelajdy rozpowiadać, że tchórzliwie uciekł on z Pragi, nie do Niemiec, lecz do Polski, aby połączyć się z juniorami w kraju, gdyż dawno już knował na ich rzecz, zdradzając swego pana, księcia Władysława. Do tego dodawali jeszcze, iż Bronisz dłużej już wytrzymać tutaj nie mógł z bolesnej tęsknoty, gdyż pozostawił tam swoją ukochaną

narzeczoną, z którą istotnie przed przybyciem Adelajdy był zaręczony, córkę krakowskiego kasztelana, Strzegosława Chorążyczewskiego, Jadwigę, tę–ż samą, która niegdyś podczas pojedynku rycerskiego rzuciła mu swoją białą, haftowaną chusteczkę na kopię. Adelajda, zrozpaczona tymi wieściami, płakała całymi nocami, modląc się do Matki Boskiej, aby przywróciła jej Bronisia ukochanego, a – dając w końcu wiarę tym podłym pogłoskom – aby go ocaliła i przywróciła choć żywego oraz całego, nawet – dla innej niewiasty. Znalazłszy w wielkiej skrzyni z ubraniami na samym jej dnie pamiętną haftowaną chusteczkę z inicjałami Jadwigi i strusimi piórami, które w herbach miał zarazem i Bronisz i ród Jadwigi, zaczęła podejrzewać, iż Bronisz istotnie to tamtej białogłowie oddał na zawsze swe serce i teraz powrócił do niej potajemnie, aby zamieszkać na powrót w Polsce i służyć nowym panom. Nie wiedziała, iż to podstępny Dobiesz chusteczkę taką celowo podłożył, aby w te brednie i banialuki uwierzyła. Niepokój ogarnął młode serce pięknej dworki. A Przybysław tylko na to czekał. Pijany i rozochocony, próbował jednej nocy siłą wdrzeć się do zamkniętej komnaty Adelajdy, aby ją okrutnie pohańbić, ale takiego rabanu przy tym narobił, próbując drzwi jej sypialni otworzyć, iż strażę zamkowe przybyły natychmiast i niedoszły kochanek trafił do lochu na dni kilka.

Bronisz wrócił nareszcie, zmęczony i zły stanowiskiem króla niemieckiego, przekazał księciu pilne

nowiny z Niemiec oraz polecenie, aby cały dwór Wygnańców wyruszył czym prędzej na północ, do niego. Adelajda witała go szczęśliwa, czule całując i starając się dogodzić mu we wszystkim, lecz on tym razem zdawał się być jakiś obcy, nieswój, daleki i odległy, nie ten sam, co dawniej. Młoda żona, załamana taką odmianą męża, wytłumaczyła to sobie prawdziwością okrutnych pogłosek dwóch zazdrosnych rycerzy – o czekającej na niego w Polsce narzeczonej Jadwidze, o ich potajemnych spotkaniach i ciągle jeszcze trwającej miłości, która nigdy nie wygasła. Nie wiedziała, iż w Niemczech król Konrad zaproponował mu udział w przygotowywanej właśnie wojennej wyprawie do Ziemi Świętej i miecznik rozważał, targany złymi przeczuciami, czy wyjechać tam i pozostawić ukochaną żonę na łasce pary książęcej, której los na wygnaniu był obecnie dalece niepewny, czy też odmówić i zostać przez Konrada wydrwionym, niesławą okrywając cały swój ród.

Tymczasem, jak długi i szeroki, tak i bez wyjątku cały kraj piastowski solidarnie wystąpił przeciwko Władysławowi, a zewsząd słyszano głosy, piętnujące jego wiernopoddańczy hołd, który miał być właśnie złożony Konradowi, oraz postępowanie Agnieszki, ją obarczając główną winą za skłócenie braci, wojnę domową i wygnanie jej, rodziny i męża oraz intrygi na dworze niemieckim jej brata. Do łask wrócił okrutnie okaleczony, zdradziecki palatyn, Piotr Włostowic. Rządy przejął na razie najstarszy syn Krzywoustego i Salomei, imiennik



swego ojca, człowiek butny i zadufany w sobie, pełen pychy, kłamu oraz obłudy, noszący już czas jakiś od wiecznie zmierzwionej jasnej czupryny, pozostającej w nieprzyzwoitym dla takiego księcia nieładzie, przydomek „Kędzierzawy”.

Małżonką owego Bolesława Czwartego była dobroduszną i nad wyraz opanowaną Wierzchosławą, jedyną córką księcia nowogrodzkiego Wsiewołoda Mściśławowicza, nazywana w Polsce Anastazją. W roku zawarcia tego małżeństwa jej brat, Włodzimierz, poślubił siostrę jej męża, piastowską księżniczkę Ryksę, o co usilnie na pamiętnym zjeździe łęczyckim zabiegała jeszcze za swego życia druga żona Bolesława Krzywoustego, przebiegła Salomea. Księżna nowogrodzka Wierzchosława miała wyjątkowo spokojne w swym wyrazie, wielkie oczy koloru granatowego, pięknie wykrojone, szerokie usta i okrągłą twarz, sprawiała wrażenie kobiety cieplej, dobrej i spokojnej i taki istotnie był jej charakter. Urodziła Kędzierzawemu dwóch synów: imiennika Bolesława i Leszka oraz córkę, zmarłą już w dzieciństwie. Po niespodziewanej śmierci Wierzchosławy w 1162 roku, Bolesław pojął za żonę Marię.

Jego młodszy brat, Mieszko Trzeci Stary, był wysokim, postawnym mężczyzną. Z początku nosił jedynie wielkie jasne wąsiska, a z czasem całą jego twarz zarosła gęstą, jasną brodą, układając się w starannie zebrane loki i skręty, jakby celowo tak ułożone przez

golibrodę jakowegoś. Jasne spojrzenie oczu błękitnych i przejrzystych, zdawałoby się: przezroczystych całkiem, oraz wysokie czoło nadawały jego twarzy wyraz dobroci i życzliwości. Silne ramiona i muskularne ciało nieco temu odczuciu przeczyły, bo ksiązę sprawiał całą swoją postawą wrażenie nader silnego i bojowo nastawionego władcy.

Żoną Mieszka Starego została węgierska królowna, Elżbieta ze sławnego rodu Arpadów, która urodziła mu pięcioro dzieci, a byli to: Odon, Stefan, Wierzchosława Ludmiła, Judyta i imienniczka matki, Elżbieta. Najambitniejszym z nich był Odon Mieszkowic, który ostatecznie przejął w następnych latach po ojcu dziedziczne księstwo wielkopolskie. Wierzchosława Mieszkowicowa, która odziedziczyła po swej matce prosty nos, wąskie usta i wysokie czoło z zagarniętymi do tyłu płowymi włosami, została później księżną Lotaryngii, żoną Fryderyka Pierwszego, natomiast Elżbieta była księżną czeską, a następnie margrabiną Dolnych Łużyc.

Drugą żoną sędziwego księcia piastowskiego, Mieszka Trzeciego, została po śmierci Elżbiety ruska księżniczka Eudoksja Izjasławówna – wysoka, z silną budową ramion, jak u mężczyzny, i szeroko rozstawionymi na okrągłej twarzy, błękitnymi oczami. Mieli razem pięcioro dzieci: Bolesława Mieszkowica – późniejszego księcia Kujaw i namiestnika Krakowa, imiennika ojca, Mieszka Młodszeo – okrutnego i niegodziwego władcę Kalisza, Mazowsza i Kujaw,

wygnanego w końcu przez swych zbuntowanych poddanych, następnie Władysława, księcia wielkopolskiego i krakowskiego, zwanego potocznie „Laskonogim” od niesłychanie długich i cienkich nóg, które budziły często śmiech na dworze książęcym i wielokrotnie były przedmiotem drwin, co bynajmniej nie dodawało mu powagi, oraz dwie córki: Salomeę i Anastazję – późniejszą księżną zachodniopomorską. Teraz zatem to ci juniorzy, wbrew testamentowi Krzywoustego, sprawowali władzę w polskim państwie, a o prawa do sukcesji już dopominali się ich kolejni potomkowie.

Na razie wyczekujący niecierpliwie powrotu do piastowskiego kraju Wygnańcy przenieśli się na zaproszenie brata Agnieszki do jego niemieckiego zamku, do króla Konrada. Ten przyjął szwagra i siostrę dość chłodno, wyłuszczając im, że sprawa odzyskania tronu polskiego wobec rewolty całego państwa przeciw seniorowi nie będzie łatwą. Zażądał ponadto podkreślenia uległości Piasta wobec Niemiec, więc Wygnaniec chcąc nie chcąc złożył mu wspomniany już i tak wrogo przyjęty w kraju hołd oraz uznał się jego poddanym. Takie postępowanie przyjęto w Polsce jako jeszcze jeden dowód uległości i nieudolności najstarszego syna Krzywoustego. Jednak dla przybitego Władysława Drugiego zabiegi takie były jedyną możliwością pozyskania poparcia wielkiego szwagra w staraniach o odzyskanie należnej korony i powrót na tron krakowski. A wpływy tegoż króla na kontynencie istotnie były wówczas nader znaczne!

Pierwszą małżonką Konrada Trzeciego z dynastii Hohenstaufów była wywodząca się z francuskiej dynastii bretańskiej de Combourg, Gertruda von Kumburg, która urodziła niemieckiemu królowi trzy córki: Agnieszkę, poślubioną ruskiemu Izjasławowi Drugiemu, Bertę i Gertrudę. Po 15 latach wspólnego rządzenia królowa Gertruda zmarła nagle w 1130 roku i rok później Konrad pojął za żonę jej imienniczkę, córkę hrabiego Sulzbach, Berengara Drugiego, dzięki czemu zacieśniły się więzi między obu rodami. Dodatkowo Gertruda von Sulzbach była siostrą poślubionej w 1148 roku wybitnemu cesarzowi bizantyjskiemu, Manuelowi Pierwszemu Komnenowi, Berty, co dodatkowo wzmocniło pozycję króla Niemiec w Europie i skutkowało jego późniejszym udziałem w krucjacie do Ziemi Świętej. Gertruda von Sulzbach urodziła Konradowi dwóch synów. Jednym z nich był Henryk Szósty, zwany potocznie od imienia ojca matki i swego dziada „Berengarem”, który po koronacji w Akwizgranie rządził Niemcami jako król do roku 1150, kiedy to niespodziewanie zmarł, dwa lata przed swoim schorowanym ojcem. Młodszy syn Gertrudy i Konrada Drugiego, Fryderyk Szwabski, nie mógł wtedy objąć tronu z racji swej niepełnoletności, zatem przypadł on wówczas w udziale jego starszemu kuzynowi, noszącemu charakterystyczną, rudą brodę, Fryderykowi Hohenstaufowi.

Tymczasem już w 1146 roku, zaledwie kilka miesięcy po wygnaniu Władysława i jego rodziny z Polski, władca

niemiecki, ku wielkiej radości jego siostry, Agnieszki, ulegając jej ciągłym, usilnym namowom, podjął zbrojną wyprawę przeciw rządzonej przez juniorów Polsce w imieniu swojego szwagra. Jednakże, tuż po przekroczeniu granic, panujący w Marchii Północnej i Saksonii Albrecht Niedźwiedź, sprzyjający juniorom piastowskim, wymógł na nim szybkie wycofanie się z zachodnich terenów Polski, do czego w dużym stopniu przyczyniła się także nagła powódź, jaka zalała wówczas tereny nadodrzańskie. Niestety, Konrad skwapliwie na to przystał i czym prędzej zarządził odwrót swych królewskich wojsk, co wywołało szok i niechęć dla niego na dworze Wygnańców. W Polsce chełpliwi juniorzy triumfowali.

Przygnębiony Władysław Drugi musiał zatem na razie zaniechać planów odzyskania swojego krakowskiego tronu podczas kolejnej wyprawy Niemców na Polskę, bo tymczasem ze Wschodu na dwory europejskich monarchów docierały coraz bardziej niepokojące wieści, więc inne zgoła plany począł snuć jego niezdecydowany szwagier. Muzułmanie dużo śmieiej atakowali teraz posiadłości chrześcijańskie, by w końcu w 1144 roku najazdem wodza seldzuckiego Imada ad-Din Zengi'ego zająć samo chrześcijańskie Hrabstwo Edessy, powstałe podczas pierwszej krucjaty. Wybuchowy i okrutny bej turecki został wprawdzie wkrótce zasztyletowany nocą przez żadnego zemsty służącego, którego nie tak dawno skazał na straszliwe kaźnie za to tylko, iż przyłapał go na picciu wina z jego prywatnego

kielicha, po czym na krótko chrześcijanie odbili stolicę swego małego państwa, ale i tak Turcy panowali teraz niepodzielnie nad całym tym regionem. Papież Eugeniusz Trzeci gorączkowo wezwał zatem do pomocy zagrożonym na Wschodzie chrześcijanom.

Na apel ten odpowiedziała najszybciej europejska biedota, która pod wpływem kazań mnicha Bernarda z Clairvaux oraz pod wodzą Henryka Głanville, już w maju 1147 roku ruszyła w sile około trzynastu tysięcy pieszych z Anglii do Palestyny. Kiedy dotarli na Półwysep Iberyjski, za namowami tamtejszego biskupa Pedro Pitõesa, uczestnicy tej krucjaty ludowej zdecydowali się jednak na pozostanie na miejscu i wsparcie walk z tutejszymi muzułmanami, w wyniku czego – po spektakularnym sukcesie i zdobyciu Lizbony – większość z nich powróciła do Europy Środkowej, zaś jedynie garstka przedarła się do Ziemi Świętej, zasilając szeregi skłóconej od samego początku armii władców europejskich. Na czele owej wyprawy, nazwanej drugą krucjatą rycerską, stanęli tym razem sławni królowie starego kontynentu: Ludwik Siódmy z potężnej dynastii Kapetyngów, prowadzący wojska francuskie, oraz wspomniany już przyrodni brat polskiej księżnej Agnieszki, niemiecki władca Konrad Trzeci z Hohenstaufów.

Maszerowali oni osobno, gdyż w wyniku ciągłych sporów nie byli w stanie dojść do jakiegokolwiek porozumienia. Pomimo pomocy bizantyjskiego cesarza

Manuela Pierwszego Komnena, 25 października 1147 roku część armii Konrada została zaskoczona nagłym atakiem tureckich wojsk na polu bitewnym nad rzeką Bathys pod Doryleum, natomiast druga grupa pod wodzą brata Konrada – biskupa Ottona z Freising – również przegrała i wkrótce poddała się Turkom. Z nielicznymi rycerzami ciężko ranny król niemiecki zdołał przedrzeć się nocą do Nikei. Niektórzy z jego podwładnych połączyli się po tej sromotnej klęsce z armią francuską, resztę Turcy okrutnie wymordowali. Kolejne bitwy przyniosły nowe klęski Europejczyków, ostatecznie cała wyprawa krzyżowa okazała się haniebną i bardzo kosztowną porażką.

W wyprawie tej uczestniczył też szwagier Agnieszki, władca czeski Władysław Drugi, jak również młodociany rudobrody bratanek króla Niemiec, późniejszy cesarz Fryderyk, oraz najstarszy syn Władysława Drugiego Wygnańca, Bolesław Wysoki. Tym razem zatem księżna polska wraz ze swymi dwórkami składała żarliwe modły za ocalenie i szczęśliwy powrót swego pierworodnego potomka z tej niebezpiecznej wojny. W krucjacie króla Konrada wziął udział również jeden z przyrodnych braci Wygnańca, dzierzawiący na mocy testamentu ich ojca Sandomierszczyznę.

Henryk, piąty syn księcia Bolesława Krzywoustego i hrabianki Salomei, był imiennikiem swego dziada, hrabiego Bergu. Urodzony w 1130 roku, był postawnym, przystojnym mężczyzną, z długą pociągłą twarzą,

prostymi, ciemnymi włosami, zaczesanymi fantazyjnie od czoła i skroni ku tyłowi głowy, z uwydatnionymi silnie kośćmi policzkowymi i zimnym wyrazem głęboko osadzonych, wielkich, szarzielonych oczu. Wychowany w duchu rycerskich turniejów, sławetnych potyczek oraz walki z niewiernymi, pod samego początku wyróżniał się spośród swoich braci dążeniem do szczytnych celów, nie zaś – do bezwzględnej walki o polski tron i spuściznę po ojcu. Na tym tle dochodziło do częstych sporów między nim a Bolesławem Kędzierzawym, który całkowicie nie mógł pojąć pobudek, jakimi w swym działaniu kierował się jego młodszy brat. Jednakże matka, surowa i apodyktyczna Salomea, kochała go mocno i broniła przy takich utarczkach, obracając je czym prędzej w żart lub starając się doprowadzić jak najszybciej do pojednania między jej synami. Być może czyniła tak, gdyż jej serce, serce bojaźliwej matki, lękało się o losy tego Piastowicza po przeżytych nie tak dawno nagłych i niespodziewanych zgonach jej dwóch najstarszych synów, Leszka i Kazimierza.

Fakt faktem, iż Henryk Sandomierski od samego początku wychowania na książęcym dworze czuł się powołanym do dzieł wznioślejszych i zgoła ambitniejszych niżli obalenie prawa ojcowskiego poprzez bunt juniorów, wygnanie brata przyrodniego z kraju i zagarnięcie jego tronu. Działania te wręcz ubliżały ideom, jakie od najmłodszych lat poczęły powstawać w umyśle ambitnego rycerza z dynastii piastowskiej. Umierający



Bolesław Krzywousty przekazał mu w 1138 roku pieczę nad Ziemią Sandomierską, lecz chłopak był jeszcze wówczas kilkuletnim zaledwie dzieckiem i władzę nad tą dzielnicą przejął w jego imieniu ówczesny senior rodu, brat przyrodni, Władysław Drugi. Sam Henryk zamieszkał wraz z matką i młodszym bratem, pogrobowcem Kazimierzem, na dworze łęczyckim. Po wojnie domowej i wygnaniu seniora w 1146 roku, Henryk został księciem całej dzielnicy sandomierskiej, stąd jego przydomek, wówczas mu nadane: „Sandomierski”.

Szerzące się w owym czasie w Europie idee kultu dla najważniejszych cnót rycerskich, powtarzane po wielokroć legendy o Rycerzach Okrągłego Stołu, o Królu Arturze, cesarzu Karolu Wielkim, ich sławetnych czynach, zwycięskich wyprawach i ich wspaniałych państwach rozbudziły wyobraźnię młodego, ambitnego księcia. Po zbrojnym najeździe na Polskę niemieckiego króla Konrada Trzeciego w 1146 roku, reprezentującego interesy wygnanego seniora, a także po haniebnym układzie tego władcy ze starszymi juniorami i wycofaniu z kraju wojsk niemieckich, Henryk znalazł się na dworze Konrada jako zakładnik, gwarantujący dotrzymanie przez pozostałych Piastowiczów warunków umowy. Plany wojenne na Bliskim Wschodzie dumnego króla Niemiec trafiły na podatny grunt i rozentuzjasmowany Henryk błyskawicznie zareagował na apel Konrada oraz przygotowywanie zbrojnej wyprawy. Sam, stworzywszy oddział polskich rycerzy, z wielką chęcią wziął udział w

drugiej krucjacie u boku uwielbianego władcy, prowadzony przez króla czeskiego, Władysława. Jego marzenie wielkiej, rycerskiej przygody urealniło się! Był niezwykle szczęśliwy i zaskoczył tym entuzjazmem starszych braci, którzy celowo próbowali pozbyć się go z kraju i w tym celu perfidnie wysłali do Niemiec w roli zakładnika.

Krucjata stała się dla młodego Henryka swoistym chrztem bojowym. Uzmysłowiła mu, jak bardzo ówczesne wyprawy wojenne kwiatu rycerstwa Europy różnią się od wzniosłych, literackich idei, wpajanych mu podczas wieloletniej edukacji.

W wyprawie tej towarzyszyły zbrojnym, jak zawsze, liczne zastępy odważnych kobiet, walczących nieraz dzielniej od niejednego rycerza. Wśród nich była tajemnicza młoda białogłowa, ubrana przeważnie w poobszarpywane, zgrzebne szaty, z rozmierzwionymi włosami i wielkim czarnym czepcem na czubku chudej głowy. Miała na plecach charakterystyczny, wielki garb na swej prawej łopatce, wykrzywiający w straszliwy sposób całą jej postać. Poruszała się powoli, zgięta mocno w bok i ku przodowi, z ledwo wymachującymi rękami, z trudem posuwając nogami cienkimi, lecz koślawymi i pokrzywionymi na boki, podparta grubą drewnianą laską. Śpiewała tęskną piosenkę, zawodząc przy niej mocno i zalewając się łzami, czym siała zawsze popłoch w oddziałach struchlałych wojsk europejskich. Oto jej bolesne słowa:

Matulu, matulu moja...  
Matulu, matulu moja,  
Jakże ciężko mi na duszy,  
Kieby serce moje skruszył,  
Matulu, matulu moja...  
Matulu, matulu moja...  
Matulu, matulu moja,  
Niemoc ściska, niemoc dusi,  
Diabeł podszeptami kusi,  
Matulu, matulu moja...  
Matulu, matulu moja...  
Matulu, matulu moja,  
Już mi dosyć tej rozłąki,  
Już odganiem wszelkie mąki,  
Matulu, matulu moja...  
Matulu, matulu moja...  
Matulu, matulu moja,  
Kiedy kres tej mej udręki,  
Kiej zakończę ziemskie męki?!  
Matulu, matulu moja...  
Matulu, matulu moja...  
Matulu, matulu moja,  
Patrząc tylko dna rozpaczy,  
Kiedy znowu się obaczym,  
Matulu, matulu moja...  
Matulu, matulu moja...  
Matulu, matulu moja,  
Ty już z Matką w Niebie klękasz,

Da Bóg, z tobą tam zamieszkać,  
Matulu, matulu moja...

Kobieta ta chodziła codziennie po całym obozie krzyżowców, od namiotu do namiotu, wypowiadając niewyraźne słowa po łacinie lub w języku greckim, lecz w chwilach szczególnego uniesienia miała prorocze wizje na jawie, o których opowiadała głośno innym wojownikom, przeplatając je niezrozumiałymi wyrazami w obcym dialekcie. W dniach starć zbrojnych, tuż przed podjęciem walki, pozwalała poklepać się przesadnym rycerzom po swym okazałym garbie, wyszczerzając przy tym nadpsute zęby i powtarzając pogańskie regułki o przynoszeniu szczęścia, czym denerwowała wielce maszerujących z rycerzami księży, którzy odganiaли ją i nazywali często niebezpieczną wiedźmą. Odesłać jej jednak z obozu pod żadnym pozorem nie można było, gdyż kobieta ta, o imieniu Emma Ines, była uważana powszechnie za zesłaną przez Boga samego przekazicielkę Jego ostrzeżeń i proroctw, z czym absolutnie nie zgadzali się towarzyszący wyprawie duchowni. Przystąpiła do armii Konrada Trzeciego podczas jego wjazdu do Ziemi Świętej, była ponoć uczestniczką poprzedniej krucjaty, w chwilach szczególnie tragicznych potrafiła zdobyć się na wielkie poświęcenie i – pomimo kalectwa – ofiarnie nieść pomoc na polu walki, dostarczając broni, opatrując, a nawet operując poważnie rannych, wreszcie – uzyskując jakieś bliżej nieokreślone, nieziemskie moce, które umożliwiały jej, pomimo trudności w poruszaniu się,

dosiąć rączego rumaka i z mieczem w dłoni skutecznie bronić swej armii przed niewiernymi, których kładła pokotem! Jej lewe oko zaszło olbrzymią blizną i wydawało się być niejako zasłonięte drugą, przeźroczystą powieką, spod której niewyraźnie prześwitywała gałka wielka, czarna, niespokojna, obracająca się ciągle dookoła. Podczas spoglądania na ludzi, przerażała tym „ślepy” spojrzeniem, przestraszała swoją garbatą, koślawą postacią oraz niesamowitym wyrazem owych dziwacznych oczu. Jednak w walce nie było jej równej! Podczas jednej z przygranicznych bitew, już na Ziemi Świętej, osłoniła nawet własnym mieczem i tarczą zagrożonego atakiem tureckim króla niemieckiego Konrada, zdobywając tym sobie jego dozgonną wdzięczność i zaufanie. Toteż rycerze, jakkolwiek czując przed nią niemały respekt i przerażenie, zawsze z podziwem patrzyli na jej wojenne dokonania.

Zazwyczaj pojawienie się w obozie Emmy Ines zaraz wcześniej, bladym świtem, i mamrotanie przez nią jakichś dziwacznych przepowiedni, tłumaczono sobie z przerażeniem jako ewidentny znak rychłego niepowodzenia. Nie inaczej było w dniu decydującej bitwy. Kobieta podeszła do każdego namiotu z osobna i – polewając go skąpo tajemniczymi olejami, niesionymi w glinianym naczyniu, odmawiała przy każdym jakieś rytualne obrzędy. Ksiądz niemiecki Władyk zobaczył to i oburzony odegnał podejrzaną czarownicę, lecz ona, złorzecząc przeciw niemu, odeszła tylko na bok i mówiła

do niego z przejęciem:

Dziś twój kres,  
dziś ten dzień,  
wszystko w perzynę obróci się!  
Dziś ten dzień,  
zguby dzień,  
wojsko nasze rozsypie się!  
Już ten czas,  
biada nam!,  
nie ostanie tu żaden z nas!

I istotnie – tego dnia jakby wszystkie siły ciemności sprzysięły się przeciwko osłabionym niemiłosiernymi upałami, morderczym marszem i atakami wrogów armiom krzyżowców! Podczas walki niemiecki władca dał się ponieść swemu butnemu i hardemu charakterowi, co w konsekwencji spowodowało jego haniebną klęskę. W popłochu, uciekając, mało kto z krzyżowców pamiętał o garbatej wieszczce, która dużo wcześniej przepowiedziała tę przegraną i ostrzegała króla Konrada Hohenstaufa przed zbytnią chełpliwością i nierozważnym podejmowaniem bitwy. Dopiero podczas tchórzliwej ucieczki dostrzeżono jej potargane szaty przy rowie. Leżała w kałużach krwi, przebita strzałami oraz z wbitym w pierś mieczem tureckim. Miała zamglone i osłonięte bielmem oczy przerażająco rozwarte, jakby ciągle spoglądała z przestraszeniem na otaczający, pogrążony w bestialskiej wojnie świat. Jej śmierć wywołała szok i pogrom wśród rycerzy, którzy uznali to za fatum i odtąd

przekonani byli już o nieuchronnej klęsce całej ich europejskiej wyprawy. Uciekając próbowali unieść zwłoki Emmy Ines z placu boju, lecz nie potrafili wydobyć jej całego ciała spod leżących wokół pokotem innych ofiar ani też wyrwać z jej piersi wielkiego miecza. Kiedy po dobie powrócili tam, aby – jak to mieli w zwyczaju – zebrać i wywieść zwłoki swych rycerzy, aby potem, nieopodal obozu, odprawić pospiesznie nabożeństwa i pochować po chrześcijańsku zmarłych – lecz nigdzie nie znaleźli jej ciała.

A zatem, jak to już zostało powiedziane, niemiecki król Konrad, przekonany o własnej przewadze, 25 października 1147 roku lekkomyślnie sam, nie czekając na wsparcie Polaków i Czechów, na rozległych polach tuż nad rzeką Bathys, zaatakował niespodziewanie Turków Seldżuckich, którzy błyskawicznie rozgromili jego armię, zaś on z nielicznymi niedobitkami musiał uchodzić w popłochu do Nikei. Podczas owej krwawej bitwy poległa między innymi Emma Ines, podobno – jak twierdzili najbliżej niej walczący rycerze – z żarliwą modlitwą na ustach. Wstrząśnięty tym książę Henryk Piastowicz wraz z czeskim oddziałem połączyli wtedy swe wojska z przybyłą właśnie do Ziemi Świętej potężną armią francuską wspomnianego króla Ludwika Siódmego. W Konstantynopolu, jak to uczynili i inni uczestnicy tej wyprawy, sandomierski władca złożył przysięgę wiernopoddańczą cesarzowi bizantyjskiemu.

W wyniku stosowania ponownie przez niewiernych

niezwykle skutecznej taktyki „spalonej ziemi”, wyniszczającej i dziesiątkującej chrześcijańskie oddziały, w wojsku krzyżowców zaczęto powtarzać i coraz głośniej propagować idee dezercji, tłumacząc ich logiczną konieczność nieprzychylnymi warunkami, szerzącymi się masowo zarazami i głodem. Doszedłszy w 1148 roku do zamku Krak de Chevaliers w hrabstwie Trypolisu, król czeski Władysław podjął niezwykle trudną decyzję o powrocie na stary kontynent i przez Akkę oraz Bizancjum jego wojska polsko–czeskie przedarły się do Środkowej Europy. Do kraju polskiego w wielkiej chwale obrońcy Grobu Pańskiego przed niewiernymi, powrócił wówczas i „rycerz–krzyżowiec” – Henryk Sandomierski.

Bronisz ostatecznie z udziału w tej drugiej wyprawie Europejczyków do Ziemi Świętej zrezygnował, zatem książę Władysław Drugi Wygnaniec wysyłał go coraz to z nowymi misjami dyplomatycznymi po sąsiednich dworach, aby zdobyć tam poparcie dla swej sprawy i nowych sojuszników. Teraz miecznik pojechać miał aż na północ, do Szczecina, na spotkanie z duńskimi książętami, niedysiejszymi sojusznikami Bolesława Krzywoustego.

Po wyjściu Bronisza, Adelka podbiegła na kruzganek, by pomachać mu na pożegnanie, lecz zmartwiona nigdzie nie umiała dostrzec jego konia. Dostrzegła jedynie z daleka stojącego przy drodze giermka Gniewosza. Za sobą usłyszała nagły szelest i ujrzała szyderczo uśmiechniętego Przybysława.

– A co teraz myślisz, piękna pani? Gdzie obecnie



przebywa twój luby? – zapytał zadziornie uparty rycerz i wskazał głową w kierunku komnaty Agnieszki.

Adelajda poczerwieniała, zawstydzona. Ten zaś zaczął śmiać się potwornie, kręcąc głową, jakby chciał wydrwić całą naiwność młodej damy. Dziewczyna jednak odetchnęła głęboko, nabrała powietrza w płuca i odrzekła twardym tonem z godnością tak wielką, na jaką tylko zdobyć się wtedy mogła:

– Małżonek mój, mości rycerzu, miecznik dworu piastowskiego, Bronisz Miecznikowski, wyjechał z misją od księcia Władysława! Jest teraz zatem w drodze na zamek szczeciński!

Przybysław popatrzył nieco zmieszany na jej zimne spojrzenie, ale zaraz roześmiał się znowu i odrzekł nonszalancko.

– Ta, jasne! No to obaczmy razem tę jego misję tajemną od samego księcia! Z boleścią rzec ci jeno mogę, że mylisz się w tej kwestii głęboko!

– Nie mam zamiaru brać udziału w tej komedyi pana! Proszę mnie ostawić w spokoju!

– A czemu–ż to? – tamten nie ustępował. – Pani, przecież nie masz się czego bać, nieprawdaż?– to powiedziawszy przybrał szyderczy wyraz twarzy, wskazał jej z lekkim ukłonem drzwi do pokoju Agnieszki, obszedł je nieco dalej, na prawo, a Adelajda podążała niepewnie za nim.

Doszli do oddzielonego grubą kotarą od reszty korytarza małego ganeczku tuż za komnatą monarchini,

gdzie w ścianie widniała wyraźnie obruszona, sporej wielkości wnęka. Przybysław starannie zasłonił kotarę za nimi i wsunął dłoń do wnęki, wyjmując jedną z cegieł. Usłyszeli niewyraźne szepty.

– Pani, uwierz w moją miłość! Błagam tylko o to!

Adelajda oparła się przerażona o ścianę obok. To był, bez żadnego cienia wątpliwości, głos jej męża, Bronisza! Dziewczyna, zachęcona ruchem dłoni przez rycerza, spojrzała niepewnie przez niewielką wnękę i zobaczyła swego małżonka, klęczącego z pokorą na podłodze i obejmującego czule kolana oraz dłonie siedzącej na krześle, uśmiechniętej księżnej.

Opadła ze słabości poniżej wnęki na ziemię, wstrzymała przez moment oddech i zakryła twarz dłońmi. Chełpliwy Przybysław uśmiechnął się pod nosem, zamknął wnękę cegłą, odsłonił silnym ruchem ręki ciężką kotarę, aby mogli wyjść z kryjówki przy schowku korytarzowym z powrotem do przedpokoju, ale nieoczekiwanie dworka odważnie wstała, zasłoniła ją znowu, otwarła wnękę i zaczęła dalej przysłuchiwać się rozmowie tamtych dwojga, jakby upewnić się zamierzała do końca, jakby rozpaczliwie chciała jeszcze dowieść tego, co już przecież zobaczyła, w nikłej nadziei nieprawdziwości owego przykrego widoku...

– Trudno mi jednakże, Bronisiu mój drogi, kiedy wiem, żeś wcześniej serce oddał innej białogłowie i że wciąż czeka na ciebie twoja ukochana!

– Nie chcę ja jej już, nie chcę! Prawda, kochałem

niegdyś, obiecywałem wspólne życie i – jeśli Bóg pobłogosławi – stworzenie rodziny i dochowanie się dzieci, a potem i wnuków, ale to już przeszłość! Uwierz mi, moja pani umiłowana, uwierz! Nie kocham ja tamtej! Nie kocham jej! Teraz to zrozumiałem – nigdy jej nie kochałem!

– Jednak inne słuchy chodzą po zamku, mości Broniszu, oj, zgoła inne! – Agnieszka wyraźnie zniżyła głos i karcąco zawiesiła go, czekając na odpowiedź. – I w inne wierzą ludzie. Bo wszak tamta białogłowa kocha ciebie miłością silną i powtarza nadal, żeś ty jej pisany i innego nie chce! Cnotliwa i nadobna niewiasta owa kocha cię całym sercem!

– Wiem, pani – odpowiedział po dłuższej chwili rycerz z wyraźnym smutkiem. – Wiem, że moja poprzednia luba to dziewczę nadobne, pokorne i duszę ma czystą, jak kryształ! Lecz ja temu winien nie jestem. Cóż, serce nie sługa!... Gdzie tylko, kto mnie zapyta, zawsze odpowiadam tak samo: tamto minęło bezpowrotnie, tylko jedną panią mam teraz w swym sercu, odkąd tylko przyjechałaś do Płocka, odkąd tylko granice państwa przekroczyłaś, i tylko jednej pani służyć chcę do końca dni moich! A ty wiesz najlepiej, co w sercu mam i kogo kocham tak, że i życie gotów byłbym oddać za niego! Ale teraz ruszać muszę. Pożegnaj mnie zatem, pani miłościwa, gdyż ksiązę z rozkazami wysyła mnie na nową misję.

– Jedź więc, panie mój, ruszaj spiesznie, ale wróć żyw prędko! Czekać będzie–m na ciebie z wielką

niecierpliwością! Przybądź tu do mnie co rychlej! Ja znam drogę do serca twego i znam rozterki twoje! – Agnieszka przytuliła czule swymi rękami dłonie trzymającego jej kolana, klęczącego miecznika.

Adelajda nie była w stanie słuchać dalej tej rozmowy, wypadała z trudem z ganeczku, tak silne duszności złapały nagle jej wątłe gardło, zatem – trzymając się napotykanych ścian, słaniając się na nogach – z trudem pobiegła do swojej komnaty, aby tam nabrać powietrza w płuca, tak długo zaduszone słuchaniem tych bolesnych dla niej słów, i z łkaniem potężnym rzuciła się na łóżko. Przybysław czym prędzej zamknął starannie wnękę i pospieszył za nią, usiadł obok na łożu i zaczął z uśmiechem gładzić jej prześliczne, bujne pukle kręconych włosów. Ona jednak otrząsnęła się, jakby zrzucała resztki trądu po dotknięciu chorego.

– Idź precz! – powiedziała mu z bolesnym spojrzeniem tak surowo, że natychmiast cofnął rękę, zagryzł wargi ze złości i czym prędzej wyszedł.

Tymczasem księżna nadal rozmawiała z Broniszem, jednak tym razem już nikt ich nie widział ani nie słyszał.

– Pani, zatem prośbę mą wnoszę raz jeszcze i w twe ręce składam losy moje i mej najdroższej ukochanej Adelci! Nigdy wszak nie wiem, czy Miłosierny Bóg powrócić cało do niej pozwoli, czy mnie przy życiu zachowa... Miej baczenie na nią, bo ona tak wątłego zdrowia i o wszystko się zamartwia wiecznie, kochanie moje – rzucił czule. – Przysięgam ja tobie raz jeszcze,

mości księżno – Jadwiga Chorążyczewska to przeszłość, dawna i miniona. Jam jej nigdy miłości dozgonnej po wsze czasy nie przyrzekał, ślubów jej nie składałem, o jej cześć nie zabiegałem!

Agnieszka, kontenta wielce, głową kiwnęła, podniosła z kolan rycerza i pożegnała go czułym uściskiem dłoni.

– Bronisiu, pamiętaj, ona, Adelcia najmilsza, jest dla mnie, jak siostra rodzona, tak mi zawsze była i jest po dziś dzień miłą! Nie skrzywdź nigdy mojej ukochanej Adelci, bo – to ci zapowiadam surowo – nie ujdiesz wtedy przed karą, która niechybnie cię nie ominie!

– Pani ukochana! – wykrzyknął na to miecznik – prędeż sam bym się dał poćwiartować koniom, smołę gorącą pił i kołem łamać dawał, niżbym miał skrzywdzić to serce czyste i dobre! Przenigdy! – To mówiąc, uklonił się z szacunkiem i wybiegł pospiesznie z komnaty. Agnieszka, patrząc za nim z uśmiechem, powiedziała sama do siebie:

– Dalibóg! Nikt nigdy chyba nikogo mocniej nie umiłował, niżli ten miecznik moją złotą Adelcię!

Niestety, owa młoda, tak umiłowana przez oboje dworka, przekonywana tyle razy przez zazdrosnych rycerzy, miała zgoła inne mniemanie o przebiegu całej tej rozmowy i jej zakończeniu...

W tym samym, 1147 roku, do księżnej polskiej dotarła kolejna przykra wiadomość – oto zmarł przyrodni brat Agnieszki, syn jej matki i jej pierwszego męża,

Fryderyka Szwabskiego, wielki i mężny wódz – książę szwabski, Fryderyk Jednooki z dynastii Hohenstaufów. Pozostawił po sobie pięcioro dzieci, w tym syna, swego imiennika, jednego z późniejszych, najwybitniejszych władców Europy średniowiecznej, uczestnika wspomnianej drugiej krucjaty, który od charakterystycznego wyglądu i koloru brody oraz od pukli bujnych włosów, okalających gęsto jego twarz dumną i wyniosłą, otrzymał przydomek „Rudobrody”.

Tymczasem na zamku w Altenburgu w Saksonii, nadanym przez swego szwagra, Wygnaniec przebywał teraz z najbliższą rodziną, czekając niecierpliwie na powrót z krucjaty króla Konrada. Tam przyszedł na świat jego trzeci syn, któremu nadano imię niemieckiego władcy – Konrad, a zwano go potocznie od sposobu chodzenia, związanego z bolesną raną, jakiej nabawił się, będąc małoletnim – „Laskonogim”. Tam również, w posiadłości rodowej Hohenstaufów w saskim Altenburgu, głównie przebywał ich drugi syn, Mieszko Władysławowic, który niedaleko, w szkole przyklasztornej w Michaelsbergu pod Bambergiem, pobierał swe nauki.

Mieszko był wysokim, postawnym młodzieńcem, o serdecznym spojrzeniu dobrotliwych oczu; nosił z początku niewielką, a z czasem – dość długą brodę i także wąsy, długie, lekko pofalowane jasne włosy, opadające swobodnie na ramiona i kark, a przy tym znany był ze szczodrobliwości oraz pomocy, niesionej innym.

Zaprawiony w turniejach, poruszał się zawsze ze swobodą i lekkością. Jednakże podczas jednego z pojedynków uległ tragicznemu wypadkowi – spadł z konia tak nieszczęśliwie, iż złamał prawą nogę aż w trzech miejscach i kości wyszły mu straszliwie na wierzch, powodując poważny krwotok. Księżciu groziła śmierć, lub – w najlepszym wypadku – amputacja całej kończyny. Zrozpaczona matka, księżna Agnieszka Babenberg, całymi dniami modliła się przy jego łóżu do Paniienki Przenajświętszej o pomoc i ratunek dla syna. I stał się cud! Bóg uratował go, ocalił jego życie i pozwolił wydobrzeć. Cierpiący księżę powoli wracał do zdrowia, zaś złożona kilkakrotnie przez medyków noga stopniowo zaczęła się zrastać, aczkolwiek nigdy nie stała się już w pełni sprawną, dlatego też przy każdym kroku Mieszka sprawiała mu do końca życia niemiłosierny ból i stąd też musiał siłą rzeczy nieco na nią utykać, czemu też zawdzięczał swoje charakterystyczne przezwisko: „Płatonogi”.

Warownia w Altenburgu, przekazana tymczasowo Piastom przez Hohenstaufa, miała wielkie komnaty, wysoką wieżycę, basztę oraz piękną kaplicę i dziedziniec otoczony ogrodami. Grube mury zwieńczone były licznymi blankami. Zamek otaczała fosa, wpadająca do płynącej nieopodal rzeki Pleise. Zwodzony most i urokliwa okolica wprawiały w zachwyt. Z najwyższej położonych komnat, z baszt i wieżycy widać było malownicze góryste pasma Lasu Turyńskiego i

Frankońskiego. Czekającemu nadal na cud Władysławowi Drugiemu pozostawało na razie podziwianie tychże widoków i wiara w pomoc któregośkolwiek z władców ościennych państw. Lecz pomoc ta nie nadchodziła...

Tymczasem w 1149 roku na Rusi doszło do kolejnych krwawych walk o tron – obalony został Izjasław Drugi Pantelejmon, sojusznik Piastowiczów, który zwrócił się do nich z prośbą o pomoc w wypędzeniu z Kijowa swego rywala, wspomnianego już Jerzego Dołgorukiego. Do Włodzimierza na Wołyniu, gdzie tymczasowo schronił się wygnany Izjasław Mścisławowicz, ruszyła zatem jeszcze w tym samym roku wyprawa zbrojna panującego w Krakowie Bolesława Kędzierzawego oraz Henryka Sandomierskiego, lecz moment ten i opuszczenie Polski przez rządzącego nią nieprawego seniora wykorzystali natychmiast pomorscy Prusowie, atakując niespodziewanie Mazowsze. Z tego powodu, po rozpaczliwych wezwaniach przebywającego w kraju juniora Mieszka, zwanego później „Starym”, obaj bracia piastowscy zawrócili spod Włodzimierza, wyparli najeźdźców z mazowieckiej ziemi i na powrót zaatakowali Kijów, aby Izjasław mógł ostatecznie osiąść na jego tronie w 1150 roku. W 1151 roku doszło do ich kolejnej wyprawy na Ruś przeciwko Dołgorukiemu, który jednak ostatecznie zwyciężył i po wielu latach walk w 1155 roku zajął tron kijowski, zaś sam Izjasław zginął podczas tych bojów.

Po udzieleniu zbrojnego wsparcia księciu ruskiemu



Izjasławowi Drugiemu Pantelejmonowi, w 1154 roku książę Henryk Sandomierski powrócił do swego dziedzicznego Sandomierza, lecz przebywanie w nim wobec epokowych wydarzeń, zachodzących wówczas na terenie Europy i Azji Mniejszej, jakie spędzały mu wciąż sen z powiek, zaprzętały ciągle myśli i uniemożliwiały spokojne rządzenie przydzieloną dzielnicą, było dla wielkiego krzyżowca prawdziwą katuszą! Henryk otwarcie przyznawał swoim doradcom oraz braciom podczas politycznych narad, iż źle się tu czuje i rad byłby ponownie wyruszyć ku nowym, rycerskim przygodom. Zwłaszcza, iż na starym kontynencie wielu władców odczuwało tę samą, jakże silną żądzę!

Z pewnością argumentem decydującym dla dążącego do nowych wypraw krzyżowych Henryka były rozpaczliwe błagania o pomoc ze strony władców chrześcijańskich, pochodzące z terenów Azji Mniejszej. Już wiosną 1153 roku piastowski książę Henryk rozpoczął zatem pospiesznie zbiórkę funduszy na zrealizowanie swego kolejnego marzenia. W końcu oddał nawet w dzierżawę nieprawemu seniorowi, Bolesławowi Kędzierzawemu, swoją piękną dzielnicę sandomierską. Dzięki tym zabiegom i staraniom ambitny i odważny władca dzielnicowy zebrał w 1154 roku armię rycerską i przez Czechy oraz Węgry i Bułgarię doszedł z nią do Konstantynopola. Wyciągając rozsądne wnioski z błędów, popełnionych przez Władysława Drugiego Czeskiego oraz Konrada Trzeciego Niemieckiego podczas drugiej

krucjaty, Henryk zarządził swemu wojsku przepłynięcie części dalszej trasy statkami, dzięki czemu uniknął morderczego marszu poprzez wysuszone tereny Anatolii, dotarł pomyślnie do Ziemi Świętej i uczcił Grób Pański. Wraz z królem Baldwinem Henryk Sandomierski oblegał Askalon, zaś po roku ponownie w wielkiej chwale powrócił do kraju polskiego jako bohater i mężny wódz krzyżowców.

W Rzeszy Niemieckiej w tym czasie księżna Agnieszka Babenberg przez kolejne tygodnie starała się za wszelką cenę podtrzymać na duchu załamane go męża i nie poprzestawała na tym, czego dokonali oboje dotąd, lecz rozpoczęła kolejne usilne zabiegi dyplomatyczne – potomkini austriackich Babenbergów zdecydowała się na krok wielce ryzykowny – postanowiła poprosić o pomoc najważniejszy, w jej mniemaniu, autorytet w ówczesnej Europie, samego papieża, Eugeniusza Trzeciego. Oboje z księciem Władysławem uzgodnili, iż lepiej będzie dla nich, jeśli on pozostanie w Niemczech i tutaj podejmie dalsze starania o pomoc władców świeckich, zaś ona, potomkini cesarskiej rodziny, postara się przekonać do ich racji głowę Kościoła. W tym też celu postanowiła wyjechać wiosną do Rzymu. Adelajda, podobnie, jak i pozostałe damy dworu, miały towarzyszyć jej podczas tej niebezpiecznej podróży. Bronisz tymczasem udał się kilka dni wcześniej z kolejną misją od swego pana, tym razem – do margrabiego Albrechta, aby tam szukać sojuszników. Oboje małżonkowie żegnali się serdecznie w nadziei

rychłego zobaczenia, okrutny los sprawił jednak, że długo przyszło im na to poczekać.

Tymczasem po wielu tygodniach uciążliwej jazdy, późną wiosną, zaraz po wjeździe miecznika na przygraniczne pola, należące niegdyś do pogańskich plemion, wytępionych przez księcia Bolesława zwanego Krzywoustym, nagle drogę zastąpił oddziałowi Bronisza niski chłop z kosą. Podeszedłszy do jadącego w pierwszym szeregu rycerza, uchylił wielki, słomkowy kapelusz, pokłonił się nisko i pokornie poprosił go o pomoc w polu, gdzie – jaki twierdził – nagle zachorował od upału jego syn i leży na miedzy całkiem bez ruchu. Łatwowierny i niczego nie podejrzewający rycerz Tworzymir herbu Jeleń chętnie przystał na to, pojechał kilka metrów za wieśniakiem, kiedy nieoczekiwanie napadła nań zgraja ukrytych za stogami siana, uzbrojonych chłopów. Otoczyli ich zewsząd, rozpoczynając zasypywanie pociskami, włóczniami i strzałami. Nadaremno Bronisz i jego towarzysze nawoływali, że niczego złego uczynić im nie zamierzają i że jadą z misją pokojową na północ. Krwiożercze oczy i szaleńcze okrzyki uświadomiły rycerzowi, że wpadł w zasadzkę, przygotowaną przez żądne zemsty oddziały ukrywających się nadal w tych rejonach pogańskich ludów. Ich przewaga była zbyt wielka.

Kiedy po kilku godzinach Bronisz ocknął się, nie pamiętał z początku niczego. Czuł ogromny ból w piersiach i nogach, jakby potężna skała przygniotła go do

ziemi. Ból ten odbierał mu całkiem czucie w kończynach. Wokół czuć było zapach spalenizny i świeżej krwi oraz trupich ciał, co dodatkowo mieszało zmysły i wzbudzało odrazę. Łypnął jednym okiem w bok i usłyszał jęki pobitych towarzyszy oraz przytłumione głosy wojów obodrzyckich, którzy w pośpiechu dobijali rannych. Wszędzie błyskawicznie zapadał mrok, zatem poganie spieszyli się, aby zdążyć przed ciemnościami. Miecznik poczuł nagle silne schwycenie za kark i podświadomie zrozumiał, że to pewnie już jego koniec, zaczął zatem w duchu żarliwie modlić się do Boga, przed którego sądem miał się niechybnie zaraz znaleźć, lecz po chwili ze zdumieniem stwierdził, iż ręka, która go trzymała, pociągnęła go ku bezwładnej masie trupów i zagrzebała go głębiej, w swoim kierunku, do leżących dookoła pokotem zabitych wojów księcia Władysława. Jeszcze bardziej odczuł bolesne zgniecenie nóg i skrzywił się w potwornej męczarni, jakiej doświadczył, lecz nadal wstrzymywał z trudem oddech, po czym stracił ponownie przytomność.

Kiedy ją znowu odzyskał, wszędzie panowała już głęboka, czarna noc. Słyszał jedynie bolesne wycie psów gdzieś het, za polami. Daleko, w oddali, płonęły ogniska, lecz on nie widział ich, a tylko domyślał się tego od cichego odgłosu trzaskających pod wpływem gorąca drewnianych szczap i smrodu straszliwie cuchnącego dymu, że to pewnie plemię, które go napadło, odgania w ten sposób złe demony i wampiry, paląc ogniska na skraju

lasu. Nogi nadal bolały go niemiłosiernie i nie mógł nimi wcale poruszać. Usłyszał obok siebie szept: – Panie, żyjesz?

– Gniewciu, tyś to? – zapytał.

– Jam, panie! Jesteś ranny?

– Co się stało?

– Obodryci nas napadli, panie, kiedy jechali–m z misją do margrabiego z Marchii przy granicy. Wszystkich naszych wybili, do cna!

– A jakeś–my sami przeżyć zdołali?

– Pod trupami skryci, panie, pod trupami naszych! Jutro spalą wszystkich, co tu leżą, aby w wampiry się nie przemienili!Dziś nie zdążyli popalić zabitych przed zmrokiem. Palą tych, co wierzchem leżeli pokotem, tych jeno terazki palą na stosach!

– Nie godej!

– A jakże! To lud pogański! Oni wierzą w swoje demony i gusła! Zacietrzewieni, psubraty!

– Co teraz poczniemy?

– Ano, panie, trza nam stąd czmychać!

– Ja nie dam rady, nogi niewładne, uciekaj sam!

– Jakże to, panie mój!? Bez ciebie?! Nigdy!

– Gniewoszu drogi, ratuj chociaż swe życie, bo ja stąd ujść nie zdołam!

– Wyciągnę ciebie, panie, tylko wytrzymaj! – to powiedziawszy, Gniewosz silnie pociągnął go za prawą rękę i wywlókł z trudem na wierzch stosu zabitych rycerzy. Co jakiś czas podczas tych niemrawych

gramoleń, leżeli nieporuszenie, aby nikt z oddalonych pogan nie ujrzał jakowegoś podejrzanego ruchu i przesuwania się na tym ogromnym stosie trupów.

Bronisz wetknął sobie z niemałym trudem w zęby pas skórzany, wbił je weń, aby nie było słychać, jak ryczy z bólu i potwornie wykrzywił pokrwawioną twarz. Mocno dysząc, czas jakiś obaj tak spoczywali na zabitych, zmęczeni wysiłkiem i straszliwym bólem, odbierającym zmysły.

– Panie, teraz przeciągnę cię dalej, w dół, ot, tam – ku bagnom!

– Są tu takie?

– Tak, a jakże! Znam te ziemie!

Bronisz nadal wpijał zęby w pas, a wierny giermek ciągnął go ostrożnie po ciałach leżących dookoła. Nagle, niespodziewanie, jakaś mocna dłoń pochwyciła ich obu za kawałki obdartych ubrań, aż cali znieruchomieli ze strachu, położyła ostrożnie na swoich wielkich barkach, uniosła obu w górę lekko, jak ptasie piórka, i dźwigając silnymi ramionami, poniosła w głąb ciemnego lasu. Obaj uratowani prawie zamarli z przerażenia, lecz dziwaczny olbrzym niósł ich szybko w głąb gęstej puszczy, dalej, i dalej, poruszając się prawie bezszelestnie, umiejętnie przedzierając się zwinnie przez gęste zarośla, odgarniając wielkimi ramionami gałęzie i krzewy, aby czasem ich nie poraniły. Przebrnęli następnie w ten sposób przez rozległą polanę pełną sitowia i pachnących winem łożyni, bagnistą i podmokłą łąkę, potem – przez rozległe

grzędawiska, dalej ku gęstym borom, gdzie nie było ani słycać jakichkolwiek ćwierkań zbudzonych ptaków, ani odgłosów spłoszonego zwierza, ni nawet pohukiwania puchacza, niczego też nie widzieli przy zachmurzonym niebie.

Nieznajomy olbrzym położył ich następnie na miękkim, gęstym mchu, otulonym teraz mrokiem. Zdumieni, widzieli niewyraźnie jego nienaturalnie wielką, jasną, nieco pokraccną postać, sięgającą najwyższych czubków drzew, jak oddalał się od nich powoli, ciężko stając, w głąb gęstwiny. Bronisz niewiele pamiętał z tego, co działo się później, bo strach, zmęczenie, ból i zbyt duża utrata krwi znowu spowodowały, że szybko omdlał.

Kiedy się wybudził po kilkunastu dniach, był opatulony poszarzałymi, poobdzieranymi szmatami. Zbudziła go niezwykła muzyka, która docierała z odległego nieco zagajnika. Bronisz poruszył się niemrawo na swym leśnym pośłaniu z gałęzi i jęknął boleśnie, gdyż nogi nadal bardzo go bolały. Nagle muzyka stała się głośniejsza, jakby ktoś przybliżył do rannego rycerza flet i lirę. Na polanie nieoczekiwanie pojawiła się piękna, wysoka dziewczyna z rozpuszczonymi, długimi włosami, ubrana w czarną, rozszerzoną u dołu suknię z odsłoniętymi ramionami i w białe płócienne szale, zarzucone swobodnie na ramiona, głowę, tułów i biodra, które co jakiś czas zdejmowała, zarzucała znowu, oplatała się nimi cała i wodziła w górze, trzymając w

rozpostartych wysoko rękach. Tańczyła boso, lecz nie widać po niej było, aby drewniane patyki i igliwie raniły jej nagie stopy.

Rozpoczęła przy owej muzyce nienaturalny, obłądny taniec, zbliżając się z wolna do zdumionego Bronisza i uważnie spoglądając wielkimi, szarymi oczami w jego stronę. Taniec jej stawał się coraz bardziej szaleńczy, skakała z rozcapierzonymi rękami i rozrzuconymi włosami, miała straszliwy wyraz swej ciemnoszarej twarzy, i wykrzywiała piękne usta, jakby chciała coś wykrzyknąć z całych sił. Taniec ten trwał długo, a dziewczyna coraz śmieiej zbliżała się do miecznika, zaczęła muskać połamami swej sukni jego twarz pełną głębokich, krwawych ran, wreszcie przypadła do niego, położyła się obok i zaczęła pospiesznie zlizywać ślady zakrzepłej krwi z policzków, spoglądając wielkimi oczami w jego przerażone źrenice. Znieruchomiały dotąd z wrażenia Bronisz odruchowo wzdrygnął się tylko, marszcząc twarz i dziewczyna natychmiast poderwała się, popędziła przed siebie, po czym zniknęła w zagajniku. Za chwilę wysunęła ponętnie swoją ciemnoszarą, zgrabną nagą nogę, unosząc w górę falbanę szerokiej sukni i wyglądając zza drzew na rycerza, uśmiechnęła się zaczepnie swymi pięknymi zębami. Dziwny dreszcz przebiegł po plecach Bronisza, widząc te umizgi szalonej dziewczyny.

A ona cała wyszła ponownie z zagajnika, podchodziła powoli do leżącego rycerza, podciągając namiętnie to



jedną, to drugą połę sukni i odsłaniając swoje zgrabne, wyjątkowo długie nogi. Patrzyła przy tym zaczepnie, spode łba, przewiercając wręcz na wskroś swym wzrokiem leżącego nieruchomo rycerza. Rozpoczęła znowu swój szaleńczy taniec, pokazując nagie nogi i odrzucając otulające ją, białe płótna tak, że w końcu tańczyła tylko w samej czarnej sukni z głębokim dekoltem i nagimi ramionami oraz odsłoniętymi całkiem rękami.

– Pódziesz! – ryknął nagle zza drzew donośny męski głos. Dziewczyna zatrzymała się i przechyliła zaczepnie spochmurniałą momentalnie twarz na jedną stronę.

– Ten jest mój! Nie oddam ci go! – powiedziała twardo chrapliwym głosem i znowu łypnęła okiem w stronę Bronisza.

– Pódziesz, zaraz przekłeta, wynocha! – tubalny głos zagrział tak, że zatrzęśły się okoliczne drzewa.

Dziewczyna zatrzymała się całkiem i podniosła z ziemi wielką szyszkę świerkową, którą bezceremonialnie wbiła sobie w kłęby zmierzwionych, skołtunionych włosów i poczęła się nią czesać, szarpiąc niedbale kosmyki. Miała obojętny wyraz twarzy, lecz nadal bardzo uważnie śledziła wzrokiem rycerza i przybyłego doń mocarza.

A ten tajemniczy olbrzym, sięgający głową czubków drzew, podszedł spokojnie do rannego, sprawdził delikatnie jego nogi, po czym począł starannie odwiązywać z nich zabrudzone krwią i pyłem szmaty. Bronisz spoglądał na niego oniemiały, nie umiejąc nawet

się poruszyć. Olbrzym miał ogromną, długą i całkowicie białą twarz oraz także same, prawie przezroczyste, wielkie gałki oczne, bez cienia i zarysu źrenic ni tęczówek. Na głowie jego rosły zamiast włosów siwe gałęzie i liście, które albo sterczały w górę, albo też opadały mu na ramiona, niczym prawdziwe, ludzkie włosy. Na gałęziach tych siedziała ruda wiewiórka, przyglądająca się spokojnie leżącemu rycerzowi i zajadająca sprawnie orzechy, oraz dorodny dzięcioł, cierpliwie stukający w korę i co chwilę odwracający głowę w jego stronę. Postać ta miała długie, gęste, siwe brwi, spadające bokami na całą pomarszczoną twarz, zmierzwioną olbrzymią, posiwiałą brodę, z której wystawały zielone gdzieś tam gałązki, liście, nieco tataraków, sitowia, pachnącego bagna i sieci pajęczych. W wielkim płaszczu, utkanym z liści, spokojnie pochylał się nad leżącym, dokładnie smarował cuchnącą niemiłosiernie maścią jego obolałe nogi i opatrywał starannie rany rycerza.

– On mój będzie! Upatrzyłam go sobie! – powiedziała jeszcze raz, jednak już nieco bardziej niepewnie, szalona dziewczyna, czesząc się nadal szyszką świerkową.

W odpowiedzi nagle olbrzymi starzec odwrócił bladą twarz w jej stronę i ryknął potężnie, błyskawicznie przybierając postać wielkiego, rozwścieczonego niedźwiedzia. Na tę zmianę mocarza ruda wiewiórka zeskoczyła z jego głowy w dół, zaś dzięcioł wzleciał

powyżej. Dziewczyna krzyknęła z przerażenia i szybko uciekła do zagajnika, a Bronisz odruchowo zamknął oczy, zamierając z nieopisanego strachu i czując, jak serce podskakuje mu wysoko do gardła. Gdy je otworzył, starzec w swej poprzedniej, bladolicej postaci, znowu pochylał się nad nim i spokojnie opatrywał jego rany, a na jego głowie, całej pokrytej gałęziami, na powrót siedziały ufne zwierzęta. Splunął silnie w dłoń, zerwał kilka pajęczych sieci, zwisających mu z brody, zebrał z leśnego mchu rosę, nałożył sobie to wszystko na rozwartą dłoń, potarł ręką o rękę i roztartą maść położył na nogach Bronisza. Ten poczuł wyjątkową ulgę, przymknął z błogim uczuciem oczy i na chwilę faktycznie mógł zapomnieć o swoich rozległych, głębokich ranach, jakie wyniósł z krwawej potyczki z pogańskimi plemionami pomorskimi.

– Jestem Leszy, pan tego lasu! – zaczął mężczyzna, przyglądając się mu z uwagą.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! Jesteś żywy? – zapytał cicho Bronisz, truchlejąc na widok jego przerażających, białych źrenic, zwróconych teraz wyraźnie w swoją stronę. – Czy to tyś mnie uratował od niechybnej zguby tam, na polach, wśród stosów trupich?

– Tak, to ja! – Leszy odpowiedział mu tubalnym głosem. – Jestem duchem! I panem lasów, puszczy oraz borów wszelakich! Jeśliś zgrzeszył przeciw jego mieszkańcom, zginiesz w mękach. Lecz – jeśliś człek prawy i ratowałeś zawsze niewinne stworzenia leśne,

masz u mnie dług wdzięczności i zawsze pomogę tobie!

– Duchem? Jakże to, panie? Czuję twoje silne dłonie i oddech, kiedy mnie opatrujesz, widzę twoją twarz. – Bronisz uważnie spojrzał w przezroczyste oczy Leszego.

– Odważny–ś! – odrzekł tamten z podziwem. – Niejeden na twoim miejscu już by nie żył!

– Wiem, panie, lecz ja mam czyste serce i niczego lękać się nie muszę, a jedynie wdzięcze–n ci jestem dozgonnie za pomoc i ratunek, jaki mi okazałeś!

– Tyś tym samym odpłacał całe swoje życie, ratując każde napotkane zwierzę, pomagając mu i opiekując się nim. Moi poddani nie zapomnieli tego, coś im uczynił! Oni jedyni nigdy się nie mylą w ocenie człowieka!

– Czy ty jesteś naprawdę?

– Tak, jestem.

– Jednak mnie nie godzi się rozmawiać z tobą, jam człowiek małej wiary, lecz się jej przenigdy nie wyrzeknę!

– Bądź spokojny, Broniszu, twój Bóg mnie tu wysłał, do ciebie, by ci pomóc i uratować.

– Jakże to, panie?

Lecz Leszy już mu na to nie odpowiedział, tylko skończywszy opatrywanie ran i zawiązywanie przyniesionych, wypranych w leśnym strumieniu i wysuszonych na słońcu szmat na nogach, wstał ciężko, oparł rękę na grubym konarze, po czym wymownie skierował głowę w stronę zagajnika.

– Wystrzegaj się jej! To zła Nocnica. Będzie cię

zwodzić i sprowadzać na manowce, przybierając różne postacie. Nie ulegnij pokusie, Broniszu! – Po chwili namysłu powiedział jeszcze – No, nic, tyle starczy... Na mnie już czas! Zrobiłem, co do mnie należało. Rany twoje nadal są rozległe i głębokie, ale już nie jęczą się i nie ropieją. Oddaliłem zakażenie i gangrenę. Przeżyjesz z pewnością, bo Bóg cię kocha. Nakazał cię ocalić, bo wielkie rzeczy masz jeszcze uczynić dla Jego chwały. Będiesz żyć! Na wszelki wypadek zostawiam ci jednak do ochrony mego serdecznego druha. Będzie cię strzegł.

Bronisz odruchowo rozejrzał się zaciekawiony dookoła, lecz nikogo nie spostrzegł. Leszy uśmiechnął się lekko, przygarbił jeszcze bardziej i odszedł spokojnie w dal.

Drzewa zaszumiały i nagle część z nich poruszyła się i zbliżyła powoli do leżącego rycerza. Formułując postać wielkiego człowieka z drzew, liści i krzewów, część lasu zbliżyła się do ucha broniszowego i powiedziała szeptem: – Jestem Dobrochoczy i moim zadaniem będzie cię strzec, mości rycerzu, póki nie wyzdrowiejesz!

– Ktoś ty? – zdumiony rycerz przyglądał się dziwacznemu człowiekowi, uformowanemu w całości z drzew i liści, nie mającemu ani osobnej twarzy, oczu, ni rąk.

– Pomocnik Leszego, duch lasów i puszczy, mój panie! – odpowiedział tamten i spoczął obok, układając się do snu. Bronisz także poczuł się niezwykle znużony tym, co tu widział i również zapadł w głęboki sen.

Taniec dziewczyny i znana mu już muzyka przy jasnym blasku Księżyca wybudziły go po kilku dniach kolejny raz. Jednak tym razem jego serce ścisnęło się na widok szalejącej przed nim postaci. W grubej chuście na głowie, z wymykającymi się spod niej niesfornie złotymi kosmykami, w bordowej aksamitnej sukni, obszytej złoceniami ujrzał stęskniony miecznik w poświacie księżycowej tak ukochane rysy.

– Adelciu! Moja złota... – wyszeptał cicho z czułością.

A ona, jakby tylko na to czekała – podbiegła bliżej. Zaśmiała się, ukazując piękne zęby. Pochyliła się, pochwyciła mocno w obie dłonie jego nieogoloną, brudną twarz. Spojrzała uważnie w jego źrenice, próbując pocałować zmartwiałe usta. Bronisz z przerażeniem zobaczył obce, szare, wielkie oczy przebiegłej demonki. Odwrócił się z odrazą. A ona natychmiast przemieniła się w wysoką, długonogą Nocnicę z rozwianymi włosami, w czarnej sukni, przepasaną białymi płótnami i – śmiejąc się złowieszczo – zawołała do niego:

– Będiesz mój, obaczysz! Nie dziś, to jutro, ale będziesz mój!

– Odejdź, maro przekłeta! W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego! A kysz! – strwożony Bronisz z trudem podniósł prawą rękę i niemrawo przeżegnał się.

A ona nadal z tym samym śmiechem tańczyła w szale i tak odbiegła w zarośla. Wokół znowu zapanowała cisza.

Kiedy ranny rycerz obudził się ponownie, panował

już środek dnia. Nad bagniskami unosił się gęsty obłok mgły i oparów. Giermek siedział w pobliżu, na okazałej kępie z gęstego sitowia, i czyścił spokojnie miecz Bronisza. Na odgłos budzącego się rycerza, szybko odwrócił głowę w jego stronę.

– Widział–żeś ich, Gniewoszu?

– Kogo, panie?

– Demony! Były tu przy mnie i gadały ze mną.

– Nie, panie, nie widziałem ani też nie słyszałem nikogo.

– A gdzie–żeś się podziewał przedtem?

– Przyniosłem sporo gałęzi i chrustu na ognisko. Szukałem też po lesie jedzenia, lecz zbierać mogłem tylko nieco jagód. Trza będzie upolować jakiegoś zwierza.

Na te słowa złowrogo zaszumiały wysokie drzewa dookoła obu zbrojnych. Zrozumiał mądry miecznik ten poszum lasu.

– Nie, Gniewciu, nie musimy jeść mięsiwa!

– Lecz, panie, słaby–ś wielce, opadłeś całkiem z sił i straciłeś dużo krwi. Musisz wydobrzeć.

– Nie martw się o mnie – z uśmiechem odpowiedział strudzony rycerz. – Przeżyję. Bóg pogański Leszy przyszedł do mnie, gdym leżał w gorączce i zakazał mi zabijać jakiegokolwiek zwierzęta, inaczej nas tu zatraci!

Giermek spojrzał na niego z troską:

– To zwidy nocne, panie! Albo i łochynie. Te słodkie, zdradzieckie owoce rozum mieszają! Wszak nie ma takiego boga!

– Też żem tak myślał, ale stał tu, obok mnie, widziałem go, jak i ciebie teraz widzę! Gadał ze mną. Miał trupa twarz i gałęzie zamiast włosów! Opatrywał moje rany! – wskazał stanowczo starannie owinięte w bandażę z lnianych płócien nogi, próbując dowieźć prawdziwości swoich słów.

– Boże Wszchemogący! – zawołał z przestraczem giermek, czyniąc zamaszystym ruchem znak krzyża i patrząc na opatrzone rany.

Bronisz rozejrzał się dookoła.

– Ileśmy czasu tu spędzili? – zapytał.

– Nie wiem, panie.

– Będzie ze trzy niedziele?

– A jakże! Nawet i więcej!

– To niedobrze! – zamyślił się miecznik. – Czas nam wracać. – Spróbował podnieść się na swoich ranionych rękach i podciągnąć nogi, aby wstać, lecz zaraz opadł zmęczony na sitowie. – Nie dam rady...

– Panie, musi–m tu zostać. Tam wkoło ziemie Obodrytów, ubijają, jak nic, kiedy tylko nas obaczą! Musi–m wydobrzeć i dopiero wtedy pojedzie–m!

Bronisz niechętnie przytaknął, przyznając mu rację. Pozostali zatem jeszcze kilka tygodni na rozległych bagnach, stopniowo dochodząc do siebie i lecząc głębokie rany, wyniesione z bitwy. Żywili się jagodami, grzybami oraz borówkami, unikali natomiast kusząco pachnących, dzikich łożyni, odbierających jedzącym je w nadmiarze zmysły i rozum, które swym winnym aromatem



przyciągały okoliczne owady. Gniewosz znalazł gniazdo dzikich pszczoł i czasami ubierał z niego nieco miodu, w zamian przynosząc owadom pod dziuplę stosy świeżych kwiatów, jakby to miało stanowić jałmużnę dla pracowitego roju.

Kiedy wydobrzeli już na tyle, aby samodzielnie poruszać się i wstać, podjęli decyzję o wyjściu i opuszczeniu tego gęstego lasu.

Po kilkugodzinnym, forsownym marszu, stanawszy wreszcie na jakiejś drodze, ze zdumieniem zobaczyli na jej odległym rozwidleniu postać niewielkiego człowieka. Przybliżyli się do niego podejrzliwie, bo nieznajomy widocznie machał ku nim ręką i najwyraźniej nawoływał, aby czym prędzej podeszli, co też uczynili. Był ubrany w szare, płócienne odzienie, tunikę z kapturem zarzuconym na głowę i długie spodnie, przepasany był szerokim skórzanym pasem, z twarzą okrągłą, porośniętą gęstą, siwą szczecina, z oczami dziwnie rozmieszczonymi po bokach swego dziwaczego oblicza, jakby miały lada moment wpaść mu do wyjątkowo szerokich uszu, wystających spod kaptura. Łypał na nich wielkimi oczami o niezwykle ostrym wyrazie. Twarz jego wyglądała, jak talerz głęboki, cała była wklęsnięta ku środkowi, a tylko same oczy wymykały się z tej przeogromnej „misy” i uciekały na zewnątrz, co sprawiało niesamowite wrażenie. Machając nadal ku nim ręką stał i czekał na ich podejście. Nagle rzekł dziwacznie zniekształconym, prawie dziecięcym głosem:

– Pójdźcie ku mnie, dobrzy ludzie! Bliżej! Bliżej! Przybywacie z daleka, wiem to. Idźcie tamtędy! – pokazał drogę na lewo od skrzyżowania leśnych dróg, na którym sam stał.

Bronisz spojrział w górę, lecz gęsty las i panujący w tej części lasu półmrok uniemożliwiały mu dostrzeżenie słońca. Wtedy rozejrzał się dokoła i pokazał nieznanemu pobliskie drzewa porośnięte tuż przy ziemi gęstym mchem.

– Mech wskazuje, że północ jest tam! – pokazał ręką i spojrział na niego badawczo.

Nieznajomy zacisnął wargi i zmarszczył brwi, lecz szybko przybrał łagodniejszy wyraz twarzy i znowu pokazał tę samą, co poprzednim razem, leśną drogę.

– Tam macie iść, panie! Tamtędy!

– A czemuż to?

Nieznajomy nie odpowiedział.

– Ktoś ty? – Bronisz spojrział na niego uważnie.

– Pomagam ludziom zbłąkanym.

– Zali wżdy?

– A jakże!

– Czemuż nas zatem sprowadzasz na błędne szlaki?

– Gdzie bym i śmiał, panie!?! – nieznajomy zerknął na niego spode łba, spuszczać głowę i próbując przybrać pokorny ton.

– Tam, dokąd nam iść każesz, jest wszak północ i wrogie nam plemiona obordyckie, które nas tu przywiodły na zatracenie, tam zatem nasza zguba! A ty nam tamtą

drogę uparcie wskazujesz?! Cóż mi i na to rzekniesz?

Nieznajomy spojrział niepewnie w bok, jakby szukając tam wsparcia i nagle krzewy obok niego zatrzęsły się niebezpiecznie. Rycerz cofnął się i szybko pochwycił za miecz, przekonany, że nieznajomy wciągnął ich w kolejną pułapkę pogańskiego ludu, ale z krzaków wybiegła znajoma mu już postać kobieca w czarnej sukni. Tym razem bez dźwięków muzyki, tylko trzymając tamburyno i uderzając w nie rytmicznie, poczęła skakać i szaleńczo tańczyć dokoła stojących na drodze. Dziewczyna wpijała swe wielkie, szare oczy w rycerza i zaskoczonoego Gniewosza, uśmiechając się przy tym zaczepnie.

– Co tu robisz o tej porze, wiédźmo przekłéta?! – ryknął do niej oburzony Bronisz. – Idźże precz ode mnie!

– Zginiesz tu marnie, będziesz mój, obaczysz, rycerzyku! – powtarzała z uśmiechem i nadal tańczyła dokoła ich obu szaleńczo.

Z oddali usłyszeli coraz głośniejszą muzykę i w jej rytmie dziewczyna wyciągała nagie ręce ku pobliskim krzewom, z których wyskakiwały jej siostry, tak samo, jak i ona, ubrane i też podejmowały ten sam obłąkany taniec, a nieznajomy niski człek na pokracznych nogach dołączył do nich i niemrawo począł przebierać swymi krótkimi nóżkami, wyginając swe nieporadne ciało to w jedną, to w drugą stronę. Niektóre z dziewczyn stopniowo zaczęły przystawać i nieoczekiwanie przemieniać się w znajome, tak bliskie sercom i od dawna już nie widziane przez obu

dzielnych wojaków kobiety: w ich matki, siostry, wreszcie – ukochane. Jedna z nich, w dumnej koronie, upiętej na czubku głowy z dwóch grubych, czarnych warkoczy, przybrała postać Jadwigi i zbliżyła się do Bronisza i całując jego dłoń swymi przepięknymi, czerwonymi ustami, wbiła wargi w jego skórę, po czym tak schylona spojrziała na niego w górę, mówiąc ponętnie: – Broniu, kochanku mój, czy mnie poznajesz? Jam ci to, twoja jedyna!

Bronisz spojrział na nią przerażony i odepchnął mocno ręką. Kobieta upadła na leśne pokrycie i zaczęła głośno zawodzić, udając głos jego dawnej narzeczonej.

– Kochałam cię ja całym moim sercem! Życie gotowa–m była oddać za ciebie! I jakie–ś mi się za to odpłacił, niegodziwcze?! Zhańbiłeś moją miłość, oddałeś serce jakiejś wywłoce z ziem niemieckich, podeптаłeś moją chusteczkę, wyhaftowaną na turniej specjalnie dla ciebie z miłości nieskończonej! Na oczach całego świata wyśmiałeś moją miłość! A ja–żem ciebie tak kochała! Tak–żem wierzyła, że i ty mnie miłujesz! Tyleś mi obiecywał! Tyle–ś mi cudnych słówek szeptał wieczorami do ucha. Tyle–ś mi darować miał w naszym wspólnym życiu! Ja nadal mam twój pierścień na palcu, nadal noszę w sercu to wspomnienie i miłość... – W miarę mówienia, jej głos przybierał coraz bardziej histeryczny wydźwięk, tak że w końcu krzyczała do niego okropnym głosem, przeplatając słowa bolesnym rykiem.

Rycerz spoglądał na nią niechętnie, a tańczące

dookoła kobiety dodatkowo zaczęły go niezmiernie denerwować. Już miał przerwać te wywody demonicznej wiedzy, kiedy nagle u jego nóg pojawiła się ukochana twarz Adelci. Tym razem była w zielonej aksamitnej sukni i takim-ż czepek na ślicznej głowie, wyglądała zatem dokładnie tak, jak ją pierwszy raz obaczył na płockim dworze księcia Krzywoustego. Czołgając się po ziemi, przyparła mocno do jego stóp i uniosła głowę.

– Brońciu, luby mój, a tęskniłeś za mną choć trochę?  
– zapytała słodkim głosem.

Łzy napłynęły mu do oczu i gardło ścisnął żal przeogromny.

A ona mówiła dalej:

– Kocham ciebie tak mocno, a ty mnie ani nawet krzty! – powiedziała z wyrzutem i zaczęła przekomarzać się, ukazując śnieżnobiałe zęby i urocze dołeczki w policzkach. – Na dworze powiadali, żeś ty nie dla mnie do Krakowa przyjechał, że nie dla mnie ślub wziąłeś i na zamku księżnej, pani naszej, zamieszkałeś...

Nagle tamta, wyglądająca jak Jadwiga i leżąca dotąd w płaczu na drodze leśnej, zerwała się i rzuciła w szale na Adelcię.

– Odstąp od niego! Mój jest! Zawsze był! Mój! Wara ci od niego!

Adela, jakby tylko na to czekała, zerwała ze swej głowy uroczy toczek i z rozwianymi, złotymi, jak dojrzałe zboże włosami, zaczęła histerycznie krzyczeć, szarpiąc tamtą dziewczynę za jej dorodną koronę, splecioną z

wielkich, czarnych warkoczy i zdzierając ją z głowy Jadwigi. Obie kotłowały się tak czas jakiś na pobliskiej polance, tuż pod nogami oniemiałych rycerzy, krzycząc przy tym nieprawdopodobnie, a kolejne demonki dopadały do nich z dziką ochotą i szarpały się także. Z oddali dobiegała ciągle ta sama, szaleńcza, jednostajna muzyka i niektóre Nocnice nadal tańczyły wraz z małym karłem Bełtem w jej rytmie.

Uczył się niewiarygodny wrzask i krzyk. Po kilku minutach ze śmiechem wiedźmy zaczęły czule się obejmować i całować namiętnie w usta, spoglądając z ukosa na obu przerażonych zbrojnych. Bronisz ochłonął po pierwszym wrażeniu, kiedy zobaczył ukochaną Adelcię, i szybko zwrócił swe kroki w stronę przeciwną do drogi, pokazywanej mu wcześniej przez dziwaczego, małego stwora. Gniewosz uczynił to samo. Demonki przerwały swój dziwaczny rytuał i zawołały do małego człowieczka, nadal tańczącego w rytm muzyki, dobiegającej gdzieś z głębi lasu.

– Bełcie, pomóż nam, on ucieka!

– Nie ujdiesz nam, nie dopuści–m do tego, zatrzymaj się! – wrzasnął swym dziecięcym, krzykliwym głosem mały demon leśny i pognał błyskawicznie na króciutkich nóżkach za rycerzem.

Tymczasem zza zarośli wybiegł przed rycerza na leśny trakt dorodny bażant i wyraźnie począł dawać mu znak głową, by podążył za nim. Gniewosz przeżegnał się z przestachem. Bażant podszedł bliżej i obaj zbrojni

zobaczyli jego niesamowicie przenikliwe, czerwone oczy z wielkimi, żółtymi źrenicami. Ptak nagle zatrzepotał skrzydłami, jakby szykował się do lotu i wzbił tymi szybkimi ruchami obok siebie nieprzepastne kłęby kurzu oraz igliwia. Z tej kurzawy nieoczekiwanie wyłonił się oczom zdumionych wędrowców w miejscu stojącego tam wcześniej ptaka chuderlawy, łysawy człek z wystającymi spod cienkiej skóry kośćmi, jakby tylko z tych składało się jego całe ciało. Ubrany był w łachmany ozdobione pięknymi bażancimi piórami. Pokłonił się z szacunkiem obu zbrojnym, przykładając prawą dłoń do serca, zaś drugą wskazał pobliską polanę, skąpaną jeszcze w półmroku.

– Tędy, panie, idźcie tędy! – powiedział prawie szeptem.

– Boże, chroń nas! Boże, nie opuszczaj nas! Toż to przeklęty demon bagnisk i otchłani piekielnych, Jaroszek!  
– rzekł struchlały Gniewosz.

A tamten pokraczny człeczyna nagle zmienił wyraz twarzy, wyprostował się szybko, jego czerwone oczy zapłonęły i powiększyły się tak, iż prawie wychodziły z wychudzonej twarzy, zaśmiał się złowrogo, aż korony drzew zatrzęsły się całe, i z powrotem przybrał postać bażanta, wzbijając się w górę, ku drzewom, zawracając i próbując skrzydłami w locie uderzyć strwożonych wędrowców i zepchnąć ich ku zdradzieckiej polanie, pełnej głębokich bagien. Oni jednak zdążyli uskoczyć i upaść na drogę, a ptak poleciał dalej i zawrócił znowu. Do

leżących dobiegały ścigające ich równocześnie rozwścieczone, żądne krwi demonki nocne w rozwianych sukniach i zmierzwionych włosach, pełnych świerkowych i sosnowych szyszek.

Drzewa dookoła zaszumiały złowrogo. Bronisz ujrzał nagle ze zdumieniem idącego z wolna ku niemu pięknego karego rumaka, na którego błyskawicznie wsiadł, wciągnął nań swego przestraszonego giermka i szybko rozpędził konia, po czym gnał na oślep przez gęstwinę, w nocnym mroku, obijany przez krzewy i ostre gałęzie, a za nim i jego wiernym giermkiem gonił tłum rozpasanych, rozochoconych demonów leśnych. Ich głosy słychać było coraz bliżej i coraz głośniejsze, ciągle towarzyszyła im ta sama, uciążliwa muzyka i oszalały śmiech oraz piski bazancie żądnego krwi demona Jaroszka. Rycerzowi zdawało się, iż czuje już na swych plecach dotyk kończystych rąk lubieżnych Nocnic, lecz nagle za uciekającymi w popłochu jeźdźcami poruszył się wielki las i głosy ścigających ich duchów przybrały rozpaczliwy dźwięk, powoli tłumiony i przytłamszany, jakby ktoś zatrzymał ich i przydusił mocno do ściany czy pniaków.

– Wara wam od nich! – zagrzmiął donośny głos poruszonego lasu, który aż zatrzęsł się cały. – Ostawcie ich w spokoju! Wara!

Jeźdźcy oddalali się pospiesznie na południe i tylko co jakiś czas patrzyli poza siebie, jak leśny Dobrochoczy, pomocnik Leszego, kolejny raz wstawił się za nimi, ratując z opresji i podsyłając im szybkiego rumaka oraz



zatrzymując złe demony. Ochłonęli dopiero, kiedy wyjechali z boru na szerokie pola. Tu poczuli się bezpieczni. Ziemia śląska przywitała ich gościnnie. Na niej nareszcie odpoczęli czas jakiś, gotując się do dalszej, niebezpiecznej drogi.

## ROZDZIAŁ VI „ROZDARTE SERCA”

W dniu wyjazdu do Rzymu Adelajda nie czuła się najlepiej. Pożegnawszy czule kilka dni wcześniej swego męża, odczuwała dziwny niepokój w sercu, a w nocy znów straszna zmora ją gnębiła i spać nie dała – tym razem jakowyś rycerz na białym koniu w srebrnej zbroi taranował podczas turnieju rycerskiego zgromadzonych na trybunach gości, złorzecząc i bluźniąc przeciwko Bogu. Ona sama siedziała struchląła jego niecnymi, barbarzyńskimi wyczynami na balkonie księżnej pani i bezskutecznie szukała kogokolwiek wokół siebie. Zauważyła nagle pod kopytami jego rumaka białą część ni to sukna, ni to chusty, miażdżoną niemiłosiernie kopytami końskimi i dopiero obudziwszy się z płaczem, przerażona przypomniała sobie, że to przecież była haftowana chusteczka, jaką niegdyś rzuciła na kopię stojącego w szranki Bronisza zazdrosna Jadwiga, jego poprzednia narzeczona, i że jej podarunek został tak właśnie znieważony końskimi kopytami w błocie. Dysząc z trudem po tym niepokojącym śnie, Adelajda miała coraz gorsze przeczucia. I nie myliła się, niestety.

Księżna weszła do jej komnaty wczesnym rankiem z listem w dłoni. Miała bardzo smutną twarz, lecz przytuliła swoją dworzkę z wielką serdecznością i ucałowawszy ją w czoło, powiedziała:

– Adelciu moja kochana, złota, kochasz–że ty mnie

mocno?

Dworka, zdumiona tym zapytaniem, spojrzała na nią z niepokojem. Jej piękne, błękitne oczęta zaczęły drążyć niespokojnym spojrzeniem czarne oczy księżnej pani, które natychmiast pokryły się łzami. Wzrok Adeli padł na list, trzymany w drżącej dłoni.

– Pani, czy to dobre wieści? – zapytała szeptem, jakby jeszcze w nadziei, że może zdoła odwrócić zły los. Serce waliło jej w piersi, jak młot. Prawie czuła, jak się urywa i dusi jej gardło.

– Bóg nas zawsze wspiera, w doli i niedoli, Adelciu moja! Panienska Święta modli się za nami. Cześć i chwała Pannie Świętej!

– Cześć i chwała... – powtórzyła jak echo dworka i spojrzała uważnie na twarz swej pani.

– Jeśli nie zechcesz jechać ze mną do Rzymu, zrozumieć... – powiedziała smutno Agnieszka i ucałowała czoło dziewczyny. Podała jej czerwoną szarfę, tę samą, jaką wtedy, podczas turnieju, dała ona Broniszowi. Obwiązana była rzemieniem z dłoni ukochanego, z zatkniętym pierścieniem rodzinnym, otrzymanym od swej matki, dworki księżnej Berty Sabaudzkiej, jaki niegdyś Adelajda ofiarowała swemu ukochanemu. Trzymając teraz te zniszczone, pobrudzone pyłem bitewnym podarki w swych białych dłoniach, dworka popatrzyła w jej załzawione oczy i wnet zrozumiała powód zatroskania swojej pani, po czym ciężko opadła na łoże.

– Zginął jak rycerz, jak bohater! – powiedziała z przekonaniem księżna i spojrzała jej głęboko w oczy, siadając przy niej i chwytając ją silnie za drobne, wątłe ramiona. – Nie zdołał dojechać do margrabiego Albrechta. Plemię pogańskie Obodrzyców z Pomorza najpierw zagnało go w zasadzkę, a potem dopędziło jego oddział tuż przy granicy, nie dał rady stawić czoła tylu zbrojnym naraz... Walczył mężnie... walczył, lecz... – tu głos Agnieszki Babenberg załamał się. Przełknęła z trudem łzy, po czym mówiła dalej tragicznym głosem. – Zginął z bronią w ręku, jak przystało prawdziwemu, zacnemu rycerzowi. Trubadurzy i dziejopisarze czcić będą odtąd jego imię i jego czyny chwalebne. Pomódlmy się wraz z innymi damami o spokój jego duszy... Jutro będziemy już w Rzymie, tam damy na Mszę za niego i jego dzielnych towarzyszy. – Adelajda jakby nie słyszała już tych słów otuchy, wypowiedianych pospiesznie przez zaniepokojoną odmianą wyrazu jej twarzy Agnieszkę. Upuściła rzeczy, jakie zostały po jej ukochanym mężu, osunęła się bezwładnie na ziemię i zemdląła.

Księżna polska długo targowała się z myślami, ale w końcu zdecydowała, iż lepiej się stanie dla jej ukochanej dworki, jeśli żałobę przeżywać będzie podczas dalekiej podróży, w miejscach nowych i mało jej znanych, aby zająć czymś uwagę, szczególnie w pierwszych tygodniach po wieści o śmierci Bronisza. Agnieszka pamiętała bowiem zamiłowanie swej dworki do podróży. Naiwnie chciała w ten sposób zaprzątnąć choć na czas jakiś jej

uwagę. Dlatego też przygotowała i dla niej cały ekwipunek na długi wyjazd do Ojca Świętego, zaś na razie Adelcia jechać miała w specjalnym powozie z obszernym łóżem, aby wypoczywała sama w spokoju.

W dniu odjazdu dworka wyszła z zamku książęcego w czarnej sukni i takim—ż płaszczu lnianym, piękna, jak zawsze, lecz teraz pełna rozpacz i udręki. Miała na sobie wszystkie dary i emblematy, które niegdyś z miłością wręczyła swojemu ukochanemu miecznikowi i które teraz do niej wróciły jako dowód jego tragicznego odejścia. Trudno było jej pojąć do końca i zrozumieć to, się wydarzyło. Nie mogła uwierzyć, iż nigdy już nie zobaczy kochanych oczu, tylko w nią wpatrzonych, nie poczuje jego uścisku i nie ucałuje swego potężnego rycerza, klęczącego pokornie u jej stóp. Boleść i żal wielki przepełniały serce dworki, a zatem i innych dam oraz samej księżnej pani, kiedy spoglądały na jej przygarbioną pod ciosami tyłu nieszczęść sylwetkę. Przy czarnej sukni Adelajdy powiewała na wietrze czerwona szarfa z turnieju Bronisza.

– Jak się czujesz, Adelciu moja kochana? – spytała z troską księżna.

– Jakby mi ktoś serce wydarł i dalej żyć kazał! – odpowiedziała jej załamany głosem.

Księżna przytuliła ją serdecznie.

– Pani moja, przebac, lecz wiedzieć bym chciała... – Adelcia zaczęła niepewnie – bo mi źli ludzie wiele razy umysł mącili i po częstokroć mówili, żeś ty... że on... że

wy... – tu głos dziewczyny załamał się boleśnie na samo wspomnienie tamtych ciężkich chwil.

Agnieszka zrozumiała od razu, zdecydowanie i mocno potrząsnęła swą głową i, nadal trzymając ją w ramionach, odchyliła nieco twarz, patrząc jej mocno w oczy, po czym powiedziała do niej twardym tonem: – Ja wiem, co ci podli ludzie opowiadali o mnie i twoim ukochanym! Wierzaj mi, w piekle po wsze czasy cierpieć będą męki okrutne ci, co śmieli tak mnie obmawiać niesłusznie! Ja–m wielokroć go wypytywała, czy miłuje kogokolwiek prócz ciebie i czy cię krzywdzić nigdy nie będzie, boś mi bliższa niż siostra rodzona i przysięgał mi to na wszystkie świętości, żeś ty jedną jedyną panią serca jego! I o Jadwidze dawno już zapomniał! Na zawsze ją ze swego serca wymazał, aby tam dla ciebie miejsce przygotować... Nie wierz tym plugawcom, on był ci wierny i kochał szczerze! A ja miłuję ciebie, jak niegdyś, jak zawsze, boś mi bliższa, niżli siostra rodzona!

Po tych słowach ukochanej księżnej, Adeltcia przypadła jej do rąk, o zmiłowanie i wybaczenie prosząc, ucałowała pokornie pierścień księżnej, po czym lekko uśmiechnęła się ze smutkiem, kiwnęła wdzięcznie główką i przytuliła znowu do jej piersi. Wkrótce orszak Agnieszki wyruszył z Niemiec na południe Europy.

Powóz żałobnej damy dworu przez całą trasę jechał nieco wolniej od innych i co chwilę stawał w drodze, gdyż jego koła – nieprzystosowane do ciągłego wiezienia takiego ciężaru, jakim było wielkie i obszerne łoże oraz

spoczywająca nań białogłowa, do tego jeszcze pokaźne bagaże i kosztowności dla Ojca Świętego – ugięły się i pękały, wymagając ciągłej wymiany bądź naprawy. Stąd też droga do Rzymu była niezwykle uciążliwą dla księżnej pani, znosiła jednak te trudy z podziwu godnym spokojem. Przyświecał jej bowiem wyższy cel – walka dyplomatyczna na dworze papieskim o cześć i honor męża, bezprawnie wygnanego ze swej ojczyzny z całą ich rodziną. Tym celem starała się na razie zaprzętać całą swą uwagę.

Piękna dworka z początku spoglądała ze swego powozu z rozrzewnieniem na mijane austriackie sioła, pośród których kiedyś była wychowana. Ojciec Adelci, Ernest z Salzburga, wywodził się ze znakomitego szlacheckiego rodu Aufseß. W austriackim Salzburgu, należącym wówczas do Bawarii, pełnił funkcję kasztelana, czyli tamtejszego komesa grodowego. W herbie tej dynastii znajdowały się dwa niebieskie i jedno białe pole z zaznaczonym na nim czerwonym kwiatem. Takie symbole rodowe nosiła też na medalionie, zawieszonym od urodzenia na szyi, piękna Adelcia. Ojciec jej był człowiekiem niewysokim, z lekko falowanymi, jasnymi, zaczesanymi do tyłu włosami w kolorze dojrzałych kłosów zbóż, miał niebieskie oczy, do tego ponad oczami miał delikatnie ułożone, jak u niewiasty brwi, cerę jasną i stąpał krokiem swobodnym, jak gdyby tanecznym. Z wyrazu twarzy oraz samej postawy łatwo było zgadnąć, że serce miał czyste, intencje

szczerze i wyjątkową dumę szlacheckiego urodzenia – był niezwykle skromnym i dumnym zarazem człowiekiem.

Żona, Jowita, powiła mu siedmioro dzieci. Była kobietą życzliwą i serdeczną, o dobrym sercu i łagodnym spojrzeniu szarych, wielkich oczu. Z pięknym złotym warkoczem, zaczesanym do tyłu i upiętym dookoła twarzy, sprawiała wrażenie świętej, która zstąpiła na jedną zaledwie chwilę na ziemię w świecącej silnie na spoglądających nań aureoli. Pochodziła ze zubożałego rodu szlacheckiego Geroldonów, wywodzącego się od sławetnego Gerolda z Vinzgau. Jowita Bawarska, dawna dama dworu księżnej Berty Sabaudzkiej, babki Agnieszki Babenberg, potrafiła przekazać swoim dzieciom wielką miłość oraz poszanowanie prawa i szlachečne usposobienie.

Niestety, najazd plemion barbarzyńskich, w tym straszliwych i morderczych Połowców na Węgry, sięgnął aż do tych ziem, spustoszył tereny Salzburga i podczas walk zginęła dobrotliwa matka kilkuletniej wówczas zaledwie Adelci. Zrozpaczony ojciec zajął się wtedy opieką nad swoją liczną i osieroconą teraz niespodziewanie rodziną, zaniedbując poważnie sprawy państwowe, co zarzucał mu często jego młodszy brat, żądny władzy Hugon Salzburski. Zebrał on wkrótce awanturniczą grupę zbrodniarzy oraz spiskowców i potajemnie wkradł się do zamku, aresztował zaskoczonych Ernesta i wkrótce zgładził go podstępnie w lochu, po czym zagarnął jego stanowisko, zaś dzieci



zamordowanego rozdzielił i odesłał do wieśniaczych domów na wychowanie. Adela na szczęście była już wtedy oddana na dwór nieco starszej od siebie margrabianki austriackiej, Agnieszki. Oburzeni poddani sprawiedliwego i skrycie zamordowanego komesa wszczęli powstanie i obalili zbrodniczego Hugona, którego wkrótce wygnano z kraju.

Podczas przejazdu księżnej przez ich ojczyznę, Austrię, na ich orszak niespodziewanie napadli zbójcy. Banda rzezimieszków uderzyła znienacka wczesnym rankiem, tuż po wyjeździe z przygranicznego grodu, grabiąc i paląc oraz wywożąc, co się tylko da. Przekonani o pewnych łupach, wiezionych w bogatym powozie z olbrzymimi kołami, postanowili tę część orszaku księżnej otoczyć, aby oderwać od reszty wozów i porwać. Niefortunni podróżnicy całego orszaku zaczęli w bezwładnej panice uciekać. Złodzieje jednak nie dali za wygraną i ruszyli w pościg przez pola ziemi salzburskiej. Nieoczekiwanie doszło do kolejnego napadu innej bandy złodziejskiej, grasującej w pobliżu, a w harmiderze i zamieszaniu powóz z Adelajdą zniknął. Towarzyszący dworowi Agnieszki rycerze mężnie bronili całego konwoju, ale w kurzawie, gęstym dymie i mgle porannej zaczęły zniknąć z oczu poszczególne części orszaku książęcego. Kiedy pył opadł i słońce rozjaśniło całą okolicę, nadaremnie szukano powozu z ukochaną dworką. Jakby zapadł się pod ziemię! Zrozpaczona Agnieszka Babenberg wysłała gońców, aby szukali dalej, jednak

musiała wypełnić swoją dyplomatyczną misję, zatem z wielkim bólem i niepokojem w sercu pojechała dalej do Rzymu, gdzie oczekiwał na nią sam papież, zatem zbyć tego spotkania ani też go przełożyć na terminy późniejsze nijak nie mogła. Dopiero po jakimś czasie zorientowała się, że nie ma z nimi także dwóch rycerzy: Dobiesza i Przybysława i nie zostali oni odnalezieni na polu bitwy po starciu z rabusiami.

Ci plugawcy tymczasem, wykorzystując napad zbójców, wieźli w dół doliny, za rzeką, odciągnięty przedtem przez złodziejską bandę powóz ze śpiącą Adelcią, aby ją wywieźć jak najdalej, w odludne miejsce i zhańbić, jak sobie obaj już dawno temu obiecali, zazdrośni o względy, jakimi obdarzała dotąd tylko Bronisza. Nareszcie nadarzyła się sposobność, więc postanowili skorzystać z tej niebywalej okazji.

– Teraz odplaci mi ta białogłowa dzierlatka hańbę, jaka przylgnęła do mego imienia na wieki! – powtarzał złowrogo Przybysław. – Dziś wynagrodzi mi wstyd, jakiego–m doznał, kiedy mnie jej luby, przekłety miecznik piastowski, pokonał w pojedynku podczas rycerskiego turnieju na oczach wszystkich dam dworu!

Pogrążona w smutku dziewczyna drzemała, lecz wybudziła się już i zauważyła w końcu, co dzieje się z jej powozem, zaś wyjrzawszy, zobaczyła ich nabrzmiałe od trunku, czerwone i pałające niegodziwą żądzą twarze. Zrozpaczona poczęła nawoływać pomocy tragicznym głosem w nadziei, że ktoś w końcu ją usłyszy. A oni

roześmiani i rozochoceni, jechali coraz szybciej na koniach, ciągnących jej powóz, przekonani o swej wygranej, o rychłej realizacji podłego planu. Nagle z oddali usłyszeli odgłosy zaciętej walki ich orszaku z drugą złodziejską bandą. Próbowali zawrócić, lecz spłoszone konie poniosły, i tak pędząc na oślep czas jakiś, w końcu zrzuciły ich z całym impetem na ziemię, a olbrzymi powóz wywrócił się. Konie w końcu wyswobodziły się z poszarganej i porozrywanej walką z rabusiami uprzęży, po czym błyskawicznie pognały dalej.

Dama dworu wypadła z krzykiem z powozu, zemdląła upadając i tak leżała nieprzytomna, w swej czarnej sukni, z rozwianym włosom, piękna, jak zawsze, na świeżej trawie. Podpełzł do niej niemrawo ranny w głowę, pijany Dobiesz, dysząc z żądy, brudnymi rękami począł dotykać sukni i nóg, lecz nagle silny cios w tył głowy obalił go całkiem na ziemię i tak skonał, dobijany kilkakroć, w potwornych mękach. Przybysław od razu po ocknięciu się ujrzał bandę uzbrojonych chłopów i zubożałych rycerzy, stojących wokół ich rozbitego powozu i zabijających jego pijanego druha, więc próbował uciekać, ale obie ranne nogi mu to uniemożliwiły, zatem czołgał się tylko niemrawo, krzycząc daremnie o darowanie mu życia. I jego spotkał okrutny los kompana. Dziewczyna tymczasem powoli odzyskiwała świadomość i coś mamrotała, podnosząc obolałą głowę.

Jeden ze zbójców podszedł z krzywym uśmiechem,

aby zerwać jej z szyi złoty medalion, jaki zaczął pobłyskiwać między koronkami czarnej sukni i podniósł miecz, by zaraz potem ją zabić, ale nagle krzyknął z przerażeniem i odskoczył w bok, upuściwszy broń. Wszyscy wkoło, uzbrojeni i dyszący żądzą łupu, stali, jak zahipnotyzowani i patrzyli w osłupieniu na klejnot, leżący przy dochodzącej do siebie z wolna pięknej pani w czerni. W końcu podszedł do nich z oddali większy wzrostem brodacze i podniósłszy powoli medalion powiedział wzruszony: – Boże Wszchemogący! Jezu Najśłodszy! Dzięki Ci! Toż to nie kto inny, tylko córka naszego miłościwego pana! Panna Adelajda Salzburska, córka kasztelana Ernesta Aufseß!

Inni też oglądali klejnot z charakterystycznym wizerunkiem – dwoma niebieskimi i jednym białym polem z zaznaczonym na nim czerwonym kwiatem róży.

Padli przed nią na kolana w pokorze i pokłonili się z szacunkiem, ale zmęczona ostatnimi wydarzeniami Adelajda rozejrzała się tylko nieprzytomnie wkoło i z powrotem opadła zemdlona na trawę.

Zbójcy dokładnie obszukali obu zgładzonych lubieżników oraz cały dobytek, rozrzucony wokół rozbitego powozu, należącego do polskiej księżnej Agnieszki, pozabierali co kosztowniejsze przedmioty, w tym całą biżuterię, a pozostałe rzeczy, wraz z ciałami zabitych rycerzy, szybko podpalili, aby nie pozostawić śladów swej zbrodni. Uszli co prędzej z doliny ku wysokim pasmom górskim, rozciągającym się na północy,

uwożąc ze sobą na szerokich noszach przytwierdzonych do dwóch koni nieprzytomną Adelcię.

Tymczasem służba księżnej, ciągle wysyłana po najbliższej okolicy, aby odnaleźć zaginioną dworkę, odkryła w końcu ślady spalenizny, resztek powozu i czepka oraz sukni Adelci, a także kilka zwęglonych ciał, po czym powiadomiła Agnieszkę Babenberg o napadzie innej bandy zbójców, grasujących w tej okolicy, którzy najwidoczniej powóz dworki odcięli od ich orszaku, uwieźli dalej, przejęli, ograbili, po czym puścili z dymem, zaś osoby nim jadące okrutnie zabili. Księżna ciężko przyjęła tę wiadomość, nakazała naprędce przygotować groby i pochować zwęglone ciała i przez dni kilka podczas przejazdu do Włoch otrząsnąć się nie mogła z rozpacz, gdyż sama sobie wyrzucała zaniedbanie i niedostateczną ilość straży, jaką zabrała ze sobą do obrony w tak niebezpieczną podróż, wreszcie – żałowała samego faktu usilnego namawiania Adelci do tej podróży, która przecież miała przynieść jej ukojenie po śmierci męża, a przyczyniła się do tragicznego odejścia dziewczyny do domu Pana Najwyższego w Niebiesiech. Musiała jednak skupić się na misji o wadze państwowej, z jaką tu przybyła, dlatego z ciężkim sercem starała się o tym tragicznym wydarzeniu na razie nie myśleć.

Papież przyjął księżną z honorami właściwymi najwyższemu głowom koronowanym i od razu zgodził się z jej zdaniem, a nawet zdecydował poruszyć tę sprawę powrotu księcia piastowskiego Władysława Drugiego na

odebrany mu tron krakowski na synodzie w Reims, zaś legat papieski, Gwidon, cofnął natychmiast klątwę ciążyącą dotąd nad seniorem Władysławem i obłożył z kolei ekskomuniką zbuntowanych braci juniorów oraz wspierających ich polskich duchownych. Nic to jednak nie dało, albowiem polscy dostojnicy świeccy i kościelni, ku zrozumiałemu skądinąd zaskoczeniu i oburzeniu Ojca Świętego, nie przejęli się zbytnio tą ekskomuniką, postawą papieża oraz jego poparciem dla seniora Piastów ani też demonstracyjnym omijaniem odtąd państwa polskiego przez rzymskich wysłanników, zaś załamany takim obrotem sprawy Wygnaniec nadal przebywał za granicą.

Po powrocie z Rzymu pogrążona w wielkim smutku księżna zorganizowała symboliczny pogrzeb swojej ukochanej dworki. Równocześnie nie zaprzestała też czynić zabiegów dyplomatycznych, mających zjednać ich rodzinie przychylność sąsiednich władców i swoich krewnych – błagała zatem o modlitwy swego najmłodszego brata, Konrada, który został właśnie biskupem Pasawy, a także – o pomoc swego bratanka, Henryka Hohenstaufa, syna króla Konrada Trzeciego, rządzącego teraz Niemcami w zastępstwie nieobecnego ojca. Na próżno. Po powrocie z Palestyny Konrad Hohenstauf, wycieńczony walkami z Turkami i odniesionymi ranami, a także przedwczesną śmiercią swego syna, wspomnianego Henryka, załamał się całkowicie i długo chorował, by w końcu, w 1152 roku

niespodziewanie umrzeć. Dalsze losy Wygnańców w Niemczech pozostały zatem ponownie pod znakiem zapytania.

Na dodatek w 1150 roku zmarła druga siostra Agnieszki o imieniu Berta, żona hrabiego Heinricha Trzeciego von Regensburga. Rok później, dzięki nieustannym staraniom dyplomatycznym Agnieszki, udało się nareszcie doprowadzić do bardzo korzystnego mariażu politycznego. Mianowicie w 1151 roku do Cesarstwa w Rzeszy przybyło poselstwo dopiero co owdowiałego cesarza Hiszpanii Alfonsa Siódmego Imperatora. Córka księżnej i wygnanego księcia piastowskiego, Ryksa Władysławówna, jako przyszła krewna cesarska po kądzieli, była idealną partią dla najpotężniejszego wówczas władcy na Półwyspie Iberyjskim. W 1152 roku odbył się ich ślub. W ten sposób Agnieszka Babenberg stała się teściową hiszpańskiego cesarza.

Tymczasem na tronie niemieckim zasiadł drugi bratanek Agnieszki ze strony jej matki, syn Fryderyka Jednookiego Szwabskiego, Fryderyk, zwany potocznie „Barbarossa”, czyli „Rudobrodym”, co na szczęście uchroniło jego ciotkę i całą jej rodzinę przez kolejną tułaczką. Nie interesował się on zbytnio prośbami Władysława Drugiego i jego żony, starając się raczej umocnić swoje panowanie w Europie, dlatego w 1155 roku pojechał z nową wyprawą do Rzymu, gdzie błyskawicznie pokonał wszystkich swoich rywali i

ostatecznie został koronowany na cesarza. W tej niebezpiecznej podróży także towarzyszył mu wierny sługa niemieckiego dworu, Bolesław, pierworodny syn Agnieszki.

Najstarszy syn margrabianki Babenberg i Władysława Wygnańca, był nadmiernie wysokim, rzecz wręcz można – olbrzymim człowiekiem. Przy tym twarz miał przystojną, wyraziste spojrzenie, ciemne włosy, zaczesane po bokach za uszy, małą brodę i wyraz twarzy pewny, dumny i wyniosły. Brał udział we wspomnianej już drugiej krucjacie, zaś potem także w wojnach włoskich sławetnego cesarza Fryderyka, gdzie przy obleganiu Mediolanu niezwykle rosły i silny rycerz włoski zaczął drwiąco upokarzać, wyśmiewać i kpić z rycerzy niemieckich, a jego samego prowokować, ostatecznie wzywając do stawienia mu czoła, zatem Piast Bolesław mężnie przyjął wyzwanie i w konnym pojedynku na kopie zabił olbrzyma z Mediolanu. Czyn ten rozślawił błyskawicznie jego imię w wojsku cesarskim i w całej ówczesnej Europie. Potomni nazywali go przeważnie „Przystojnym” albo też „Wysokim”. Dumny był z niego i sam władca Rzeszy, jego daleki kuzyn.

Pierwszą żoną przyszłego cesarza niemieckiego, Fryderyka Barbarossy, była margrabianka Adela von Vohburg, córka Dypolda Trzeciego von Vohburg i córki polskiego możnowładcy, Adelajdy. W 1147 roku została ona księżną Szwabii, zaś w 1152 roku odbyła się jej koronacja na królową Niemiec. Między dalekimi



przodkami obojga istniało bliskie pokrewieństwo, co skwapliwie wykorzystał przebiegły Fryderyk, niezadowolony z niezbyt urodziwej żony oraz braku potomstwa i zwrócił się do papieża z prośbą o unieważnienie małżeństwa pod pretekstem tegoż bliskiego pokrewieństwa, na co przymuszony przezeń Eugeniusz Trzeci wyraził w końcu zgodę i w 1153 roku przeprowadzono rozwód, po którym oboje zawarli nowe związki małżeńskie – Adela została żoną Dieto von Ravensburga, a Fryderyk pojął za żonę Beatrycze, hrabinę palatynkę bogatej Burgundii, zwaną od rodowej posiadłości „Burgundzką”.

Ślub przyszłego cesarza odbył się w czerwcu 1156 roku i już niespełna cztery miesiące później Beatrycze została koronowana przez arcybiskupa Trewiru Hillina von Fallemaniena na królową Niemiec, zaś 1 sierpnia 1167 roku otrzymała koronę cesarską z rąk papieża Paschalisa Trzeciego.

Beatrycze Burgundzaka zdecydowanie różniła się od swej poprzedniczki, Adelajdy von Vohburg. Starannie wykształcona i znająca biegle łacinę oraz języki obce, uwielbiała nowoczesność i żywo interesowała się sztuką, zachwycała ją literatura dworska i rycerskie zwyczaje, dlatego też podczas swoich rządów u boku Barbarossy za wszelką cenę starała się stworzyć na dworze Hohenstaufów ośrodek i centrum rozwoju kulturalnego ówczesnej Europy. Sprowadzała tam artystów, organizowała turnieje, przekazywała środki na budowę

nowych obiektów, była fundatorką wielu przedsięwzięć, jak chociażby kompleksy zamkowe czy pałacowe.

Zachwyciły ją zabytki rodzinnej Szwabii jej małżonka – okazały zamek Lichtenstein, usytuowany na olbrzymiej skale oraz katedra świętego Jana i Wawrzyńca w Merseburgu. Dzięki jej fundacjom i popieraniu wybitnych twórców, architektura i rzeźba zaczęły przybierać nowe kształty oraz formy, właściwe tylko tej części średniowiecznej Europy. W porównaniu do budowli ottońskich i salickich, okna w budowlach doby Hohenstaufów, dzięki sprowadzanym z zagranicy przez cesarzową artystom, były zdecydowanie większe i przybierały specyficzne, wysublimowane formy, pojawiały się w nich piękne rozety oraz delikatne dekoracje rzeźbiarskie.

Budowle średniowieczne, wznoszone na terenach Rzeszy podczas rządów Hohenstaufów, były przepięknie, choć z początku jeszcze dość oszczędnie rzeźbione, jedynie głównie przy swoich fasadach, portalach i oknach. Na dworze pary cesarskiej przebywali liczni minnesingerzy, czyli liryczni piewcy miłości i piękna, tu również Lamprecht z Trewiru przełożył na język niemiecki słynny epos francuski „Pieśń o Aleksandrze Wielkim”. Siedziby cesarskie zwano w wiekach średnich „Kaiserpfalz”, którymi zarządzali palatyni, a każda z nich miała trzy podstawowe części: najpiękniej rozbudowaną i zdobioną – pałacową, następnie – gospodarczą, gdzie mieszkająca służba, rzemieślnicy i chłopcy starali się swoją

pracą utrzymać dwór władcy na czas jego pobytu, a także część modlitewną – kaplicę. Królowie niemieccy oraz cesarze, podobnie zresztą jak i inni władcy średniowiecznej Europy, mieli zwyczaj ciągłego rezydowania swoich posiadłości, dlatego takich dworów monarszych w każdym państwie było co najmniej kilka.

Już same warunki koronacji oraz jej przebiegu czy miejsca były uzgadniane niezwykle szczegółowo, nieraz – całymi latami, jak to miało miejsce chociażby w przypadku wspomnianego właśnie cesarza Fryderyka Barbarossy. Władca musiał też dysponować odpowiednimi funduszami, gdyż koronacje królewskie i cesarskie oraz następujące bezpośrednio po nich uroczystości, związane z wystawnymi ucztami koronacyjnymi, były niezwykle kosztowne. Ten wybitny Hohenstauf bez wątpienia mógł sobie jednak na to pozwolić.

We wschodniej części Lasu Palatynackiego Barbarossa wzniósł swój piękny zamek obronny, Trifels, z dwoma okazałymi donżonami i potężną basztą. Zarządzał nim możnowładca nadreński, von Anebos, podobnie jak sąsiednim, w Anebos, wzniesionym dla obrony Trifelsu, stojącym na wysokiej piaskowej skale, zwanej „Grubą Głową”. I ten zamek miał charakterystyczną, wysoką wieżycę, górującą nad całą okolicą, oraz otoczony był głęboką fosą. Trzecim zamkiem z tego kompleksu budowli sławnego władcy był zamek w Scharfenberg, posiadający ponad dwudziestometrową wieżycę i

otoczony fosą. W Eifel, nad rzeką Elzbach, cesarz nadał należące do niego włości Rudolfowi von Eltz, chcąc w ten sposób wynagrodzić mu wierną służbę u swego boku. Rudolf wzniósł tam kolejny słynny zabytek romańskiej sztuki średniowiecznej z tego okresu – stworzoną z kamienia warowną rezydencję zamkową.

Na niewielkiej wyspie na Renie, w Bingen, stała inna zabytkowa budowla, pochodząca z zamierzchłego okresu rzymskich podbojów i związana z wczesnośredniowiecznym podaniem ludowym o Hattonie Drugim, okrutnym arcybiskupie Moguncji, który podczas swoich straszliwych rządów na tym terenie w X wieku ciemiężył poddanych, zmuszając ich do płacenia podatków i oddawania wszystkich zbiorów, a także – dopuszczając się na nich bestialskich zbrodni i wyszydzania do tego stopnia, iż pogardliwie przyrównywał swój lud do stada tępych myszy i dlatego w końcu spotkała go zasłużona kara, niezwykle zbliżona do tej, jakiej doznał również okrutny, a nadmieniany już na kartach tej księgi książę słowiański, Popiel – po kolejnej zbrodni został mianowicie zaatakowany przez olbrzymie ilości tych gryzoni, które pożarły go żywcem właśnie na owej Mysiej Wieży. W czasach Hohenstaufów zabytek ten stanowił kolejne miejsce rezydowania możnych oraz książąt podczas corocznego objeżdżania przez nich posiadłości państwowych.

W okresie rządów cesarza Fryderyka Pierwszego powstały także przepięknie usytuowane na wodzie zamki:

Hülshoff i Kakesbeck, hrabiowski zamek w Gießen, warownia z trzema basztami w Runkel o niezwykle istotnym, strategicznym znaczeniu, powstała na specjalne zlecenie cesarskie na stromym wzniesieniu nad rzeką Lahn, dalej późnośredniowieczno-gotycki zamek obronny na górze Königstuhl w Heidelbergu, Neuschwanstein – warowny budynek nad szeroką fosą, należący do lenników Rudobrodego, panów na Schwangau, następnie Plassenburg – przepięknie położony wśród niedostępnych puszczy zamek w mieście Kulmbach w Bawarii, dalej zamek Aichach – siedziba palatynów von Wittelsbach, a także imponujący kompleks obronny w Wewelsburg, wzniesiony przez grafa Friedricha von Arnsberga.

Najwspanialszym architektonicznym przykładem sztuki romańskiej doby Hohenstaufów było, zdaniem wielu ówczesnych oraz późniejszych kronikarzy, Opactwo Maria Laach – klasztor benedyktyński nad Laacher See w górach Eifel. Budowla owa była w 1093 roku fundacją księcia Palatynatu Reńskiego, Henryka Drugiego, i jego żony Adelajdy. Kościół ten miał trzy nawy i dwie części chóralne, zamknięte półokrągłymi absydami. Wewnątrz u sufitu znajdowało się sklepienie krzyżowo-kolebkowe z monumentalnymi gurtami, zaś okna były niewielkie, podobnie jak wszelkie zdobienia rzeźbiarskie w całej świątyni, natomiast poniżej jednego z dwóch chórów zbudowana została krypta z robiącą niesamowite wrażenie, olbrzymią kolumnadą, ozdobioną kapitelami z wizerunkami ludzkich głów i masek. Surowe ściany

bazyliki nadawały całej budowli tak typowej dla Średniowiecza monumentalności i ciężkości. W chórze zachodnim stworzono dodatkowo charakterystyczne, strzeliste wieże. Niewielkie okna zdawkowo dekorowały tę całą, wspaniałą i imponującą budowlę, upiększając ją jeszcze przez kolejne lata przez architektów i rzeźbiarzy, jakich sprowadzała tutaj prawdziwa mecenaska rozwoju sztuki i architektury, cesarzowa Beatrycze.

Przykładami sztuki religijnej doby Hohenstaufów były również imponujące niemieckie kościoły: Neuwerkkirche w Goslarze, Gelhnausen – wolnym mieście Rzeszy, założonym przez Fryderyka Barbarosę – był to kościół pod wezwaniem świętego Piotra oraz Marii Panny z charakterystycznym, wielobocznym prezbiterium, zwieńczonym arkadami, czy też piękny i imponujący Gross Saint Martin w Kolonii z wyjątkowymi, strzelistymi wieżycami.

Cesarzowa Beatrycze, wielka miłośniczka i znawczyni sztuki, doskonale rozumiała nie tylko potrzeby duchowe rozwoju kulturowego, ale także politykę, prowadzoną przez swojego męża i wspierała go zawsze w tym względzie. Była wierna i oddana każdej jego idei. Chętnie wyruszała z nim na wyprawy wojenne, była obecna przy morderczym oblężeniu Cremy w 1159 roku, brała udział w trzeciej, czwartej i piątej wyprawie włoskiej i walczyła wśród niemieckich rycerzy przeciwko Lidze Lombardzkiej, co wzbudzało podziw i uznanie wojsk cesarskich, a nawet wrogów oraz wprawiało w dumę jej

ukochanego małżonka. Brała także udział w spotkaniach dyplomatycznych swojego męża. Podczas walk w 1168 roku trafiła nawet do niewoli pod Susą, lecz z uwagi na niezwykłą, jak u białogłowy, waleczność i odwagę, wspaniałomyślnie darowano jej wolność, zwłaszcza że była wówczas brzemienną i wkrótce urodziła swoje szóste dziecko, księżniczkę Gizelę. Dała kochającemu ją ponad wszystko Fryderykowi aż dwanaścioro dzieci. Zmarła w 1184 roku w wieku zaledwie 45 lat. Ku ogromnej rozpaczycy jej męża. Pochowano ją wraz z córką Agnes w Katedrze Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny i świętego Szczepana w Spirze.

Tymczasem do księżnej polskiej z rodu Babenberg dotarła przykra wiadomość. Niestety, dwór książęcy Władysława i Agnieszki okrył się ponownie żałobą, gdyż nagle zmarła, prawdopodobnie wskutek niedomagań po ciężkim porodzie pierwородnego syna, Jarosława, późniejszego księcia opolskiego i biskupa wrocławskiego, synowa Agnieszki, żona jej najstarszego syna, męznego krzyżowca, Bolesława Wysokiego, księżniczka ruska Zwinisława Wsiewołodowna z dynastii Rurykowiczów. Wkrótce Bolesław Wysoki poślubił swą drugą i ostatnią żonę, Krystynę, niemiecką hrabiankę.

Nie było to dla nikogo tajemnicą, że pierwsza synowa babenberskiej margrabianki, Zwinisława, niezbyt dobrze czuła się na dworze niemieckim, a niespodziewane wygnanie przez żądnych władzy juniorów i życie na obczyźnie zdecydowanie jej nie służyło, podobnie jak cała

atmosfera, towarzysząca wcześniejszej walce o władzę w Polsce, buntowi juniorów piastowskich i poparciu ich przez możnych. Wielokrotnie podzielała zdanie swojej mądrej teściowej i tłumaczyła mężowi, że jego ojciec, książę Władysław, niepotrzebnie tak często ulegał prośbom młodszych braci. Według niej wygnanie juniorów oraz ich matki, Salomei, było jedyną pewną szansą na zjednoczenie całości ziem polskich pod jednym berłem legalnie rządzącego seniora. Szansę tę zaprzepaszczono, zatem mało było prawdopodobnym, aby udało się im wrócić do kraju. Ta pesymistyczna wizja młodej córki księcia kijowskiego, Wsiewołoda Drugiego Olegowicza, pamiętającej doskonale czasy sojuszu swego ojca oraz teścia w potyczkach z wrogami politycznymi w obu państwach, wielokrotnie oburzała jej teściową, księżną Agnieszkę, ponieważ ta dla odmiany nigdy nie utraciła głębokiej wiary w powrót swój i swego męża do kraju piastowskiego. Czas miał jednak pokazać, jak bardzo się wówczas myliła.

Piękna, złotowłosa Zwinisława zachwycała urodą i śmiałym spojrzeniem swych szarych oczu. Kochający ją bez wątpienia Bolesław Wysoki był jednak zmuszony ciągle podążać za swoim przeznaczeniem i zdobywać szlify rycerskie w służbie Fryderykowi Rudobrodemu, dlatego nieczęsto widywał swoją urokliwą żonę. A ta cierpiała bardzo w kraju wrogim sobie, z dala od pięknego Krakowa i mowy słowiańskiej, nie rozumiana przez nikogo, nawet przez teściową. Zmarła w Niemczech,



stęskniona za ojczyzną i słowiańskim otoczeniem.

Inaczej zgoła było z jej następczynią. Zdecydowana i silna Krystyna czuła się w swym żywiole, kiedy doszło do mariażu politycznego i została poślubiona Bolesławowi. Tak, jak i Zwinisława, była ona postawną, wysoką kobietą, miała jednak kruczoczarne włosy, zawsze upięte w silny, jeden wielki kok z tyłu głowy i zazwyczaj przysłonięty wielkim czepkiem z haftowanymi herbami swej rodzinnej Saksonii. Rozumiała doskonale polityczne zatargi, trwające obecnie w kraju Piastów, z którego wygnano jej męża i całą jego rodzinę. Inaczej niż jej poprzedniczka, gorąco popierała wyprawy wojenne Bolesława Wysokiego, jego wierne trwanie u boku jednego z najwspanialszych władców europejskich, dumna była z udziału małżonka w krucjacie i wyprawie po cesarską koronę dla Rudobrodego. Wiedziała, iż ich powrót do ojczyzny Bolesława Wysokiego to kwestia odległa w czasie, jeśli w ogóle – możliwa i dość łatwo pogodziła się z tym, że nigdy sama jej nie obaczy, gdyż życie na niemieckim zamku bardzo jej odpowiadało. Tego entuzjazmu i ukochania życia Wygnańców w Niemczech absolutnie nie podzielała teściowa Agnieszka, która ciągle powtarzała, iż nadal priorytetem w ich politycznych staraniach powinno być uzyskanie jak najszybciej możliwości powrotu do kraju i objęcie tronu krakowskiego. Jednak i u niej poczęły pojawiać się poważne wątpliwości...

Agnieszka była coraz bardziej załamana istniejącą

sytuacją, brakiem realnej pomocy ze strony sojuszników oraz trwaniem haniebnego wygnania. Księżna ta zawsze znana była z twardego charakteru, niezłomności i dążenia do celu za wszelką cenę. Ostatnie burzliwe lata i ciężkie przeżycia odbiły się jednak poważnie na wyrazie jej twarzy i rysach – pod koniec życia stały się one bardziej wyostrome, surowsze i mocniej zarysowane. Zniknęła dziewczęca nieśmiałość i wdzięk, spokój oraz dobrotliwy wyraz twarzy, a ich miejsce zajęły teraz surowość, zacięty upór i poświęcenie; głębokie zmarszczki przy oczach i na czole oraz bujne pukle siwych włosów dobitnie dowodziły, jak wiele zmartwień spadło w ostatnim czasie na tę drobną i wątłą, lecz – jakże silną duchem kobietę. Dodatkowo na stan jej zdrowia wpłynęła kolejna ciąża – w 1156 roku, w poważnym już jak na białogłową wieku 45 lat, powiła najmłodszego syna, Alberta.

Tymczasem cesarz Fryderyk Pierwszy wreszcie zdecydował się na konkretny krok – w roku 1157 Barbarossa ostatecznie podjął wyprawę zbrojną na Polskę, o którą dniami i nocami modliła się do Boga jego ciotka, polska władczyni i z którą księżna i jej wygnany mąż wiązali olbrzymie nadzieje. Cesarz odniósł tam wspaniałe zwycięstwo, co na dworze Wygnańców przyjęto z entuzjazmem. Z początku jednak wszystko wyglądało zgoła niepokojąco. Ówczesny władca Polski, chełpliwy Bolesław Kędzierzawy, zdecydował się bowiem na zastosowanie wobec niego niezwykle ryzykownej taktyki – chytre wciągnięcie w głąb kraju, otoczenie jego wojsk i

szybkie ich pokonanie. Nie zdało to jednak egzaminu, gdyż – dzięki brakowi jakiegokolwiek obrony ziem nadodrzańskich i spaleniu przez panującego Piasta największych przygranicznych grodów obronnych w Głogowie i Bytomiu – słynny niemiecki, jakże doświadczony wódz błyskawicznie zajął i złupił wielkie połacie kraju polskiego, a najstarszego brata przyrodniego Władysława Wygnańca obległ w końcu w Poznaniu, gdzie po bezskutecznej obronie Bolesław Czwarty Bolesławowicz ostatecznie musiał haniebnie kapitulować przed Fryderykiem.

30 sierpnia 1157 roku w Krzyszkowie Barbarossa zmusił nawet pobitego Bolesława Kędzierzawego do złożenia sobie hołdu lennego, obietnicy udziału w jego krucjacie w roku następnym i zapłacenia trybutu w wysokości 3400 grzywien srebra oraz do wysłania jako rękojmi polskich jeńców z wybranych rodów możnowładczych, w tym samego książęcego pogrobowca, najmłodszego syna Krzywoustego, księcia Kazimierza, nazwanego przez potomnych „Sprawiedliwym”. Sam jeniec przyjął to chłodno, lecz miał zawsze wielkie pokłady życzliwości i dobroci wobec innych, które i tym razem przewyciężyły boleść, jaką żywić począł wobec swego nieudolnego brata. Spokojne spojrzenie czarnych oczu, ciemnobrązowe włosy, rozdzielone na głowie na dwie strony, swobodnie spadające po bokach na uszy i część twarzy, lekko podkręcone u dołu przy szyi oraz gęsta, pełna skrętów, ciemna, długa do karku broda

czyniły z Kazimierza księcia surowego, lecz i dobrodusznego. Z jego oblicza były zawsze: godność i szlachetność. Współcześni podkreślali wyjątkowe poczucie humoru i inteligentne wypowiedzi tego władcy, przeplatane częstokroć dowcipnymi stwierdzeniami. Kazimierz był smukłym, świetnie zbudowanym młodzieńcem, który na razie jednak przebywać musiał z woli nieudolnego starszego brata w cesarskiej niewoli.

Niestety, za te ustępstwa ze strony najstarszego juniora Fryderyk Rudobrody zgodził się nieoczekiwanie na pozostawienie w rękach Bolesława dzielnicy senioralnej wraz z koroną i tronem krakowskim, co oburzyło zaskoczonych tym Agnieszkę Babenberg i Władysława, lecz byli oni bezradni. Nie zadowoliło ich upokorzenie hołdującego cesarzowi Bolesława Kędzierzawego ani też przyjazd Kazimierza Sprawiedliwego do Niemiec w roli zakładnika. Wprawdzie Rudobrody tłumaczył, iż wymógł na obecnym władcy Polski obietnicę oddania Władysławowi w przyszłości jego dziedzicznego Śląska, jednak nie były to pewne zobowiązania.

Rok 1157 przyniósł jeszcze jedną, nieoczekiwaną wiadomość – oto podczas walki obronnej przed Maurami zginął tragicznie zięć Wygnańców, cesarz hiszpański, wskutek czego Ryksa, ukochana córka Agnieszki i Władysława, niespodziewanie owdowiała. W Hiszpanii rozpoczęła się zacięta walka o koronę, zakończona ostatecznie podziałem państwa między synów zmarłego

Alfonsa z jego pierwszego małżeństwa: Sanchę i Ferdynanda.

Sytuacja na dworze Agnieszki pogarszała się coraz bardziej. Senior rodu piastowskiego, tak zdradliwie wygnany ze swej ojczyzny przez przyrodnych braci już ponad dziesięć lat temu, gnuśniał teraz na obczyźnie, daremnie czekając wciąż na jakiś cud i realną pomoc sąsiadów. Utył tak bardzo, że z trudem poruszał się po zamkowych komnatach, twarz jego przybrała wyraz zniechęcenia, potwornego znudzenia oraz zubożenia wobec wszystkiego i wszystkich; chorobliwie poczerwieniała i była nienaturalnie nabrzmiąta od ilości wypijanych codziennie trunków, którymi próbował uspokoić swe sumienie i zapomnieć o zniewadze, jakiej doświadczył od swoich poddanych, możnych i wreszcie – od samych braci przyrodnych. Nie zwracał prawie uwagi na namowy swej energicznej żony do działania, do nowych zabiegów dyplomatycznych, do wysyłania posłów z prośbami wsparcia i pomocy. Czasami jedynie Agnieszce udawało się obudzić w nim dawnego ducha walki, zainteresować nowymi wieściami z kraju oraz stanowiskiem sąsiednich dworów, niestety – zazwyczaj bardzo nieprzychylnym Wygnańcowi. Wtedy oczy księcia na nowo ożywały, pojawiała się w nich iskra, która jednak szybko gasła.

W śródziemnomorskim państwie ich córki tymczasem sytuacja również pogarszała się z dnia na dzień. Po śmierci ojca państwem rządili jej pasierbowie.

Starali się oni ograniczyć całkowicie prawa swej macochy, dodatkowo prowadząc wojnę z hrabią Barcelony, Rajmundem Berengarem Czwartym, z którego synem, Alfonsem, była zaręczona córka Ryksy, a wnuczka księżnej Agnieszki, Sancha, zwana przez potomnych „Kastylijską”. Dodatkowo pogarszały się stosunki pasierbów Ryksy z bratankiem jej matki, Agnieszki, sławetnym i dumnym cesarzem Fryderykiem Pierwszym Barbarossą. Ryksie groziła tułaczka, którą raz już przeżyła jako dziecko, wygnana z rodziną w 1146 roku z Polski, dlatego teraz, w 1159 roku postanowiła za wszelką cenę nie dopuścić do podobnego upokorzenia i zdecydowała się wyjechać na dwór swoich sojuszników – do aragońskiej królowej Petroneli, żony Rajmunda.

Rykosa, jako kuzynka wielkiego cesarza, nadal była doskonałą partią i o jej rękę ubiegało się wielu władców ówczesnej Europy. Brązowowłosa i brązowooka, z piękną oliwkową cerą i postawą dumnej władczyni, uważana była za wyjątkowo urodziwą kobietę. Na dworze Petroneli poznała księcia Prowansji, Rajmunda Berengara Drugiego, którego poślubiła ostatecznie w 1161 roku. Urodziła mu córeczkę, Douce. Niestety, mąż jej podjął wkrótce wojnę z Genuą i zginął w jej trakcie w 1166 roku w Nicei. Rajmund przekazał przed śmiercią swoje państwo, Prowansję, jedynej dziedziczce – Douce, lecz w 1167 roku przeciw niej (jako rządzącej kobiecie, a nie – mężczyźnie) wystąpił jej kuzyn, Alfons, zwany „Trubadurem” bądź „Cnotliwym”. Z czteroletnią

wówczas córeczką Ryksa udała się zatem wówczas do Tuluzy, aby ochronić swoje dziecko przed zgładzeniem i aby tam poślubić księcia Rajmunda Piątego.

W 1159 roku tymczasem zmarł brat Agnieszki, biskup bawarski Otto von Freising, jednak w niedługi czas po tym wydarzeniu księżna otrzymała dużo boleśniejszy cios – 30 maja zmarł na zamku w Altenburgu jej zniechęcony pod koniec życia do wszystkiego i do wszystkich mąż, książę Władysław Wygnaniec. Pochowano go w turyńskim Altenburgu, w którym mieszkał od czasu swego wygnania. Jego najstarszego syna nie było wtedy przy nim, gdyż brał on akurat udział w kolejnej wojnie Fryderyka Barbarossy – w latach 1158–1162 wyjechali oni na wyprawę do Włoch i pod Mediolanem syn seniora piastowskiego stoczył wspomniany już wspaniałą pojedynek rycerski z mediolańskim samochwałą, który to mężny bój rozślawił w Europie jego imię.

Wyprawy włoskie Barbarossy obejmowały aż sześć wyczerpujących batalii wojennych, trwających kilkanaście lat. Początkowo za panowania tego władcy stosunki papieżstwa z cesarstwem układały się pomyślnie. W 1153 roku Fryderyk Barbarossa zawarł w Konstancji porozumienie z papieżem Eugeniuszem Trzecim, na mocy którego w roku następnym wjechał zbrojnie do Rzymu, gdzie pokonał Arnolda z Brescii – przywódcę powstania antypapieskiego, przez którego nowy papież, Hadrian Czwarty, musiał uciekać z Wiecznego Miasta, po czym

schwytanego oddał w ręce powracającego Ojca Świętego, a Kuria Papieska skazała Arnolda na spalenie na stosie i wyrok błyskawicznie wykonano już w 1155 roku. Za ten bohaterski czyn Fryderyk został 18 czerwca koronowany przez wdzięcznego papieża na cesarza rzymskiego. Jego cel został zatem osiągnięty.

Te pokojowe stosunki cesarsko–papieskie z czasem uległy jednak wyraźnemu ochłodzeniu. Na sejmie Rzeszy w Besançon w roku 1157 papieski legat Roland Bandinelli z Sieny nieoczekiwanie zapowiedział, iż cesarz winien okazywać posłuszeństwo papieżowi jako jego lennik, co oburzyło dumnego i niepokornego Fryderyka. Dlatego też w 1158 roku na Zjeździe w Roncaglio cesarz zmusił znawców prawa rzymskiego z Bolonii, aby ustanowili i potwierdzili dokumentem tego sejmu, zebranego na Polach Ronkalskich, przejęcie praw miejskich samorządów i mennic przez cesarza, ustanawiając odtąd jego swoistą wszechwładzę na terenie Lombardii. Wywołało to powszechne oburzenie i walki przeciw Rudobrodemu, które ostatecznie stłumił on krwawo, burząc w 1160 roku Cremę oraz plądrując w 1161 roku Mediolan.

Spór jednak wzmógł się, gdyż w 1159 roku papieżem został wspomniany już były legat papieski, Roland Bandinelli z Sieny, przyjmując imię Aleksandra Trzeciego. W 1162 roku Barbarossa w swej drugiej wyprawie włoskiej zburzył oporny Mediolan. 29 maja 1167 roku cesarz w boju pod Tusculum pokonał



zbuntowane republiki włoskie, lecz zawiązały one przeciw znienawidzonemu niemieckiemu władcy Ligę Lombardzką, a wojna z nią przyniosła chełpliwemu cesarzowi druzgocącą porażkę w 1176 roku pod Legnano, co przesądziło o uznaniu przez Barbarosę autonomii włoskich miast. Następstwem tej haniebnej klęski było zawarcie przez Fryderyka Pierwszego z triumfującym papieżem Aleksandrem Trzecim pokoju w Wenecji 1 sierpnia 1177 roku. Cesarz uznał ostatecznie władzę Ojca Świętego i wycofał swe poparcie dla wybranego w międzyczasie antypapieża, Kaliksta Trzeciego.

W nagrodę za wierną służbę u swego boku i wyjątkową odwagę na polach bitewnych cesarz Fryderyk Pierwszy wynagrodził sowicie księcia Bolesława Wysokiego i po powrocie ze swej pierwszej włoskiej wojny, w 1163 roku nareszcie wymusił na jego przyrodnim stryju, Bolesławie Kędzierzawym, zawarcie układu w Norymberdze i realizację wcześniejszych zobowiązań, nakazując mu przekazanie wracającym do Polski synom zmarłego cztery lata wcześniej Władysława Wygnańca dziedzicznego Śląska. Niestety, tej radosnej chwili nie doczekała już ich matka, księżna Agnieszka Babenberg, która zmarła krótko przed tak upragnionym powrotem synów do Polski.

A w owych ostatnich latach jej życia ziemie polskie przeżywały niezwykle burzliwe dzieje... Znowu dały o sobie znać właśnie na tle religijnym i politycznym, znowu głowę podnieśli wszechwładni i butni książęta pomorscy.

Doprowadziło to w końcu do krwawej rozprawy i tragicznego mordu. Zaczniemy jednak opowieść o tych zmaganiach od samego początku. W kraju rządził nadal Bolesław Kędzierzawy, zaś wspomagali go młodsi bracia: Mieszko, zwany „Starym” i sławetny krzyżowiec, wspomniany już nie raz Henryk o przydomku „Sandomierski”. Wielokrotnie już wcześniej książę sandomierski, młodszy brat przyrodni Władysława Wygnańca, był znanym fundatorem polskiego Kościoła, zaś po odbytej pielgrzymce do Jerozolimy zdecydował się na niezwykle ważki krok i w 1163 roku sprowadził do Polski zakon Kawalerów Maltańskich, oddając im dobra we wsi Zagość nad Nidą. Joannici utworzyli tu własną komandorię, szpital oraz przepiękny kościół romański pod wezwaniem świętego Jana Chrzciciela.

Tu wspomnieć należałoby o wadze i znaczeniu, jaką w ówczesnej świadomości społecznej odgrywały zakony rycerskie, mające pierwotnie za zadanie obronę Grobu Pańskiego. Wiele z nich wywodziło się z tradycji wczesnochrześcijańskich, lecz w dobie krucjat powstawały również nowe, o specyficznej regule zakonnej i surowych zasadach funkcjonowania. I tak w 1098 roku pielgrzym, a z czasem zwierzchnik wszystkich instytucji szpitalnych na terenie Jerozolimy, Gérard de Martigues, założył Zakon Rycerzy Świętego Łazarza, związany początkowo jedynie z ośrodkami, sprawującymi opiekę nad chorymi na trąd. Konieczność ciągłego odpierania ataków ze strony niewiernych spowodowała

jednak, iż konieczne stało się utworzenie z szeregów łagodniej dotkniętych tą straszliwą chorobą rycerzy ramienia zbrojnego zakonu. Z czasem rozwinął się on i zaczął przyjmować w swe szeregi również zdrowych wojowników.

Wspomagał go Suwerenny Rycerski Zakon Szpitalników świętego Jana z Jerozolimy, z Rodos i z Malty, nauczający rycerzy Łazarza sztuki oraz podstawowych reguł walki. Łazarzyści, zwani też „Lazarytami”, należeli do Joannitów, lecz z czasem odłączyli się od nich, przyjmując znak zielonego krzyża jako swój symbol; początkowo był to krzyż grecki, później natomiast przybrał kształt wzoru maltańskiego. Wzięli udział w wielu sławnych potyczkach i krwawych bojach chrześcijan z Królestwa Jerozolimskiego z muzułmańskimi hordami, jak chociażby w 1177 roku pod Montgisard, kiedy to wspomniany już trędowaty, ciężko chory król Baldwin Czwarty ze swymi nielicznymi oddziałami nieoczekiwanie pokonał potężną armię Saladyna, czy też w 1187 roku w przegranej dla chrześcijan bitwie pod Rogami Hittinu.

Innym sławnym bractwem okresu pierwszych wypraw krzyżowych był wspomagający Łazarzystów, związany najpierw jako nieformalne stowarzyszenie rycerskie przez mieszczan włoskiego państewka Amalfi zakon szpitalników, zwanych też od miejsca powstania – szpitala świętego Jana Chrzciciela – „Joannitami”. Skupiał wszystkich szlachetnie urodzonych rycerzy

katolickich, odgrywając olbrzymią rolę podczas pierwszej wyprawy krzyżowej, gdyż to właśnie na nim spoczywał obowiązek strzeżenia bezpieczeństwa w nowo utworzonym Królestwie Jerozolimskim. Początkowo ich symbolem był tylko biały grecki krzyż na czerwonym tle, później doszły jeszcze ciemne barwy i kształt krzyża maltańskiego. Tworząc w najważniejszych strategicznie punktach swe monumentalne warownie, zamki i szpitale, Suwerenny Rycerski Zakon Szpitalników Świętego Jana z Jerozolimy, z Rodos i z Malty starał się dzięki nim kontrolować sytuację na całym obszarze Bliskiego Wschodu. W ten sposób wzniesiono potężne i wspaniałe zamczyska w Margat oraz w Krak des Chevaliers. Ich architekci istotnie czynili wszelkie możliwe starania, aby warownie te były dla atakujących je twierdzami nie do zdobycia. Stojące na wysokich wzniesieniach, otoczone podwójnymi, grubymi murami, wzmocnionymi jeszcze dodatkowo licznymi basztami i wieżycami, z mostami zwodzonymi, otoczone głębokimi i szerokimi fosami, stanowiły dla ewentualnych śmiazków i obcych wojsk nie lada wyzwanie. A jednak w wiele lat po wydarzeniach, które obecnie tak bardzo nas absorbują, wspaniałe zamczyska Joannitów zdobyto nie tyle siłą, ile sprytem i przebiegłością. O tym już jednak będzie traktowała całkiem inna opowieść...

Z kolei Zakon Kanoników Regularnych Stróżów Świętego Grobu Jerozolimskiego, czyli sławetni „Bożogrobcy”, wywodzili się z założonej w 1099 roku

przez Gotfryda z Bouillon kapituły, którą stanowiło 20 księży i 50 rycerzy. Mieli oni wspomagać zbrojnie i ochraniać wiernych, przybywających do Grobu Pańskiego, strzec Ziemi Świętej, a także – oprowadzać pielgrzymów po terenach Bliskiego Wschodu. Do Polski sprowadził ich w 1163 roku możnowładca Jaksa Gryfita, osadzając w Miechowie, stąd ich potoczna polska nazwa „Miechowici”. Nosili oni na swych białych płaszczach czerwony krzyż jerozolimski.

W 1118 roku doszło do założenia kolejnego sławetnego zakonu – oto krzyżowcy z francuskiej Szampanii na czele z Hugonem de Payens złożyli przed patriarchą Jerozolimy uroczyste śluby rycerskie i w ten sposób powstało jedno z najświetniejszych i zarazem najbardziej kontrowersyjnych bractw zakonnych w historii całego świata – Zakon Ubogich Rycerzy Chrystusa i Świątyni Salomona. Członków jego zwano potocznie „Templariuszami”. Ich słynne hasło przewodnie to: „Memento Finis”. Początkowo Templariusze nosili biały płaszcz pod habitem w tym samym kolorze. Późniejszym ich symbolem stał się ośmiokątny czerwony krzyż umieszczony na białym tle, kojarzony z Męką Chrystusa oraz z ośmioma Boskimi błogosławieństwami.

Wiele z zakonów rycerskich, powoływanych do życia specjalnie w tym celu, aby strzegły Grobu Pańskiego i broniły go przed niewiernymi, działało na tyle krótko, aby nie pozostawić po sobie ważniejszych śladów, zaś ich członkowie po rozpadzie pierwotnych, przystępowali

później do kolejnych, tworzonych spontanicznie na terenach Ziemi Świętej. Z pewnością do takich należałoby zaliczyć Zakon Męczenników czy Zakon Gereona, natomiast z całą pewnością nie należał do szybko zanikających tuż po swym założeniu sławetny w kolejnych wiekach, a założony podczas trzeciej krucjaty Zakon Szpitala Najświętszej Maryi Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie, zwany potocznie „Zakodem Krzyżackim” lub krócej „Krzyżakami”. Do państwa piastowskiego został on sprowadzony przez wnuka Bolesława Krzywoustego, potomka jego syna–pogrobowca, Kazimierza Sprawiedliwego i dzielnej księżnej Heleny Znojemskiej, Konrada Mazowieckiego.

W wiekach średnich tworzone były także nietypowe zakony, skupiające w swych szeregach same niewiasty, aby w ten sposób podkreślić tak często wówczas spotykaną odwagę i hart ducha białogłów, broniących wiary i oddających swe życie w walkach z niewiernymi. Jednym z bardziej wówczas znanych był iberyjski Zakon Kobiet Rycerzy od Siekiery, stworzony w 1149 roku przez hrabiego Barcelony, Rajmunda Berengariusza.

W państwie piastowskim, podobnie jak i w innych krajach ówczesnej Europy, zaczęły stopniowo pojawiać się również pierwsze społeczności zakonne, prowadzone przez mnichów. Nie bez znaczenia było już samo ich określenie, albowiem wyrażenie „mnich” oznaczało ni mniej, ni więcej, tylko „człowieka, pozostającego w ciągłej samotności jedynie ze swymi myślami, swoim

jestestwem”... Najistotniejszą rzeczą w regule zakonnej odgrywały: głęboka oraz niczym niezachwiana wiara i nieustanna, rzetelna, uczciwa praca. Takim zakonem, jednym z pierwszych na polskiej ziemi, byli Benedyktyni, zwani tak wiele wieków później od imienia swego założyciela, świętego Benedykta z Nursji. W swym osamotnieniu podkreślali oni coraz większe i mocniej odczuwalne zbliżanie się do Boga. Potocznie w tamtych czasach takie kontemplacyjne formy odosobnienia określano mianem „ordo monasticus”, które oznaczało „zakon monastyczny”. Od noszonych przez nich zgrzebnych, głęboko ciemnych habitów, nazywani byli powszechnie przez wiernych „czarnymi mnichami”. W Polsce pojawili się podczas tworzenia zrębów organizacji kościelnej już w wieku X. Znane stały się ówczesne zgromadzenia benedyktyńskie w Poznaniu, Międzyrzeczu, Łęczycy, Krakowie oraz Wrocławiu. Podczas powrotu do kraju księcia Kazimierza Odnowiciela w 1039 roku, Benedyktyni zamieszkali ponadto w odbudowywanych stopniowo klasztorach, zaś król Bolesław Szczodry, pomny nie tak odległych w czasie zamieszek i anarchii oraz fali nawrotu pogaństwa, czynił usilne starania, aby każde biskupstwo zostało wzmocnione opactwem benedyktyńskim.

Z powyżej wyłożonych zatem powodów powstały one między innymi w takich miejscowościach, jak Tyniec, Sieciechów, Lubińsk, Mogilno i Płock. Wszędzie kierowano się zasadami, wprowadzonymi przez słynnego

twórcę zakonu, Benedykta z Nursji: „Ora et labora”, czyli: „Módl się i pracuj”, a także: „Ordo et pax”, to znaczy: „Ład i pokój”. Zgodnie z regułą odosobnienia i kontemplacji, klasztory benedyktyńskie otoczone były olbrzymimi murami obronnymi, a do środka prowadziło jedynie wąskie wejście, tak zwana „furta”. Wewnątrz układ zabudowań przypominał prostokąt z łączącym wszystko środkowym krużgankiem. Procesje wychodziły z kościoła, w którym ołtarz zawsze musiał być zwrócony na wschód, poprzez drzwi na zewnątrz, ku krużgankom. We wschodniej stronie krużganka znajdowała się zakryta, dalej biblioteka, obszerna sala przeznaczona do odbywania wspólnych obrad i modlitw, zwana „kapitularzem”, za nią jadalnia, czyli „refektarz”, obok kuchnia, zaś po stronie zachodniej usytuowana była furta z pomieszczeniem dla furtarza, czyli odźwiernego klasztoru, obok zaś umieszczono obszerne magazyny. Na górze usytuowano pomieszczenia sypialne dla zakonników.

Głoszone powszechnie przez Benedyktynów ubóstwo polegało na bezgranicznym zaufaniu Bogu. Wiązało się z zawarciem trwałej więzi między Bogiem a człowiekiem oraz z wewnętrznym wyciszeniem. Mnisi mieli obowiązek odbywać modlitwy liturgiczne oraz indywidualne, gdyż tylko poprzez nie możliwe było ciągłe nawracanie się, czyli „metenoia”. Do tego jeszcze dochodziła uczciwie wykonywana praca, która dopełnić miała całości w wiernej służbie Panu Bogu. Obok



żmudnego przepisywania ksiąg zwolennicy reguły świętego Benedykta pracowali również fizycznie.

W swych klasztornych ogrodach Benedyktyni uprawiali głównie rośliny, mogące zapewnić im przeżycie w zamknięciu oraz dostarczenie niezbędnego pożywienia, lecz także liczne, wspomniane już zioła, z których dość szybko poczęli wyrabiać cenne mieszanki lecznicze, maści, syropy, mikstury uzdrawiające, wreszcie – znakomite nalewki oraz wyborne wina.

Każdy dzień mnicha rozpoczynało „matutinum”, czyli wczesny ranek, mający swój początek zaledwie trzydzieści minut po północy. Bracia modlili się i rozpoczynali wtedy swe czuwania. Od godziny drugiej do czwartej nad ranem ponownie odpoczywali. Następnie nadchodziło „laudes”, kiedy mieli oni obowiązek wspólnego wygłaszania liturgicznych modlitw. Po nich kładli się ponownie, aby po godzinie piątej rano wstać już definitywnie i wziąć udział w Mszach prywatnych. O szóstej następowała prima, zaś po niej – kapituła, czyli zebranie całej wspólnoty, podczas którego w części liturgicznej czytano reguły zakonne pod kierunkiem opata lub przeora, w części administracyjnej omawiano sprawy bieżące klasztoru, zaś w części dyscyplinarnej, określanej także mianem „kapituły win”, zakonnicy musieli wyznawać publicznie swoje grzechy i oskarżać się nawzajem. Po siódmej godzinie rozpoczynała się Msza poranna dla całej wspólnoty, później – Msze prywatne oraz codzienna, ciężka praca. Następowały po sobie

kolejne części surowego dnia życia zakonnika: tercja oraz seksta, zaś po obiedzie, zwanym „prendium” i godzinnym odpoczynku – nona. Po niej bracia pracowali dalej, by wczesnym popołudniem odbyć nieszpory, następnie spożyć lekką kolację, zwaną „ceną”, zaś po wieczornej „komplecie” udać się na zasłużony odpoczynek. Bywało, iż w okresie postu nie jedli wcale, albo spożywali tylko jeden skromny posiłek w ciągu całej doby. Zakonnicy obok prac fizycznych w ogrodach czy polach przyklasztornych oraz obok zmuśnionego przepisywania ksiąg, opiekowali się też chorymi, ubogimi, nędzarzami, nauczali religii i sami prowadzili szkoły.

Innym znanym polskim zakonem było katolickie zgromadzenie monastyczne – Zakon Cystersów, którego członkowie nosili dla odmiany białe habity z czarnym szkaplerzem, przepasane płóciennym pasem, stąd ich potoczne określenie: „biali mnisi”. Rola Cystersów w rozwoju nauki oraz kultury Europy wieków średnich jest trudna do przecenienia. W swoich klasztorach starali się rozwijać każdą dziedzinę wiedzy, nawet postęp w rzemiośle, rolnictwie czy hodowli. Moźnowładca małopolski Jaksa Gryfita ufundował w 1140 roku pierwszy polski klasztor Cystersów w Jędrzejowie, który poświęcony został Wniebowziętej Najświętszej Maryi Pannie, patronce zakonu cysterskiego. W 1179 roku biskup krakowski Gedeon sprowadził do Wąchocka legendarnego opata Cystersów – brata Haymo, który stworzył tu kolejną siedzibę zakonną.

Już około 1002 roku w Polsce pojawili się Kameduli, którzy założyli tu swój erem, czyli odosobnioną pustelnię. Jan i Benedykt, uczniowie samego świętego Romualda, założyciela tego specyficznego zgromadzenia, przybyli tu prosto z Italii, z klasztoru Monte Cassino, na prośbę panującego wtedy w kraju, późniejszego króla Polski, Bolesława Pierwszego Chrobrego. Rozpoczęli w kraju działalność misyjną. Pewnego razu, podczas wieczornej modlitwy z dwoma innymi zakonnikami, nowicjuszami, rodzonymi braćmi, słowiańskimi synami znanego polskiego rodu możnowładczego: Izaakiem i Mateuszem, oraz polskim służącym, Krystynem, nocą z 10 na 11 listopada 1003 roku zostali napadnięci zniemacka przez bestialskich siepaczy, którzy dowiedzieli się o sporej ilości srebra, przekazanej zakonnikom przez polskiego władcę Chrobrego. Bezbronni, stali się łatwymi ofiarami dla bezlitosnych zbrodniarzy. Wszyscy zginęli śmiercią męczeńską. Kraj był wstrząśnięty tak śmiałą i zuchwałą zbrodnią. Potocznie nazywano ich odtąd „Pięcioroma Braćmi Męczennikami”, a ponieważ już w roku 1004 ówczesny papież, Jan Osiemnasty, dokonał ich kanonizacji, zaś relikwie Pięciu Braci trafiły do Ascoli we Włoszech i do Gniezna, pojawiło się też wkrótce określenie, do nich właśnie się odnoszące: „Pierwsi Męczennicy Polski”.

Podczas tej straszliwej napaści nieobecny był inny mnich Kamedułów, sprowadzony też z zagranicy przez Chrobrego, Barnaba, który doznawszy szoku po tym

mordzie na jego współbraciach, zamieszkał w pustelnicznym eremie w Bieniszewie. Mnisi ci nosili białą tunikę z białym szkaplerzem.

Już w XI wieku w Polsce pojawił się najstarszy zakon klerycki zorganizowany według reguły świętego Augustyna, Kanonicy Regularni Laterańscy. Ich klasztory powstały najpierw w Trzemesznie, Czerwińsku, Wrocławiu, Żaganiu, Kłodzku, Mstowie oraz w Kaliszu. W dni powszednie mnisi ci nosili czarne sutanny z krótką pelerynką, zaś w dni świąteczne – sutannę białą z podwójnymi rękawami, przypominającą szaty papieskie, z narzuconą nań rakieta białą bądź mucetem.

Poza męskimi, działały też żeńskie zakony, z których w średniowiecznej Polsce najbardziej znanymi i powszechnie cenionymi były: Benedyktynki w czarnych habitach, welonach i z czarnymi szkaplerzami, jak również Zgromadzenie Sióstr Kanoniczek Regularnych Zakonu Premonstratensów, czyli popularne „Norbertanki”, noszące dla odmiany stroje białe: habit, płaszcz i szkaplerz oraz spodni welon i do tego welon wierzchni czarny.

Tymczasem w państwie piastowskim, zasiadający na tronie najstarszy już teraz z rodu Bolesław Kędzierzawy zdecydował o podjęciu nowej wyprawy zbrojnej przeciwko atakującym jego tereny pogańskim Prusom. Starcia na granicach trwały nieprzerwanie od 1164 roku. Dowódcą całego wojska został mianowany, z uwagi na jego dotychczasowe mężne czyny oraz europejską sławę

krzyżowca, księżę Henryk, zaś pozostałymi dwoma szykami, podległymi jego rozkazom, przewodzili dwaj jego starsi bracia – Bolesław Kędzierzawy i Mieszko Stary. Księżę Sandomierski dążył do otwartej bitwy z poganami, lecz Prusowie doskonale wiedzieli o przewadze liczebnej jego armii i umiejętnie unikali bezpośredniego starcia, wciągając wojska Piastów coraz głębiej w niedostępne puszcze i bory swych ziem. Zniecierpliwieni takimi fortelami i unikami wrogów bracia zaczęli prowokować pogan, paląc całe ich wsie, wymordowując mieszkańców i niszcząc zbiory. Księżęta pruscy sprytnie wprowadzili władców Polski w błąd, udając po tych mordach swą rzekomą skruchę, pokornie prosząc władców o zawarcie rozejmu i wyrażając fałszywą zgodę na wyrzeczenie się pogańskich praktyk oraz przejście na chrześcijaństwo.

Po przyjeździe do kraju Bolesław Czwarty dowiedział się jednak o wymordowaniu w Prusach wszystkich wysłanych tam misjonarzy i błyskawicznym powrocie miejscowej ludności do pogańskich praktyk oraz do plądrowania polskich ziem przygranicznych. Masowo dochodziło też tam do bezbożnych praktyk odczyniania chrztów chrześcijańskich, uzyskanych podczas misji chryścianizacyjnych. W otoczeniu całej plemiennej wspólnoty kapłan pomorski raz jeszcze obmywał takiego człowieka, tyle że tym razem był to dla odmiany pogański przedstawiciel boga Peruna–Swarożyca, wypowiadając przy tym magiczne zaklęcia w języku Słowian, a całe owe

czynności odbywały się w głębokim, niedostępnym gaju, temu bogu poświęconym. Sam pojmany do niewoli doradca księcia, cześnik Hieronim Gołubowski herbu Janina, który nocą zdołał w przebraniu zbiec i powrócić na zamek, był świadkiem takich praktyk pogańskich, kiedy to podczas obrzędu odczyniania wygłaszano regułę: “Niechaj wiara w Boga, którego nie wyznajesz i nigdy wyznawać nie chciałeś, odeszła razem z tą wodą, a wraz z nim chrześcijańskie imię, nadane tobie wbrew woli twojej: Wojciech! Zwracam ci twoje prawowite, pogańskie imię: Chwałko! Niech się stanie!”. Następnie kapłan obmywał wodą z potoku, w gaju płynącego, każdego z osobna, któremu takiego odczyniania udzielał, po czym częstował jego i zgromadzonych pogan winem. A zatem Pomorzanie stworzyli jedynie pozory, aby oszukać księcia i uniknąć zajęcia przez niego swych ziem.

Wtedy chełpliwy Bolesław Kędzierzawy zdecydował się na zorganizowanie wielkiej krucjaty i ostateczne zakończenie tych niepokoїв oraz narzucenie siłą całym Prusom wiary chrześcijańskiej, jak tego niegdyś dokonał jego wybitny ojciec, Bolesław Krzywousty. Przekupił w tym celu kilku pojmanyh pogan, aby poprowadzili jego armię przeciw swym pruskim współplemieńcom. Jak się potem okazało, zdrajcy ci celowo udawali sojuszników polskiego władcy, aby zadać mu sromotną klęskę. Łatwowierny Bolesław, rządzący Polską jako senior rodu, pewien swego spektakularnego sukcesu, nie był tego, rzecz jasna, świadomy.

18 października 1166 roku pod Wąbrzeźnem, na bagnistych terenach rzeki Zgniłki, wspaniała armia piastowska, dowodzona ponownie przez Henryka Sandomierskiego, dała się jednak łatwo wciągnąć w zasadzkę. Prusowie przekupili prowadzących wojsko polskie przewodników i zwiadowców (tych—że, którzy obiecali przedtem Piastom swą pomoc), a sami na rozległych, głębokich bagnach rozłożyli dla niepoznaki gęste pokrycie z gałęzi, mchów i sitowia, pozorując zwyczajny, twardy trakt leśny. Ciężkie oddziały polskie, wjechawszy na te tereny, poczęły zapadać się na grząskim podłożu, grzęznąć w skrytych bagnach, nie były w stanie się z nich wydostać, tratując się powoli, odskakując z trudem na boki, gdzie czyhały ukryte w leśnej gęstwinie ostre dzidy, oszczepy i piki oraz całe tabuny żądnych krwi pogańskich wojowników, strzelających z łuków i ciskających wielkie, ostro zakończone kamienie, inni natomiast Polacy od razu tonęli w przepastnych, smołowatych otchłaniach. Nieliczni, którzy zdołali przedrzeć się dalej po trupach swych pobratymców, potopionych w bagniskach, pędzili na oślep ku polom nad jeziorem Wieczno, gdzie zostali wycięci w pień przez czekających tu na nich Prusów.

W tej krwawej bitwie zginęło wielu Polaków, poległ też dobrodziej Kościoła i najślawniejszy krzyżowiec z piastowskiego rodu, uczestnik i organizator krucjat do Ziemi Świętej, waleczny książę Henryk Sandomierski, nie będąc żonatym i nie pozostawiając po sobie żadnego

potomka oraz dziedzica. Inni bracia piastowscy, znów spierając się między sobą i zapominając o walce oraz konieczności niesienia pomocy juniorowi, już na początku boju uszli tchórzliwie ze zdradzieckich bagien do kraju, plugawiąc w ten sposób imię swych walecznych przodków. Księstwo zadżganego pogańskimi włóczyniami Henryka przejął wówczas z rozkazu Kędzierzawego najmłodszy z synów Krzywoustego, Kazimierz, zwany Sprawiedliwym. W Polsce śmierć słynnego rycerza i władcy, który wolał mężnie zginąć niżli ujść z pola bitwy w imię dynastycznych sporów, wywołała niesamowite poruszenie.

Ciało tragicznie zmarłego Piastowie wykupili z rąk pogańskich i po uroczystym pogrzebie umieścili w kamiennej tumbie, przykrytej piękną kamienną rzeźbą, po czym złożyli je w kolegiacie romańskiej w Wiślicy, którą on sam za życia ufundował. Na płycie nagrobnej znalazł się rzeźbiony wizerunek Henryka jako dziecięcia, jego ojca, mężnego Bolesława Krzywoustego oraz matki, hrabianki Salomei, zaś przy tym wizerunku łaciński napis:

„Hi conculari querunt ut In astra levari possint et pariter”, co znaczy: „Ci chcą być podeptani, aby mogli być wzniesieni ku gwiazdom”.

Jego ziemią zawładnął wspomniany Kazimierz, najmłodszy, pogrobowy syn Krzywoustego, który dopiero w 1165 roku powrócił z niemieckiej niewoli Fryderyka Barbarossy i jego żoną została wówczas córka czeskiego księcia z dynastii Przemyślidów, Konrada Drugiego,



Helena, zwana od rodowej posiadłości „Znojemska”. Urodziła Sprawiedliwemu sześcioro dzieci, z których dwóch synów panowało potem na ziemiach polskich. Nadane jej na chrzcie imię wskazywało na wyjątkową urodę, co istotnie w jej przypadku okazało się prawdą – drobne rysy, serdeczna w swym wyrazie, maleńka twarzyczka z zadartym noskiem, czarne, kręcone uroczo pasma włosów dookoła tej urokliwej twarzy, ślicznie wykrojone drobne usteczka i rezolutnie patrzące, czarne oczy zachwycały, a przy tym ta urocza niewiasta okazała się być wspaniałą i silną monarchinią, mężnie znosząc trudny czas, kiedy to po nagłej i niespodziewanej śmierci na zawał serca jej męża, Kazimierza w 1194 roku, musiała samodzielnie objąć regencję w imieniu swoich dwóch małoletnich synów, późniejszych władców Krakowa: Leszka Białego i Konrada Mazowieckiego. Potrafiła umiejętnie pokierować sprawowaniem władzy wspólnie z biskupem krakowskim Pełką i wojewodą krakowskim Mikołajem, co wcale nie było rzeczą łatwą. Jako białogłowa, jawiła się Helena Znojemska kobietą wybitną i godną najwyższych pochwał. Jej zmysł polityczny i inteligencja budziły powszechny podziw i szacunek i nie bez powodu były sławione już przez współczesnych. W tym tak trudnym, burzliwym dla piastowskiej monarchii okresie, Helena biła nawet własne monety. Umiała mądrze pokierować polityką państwa wspaniałego, acz stopniowo chyłącego się już wówczas ku upadkowi...



## ROZDZIAŁ VII

### „CUD”

Zmęczony rycerz samotnie powracał na koniu polną drogą, kiedy spotkał oddział zbrojny, pędzący na zachód, ku granicom z Polską. Kierujący zbrojnymi urzędnik podjechał do niego, aby zapytać, kim jest i dokąd się udaje, lecz ujrawszy steraną twarz, obrośniętą i zabrudzoną niemiłosiernie bitewnym pyłem, postać wielką, ale mocno przybitą i zgarbioną jakby pod ciosem okrutnych razów, odjechał zaraz, spłoszony, i ze swą drużyną pognał dalej.

Z oddali dochodził donośny głos młodego wieśniaka, zbierającego z pola wysuszone, pachnące siano i śpiewającego rzewnym tonem:

Obłoki płyną wartko po niebie,  
Jakże mi tęskno, dziewczę, do ciebie!  
Wichry przesłonią słońko chmurami,  
Jakże to będzie, kochanie, z nami?!

Obok miedzą szły boso piękne, dorodne dziewczyny wiejskie, w białych bluzkach z dużymi dekoltami, w swobodnie ściągniętych w pasie spódnicach wzorzystych, w kwiaty kolorowe na tle zielonym lub czarnym, z przewieszonymi na ramionach długimi, luźno zaplecionymi warkoczami. Niosły w prawych dłoniach długie drewniane grabie, przełożone tyłem i wsparte na plecach poprzez prawe ramiona, zaś w lewych trzymały olbrzymie bukiety ujmująco pachnących polnych kwiatów, traw i ziół. Ze śpiewem na ustach, roześmiane,

beztroskie, mijały zamyślonego wiarusa, śpiewając głośno na kilka głosów prostą, ludową piosenkę :

Zasypany dziś świat cały  
Kwieciem polnym, Jasiu mój!  
Dam ci naręcza tych kwiatów,  
Jeno mnie nie ostaw tu!  
Dam ci maki – serca zboża,  
Dam ostróżki – kwiaty hoże,  
Dam kąkole lilijowe,  
Dam bukiety rumiankowe,  
Dam i chabry – polne nieba,  
Dodam pachnącego ziela,  
Słoneczników cały dzban,  
Także ja ci dzisiaj dam,  
Tylko mnie nie zabywaj  
I do mnie tu przybywaj!  
Tylko mnie dziś umiłuj,  
Jasiu mój, Jasiu mój!  
Tylko mnie nie zabywaj  
I do mnie tu przybywaj!  
Tylko mnie dziś umiłuj,  
Jasiu mój, Jasiu mój!

Rycerz jechał czas jakiś jeszcze tym samym traktem, po czym spokojnie wstrzymał konia i przyglądał się wieśniakom, stawiającym grabiami wielkie stogi z siana na polu niedaleko drogi, którą podążał. Zaczął

nasłuchiwać rozmów między nimi, lecz oni, widząc nieznajomego, przystanęli z widłami i grabiami przy zbieranym sianie i patrzyli nań złowrogo.

– Szczęść Boże! – zawołał do nich. – Daleko jeszcze do granicy?

– Bóg zapłać! – odpowiedział spokojnie jeden z nich.

– Której, panie? Której? – zapytał najstarszy wiekiem chłop, kłaniając się mu nisko i uchylając przy tym wielki, słomiany kapelusz.

– Senioralnej! Do Krakowa należącej.

– Już–eś ją przekroczył, panie, o, tam! – chłop pokazał odległy, potężny blok kamienny – przy tej skale!

Bronisz spojrział w tamtym kierunku i pytał dalej:

– Co to za ziemia?

– Jesteś panie we wsi Gródków.

– A najbliższy gród jak się zowie?

– Tu zaraz jest jeden – to Grodziec, a nieco dalej, o, tam – wieśniak wskazał ręką południe – z drugiej strony Przemszy – Będzin!

– Ten od imienia sławnego okrutnika, rycerza Bendy, służącego u króla Bolesława, syna Mieszka i Dąbrówki?

– Ten sam, panie!

Rycerz kiwnął ręką w podziękowaniu za te informacje i rozejrzał się dookoła, po czym sam do siebie powiedział:

– Piękna okolica. Tedy tu ostanę, da Bóg – już do końca dni moich.

Przyjechawszy do oberży grodzieckiej, zawiązał

konia i wszedł, aby się czegoś napić i odpocząć. Oberżysta spojrział tylko uważnie na strudzonego mężczyznę, zatrzymał wzrok na okazałej kiesie, przywieszanej do pasa, po czym pstryknął dwoma palcami. Z miejsca przybiegł chuderlawy służący, który wziął ciężki miecz i wraz z rycerzem udał się na górę, aby tam pokazać mu pokój gościnny i przygotować w balii kąpiel w gorącej wodzie.

Po wielodniowej podróży konnej kąpiel umęczonego ciała starego rycerza stanowiła – zdawać by się mogło – rzecz absolutnie naturalną i wręcz zgoła obowiązkową, lecz pamiętać musimy, iż w wiekach średnich do zagadnienia tego podchodzono nieco bardziej ascetycznie. Mydło nie było zbyt często używane, gdyż w myśl głoszonej powszechnie zasady o grzeszności przesadnie częstego mycia swego lubieżnego ciała, sporo osób nie myło się wcale nawet całymi miesiącami. Częściej stosowano je zatem do przepierki odzieży niż do oczyszczenia własnej skóry. W dni pokutne oraz postne duchowni wielokroć wręcz zabraniali wiernym poddawania się jakiegokolwiek kąpeli. Panował powszechny przesąd o kruchości doczesnego życia na ziemi oraz potrzebie ciągłego umartwiania grzesznego ciała, zatem takowe częste mycie traktowano jako niepotrzebny zbytek i surowo ganiono.

Aby uzyskać mydło do mycia oraz przepierki, przygotowywano najpierw gęsty wywar z różnorodnych popiołów, zalewanych obficie wrzątkiem, odstawiano go

w głębokim naczyniu do sklarowania, następnie zbierano z brzegów pierwsze osady mydła, tłuszczu i ługu, wywar zlewano do mniejszych naczyń i nad ogniskiem lub na piecu podgrzewano, po czym w tak przygotowanym, gorącym wywarze, zlanym do wielkiej balii, dokonywano pierwszej przepierki. Tłusty, mazisty osad, powstały na ubraniach i brzegach naczynia zbierano i łączono w większe części, przygotowując stosunkowo miękkie kawałki mydła, które dodatkowo można było jeszcze wzbogacić. I tak dodając olejki zapachowe, zioła bądź przyprawy otrzymywano mydła o konkretnej woni czy barwie. Z kolei konsystencję owego średniowiecznego środka czystości skutecznie zmieniano, utwardzając go wapnem, otrzymywanym z wypalanych w piecu muszli ślimaków. Z korzeni pierwiosnków, lukrecji czy mydlnicy, ziela bluszczu i owoców kasztanowca również uzyskiwano doskonałe środki piorące, które na dodatek wytwarzały jeszcze duże ilości piany, niezwykle pomocnej przy usuwaniu z odzieży wszelkich zabrudzeń. Środki takie przechowywano w szczelnie zamkniętych naczyniach ceramicznych, przetrzymywanych w miejscach zaciemnionych i stosunkowo chłodnych.

Na dworach książęcych jako środków czystości do obcierań i wysuszania zmoczonego bądź ubrudzonego ciała stosowano wielkie płachty lniane albo też mniejsze bawełniane lub lniane płatki, lecz ubożsi mieszkańcy musieli zadowolić się znacznie skromniejszymi rzeczami... W utrzymaniu higieny osobistej jamy ustnej

pomagało natomiast stosowanie specjalnie przygotowanych, cienkich patyczków z korzeni o działaniu antyseptycznym, którymi można było starannie czyścić przestrzenie międzyzębowe. Włosy były starannie myte podczas samej kąpieli, zaś po niej – natłuszczane jajkami, oliwą lub olejkami zapachowymi. W przypadku możniejszych obywateli, o ich dogodną kąpiel oraz późniejsze namaszczenie i staranne posmarowanie wonnymi specjałami dbali specjaliści chłopcy lub panny łaźnie, pracujące w łaźniach publicznych albo też prywatnych, na przykład w oberżach czy przydrożnych szynkach. Zmęczonego drogą do ojczystego kraju Bronisza wspomagał podczas zażywania kąpieli jedynie młody chłopak, najęty tam za służącego.

Utrudzony rycerz dopiero teraz mógł nieco odsapnąć i wypocząć po tak długiej podróży. Odgarnąwszy zmierzwione włosy z czoła, spojrzął wielkimi, dobrotliwymi oczyma spod niezwykle gęstych brwi na całą komnatę. W drewnie zrobiona, z solidnym łóżkiem i lnianymi zasłonami w oknach, wydawała się przytulnym i idealnym miejscem na solidny odpoczynek po tylu dniach nieustannej jazdy. Po kąpieli położył się zatem, by odetchnąć. Minęło dobrych kilka godzin. Do drzwi zapukano cicho. Rycerz otworzył. To służący przyniósł mu strawę gorącą, prosto z garnka kuchennego, pachnącą smakowicie. Rycerz wziął z tacy naczynia, postawił na stole i zaczął jeść łapczywie, maczając raz po raz swe sumiaste wąsy i długą, gęstą brodę w zupie i winie,



wychylanym z potężnego kielicha.

Potem udał się do miejscowego balwierza, by ogarnął nieco jego zmierzwione włosy, przystrzygł je i ogolił bujną brodę. Zapuszczony przez wiele lat, wywołał niemały popłoch wśród służących grodzieckiego cyrulika.

Odtąd często zwiedzał najbliższą oberży okolicę, objeżdżał na swym rumaku miejsca ustronne, ciche, aby kontemplować i wypoczywać tam w spokoju.

Kiedyś oglądał znowuż piękne jeziora grodzieckie, rozciągające się w kierunku Księstwa Siewierskiego. Wracając, przystanął nieopodal domów wieśniaczych. Bronisz przysiadł zmęczony na miedzy i przyglądał bawiącym się nieopodal na polnej drodze dzieciom. Zadziwiły go i rozbawiły ich beztroskie zmagania. W wiekach średnich istotnie zabaw plebejskich było co niemiara!

Na polach podczas żniw bawiono się w „słomianą piramidę” – ustawiano jedne na drugich, gotowe stożki słomy, pozostałej po wymłóceniu zboża i powiązanej mocno, a wygrywał ten, który taki kopiec poustawiał najwyżej i najdłużej on wytrzymał, nie obaliwszy się na rżysko. Przy „drewnianym koniu” z kolei dzieci, udające giermków, ciągnęły na zbudowanym z wyciosanych desek bądź grubych palików nieporadnym koniu swego kompana – małego rycerzyka, który miał za zadanie odciąć drewnianym mieczem główki kapusty, poustawiane na palikach, wbitych w ziemię. Zwycięzcą owej zabawy zostawał ten dzielny wojak, który tychże

kapuścianych głąbów zrzucił jak najwięcej. Na podobnej zasadzie bawiono się w słynnego „kręcioła”, kiedy to gracz musiał, zwisając dość długo głową w dół, dziesięć razy obrócić się dookoła palika, na którym umieszczony był pokaźny głąb kapusty, a potem spróbować opanować zawirowania, powstające w głowie, i ściąć jednym, silnym ruchem swoim drewnianym mieczem ów kapuściany głąbek.

„Rzut bolkowym balem” natomiast wymagał od startujących zawodników ogromnej siły i tężyzny fizycznej, gdyż każdy z nich musiał podrzucić olbrzymi kawał ciężkiego drewna odpowiednio wysoko, daleko i na dodatek w taki sposób, aby w locie odwrócił się dookoła siebie! Był to nie lada wyczyn! Zimą urządzano „czworoboki” – biegi na nartach, podczas których czterech zawodników stało równocześnie na dwóch płaskich drewnianych deskach, podkręconych nieco u dołu i przytwierdzonych do nóg powrozami, i starało się biec na nich tak, aby jak najszybciej dotrzeć do wyznaczonego celu, a przy tym nie upaść ani razu.

Pożyczony od samych rycerzy lub też od wyrabiających zbroje kuśnierzy ogromne rękawice kolcze, zawodnicy w zabawie, zwanej „krawieckim rycerzykiem”, starali się jak najszybciej nawlec na igły nici, co nie było wszakże najłatwiejszą sprawą! Wygrywał ten, kto odznaczył się największą precyzją. Strój rycerski wykorzystywano też przy „studni hełmowej”, kiedy to ze sporej odległości rzucano do hełmu czepiec kolczy bądź

kolczugę – i tu zatem precyzja oraz dokładność decydowała o zwycięstwie. W dodatku samo długotrwałe trzymanie ciężkich części rycerskiego rynsztunku – na ten przykład kolczugi czy miecza – w wyprostowanej, nieporuszonej ręce, też wymagało siły i uporu i ta dyscyplina udawała się jedynie nielicznym.

Popularne stały się również zabawy plenerowe, takie jak biegi w workach, przeciągania liny czy „biegi na trzech nogach”, kiedy to z kolei ścigały się pary zawodników, którzy nogi środkowe mieli obwiązane ze sobą, zatem dwójki te musiały tak dokładnie wykonywać swoje ruchy, aby nie upaść i nie poróżnić ruchów swego druha, biegnącego obok. Inne popularne zabawy wieków średnich to na przykład rzuty podkowami na drewniane kołki, wbite w ziemię, rzuty wiankami lub też rzuty arkanem tak, aby oplótł on dokładnie wbity w ziemię palik bądź też wielkie koło od wozu. „Ślepy kaptur” za to polegał na zakryciu głowy przez każdego zawodnika po kolei, kiedy to klękał on, niczego nie widząc dookoła siebie, wystawiał do tyłu otwarte dłonie, w które pozostali, obiegając go bez przerwy, musieli uderzać, zaś klęczący miał za zadanie odgadnąć, kto tym razem zdzielił go porządnie w rękę. Bardzo popularne były w tych czasach także gry ruchowe, polegające na ściganiu i odbijaniu sobie nogami toczącego się przedmiotu, albo też rzucanie kulami bądź też ich umiejętnie toczenie tak, aby zbić poustawiane w określonej odległości bile.

Znane i lubiane wśród ludu, mieszczan i dworów,

choć surowo zakazywane przez Kościół ze względu na ich – jak mawiano „bezbożne oblicze” i częste oszustwa – były wszelkie gry karciane oraz kościane. W „walce ślepców” ścierali się za to na pięści dwaj wyjątkowo silni wojownicy, którzy mieli obwiązane grubymi przepaskami oczy. Ważnym aspektem przy tej zabawie była cisza, panująca wokół, gdyż zawodnicy, niczego nie widząc, musieli siłą rzeczy zdać się wyłącznie na swój słuch, aby wygrać i skutecznie pokonać przeciwnika. Takie to zabawy i swawole, znane z błogiego okresu dzieciństwa i młodości, oglądał teraz często na grodzieckiej ziemi stary wiarus i z rozrzewnieniem wspominał...

Pojechał raz jeden znowu dzielny rycerz do pobliskiego Gródkowa. Rozmawiał tam z miejscowymi chłopami o zakupie nowego konia oraz podkuciu jego schorowanego już, starego rumaka. Obok, w sąsiedniej stodole, trwały akurat zmudne prace wieśniaków. Oto specjalnymi, drewnianymi cepami oraz poobwiązywany silnie kijami uderzali oni mocno w ziemię, na której leżało pokotem skoszone, złote, dojrzałe zboże. Po tych uderzeniach ziarno odchodziło od plew i reszty kłosów. Przy pomocy dwóch kamieni, zwanych „żarnami” rozcierano następnie owe ziarna zbóż, pocierając ręcznie z mozołem jeden kamień o drugi. W bogatszych wioskach budowano już nowocześniejsze młyny. Zmłócone w ten sposób ziarno przemieniało się w mąkę.

Kiedy indziej wiarus pojechał pod grodzisko

będzińskie, wznoszące się na wielkim wzgórzu, porośniętym gęstymi lasami. Nieopodal, nad rozległą rzeką Przemszą, będzińskie chłopki, ubrane w jasne, lniane spódnice, także same cienkie bluzki i białe, obszerne i miejscami haftowane czepce na głowach, mocno i ściśle przesłaniające im celowo całe włosy, aby nie czyniły nijakiej przeszkody podczas prac domowych, nosiły z niemałym trudem całe stosy popakowanych w głębokie kosze ubrań. Stawiały je na brzegu, po czym wyjmowały po kolei części odzieży przeznaczonej do prania, zanurzały je w bystrej rzecznej wodzie, pocierały intensywnie dłońmi, znowu zanurzały, szorowały dalej, następnie kładły na pobliskich, wygładzonych kamieniach, starannie rozciągały i biły mocno drewnianymi kijankami. Bieżąca woda szybko dopełniała reszty i oczyszczała wszelkie zabrudzenia. Następnie takie wyprane odzienie wywieszały one na słońcu i wietrze celem jego przeschnięcia, względnie – przy niepogodzie – przenoszono je i zawieszano na dusznych, ciepłych strychach oraz poddaszach.

Innym razem znowu były miecznik zbierał pod Górą Świętej Doroty dojrzałe kiście dorodnej jarzębiny, kiedy dobiegły go śpiewy zmierzających do pobliskiego kościoła pielgrzymów. W uroczystym jesiennym dniu Matki Boskiej Siewnej do kościołów spieszono, aby poświęcić wianki, splecione z ziół wszelakich i kwiatów polnych. Dodatkowo księża błogosławili wtedy także ziarno, przeznaczone na siew zbóż ozimych, w tychże

wiankach celowo zatknięte.

Same siewy też stanowiły niezwykle ważną ceremonię – świadczyły wszak o dobrobycie rodziny i gwarantowały jej całoroczny dostatek! Aby zatem zasiane zboże pomyślnie wzeszło i wydało plon obfity, należało do tych poświęconych bogactw, wyniesionych przedtem z kościołów, dołożyć jeszcze ziarna wyłuskane z bukietów, poświęconych podczas święta Matki Boskiej Zielnej, części z palm wielkanocnych, jak również pokruszony chleb. Dłońmi, skropionymi koniecznie wodą święconą, siewcy z lnianej płachty na ramieniu nabierali pierwszą garść i – głośno odmawiając koronkę do Matki Boskiej – wrzucali zamaszystymi ruchami rąk owe poświęcone ziarna w spulchnioną, zaorana uprzednio ziemię. Taki siew miał – jak święcie wierzone – największe szanse na wydanie plonu obfitego. Podczas takich prac polnych, po złożeniu stosownych modlitw, rolnicy śpiewali pobożną pieśń ku czci Matki Boskiej: Mateńko, Matko Najmilejsza,

Pobłogosław prace polne,  
Wspomóż ziarna, by tu wzeszły,  
Obsypały zboża złotem.  
Siewcom siłę daj,  
Niech obsieją rolę  
Niech obsieją kraj,  
Wytrwale, z mazołem.  
Siewcom siłę daj,  
Niech obsieją rolę,

Tu, gdzie wszędzie plon,  
Kryjąc zbożem pole.  
Pani Nasza Święta  
Wejrzyj na swój lud,  
I o nas pamiętaj,  
Ześlij na nas cud.  
Siewcom siłę daj,  
Niech obsieją rolę  
Niech obsieją kraj,  
Wytrwale, z mazołem.  
Siewcom siłę daj,  
Niech obsieją rolę  
Tu, gdzie wszędzie plon,  
Kryjąc zbożem pole.

Bronisz zwiedzał całe, nowo poznawane teraz, okolice. Udał się zatem razu pewnego na wielkie wzniesienie, górujące dumnie nad całą okolicą, jechał traktem głównym, który prowadził do olbrzymiego zamczyska, otoczonego wielkim murem obronnym. Piękne wzniesienie wzbudziło w nim podziw i bojaźń. Zapytawszy o nazwę, dowiedział się od miejscowego chłopca, że to słynne w całej okolicy Wzgórze Świętej Doroty, miejsce otaczane od wieków kultem i poświęcone sławetnej męczennicy chrześcijan, Dorocie z Cezarei. Wokół góry znajdowało się sporo porzucanych tu i ówdzie wielkich głazów. Legendy, przekazywane z pokolenia na pokolenie wśród tutejszego ludu, tłumaczyły ich powstanie zacieklą walką zastępów anielskich,

broniących przed wiekami budowanego właśnie na szczycie wzgórza kościoła, z diabłami, które próbowały uniemożliwić tę budowę i zniszczyć wznoszone mury, ciskając w nie ciężkimi skałami, lecz posłańcy Boscy zmietli owe złe duchy, a kamienie pospadały wtenczas z niebios na okoliczne tereny, rozrzucone tak pokotem tu i ówdzie, a nawet sięgające także do sąsiednich miejscowości. Zauroczony tak piękną okolicą i opowieściami o niej, schorowany rycerz przysiadł nieopodal drogi do zamku, na skraju pola, gdzie dojrzewały kłosa złotej pszenicy.

– Ech, znałem ja niegdyś takie kłosa, lekko zbrązowiałe już, piękne i ukochane u białogłowy pewnej... – pomyślał i zwiesił ze smutkiem głowę, przypominając sobie silne, twarde warkocze, zwinięte ciasno w koła, upięte mocno przy uszach ze stron obu, otoczone przepięknie aureolą maleńkich, niesfornych loczków. – I już nigdy ich nie obaczę!...

Posmutniał, twarz ukrył w dłoniach i rzewnie zapłakał z niewypowiedzianej wprost boleści. Ileż on się naszukał, ile napytał, najeździł! Tyle tylko mu powiedziano, że jego luba zginęła tragicznie podczas napadu zbójców, kiedy z orszakiem księżnej pani jechała do Rzymu, aby prosić o łaskę i wsparcie w powrocie wygnanego księcia piastowskiego Władysława Bolesławowica do kraju. Na dworze niemieckim, gdzie niegdyś mieszkali z księżęcą parą, podano mu jedynie skrawek jej czarnej sukni i czepka, jaki pozostał z



ogromnego pożaru, wzniesionego przez morderców, jacy napadli na jej powóz i pozabijali wszystkich, którzy tam jechali. Tej samej sukni, którą pani jego serca wdziała po nieprawdziwej wiadomości o jego śmierci w walkach z pomorskimi poganami. Owszem, walczył z nimi, bo napadli z nienacka wieczorem jego oddział, kiedy jechał z misją od swego pana na północ, lecz pod ciałami rannych przeleżał tak, z Boską pomocą, ciężko ranny, do zmroku i wówczas wyczołgał się z trudem, z pomocą giermka Gniewosza oraz dziwacznej duchowej zjawy – Leszego, po czym schronił na bagnach, gdzie znalazł spokój i mógł przez wiele tygodni wydobrzeć. Spędził tam kilka miesięcy, z początku nieprzytomny, z czasem po ocknięciu się – próbując dojść do siebie i wyleczyć obie poranione dotkliwie podczas starcia nogi, gdyż wcześniej nigdzie dotrzeć by na nich nie umiał.

Kiedy wrócił z Pomorza do Niemiec, w pełni szczęścia, że zobaczy wreszcie oczy ukochane i ucałuje usta swej lubej, czekał go cios potworny – dowiedział się o śmierci swego pana, księcia Władysława, a zdruzgotana księżna Agnieszka Babenberg dała mu tylko te dwa skrawki odzienia Adelci najmilejszej i pożegnali się spłakani, on zdecydował o powrocie do rodzinnego kraju, ona zmarła wkrótce potem na wygnaniu, nie mogąc nadal do Polski powrócić. Rycerz był załamany i wstrząśnięty do głębi. Chciałby, ile tchu w piersi, walczyć o cześć pani swego serca, bronić jej, toczyć mężne boje, aby tylko móc odnaleźć i znów paść jej do nóg. Lecz na nic by się to już

teraz zdało, na nic... Pojął, że najgorszym, najpotworniejszym z możliwych odczuciem, jakiego doznać może człowiek na tym łożu padole, jest wszechogarniająca duszę bezradność, na jaką nic poradzić już nie można... Sto i tysiąc razy bardziej wolałby cierpieć katusze, przeżywać tortury i wyć z bólu, ducha swego nawet wyzionąć, byleby tylko wiedzieć, że jego ukochana jest bezpieczna i zdrowa. A tak – pozostało mu tylko płakać z żalu wielkiego, że jej już wśród żywych nie ma i nigdy nie będzie...

Wracał tedy do państwa obcego teraz sobie, rządzonego przez przyrodniego brata swego zmarłego pana, księcia Bolesława Kędzierzawego, który niegdyś zbuntował się przeciw legalnemu władcy, seniorowi, i podstępnie wygnał go z kraju. Teraz to on był seniorem rodu piastowskiego, lecz i przeciwko niemu burzyli się możni polscy i książęta z jego własnej dynastii. Bolesław Czwarty, imiennik swego wielkiego ojca, był księciem nader wyniosłym, chełpliwym i pewnym siebie. Jego buta i duma budziły niegdyś niekłamaną podziw matki, hrabianki Salomei z Bergu, która takich właśnie cech oczekiwała od przyszłego następcy tronu, kiedy ten ubiegnie znieawidzonego, przyrodniego brata w walce o koronę oraz władzę i sam obejmie niepodzielne rządy w państwie.

Piast ten miał twarz pociągłą, jak jego matka, nos prosty i długi, jasne włosy, piętrzące się do dzieciństwa i niesfornie układające przy skroniach, przez co sprawiały

wrażenie wiecznie rozmierzwionych. Wyraz jego oblicza zawsze trudny był do odgadnięcia, przez co wielokrotnie zaskakiwał nowinami i rozkazami nieoczekiwanymi dla jego rozmówców, co go też niezmiernie bawiło. Buta i pewność siebie z czasem dały specyficzny wyraz na jego twarzy, tworząc oblicze wyniosłe, zadarte nieco ku górze, spoglądające na każdego w dół, jakby z tronu, na jakim wiecznie – zdawać by się mogło – siedzi. Panował niepodzielnie nad państwem polskim, choć świadomie łamał tym przez całe dziesięciolecia testament swojego zmarłego ojca, gdyż zagarnął i sprawował władzę jeszcze za życia seniora, swego przyrodniego brata, Władysława Drugiego.

Początkowo jego rodzeni bracia popierali ten bunt i wojnę domową, jednakże z czasem i oni zaczęli wysuwać pretensje pod adresem rządzącego juniora co do sukcesji po ojcu. Bolesław Kędzierzawy z początku naiwnie przypuszczał, iż uda mu się te roszczenia załatwić polubownie, ale uparci młodsi książęta byli tym razem ostrożniejsi niż ich starszy, przyrodni brat. Największy żal miał do niego najmłodszy z nich, Kazimierz, który urodził się już po śmierci ojca Krzywoustego, jako pogrobowiec, a potomni nadali mu w przyszłości przydomek Sprawiedliwy. Umierający książę Krzywousty nie wyznaczył mu żadnej dzielnicy, gdyż nie wiedział jeszcze wówczas o jego urodzeniu.

Po upokorzeniu w 1157 roku przez cesarza Fryderyka Barbarossę, Bolesław Czwarty musiał oddać mu hołd

lenny i jako rękojmię obietnic, złożonych władcy cesarstwa, wysłał młodego Kazimierza do Niemiec jako zakładnika. Wcześniej wielokrotnie zbrojnie dochodził jego praw, walcząc z Władysławem Wygnańcem, ale po jego wygnaniu, jakby zapomniał o młodszym bracie i jego sukcesji. Młody Kazimierz był też popierany przez krakowskich możnych, którzy coraz częściej buntowali się przeciw samowładczemu i surowemu seniorowi, zwanemu przez potomnych „Kędzierzawym”. Współrządów domagał się również drugi brat Bolesława, Mieszko. Na tym tle dochodziło do licznych zatargów i sytuacja w kraju była coraz bardziej zaogniona. Nie uspokoiło jej pojawienie się w kraju nowych pretendentów do polskiego tronu – synów wygnanego seniora: Bolesława Wysokiego oraz Mieszka Płatonogiego, jak również osiągnięcie pełnoletności przez potomków kolejnych synów Krzywoustego: Leszka i Bolesława Bolesławowiców, Odon, Stefana, Bolesława, Mieszka i Władysława Mieszkowiców oraz wnuka Wygnańca, Jarosława, zwanego potem „Opolskim”.

Jarosław, najstarszy wnuk Władysława Wygnańca i Agnieszki Babenberg, był pierwotnym synem Bolesława Wysokiego, lecz po śmierci jego matki, Zwienisławy, ojciec zaczął ulegać namowom nowej żony, Niemki Krystyny, i przygotowywać go do służby Kościołowi, próbując odsunąć od udziału w sprawowaniu rządów na rzecz juniorów. Przystojny i ambitny książę zdecydował jednak, iż sprzeciwi się woli ojca, choć

uzyskane święcenia kapłańskie pomogły mu w przyszłości uzyskać godność samego biskupa wrocławskiego. Takie to spory i niesnaski obecnie zachodziły ciągle między spokrewnionymi wprawdzie ze sobą, lecz coraz bardziej skłóconymi Piastami.

Mieszkając w przygranicznym Grodźcu, stary rycerz zapuszczał się wielokrotnie poza jego mury i tak pewnego razu dotarł do płynącej tuż przy śląskiej ziemi rzeki, Brynicy i przekroczywszy ją na szerokim moście we wsi Brzozowice, którym ciągnęły liczne wozy handlarzy i kupców, spieszących w stronę przeciwną na słynny, największy w tej okolicy targ – organizowany w sąsiadującym z Grodźcem Będzinie, wjechał do wsi Zwierzów, a dalej do kolejnej, Piekar, leżącej tuż pod wielkim grodem, rozłożonym przy innym rozległym wzniesieniu, słynnym z łask wszelakich – Bytomiem. Wzgórze Świętej Małgorzaty, na którym niegdyś przyszedł król Polski, Bolesław Chrobry, wznosił swoją warownię, górowała dumnie nad okolicą. Teraz szczęśliwie się złożyło, gdyż akurat gród ten wizytował obecny władca śląskiej dzielnicy, syn wygnanego w 1146 roku piastowskiego księcia Władysława Drugiego, a wnuk i imiennik sławnego pogromcy Pomorzan, Bolesław Wysoki. Rycerz, dowiedziawszy się o tym, czym prędzej pojechał pokłonić się jemu.

Bytom powitał go niespodziewanym rabanem, jaki wszczął się tuż przy granicy grodu. Oto strażnicy książęcy prowadzili starego, obszarpanego łachmaniarza, który

wyrywał im się bezskutecznie, wrzeszcząc wniebogłosy i kopiąc chuderlawymi nogami na lewo i prawo. Rozochoczone wrzawą bose i niemiłosiernie umorusane dzieci biegły za nimi całą gromadą, śmiejąc się i rzucając w pojmanego złodziejaska małe kamyki, zbierane po drodze. Dalej podążały podekscytowane rzesze kupców i straganiarzy z pobliskiego targowiska, krzycząc głośno i spierając się podczas tego rozwrzeszczanego pochodu. Po nich z kolei szli ciekawscy gapie, jakich wszędzie zawsze sporo przy takich widowiskowych pojmaniach opryszków. Za tą zgrają rozochoczonego tłumu podążał pospiesznie dystyngowany mężczyzna w eleganckim, aksamitnym ubraniu skrojonym na miarę, z długimi rękawami, podniesionymi u łokci i przepasanym szerokim skórzanym pasem. Kiedy strażnicy podeszli do okazałego budynku z awanturującym się ciągle rzezimieszkiem, przystanęli i oczekiwali na nadejście urzędnika. Pojawił się wreszcie ów jegomość, przemierzający teraz cały tłum od samego jego końca.

– Panie, ja–m niewinny, to jakoweś bujdy! To nie ja!  
– próbował jeszcze tłumaczyć się niemrawo, trzymany przez straż opryszek.

Tamten urzędnik jednak nie zwracał żadnej uwagi na jego paplaninę, wyjął wielki klucz ze swej przepastnej torby, trzymanej na brzuchu i przeplecionej pasem przez tułów na ukos, przekreślił go umiejętnie w drzwiach ratusza i wszedł szybko do środka, a za nim nie bez trudu wprowadzono, wierzgającego nadal i wydzierającego się

straszliwie, obdartego złodzieja.

– Mości ceklarzu, a pamiętaj o sprawiedliwym jego ukaraniu! Łachudra jeden, cały stragan mi powywracał! – złorzeczyła na nimi gruba, czerwona po twarzy sprzedawczyni w białej chuście na głowie. Wygrazając pięścią spoglądała jeszcze oburzona czas jakiś w głąb korytarza, w którym zniknęli tamci, aż w końcu odeszła wraz z całym tłumem, rozpowiadając głośno o tym, jaka to krzywda ją niedawno spotkała przy kradzieżach i ucieczce złodzieja, który wpadł akurat na jej rozwarty tuż przy bytomskim rynku kram z owocami, plądrując wszystko i wywracając całe plony, wystawione na sprzedaż.

Z boku całemu temu harmiderowi przyglądał się przerażony i mocno schylony, jak do ukłonu, stary łagiewnik wraz ze swoją żoną, na których – z racji wykonywania tak nikczemnego rzemiosła – inni rzemieślnicy i handlarze spoglądali z pogardą, obchodząc ich szerokim łukiem. A oni, trzymając w trzęsących się, umęczonych ciężką pracą rękach swe drewniane naczynia, z trudem dusili łzy, ciekące im potokiem po ciemnych twarzach i tłumili płacz, jaki dusił im piersi. Oni byli najmocniej obici i najbardziej poszkodowani w całej tej napaści, bo to ich właśnie okradł ów złodziejaszek, zabrał im całodniowy, niewielki przecież i tak utarg, zniszczył podczas ucieczki resztę z trudem wykonanych naczyń oraz maleńki, podreperowany nie tak dawno wózek, na którym przywozili swoje wyroby na rynek z pobliskiej

wsi Łagiewniki. Jako jedyni z całej swojej wioski mogli dziś wystawić naczynia, a uzyskane pieniądze – jak zawsze to u nich czyniono – musieli przywieźć wieczorem do wsi, przekazać zarządcy, który miał je sprawiedliwie rozdzielić, zabierając sobie część, część przesyłając do księcia, a resztę przekazując wszystkim mieszkańcom. Teraz oboje musieli wrócić do swojej wioski z niczym! Niechybnie czekała ich za to kara batów, lecz stokroć gorsze były: pogarda i głód całej ich wioski... Załamani szlochali teraz, stojąc bezradnie pod murami ratusza, trzymając się w objęciach, a oburzeni i zniesmaczeni straganiarze omijali ich ze wstrętem.

Przy wjeździe do grodu miecznik Bronisz zatrzymał jeszcze konia, aby pomodlić się w przygranicznym kościółku romańskim. Wszedłszy tam po cichu, obaczył siedzącego pod drzwiami na kamiennej posadzce starego wiarusa bez nóg i oczu, przewiązanego brudną przepaską przez twarz, który wyciągał przed siebie drżące dłonie, prosząc o jałmużnę. Śpiewał przy tym cicho niezmiernie bolesnym głosem taką oto pieśń:

Mateńko, Mateńko...  
Zapłaczesz cichuteńko.  
Nad mą dolą tułacza  
Przyjdzie Ci długo płakać  
Mateńko...  
Mateńko, Mateńko...  
Noc już wkoluteńko.  
Mrok zasłonił obrazy,



Czerń zakryła me skazy...

Mateńko...

Mateńko, Mateńko...

Wejrzyj na mnie, Panienko,  
Wspomóż mnie, grzesznego,  
Uchronź od gniewu Bożego.

Mateńko...

Mateńko, Mateńko...

Już odchodzę nieprędko,  
Już me kości tu złożę,  
Spójrzyj na swe niebożę...

Mateńko...

Rycerz pomodlił się krótko w kaplicy, przy drzwiach rzucił staremu w dłoń złotą monetę i wyszedł przygarbiony ze świątyni.

Księżę przyjął go nieufnie, z początku nie bardzo wiedział, kim jest ów starzejący się, zaniedbany, obrośnięty, niczym wilk jakowyś, rycerz z dziwacznie chrapliwym głosem i pooraną głębokimi bruzdami twarzą. Kiedy jednak ten olbrzym z pokorą rzucił się jemu do stóp, by je ucałować i zaczął skamleć, niby pies wierny przy swym panu, rozpoznał w nim swego dawnego towarzysza zabaw, kiedy jeszcze sam był dziecięciem. Rozpromieniła się twarz surowego księcia śląskiego, Bolesława Wysokiego, obłapił serdecznie rycerza, siłą podniósł go z klęczek, postawił na nogi, uściskał raz jeszcze, spoglądając uważnie w oczy przysypane już i pokrwawione pyłem bitewnym, latami rozłaki i zasłoną

starości, przesłonięte opadającymi niechlujnie na twarz gęstymi, siwymi pasmami silnych, prostych włosów, poprowadził go też zaraz do stołu biesiadnego, gdzie natychmiast nakazał służbie przynieść najprzedniejsze wino i jadło, aby poczęstować gościa tak miłego sercu i popytać o minione lata. Zaraz też polecił, aby przywołano jego brata, z którym rycerz niegdyś też bawił się, walczył drewnianymi mieczami na dworze ich ojca i udzielał pierwszych, mądrych rad jako przyszłemu władcy piastowskiemu.

Mieszko Płatonogi z początku wierzyć własnym oczom nie potrafił, kiedy mu brat jego, Bolesław, opowiadał, kim jest ich niezwykle gość. Przywitał i on jego serdecznie, wypytując o losy tuż po wyjeździe z zamku księcia Władysława Wygnańca, ich ojca, w saksońskim Altenburgu z misją dyplomatyczną do Albrechta Niedźwiedzia. Usiedli zatem wszyscy do stołu. I on poznać nie mógł zapamiętanych jako podrostki, dorosłych teraz i zmężniałych władców.

Podrzuciwszy nieco swoje niesforne, długie włosy do tyłu, rycerz odsłonił piękne, dobrotliwe błękitne oczy i szczerząc w wielkim uśmiechu poczerńiałe zęby, począł opowiadać. Okazało się, że pierwsza wiadomość o napaści, walce z plemionami pogańskich Pomorzan oraz śmierci Bronisza dotarła na ich niemiecki dwór wtedy, gdy on sam jeszcze ciągle jechał na północ i była jak najbardziej nieprawdziwą. Jednakże okryła wszystkich żalobą i pogrzyżyła w głębokim smutku. On tymczasem

przedzierał się ze swoim oddziałem przez przygraniczne lasy, lecz nagle, po kilku kolejnych dniach takiej wyprawy, gdy już się zmierzchać zaczynało, spotkał grupę wieśniaków, pracujących w polu oraz drugich, którzy odprawiali niedaleko traktu, jakim jechał, zakazane obrzędy pogańskie, paląc na stosie zwłoki swych krewnych, zabitych w walce z władcą sąsiedniej marchii.

Zobaczywszy na zbroi i tarczy Bronisza orła piastowskiego, nieznajomi, dzicy poganie, zniechęca zaatakowali go, zewsząd zbiegło się ich coraz więcej i wobec tak licznej przewagi wrogów, mężny rycerz próbował stawić im czoła lub wycofać się do pobliskich bagien, lecz nie zdołał tego w porę uczynić i jego ludzi wycięto w pień. On sam, poważnie ranny i początkowo nieprzytomny od upływu krwi, przeleżawszy do zmroku pod ciałami zabitych, wyczołgał się nocą wraz ze swym giermkim i uszedł na bagna, gdzie leżał długo bez przytomności. Kiedy Gniewosz doszedł do siebie i pewnej nocy przyczołgał się na miejsce tej bitwy, nie znalazł tam już nikogo z towarzyszących im przedtem rycerzy, gdyż poganie, w obawie przed wampirami, mieli zwyczaj przed zmrokiem wszystkie ciała nieboszczyków palić czym prędzej, wbijając im dodatkowo w pierś po lewej stronie kołki drewniane i obkładając nieszczęśników suszonymi ziołami i główkami czosnku. Wśród palonych znajdowali się nieraz i tacy, których do końca jeszcze nie dobito, ani kołkiem piersi im nie przebito i ranni, cierpieli teraz, paleni w ogniu, nieziemskie katusze, krzycząc

wniebogłosy. Przebywając przez szereg miesięcy na bagnach, Bronisz nie jeden raz słyszał te przerażające lamenty i zawodzenia, biorąc je nawet częstokroć za pienia demonów. Giermek nie odnalazł także listów oraz podarunków od Adelajdy dla Bronisza, zagubionych podczas walki, które – jak się okazało – poganie sprzedali wkrótce na targu.

Z początku, kiedy tylko się ocknął cały obolały, nie wiedział, w jakim celu i kiedy tam przybył, po co, kim jest i dlaczego ma tyle ran głębokich i bolesnych na nogach oraz rękach. Z czasem, kurując się pod opieką giermka Gniewosza okolicznymi ziołami, którymi kiedyś w dzieciństwie leczyła jego rodziców znajoma znachorka, wyleczył ciało, ale nie duszę. Pamięć stopniowo wracała, rozpoznawał herby i godła, jakie miał na zbroi, lecz przepadły gdzieś dary od ukochanej oraz dokumenty z pieczęciami od księcia z rozkazami dla władcy marchii. Teraz obaj bracia piastowscy wyjaśnili mu, że znaleziono je na polu walki, a poganie sprzedali je następnie na miejscowym targu kupcom, zmierzającym do Niemiec, ci zaś rozpoznali pieczęcie i zrabowane rzeczy ostatecznie przywieziono na dwór księżnej, a ta dała je jego żonie, Adelajdzie, jako pewny znak śmierci Bronisza.

Na dźwięk tego imienia rycerz poruszył się cały i do oczu napłynęły mu łzy.

– Panie miłościwy, czy wiesz coś może więcej o dalszych jej losach? – zwrócił się z rozrzewnieniem do najstarszego Władysławowicza.

Bolesław boleśnie spojrział na niego z miłością i odrzekł:

– Matka nasza, księżna Agnieszka Babenberg, ubolewała głęboko nad rozpaczą, w jaką popadła po wieści o śmierci twojej, mój drogi Broniszu. Aby załagodzić jej ból i żalobę, wyznaczyła ją do towarzyszenia sobie podczas podróży do Rzymu, w jaką udała się z pilną misją w celu uzyskania u Ojca Świętego aprobaty dla poparcia jej idei powrotu naszej rodziny z powrotem do rodzinnego kraju. Niestety, w drodze do Stolicy Apostolskiej, w Austrii, ich orszak napadli zbójcy, którzy powóz pani Adelajdy porwali, wywieźli, obrabowali, żywych zabili, a wszystko pozostałe puścili z dymem i zbiegli. Matka nasza na próżno straż rozsyłała po całej okolicy, wypytywała o nią, czy ktoś jej nie widział, czy cudem nie ocalona, czy nie przeżyła tej napaści, ale nikt pomóc nie mógł. Tedy przybywszy do Rzymu, dała – jako i planowały obie – na Mszę świętą za spokój twej duszy, a do tego jeszcze – do Aniołów Stróżów z racji śmierci jej najukochańszej dworki. Wróciwszy do Niemiec, w smutku i żalobie pozostała już do końca dni swoich...

Po tych słowach wszyscy trzej jęli płakać i smucić się w żalości.

W końcu Bronisz pierwszy przemówił:

– Prawda–ż li to była, że zaniemogła przed wyjazdem i chora w powozie jechała?

Tamci kiwnęli głowami, potwierdzając.

Mieszko dodał do tego boleśnie:

– Dopiero kilka tygodni po powrocie z Włoch jedna z dworek odważyła się matce naszej wyznać, że twoja ukochana Adelcia powierzyła jej wielki sekret: przed wyjazdem do Rzymu powiedziała, że jest brzemienną, gdyż spodziewała się twego dziecka, mości mieczniku!

Na to zerwał się na równe nogi stary rycerz i zaczął biegać po całej komnacie, jak w obłędzie, i włosy rwać z głowy! Książęta patrzyli na niego z bólem. Trwało to chwil kilka.

– A co z tobą dalej się działo, gdzie–żeś przebywał? – przerwał mu w końcu ciężkim głosem Bolesław Wysoki.

Bronisz usiadł znowu przy stole i odpowiedział:

– Szukałem jej i ja! Gdzie–m ja nie był! Kogo–m nie pytał! Widziałem się i ja z matką waszą, miłościwą panią księżną Agnieszką. Niestety, ona dała mi jedynie skrawki jej sukni wyniesione przez sługi z pożogi... Pustka! Jakby się pod ziemię zapadł wszelki ślad po niej i jej zabójcach! – po tych słowach znowu poderwał się i począł biegać po całej komnacie jadalnej.

– Służący matki naszej dowiedzieli się, że złoczyńcy napadli ją, kiedy przejeżdżała przez wieś Saint–Michel, położoną u podnóża Alp w Salzburgu. Tam się wszelki ślad po twej ukochanej urywał.

Na to Bronisz przystanął i uniósł ze zdziwienia gęste brwi do góry:

– W Salzburgu, powiadasz, panie? W Saint–Michel na Ziemi Salzburskiej?! Toż to jej rodzima ziemia! Moja

żona stamtąd pochodziła, a jej ojciec, Ernest, był tam znanym, sprawiedliwym i cenionym kasztelanem, dbającym zawsze o swój lud i otaczającym poddanych nieustanną opieką i szczodrobliwością.

Na to obaj książęta wstali od stołu i w zdumieniu spoglądali to na rycerza, to na siebie nawzajem. Bolesław rzekł stanowczo:

– Niemożliwe zatem, aby tam ktokolwiek rękę na nią podniósł! Aby ją tam ktokolwiek skrzywdził... Miała wszak na palcu pierścień, jaki ci niegdyś podarowała i jaki potem podano naszej matce. I miała medalion z herbem rodowym! Pomorzanie po wygranej walce obrabowali leżące ciała, zabierając także tobie, mości mieczniku, dary, jakieś miał przy sobie od żony, lecz zmrok wygonił psubratów do ich pogańskich siedzib za bagnami, gdyż bali się ataku wampirów, a za dnia powrócili i pozostałe ciała spalili, kiedy ty już na bagnach schronienie znalazłeś. Zgrabione rzeczy próbowali sprzedać wędrownym kupcom za jedzenie i broń, handlarze w porę zorientowali się, do kogo należały wszystkie te cenne przedmioty, które sprzedali im poganie, powiadomili posłów cesarskich i tak oto rzeczy te dotarły na dwór naszej księżnej matki. Skoro na twym pierścieniu zobaczyli wizerunek Świętego Walentego i insygnia cesarzowej Berty Sabaudzkiej, a na medalionie twej żony – pieczęć kasztelana Ernesta z Salzburga z jego rodowym herbem, tedy łatwo musieli odgadnąć, że to jest jego córka!

Bronisz zastanowił się chwilę i rzekł twardo:

– Trzeba mi tam znowu jechać! Może Bóg ją jednak ocalił... Albo... – tu zawahał się przez moment i dokończył ciężko – grób jej choć znajdę... To i się nad nim pomodłę. Poszukam też wieści o dziecku...

Obaj bracia spojrzeli na niego z niepokojem.

– Drogi i kochany druhu – zaczął spokojnie, acz zdecydowanie Bolesław – matka nasza wielokrotnie wysyłała tam swe sługi, też wierząc w cud i mając nadzieję na jej ocalenie, szukano ciągle, pytano, przeczesywano całe okolice... Na próżno... Niestety, nie masz tam czego szukać! Zginęła, jak wielu jej towarzyszy... Spokój jej duszy...

– Jednak nie spocznę, póki tam nie wyruszę, nie pojedę i nie znajdę jej oprawców! – uderzył pięścią z stół z taką siłą, że aż zatrzęsły się naczynia na nim stojące. – Jeśli jest już w Niebiesiech, jeśli taki był Boski wyrok, znajdę jej oprawców i pomszczę ją, jak mi Bóg miły!

– Skoro taka twoja wola i tam znajdziesz ukojenie dla duszy niespokojnej, w smutku pogrążonej, tedy jedź z Bogiem! – Piastowicze uściskali go serdecznie i odprowadzili na dziedziniec swego pięknego, bytomskiego zamku.

Bronisz wracał na koniu podekscytowany nadzieją, jaka nagle, tak nieoczekiwanie zgoła, pojawiła się w jego sercu. Wiele lat temu, przybity i całkiem już zrezygnowany, dowiedziawszy się o pewnej i nie podlegającej, zdawać by się mogło, żadnej wątpliwości



śmierci swej ukochanej, teraz, z sercem tak długo przepełnionym żalnością i rozpaczą, ułapał się tej ostatniej deski ratunku i wierząc w pomoc, jaką okazać mogli po napaści zbójckiej pięknej Adelajdzie poddani jej zmarłego już wtedy ojca, zdecydował odważnie o podjęciu niebezpiecznej wyprawy do samej Austrii.

Przejechał z powrotem do grodzieckiej gospody tym razem nieco innym traktem z Bytomia na północny wschód, przez wieś Piekary, Józefkę, zwaną potocznie „Brzezinkami”, i dalej, po przeprawie przez graniczną rzekę Brynicę, nieopodal rozległych lasów w Kozłowej Górze oraz Niezdarze i szerokich bagien, sięgających aż het, do osady bartniczej Pustki, i do tamtejszego, oparowskiego jeziora, i dalej jeszcze, na wschód – do wsi dziwnie mu znajomej z nazwy. Oto dotarł do pięknie położonej, acz mniejszej nieco od Dorotki, lecz równie imponującej górki, z której rozpościerał się urokliwy widok na okoliczne miejscowości: Bobrowniki i Brzozowice na południu, Piekary na zachodzie, Sączów, Siemonię i Pustki na północy oraz Rogoźnik i Wojkowice Komorne na wschodzie. Kiedy przekroczył zachodnie granice wioski, zewsząd zbiegły się małe dzieci, które wesoło podążały za jego koniem, wołając i machając rączkami.

– Co to za wieś?

– Dobieszowice, panie! – zawołał mały, umorusany chłopak z rozczochraną czupryną.

– Piękna!

– A jakże!

Przypomniął sobie wreszcie dawny miecznik piastowski, skąd znana mu była ta nazwa – wszak na dworze swym księżna Agnieszka Babenberg miała przywiedzionego w swoim orszaku z Niemiec rycerza, któremu na imię było Dobiesz. Ponoć wracając z dawnej wyprawy rycerstwa na Ruś, osiadł on na tym wzgórzu, zamieszkał tu, założył rodzinę z poznaną niedaleko, w Pyskowicach, urodziwą panną i założył tu osadę, nazwaną od jego imienia Dobieszowicami. Potem wyjechał na nowe wojny, przystał wreszcie do dworu margrabiarki austriackiej i już nie wrócił tutaj. Jego żona, będąc przekonaną o tragicznej śmierci swego męża, Dobiesza, wyszła ponownie za mąż za prostego cieślę, Dalemira Milejowana, pochodzącego z sąsiednich Milejowic, zwanych też czasami „Milowicami”, zaś sama osada poczęła szybko rozrastać się, jej mieszkańcy poznawali okoliczne wsie, sprowadzali tutaj swe żony i całe rodziny i tak stopniowo całą górkę dobieszowską zaludniono, tworząc wokół niej rozległą osadę o charakterze rolniczym. Ludność uprawiała ziemię na rozległych polach, znajdujących się dookoła pięknego wzgórza, gdzie gleba była żyzna i przynosiła bogate plony, zaś nieco dalej, ku Sączowowi i Siemoni, na tak zwanych „Gliniankach”, zbierano ziemię głównie do wyrobu pieców, bo uprawiać jej się tak łatwo nie dało. Ku owym „Gliniankom” udał się właśnie stary rycerz, by przez gęsty i szeroki las w Rogoźniku, potem Siemonię, Górę

Siewierską, Strzyżowice i znany mu już Gródków dotrzeć nareszcie do Grodźca. W oberży ułożył się zmęczony do snu, planując zacząć za dni kilka przygotowania do wielkiej wyprawy za granicę, aż do samego austriackiego Salzburga.

Jednak wcześniej nieco zwiedzał tu jeszcze okoliczne, urokliwe ziemie, aby nabrać sił do tak dalekiej drogi.

Dobieszowice były wsią służebną, obsługującą pobliskie grody: Grodziec i Będzin. Na wysokim wzniesieniu tej wioski usytuowany był niewielki dworek – miejsce tymczasowego pobytu księcia bądź zarządcy podczas ich objazdu pobliskich wsi. W miejscowości tej mieszkali i pracowali na potrzeby sąsiednich kasztelańskich grodów rzemieślnicy, zajmujący się wyrobem najbardziej przydatnych narzędzi, przedmiotów użytku codziennego i ozdób. Przy granicznej Brynicy, nieopodal rozległych pól uprawnych, istniały dwa wielkie młyny, do których rolnicy przywozili plony zebrane podczas żniw ze swoich pól, a wywozili mąkę do wypieku chlebów oraz placków. Bednarze wytwarzali beczki, kadzie i balie, głównie z drewna sosnowego i świerkowego, w które bogate były okoliczne lasy, ciągnące się aż do granicy ze Śląskiem, a także do Mierzęcic i Siewierza. Szczególnie popularne były głębokie, solidne beczki, przeznaczone do kiszenia kapusty, ogórków albo przechowywania miodów, win, piwa lub zboża. Kołodzieje zajmowali się wytwarzaniem

kół do wozów, którymi cenne wyroby ze wsi wieziono na okoliczne jarmarki i targi oraz na dwory zarządców. Najślynniejszymi zaś ze wspomnianych w tym czasie były w najbliższej okolicy targowiska w Będzinie oraz Siewierzu.

Powszechnie znane były dobieszowskie, znakomite i solidnie wykonane meble, którymi miejscowi stolarze nawet za granicami kraju rozstawili tę maleńką miejscowość. Najślynniejszym z nich był wspomniany już cieśla Milejowian, pochodzący z pobliskiego grodu Milejowice, tuż obok wsi Czeladź leżącej. Tracze i cieśle znajdowali zatrudnienie w małym tartaku tu, na miejscu, oraz w sąsiednim, największym w tej okolicy, znajdującym się w podgrodzieckiej wsi Gródków. Żelazne groty do strzał i włóczni to z kolei domena miejscowych grotników, którzy swoje warsztaty mieli tuż przy wielkiej kuźni, należącej w tym czasie do znanego rodu Szkutników i stojącej nieopodal zbiegu kilku dróg, wiodących do sąsiednich osad.

Jedna z nich biegła z Dobieszowic wprost do Rogoźnika, założonego w X wieku przez rycerza królewskiego Boguchwałę, gdzie pracowali głównie ogrodnicy, piwowarze i tkacze, a słynąca z cudownych uzdrowień roślina pnąca się po murach, otaczających tę osadę od północy, zwana „rogoz”, stała się najbardziej znanym ziołem leczniczym z tego terenu. W Rogoźniku po lasach można też było znaleźć liczne pieczary i jaskinie, w których żyli w dawnych czasach mnisi oraz

pustelnicy, a bijące tu i ówdzie źródła dostarczały licznie przybywającym pielgrzymom uzdrawiającej i oczyszczającej wody. Największym z tych sławetnych rogoźnickich źródełek był cuda czyniący potok Jaworznik, w którym – według legendy – obmył się w 1018 roku wracający z wojen z Rusią późniejszy król Polski, mężny Bolesław Chrobry, co stało się przyczyną cudownego wyleczenia jego ciężkich ran, zadanych mu przez mieszkańców Kijowa podczas jego złupienia. Drugim takim sławnym potoczkiem, w którym swe rany obmył z kolei rycerz tegoż władcy, Benda, było źródółko bijące w gęstym lesie u podnóża Góry Dorotki w samym Grodźcu.

Inna droga z górki dobieszowskiej podążała dalej – do Bobrownik, których mieszkańcy dla odmiany zajmowali się przede wszystkim hodowlą, doglądaniem i opieką nad bobrami, mieszkającymi w rozległym rezerwacie, ciągnącym się od Brynicy aż po Czarną Przemszę. W zamian za tę opiekę nad zwierzętami książęcymi, mieszkańcy wsi Bobrowniki otrzymywali od księcia należące do władcy ziemie na własność. Skórki bobrowe były wówczas bardzo wysoko cenionym materiałem i stanowiły dobro państwowe, dlatego też zajęcia Bobrowniczian należały do najbardziej odpowiedzialnych ze wszystkich powinności, jakie wykonywali mieszkańcy zebranych wokół Dobieszowic wiosek. Musieli oni szczególnie uważać na liczne gromady rabusiów, grasujące w pobliżu i pochodzące

zarówno z tych małopolskich terenów, jak i zza Brynicy, z ziem śląskich, które niemiłosiernie i nieprzerwanie grabiły rezerwaty bobrów albo też napadały i okradały urzędników książęcych, wiozących panu daniny, bądź nawet samych kupców.

Na dalszej górze, Łubiankach, leżała inna wieś służebna, sąsiadująca od południa z Dobieszowicami – Sączów, założony przez rycerza Bolesława Chrobrego o imieniu Sądek – serdecznego druha wspomnianego już innego wojownika, Bendy – założyciela Będzina. Jako piękny i malowniczy „Słoneczny Dwór” była ona znana od zamierzchłych czasów jako największe w okolicy miejsce zamieszkania rodzin bartników, którzy musieli nabywać od okolicznych cieśli potrzebne im do pracy w lasach przedmioty: śnioty i hwozdownie. Bartodzieje mieli za zadanie dostarczać księciu corocznie najprzedniejszy miód ze swych barci. Sączów sięgał aż po dopływ Brynicy, Osę, nad którą w leśnej osadzie, Ossie zamieszkujący te tereny drwale ścinali w gęstych kniejach dębowe i lipowe drzewa, przeznaczane na wyroby najcenniejszych mebli w Dobieszowicach. Tamtejsza gęsta puszcza dębowa i bukowa sięgała aż po rozległe jezioro, zwane Puściskiem, za którym rozpościerały się już ziemie książąt śląskich.

Za Rogoźnikiem i Bobrownikami Dobieszowice oddzielały od Grodźca jeszcze Wojkowice Komorne – osada służebna, nazwana tak już w tamtych wiekach z tego powodu, gdyż niegdyś schronili się w niej wojowie

Bolesława Chrobrego, wracający z kijowskiej wyprawy zbrojnej, zakładając na tym terenie wieś, przejętą później przez księżęcego komornika, zarządzającego skarbcem władcy. W Wojkowicach najlepiej rozwinęły się: kuśnierstwo, szewstwo oraz – niezwykle cenione w wiekach średnich – karczmarstwo, z którego dochód był wówczas najwyższym i najbardziej opłacalnym. Każdy książę dodatkowo wynagradzał karczmarzy za zachęcanie do osiedlania się na jego ziemiach przybywającej tu ludności, dlatego też podróżni chętnie zatrzymywali się tu i potem częstokroć istotnie zostawali na stałe, osiedlając się i zakładając swe rodziny. Z tego powodu Wojkowice błyskawicznie rozrastały się, zajmując okoliczne dobra królewskie.

A warto było, gdyż tutejsze tereny należały do najpiękniejszych w ówczesnym kraju piastowskim. Okoliczne, szerokie, malownicze jeziora, stawy i rzeki oraz niedostępne puszcze, otoczone rozległymi polami i co jakiś czas rozłożone wśród dolin prawie równomiernie malownicze pagórki, porośnięte gęsto lasami i stanowiące dogodną bazę dla budowy na nich zamków, grodzisk, dworów czy kościołów, urozmaicały widokowo te posiadłości, wyjątkowe zarówno pod względem ukształtowania terenu, jak i położenia geograficznego. Z każdego wzgórza rozpościerała się na najbliższą okolicę imponująca panorama, która obejmowała podczas pogodnych dni nawet dalekie górskie szczyty, znajdujące się aż het, w oddali, przy południowej granicy państwa

polskiego.

Skrzyżowanie dróg za Dobieszowicami, prowadzące wśród pól i podmokłych łąk oraz bagien do Rogoźnika i Bobrownik, nie cieszyło się dawniej zbyt dobrą sławą, gdyż miejscowi wielmoża, w tym i sam założyciel największej z owych osad, niemiecki rycerz Dobiesz, nakazywali tu właśnie przeprowadzać egzekucje na czarownicach i podejrzanych znachorkach, o także czary oskarżanych. W drodze powrotnej do Grodźca Bronisz mijał kilka powalonych już i popróchniałych szubienic albo śladów po stosach, które były pozostałościami po tych ponurych praktykach średniowiecznych, bo – jakkolwiek obecnie panujący książę zakazał kategorycznie przeprowadzania takich egzekucji – bywało, iż podczas fermentu wewnętrznego i walk o władzę, miejscowi zarządcy wyłamywali się z takich zakazów, uważając je za tymczasowo nieobowiązujące i – sami wymierzając sprawiedliwość – usuwali w ten sposób niewygodne czy też podejrzane kobiety, uznawane podczas samosądów za niebezpieczne wiedźmy. A zostać oskarżonym o czarnoksięstwo i sprzyjanie diabelskim praktykom było wówczas nawet łatwiej, niżli dowieźć własnej niewinności. Ot, podanie choremu podejrzanych ziołowych naparów czy poczynienie pogańskich praktyk liturgicznych, ba! – nawet ognisto–krwiste, rude, jak kita u chytrego lisa – włosy czy także ubarwienie całego ciała jako widoczny znak, wyróżniający danego człowieka – te rzeczy już pozwalały miejscowym władcom na



wyznaczanie aresztu i skazanie na okrutne tortury oraz męczeńską śmierć niewinne wielokroć dziewczęta. Coraz częstsze stawały się bestialskie praktyki rzekomej walki z wiedźmami, które w przyszłych stuleciach miały przybrać charakter wręcz masowego i niezliczonymi stosami oraz szubienicami pokryć całą Europę.

Nieopodal tego rozstaju dróg przy dobieszowickiej granicy, już w kierunku Siemoni i Sączowa, w Dobieszowicach znajdowały się wspomniane już, rozległe pola niezbyt dobrej pod uprawę ziemi, gdzie jednakże wydobywano cenną glinę i stąd nazwa tych terenów: „Glinianki”. Tak dobry materiał budulcowy na garnki i piece wydobywany był jeszcze w Grodźcu, pod Górą Świętej Doroty, a miejscowi garncarze wyrabiali z niego wraz z dodatkiem kamienia solidne piece kuchenne, obszerne i wysokie, przeznaczone do przyrządzania potraw, ogrzewania chat oraz służące jako najlepsze miejsca do spania nade wszystko dla dzieci, osób schorowanych i starszych.

Pod grodziecką Górą Doroty licznie zgromadzili się również miejscowi pasiecznicy, stąd też miody wszelakie, wyrabiane przez nich, doskonałe w smaku oraz aromacie i niezwykle zdrowe, stały się szybko najbardziej znanym i cenionym produktem, wyrabianym w tej części grodzieckiego grodu.

Kiedy Bronisz przejeżdżał do Wojkowic, kobiety i dzieci, odświętnie ubrane, spieszyły z ujmująco pachnącymi bukietami polnych kwiatów do kościoła na

Mszę świętą: oto nastał piękny czas pełni lata: Święto Matki Boskiej Zielnej.

Miejscowa ludność, tak jak pozostali mieszkańcy kraju, była zobowiązana do usługiwania władcy podczas jego objazdu okolicznych terenów, do dostarczania jego zarządcom podarunków i do utrzymywania ich. Takie wizyty zdarzały się kilkakroć w roku. Świadczenia poddanych polegały zatem głównie na składaniu danin, pochodzących z pracy własnej. Były to zbiory z pól, wyrabiane przedmioty, narzędzia czy też broń. Dodatkowo mieszkańcy musieli spełniać posługi. Posługą był na przykład stan, czyli ciągłe utrzymywanie panującego na tej ziemi księcia, jego dworu, drużyny, całego objeżdżającego kraj orszaku oraz wszelakich gości władcy. Stróżowanie z kolei polegało na ciągłym pilnowaniu książęcych posiadłości, a w szczególności jego zamków i dworów. Wreszcie nader często zarządzaną w ostatnich latach powinnością na rzecz panującego było karczowanie, czyli obowiązek wycinania przygranicznych lasów, kiedy to władca przygotowywał się do kolejnej zbrojnej wyprawy. Niejakim problemem był jednakże w tym przypadku fakt, iż coraz częściej walki te obejmowały okoliczne, nawet sąsiadujące ze sobą, dotychczas zaprzyjaźnione tereny, a wojny prowadzili nieraz rodzeni bracia lub dzieci przeciw ojcom, co doprowadzało do ogałacania z wielkich puszczy nawet ziem, dotąd ściśle ze sobą współpracujących, a teraz podzielonych na liczne, skłócone dzielnice.

Mincerz książęcy, mający pieczę nad mennicą władcy i zajmujący się kontrolą monety, sprawdzał zawsze drobiazgowo i skrupulatnie wszystkie pieniężne daniny, składane panu z tej okolicy, zatem kasztelanowie i niżsi rangą urzędnicy musieli mieć się na baczności, co by czasami nieopatrznie nie zdenerwować tego wysłannika książęcego.

Jedną z posług mieszkańców była również podwoda – poddani mieli za zadanie starać się o ciągłe dostarczanie władcy i jego ludziom koni wierzchowych, zaś zgodnie z obowiązkiem drugiej posługi komunikacyjnej – powozu – dostarczano również wozów z zaprzęgami. Należałoby tu wspomnieć rzecz niezwykle istotną, a mianowicie to, iż rycerstwo średniowieczne zawsze musiało poruszać się tylko na koniach, i to specjalnie do tego przygotowanych, uważając wykorzystywanie do jazdy wozów za wielką ujmę na honorze i rzecz zgoła haniebną, więc zapotrzebowanie na te zwierzęta bojowe rosło coraz bardziej. A konie bojowe, podobnie jak i podrózne oraz cały rynsztunek, stanowiły wówczas nie lada wydatek!

Ówczesny rycerz, szlachetnie urodzony syn możnowładczego rodu, od najmłodszych lat przygotowywał się do swego trudnego fachu. Bronisz też musiał odbyć taką szkołę. Już w wieku 7 lat trafił na dwór książęcy Krzywoustego, gdzie jego ojciec, Sławomir, pełnił zaszczytną funkcję miecznika, która potem – zgodnie z tradycją rodu Miecznikowskich – miała przypaść jego ambitnemu synowi. Przebywając u boku

księcia polskiego, Bronisz codziennie wprawiał się w sztuce walki wręcz, odbywał liczne, całodniowe, a nieraz nawet całonocne treningi, zaś dodatkowo uczył się pisać, czytać, jeździć konno, polować, musiał także przyswoić sobie tajniki ówczesnych średniowiecznych manier, tańca, śpiewu czy obsługi przy stole. Najistotniejsze były oczywiście ćwiczenia bojowe, związane z umiejętnym władaniem mieczem oraz staczaniem walki wręcz. Wiele z tych treningów odbywał wspólnie z najstarszym synem księcia Bolesława, Władysławem, który od najmłodszych lat przygotowywał się do objęcia w przyszłości tronu całego państwa. Pasowany na rycerza, Bronisz szybko objął urząd po swym schorowanym ojcu i został miecznikiem książęcym.

Stan rycerski zaczął się kształtować w Polsce w XI wieku. Piastowscy wojownicy otrzymywali od księcia konia, broń i żołd, kiedy zaś rycerze stali się całkowicie zależni od swych panów – książąt lub królów – w zamian za walkę otrzymywali od nich dodatkowo jeszcze ziemię z poddanyimi chłopami, co stanowiło nie lada bogactwo, dlatego dzięki takim nadaniom ziemskim rycerze utrzymywali swój kosztowny ekwipunek, a dodatkowo każdy pan za wierną służbę okazywał wielokrotnie szczodroblivość i chętnie wynagradzał swego poddanego wojownika.

Uroczyste pasowanie na rycerza oraz poświęcenie jego broni dodawało splendoru i wyjątkowego znaczenia tej grupie wojowników. Rycerze byli utożsamiani z

najwartościowszymi cechami charakteru: bronili sierot i ubogich, kierowali się honorem, czynili starania o pozyskanie przychylności i uczucia damy swego serca, adorowanej przez zakochanego wojownika, byli wierni i bezwzględnie oddani swym panom: książętom, margrabiom, królom czy cesarzom, służyli Kościołowi jako jego najdzielniejsi obrońcy oraz hojni darczyńcy, w walce zawsze odważni, mężni, nieugięci, gotowi do poświęceń. Wszelkie tchórzliwe fortele, podstępny, zasadzki, knowania, walka z bezbronnym czy wręcz jego zabicie albo też paniczna ucieczka z pola bitwy były w tamtych surowych, ascetycznych czasach traktowane jako niegodne, niehonorowe i okrywały rycerza oraz cały jego ród i nazwisko hańbą po wsze czasy.

Wiernym giermkim Bronisia został jeszcze na dworze Bolesława Trzeciego Krzywoustego syn jego serdecznego przyjaciela i druha, zmarłego na ospę Mojmira z Gniezna, Gniewosz. Był to chłopak dobry i ciekawy świata, choć często zbyt porywczy i gapiowaty. Jednak z czasem wprowadził się w boju tak, iż znał dobrze zasady służby wojennej, walki wręcz oraz rycerskie obyczaje. Musiał dbać o ekwipunek swego pana, towarzyszyć mu zawsze podczas wypraw i wojen, opiekować się jego koniem bojowym. Starał się też z tego obowiązku wywiązywać najlepiej, jak tylko mógł. A towarzyszący średniowiecznemu wojownikowi chłopak miał nie lada zadanie! Rycerze wieków średnich musieli posiadać konia bojowego oraz drugiego rumaka,

przeznaczonego do odbywania podróży i prowadzenia polowań. Na sobie trzymali ciężki kirys z napierśnikiem i naplecznikiem, czyli ogromną zbroję, ochraniającą korpus mężczyzny wraz z jego plecami, do tego mieli jeszcze pancerz kolczy, na nogach – rajstopy kolcze, nagolenniki, nakolanniki oraz zazwyczaj wysokie trzewiki, głowę ochraniał im natomiast ciężki hełm, zaś ręce – nałokietniki, zarekawia i rękawice. Nieodłącznie towarzyszyły im do tego jeszcze bardzo ciężkie rodzaje broni: miecz, tarcza i topór. Na turnieju przy zbroi rycerskiej znajdował się jeszcze dodatkowo przymocowany z prawej strony hak do przytrzymywania niemniej ciężkiej kopii.

Gniewosz był przy Broniszu Miecznikowskim nieodmiennie podczas wieloletnich walk Krzywoustego z plemionami pomorskimi oraz odpierania najazdów czesko-węgierskich na Śląsk, towarzyszył również, kiedy zostali wygnani z kraju i dopomógł mu wyjść cało po pamiętnym ataku pogańskich Pomorzan podczas jego północnej misji. Po latach wiernej służby miecznikowi, na jego własne żądanie, powrócił do swej rodzinnej osady i wtedy ich drogi rozeszły się już na zawsze.

Niedaleko gospody, w której zamieszkał sędziwy miecznik książęcy, stała stara, podniszczona chata ze słomianą strzechą. Ludzie z okolicznych osad i grodów przybywali do niej tłumnie, przynosząc ze sobą najrozmaitsze dary, przeważnie zioła, miody lub domowe nalewki. Bronisz zapytał razu pewnego służącego, kto tam

mieszka. Ten zniżył głos prawie do szeptu i odrzekł:

– To Chwalimira, wielmożny panie!

– Chwalimira? – rycerz uniósł brwi ze zdumienia. –

Kim – że ona jest, że tak szepczesz do mnie, zapytany?

– To wielkiej mocy wetuła!

– Zaprawdę?

– Nie inaczej! Wielu już ludzi umierających wyleczyła sobie tylko znanymi sposobami... – szeptał dalej z przejęciem, rozglądając się trwożliwie na boki.

– Lecz, czemu szepczesz o tym, drogi mój Jutrogostku? – zapytał rycerz rozbawiony.

– Panie, jej moc jest straszliwa i niezbadana! Ma oczy bielmem zakryte, lecz pomimo tego widzi i słyszy wszystko, co naokoło jej dzieje się obecnie, a nawet – co dzieć się będzie w przyszłości! Włosy jej potargane i zmierzwiłone, jak u wiedźmy jakowejś... Powiadają, że... – to głos zniżył jeszcze bardziej, tak, iż prawie wcale usłyszeć go nie mógł poczciwy rycerz – że... sam diabeł ze swymi pomocnikami mieszkanie sobie w tych splotach zrobił i – jeśli ktoś odpowiedniego daru przynieść jej zapomni, albo cokolwiek złego o niej powie, kara niechybnie go nie ominie! Pomrze zaraz dnia następnego! – wyszeptał jeszcze straszliwym tonem, zakrywając z przerażeniem dłońmi wytrzeszczone oczy, mocno wpatrzone w zaciekawionego rycerza.

– Wierzysz w te gusła pogańskie? – zapytał rozbawiony Bronisz.

– Panie, nie dworuj sobie z takowych nauk! Był tu

jeden taki, wielkie panisko, ho, ho, ho! Mieszkał w tej samej komnacie, sypiał na tym samym łożu, co i wy! Śmiał się z wetuli całymi dniami, wyszydzał jej metody i leczenie, pokpiwał z niej, nawet raz nakazał swej służbie podpalić jej chatę, ot, tam, jeszcze nawet widać ślady na dole ściany wschodniej, specjalnie pozostawione ku przestrodze dla innych – pokazał przez okno stojący przy gospodzie dom Chwalimiry. – I co? Otóż nie minęło nawet sześć dni, kiedy go taka niemoc dopadła, że i poruszyć nogą ni ręką nie potrafił! Nagle to stało się, wielmożny panie, nagle! – dopadł do niego i jął szarpać ze strachem odzienie. – Jęczał tu dni i nocy osiem, że i słuchać się nie dało, po czym skonał! W mękach straszliwych skonał na naszych oczach! A jego służący, co to z rozkazu swego pana chatę wetuli podpalili, uciekli wtenczas w popłochu i na najbliższych słupach granicznych, tuż pod Czeladzią, znaleziono ich później, po tejże po nocy, jak wisieli wszyscy, jeden obok drugiego, z oczami wytrzeszczonymi, krwią zalani, jakby jakieś duchy nieczyste dopadły ich i dzieła zbrodni dokończyły! Kiedy chciano ich pochować razem ze zmarłym ich panem, ciała ich rozsypały się w proch, niczym naczynia z piasku usypane! Ludzie mówili tu, że to demony i diabły dopadły ich i ukarały za czyny, jakich się dopuścili, jak również i za to, że nie wierzyli w moce owej wieszczki i wróżbiarki, znachorki i wetuli!

– Czy ona aby na pewno ulecza? Czy tylko udaje?!

– Panie, mnie nawet nie godzi się słuchać słów



takowych! – odrzekł zatrwożony służący. – Miej baczenie, abyś nie sprowadził jakowegoś nieszczęścia na siebie i na mnie dodatkowo!

– Brednie! – odrzekł miecznik, machając ręką, i zmarszczywszy swe gęste brwi! – Pogańskie zabobony!

Jutrogost na te słowa skulił się cały w sobie, głowę schował w ramionach i, unosząc tacę z resztkami jedzenia, jakie spożył właśnie rycerz, czym prędzej usunął się z jego komnaty, zamykając za sobą drzwi.

Bronisz, zostawszy sam na sam ze sobą, ułożył się zmęczony na łożu. Spojrzał na drewniany sufit, wiszący nad nim. Czerwonymi smugami były tam zapisane jakoweś znaki. Spojrzał z zaciekawieniem, podnosząc się, wreszcie – stając mocno nogami na łożu wielkim i obszernym, wykonanym z solidnego, dębowego drewna, przykrytym wielkimi, puszystymi pierzynami, które teraz miecznik odrzucił silnym ruchem na bok, aby mu nie przeszkadzały. Sufit cały poorany był dziwaczными, długimi i głębokimi rysami i kształtami, które przy bliższym nań spojrzeniu przypominały ni mniej, ni więcej, tylko jakoweś – co Bronisz stwierdził z niemałym zdumieniem – wielkie ślady pazurów zwierzęcia drapieżnego albo bestii. Na samym środku zdumiony rycerz odczytał wyraźny napis, zapisany krwawymi literami łacińskimi:

„Prawda znajdzie ciebie, lecz ty już tego nie dożyjesz!”.

Uniósł brwi na te ślady czerwone zadziwiony

miecznik i zamyślił się głęboko. Tej nocy zasnąć długo nie umiał, myśląc o tym, co mu zastrachany Jutrogost opowiadał. Zmora okrutna dopadła go na koniec i spokojnie wypocząć nie dała, widział we śnie koszmarnym jegomością grubaśnego, chełpliwie śmiejącego się i rzucającego płonące pochodnie na sąsiednie domostwa, którego później wszystkie członki oderwane zostały przez zarazę przeklętą, jak leżał tu, gdzie teraz on sam leży, i jęczał, konając w potwornych męczarniach. Widział również i jego służących, pokotem powieszonych na rozstaju dróg pod czeladzkimi murami, widział wreszcie na koniec starą wetulę z bielmem na obu oczach, jak śmiała się straszliwie, spoglądając z satysfakcją na te zbrodnie i na męczeńskie zgony swoich wrogów i jak mieszała jakoweś podejrzone mikstury w swym ogromnym kotle, niczym przeklęta wiedźma. Wstał tego ranka całkiem skonany i zły sam na siebie, że niepotrzebnie słuchał tych zabobonów, opowiadanych mu przez przestraszonego chłopaka i jeszcze wypytywał go o dalsze szczegóły.

Kolejna noc była wyjątkowo jasna i spokojna. Księżyc w swej przepięknej pełni spoglądał z niemym okrzykiem na ustach na mieszkańców pogrążonej w głębokim śnie Ziemi i nie skąpił swojego blasku – oświetlał wszystko tak, iż widno było, niczym za dnia! Bronisz spać nie mógł znowu, zatem wstał około północy, włożył jedynie lekką spodnią koszulę i także same spodnie lniane, po czym wyszedł przed oberżę zaczerpnąć

świeżego powietrza. Przeszedł się kilka kroków ku drodze, prowadzącej na dostojnie wznoszącą się za niewielkim zagajnikiem Górę Doroty. W niezmaconej niczym ciszy słyhać było jedynie miarowe granie świerszczy polnych.

Nagle nieopodal dały się posłyszeć stłumione kroki. Bronisz zastygł i nasłuchiwał przez chwilę, wstrzymując z trudem oddech w swych piersiach. Kroki ucichły, lecz za moment stały się głośniejsze i wyraźniejsze – ktoś bez żadnej wątpliwości zmierzał w jego kierunku! Rycerz znieruchomiał znowu, bo szelest trawy i odgarnianych gałęzi pojawił się niespodziewanie tuż obok niego. Ktoś musiał jednak zorientować się, iż stoi tu jakiś intruz, bo nagle znowu wszystko ucichło i obie nieznajome postaci nasłuchiwały nawzajem swoich odgłosów.

Pierwsza poruszyła się wetula. Wyszła wprost na zdumionego miecznika i, ukazując mu w blasku Księżyca swe przerażające, zakryte bielmem oczy, rzekła skrzeczącym tonem: – Witaj, mości mieczniku! – nie dziwi mnie to spotkanie, gdyż przypuszczałam, iż cię tutaj dzisiejszej nocy zastanę...

Miała potargane, gęste, zmierzwione na całej głowie włosy w kolorach wszelkich, jakie tylko zdarzyć się mogą: od czerni, poprzez pasma jasne i rude, a na srebrnych skończywszy. Opadały jej w nieładzie na pomarszczoną twarz oraz plecy przygarbione tak mocno, że musiała unosić całą swoją głowę do góry, wyginając boleśnie szyję, aby spojrzeć na rozmówcę. Ubrana w stare

łachmany i zgrzebne stroje, cuchnęła mocno i mimowolnie już tym odorem budziła odrazę. W zabrudzonych dłoniach trzymała kosze pełne ziół, gałęzi i kwiatów polnych. Twarz jej, sterana i pomarszczona, wykrzywiła się w szerokim uśmiechu i oczom zdumionego rycerza ukazały się piękne, zdrowe, śnieżnobiałe zęby. Miecznik odruchowo cofnął się w tył o krok. Wiedźma, widząc zadziwienie Bronisza, rozbawiona zaśmiała się głośno, pstryknęła mocno dwoma palcami lewej dłoni tuż nad swoją rozczochraną głową i nagle wokół jej postaci pojawiły się dziwaczne iskry, skaczące wszędzie dookoła, jakby w kuźni kowala w czas największej roboty! Cera jej stała się jasna, przejrzysta, ogromne, czarne oczy zabłyszczały wielkim żarem, tracąc gęste bielmo, zakrywające je dotychczas, a cała postać wyraźnie powiększyła się, prostując przygarbione plecy i unosząc w górę długą, niczym łabędzia, szyję, zaś włosy, dotąd potargane i skołtunione, przybrały nowy blask rudego koloru, splecione w dwa grube warkocze, silnie upięte z tyłu głowy i zawinięte starannie czarną siateczką, ozdobioną perłami. Strój żebraczki zamienił się równie błyskawicznie w elegancką złotą suknię, obszywaną gęsto drogocennymi kamieniami. I oto oniemiałemu rycerzowi ukazała się niewiasta piękna, dystyngowana i elegancka, niczym księżna albo i królowa jakowaś!

– Wszelki duch! Kimże jesteś?! – zapytał półszepsem.

A kobieta, uśmiechając się z wdziękiem, odpowiedziała mu słodkim głosem:

– Chwalimira, twoja sąsiadka, Broniszu!

Na te słowa rycerz przetarł oczy ze zdumienia i znowu cofnął się o krok.

– Ta wiedźma?! Ta czarownica!?! – wykrzyknął.

Kobieta zaśmiała się przepięknie, po czym nagle spoważniała i spojrzała na niego lodowatym wzrokiem.

– Tak, ta sama, która przysłała do ciebie w snach uprzedniej nocy! Nie lękasz się mnie?

– Boję się tylko Pana Mego, w Trójcy Przenajświętszego! – odpowiedział jej mężnie, czyniąc pobożnie znak krzyża.

– Odważny–ś, mości mieczniku! Czy wiesz, że jedno moje spojrzenie może cię zamienić w bryłę lodu czy posąg z kamienia, albo i nawet zabić?! Nie czujesz trwogi?

– Czemu miałbym lękać się ciebie, pani? Czy cokolwiek złego–m tobie uczynił?

– Za same te słowa i oskarżanie mnie o czary inni już dawno ziemię wączali, a wielu z nich było odważniejszych od ciebie...

– Zali nie jesteś wiedźmą?

– Nie, mości mieczniku! Jak widzisz, jestem potomkinią zacnego rodu, lecz po zbrodniach, dokonanych w królestwie mego ojca i po podstępny zabiciu całej mojej rodziny, musiałam ukrywać się z dala od mojej ojczyzny w żebraczym przebraniu...

– Zbrodniach? O czym–że ty mówisz, pani?!

Kobieta wskazała mu pobliskie pniaczki po ściętych

drzewach i oboje na nich przysiedli, po czym ona mówiła dalej:

– Naprawdę nazywam się Kochna Bendzińska i pochodzę z królewskiego rodu, jaki wywodził się od Bandy – sławetnego w tych stronach rycerza samego króla Polski, Bolesława Pierwszego, zwanego Chrobrym!

– O ile wiem od tutejszego ludu, pani, wszyscy potomkowie Bandy pomarli tragicznie, gdyż spadły na nie głązy kamienne z sąsiedniego Zamkowego Wzgórza, co było karą za ciężkie grzechy i okrucieństwa, jakich dopuszczał się tenże rycerz na swoim będzińskim ludzie! On zaś sam, przybity tym wydarzeniem, został mnichem w Gołonogu i mieszkał tam w pustelni aż do swej śmierci.

– Tak, tak, wiem, tak powiedziano mieszkańcom, aby nowej wojny jakowejś nie wszczynali! Lecz jeden z jego synów, imieniem Lechosław, był wtedy na polowaniu i nie zginął. Kiedy powrócił po dniach kilku, dowiedział się o tym, co spotkało wszystkich jego krewnych. Z początku chciał oznajmić poddanym, że on jeden przeżył. Szybko jednakże zmienił ten zamiar! Zrozumiał, co to krzywda ludzka i ile niesprawiedliwości poczynił podczas swoich rządów jego nikczemny ojciec. Cóż, Lechosław nie miał wyjścia. Ukrywał się potem po niedostępnych lasach, gdyż wszędzie słyszał złorzeczenia na swego okrutnego ojca i słusznie lękał się o swoje życie. Był przekonany, że i ojca spotkała śmierć! Nigdy nie dowiedział się o jego pustelniczym życiu. W lesie poznał rodzinę wybitego prawie w pień przed dawnymi laty, dzikiego plemienia

pogańskiego, któremu przekazał wiarę chrześcijańską, cierpliwie nawracał na nią i sam w końcu pojął za żonę córkę seniora tego rodu, mądrą i stateczną Grzymisławę. Nigdy nie opuścili oni ostępów leśnych, gdyż, jak zapewne sam wiesz, w stronach tych zła sława za niegodziwym Bendą ciągnęła się całymi latami i panuje do dnia dzisiejszego. Ich syn, Mściszko, wyruszył jednakże razu pewnego na łowy i w lasach sąsiednich poznał piękną dziewczynę, Nawojkę, królową sąsiedniego państwa, Księstwa Siewierskiego, które wówczas było królestwem. Zakochał się i odtąd tylko o niej myślał. Potem poślubił ją i to byli właśnie moi przodkowie. Zamieszkali w Siewierzu, gdzie odtąd żyli szczęśliwie oni, jak i kolejne ich pokolenia, lecz kiedyś do siewierskiego zamku dotarła wiadomość o dawnym ocaleniu jednego z synów nikczemnego Bendy, jaką przekazali przerażonym mieszkańcom Będzina pogańscy krewniacy Grzymisławy, którzy znowu przeszli na wiarę swoich przodków i zdradzili Lechosława. Ślady wiodły wprost na dwór siewierski. Rozwścieczeni Będzinianie, wciąż pamiętający nikczemne rządy Bendy, o których opowieści ku przestrodze były przekazywane z dziada pradziada, zaatakowali zamek i wycięli w pień jego mieszkańców. Zginęła wtedy cała moja rodzina, a ja sama, wyniesiona na rękach mojej ukochanej piastunki, Dobroniegi, która narażając własne życie biegła ze mną tajemnym przejściem przez zamkowe lochy i podziemne korytarze, przeżyłam cudem, ukryta w osadzie pośród

lasów, na pustyni Błędów, leżącej nieopodal. Z czasem, nauczona przez Dobroniegę tworzenia medykamentów wszelakich, pochodzących z ziół, pędów lub kory drzew oraz innych darów przyrody, stałam się znaną w całej okolicy znachorką, potrafiącą uleczyć nawet trędowatych. Nikt nie wiedział o moim prawdziwym pochodzeniu ani też nie znał mojego imienia, ni rodu. Przybrałam postać najbardziej dla ludu wiarygodną, którą i ty poznałeś: przygarbionej, obszarpanej staruszki z potarganymi włosami i skrzekliwym głosem. Kiedy zmarła moja wybawicielka, jakowaś siła tajemna ciągnęła mnie tu, do tego miejsca, gdzie przed wiekami mieszkali w szczęściu i dostatku moi przodkowie. Siła ta była tak mocna, że w nijaki sposób pokonać jej nie byłam w stanie! Zatrwożona zatem mocno i przelękniona tym, jak przyjmą mnie tutejsi ludzie, przyszłam tutaj, zamieszkałam w starej chacie ze słomianą strzechą i dalej leczyłam ludzi...

Bronisz słuchał jej opowieści z przejęciem, po czym odezwał się:

– Powiadają tu, że złe moce są przy tobie! Zabijasz swych wrogów i niedowiarków!

– Wiem o tym – uśmiechnęła się lekko. – Lecz nic na to poradzić nie mogę. Nigdy – m złym mocom nie służyła!

– Jakże to?! A śmierć bogatego kupca? A krwawe napisy na suficie i ścianach jego komnaty? Sam je widziałem!

– Broniszu, wierzysz, lecz wiara twoja nadal chwiejna i niepewna... – roześmiała się pobłaźliwie



niewiasta. – Nie mogłam pomóc temu, kto tej pomocy ode mnie nie chciał! Kupiec niemiecki, o którego pytasz, był śmiertelnie chory i przyjechał tu w agonii! Niczego nie zmieniłby fakt, gdyby złorzeczyć przeciwko mnie przestał – i tak zmarłby niechybnie, bo nieuleczalna choroba trawiła całe jego ciało od środka! Dla większego rozgłosu, po jego śmierci karczmarz nakazał go potajemnie pochować, a służącym rozgłaszać, iż jego ciało rozsypało się w proch, zaś potem polecił wymalować w całej gościnnej komnacie owe ślady i słowa.

– A jego służba?

– Sami sobie zgotowali tak okrutny los! Przekonani, iż to diabelskie moce zabrały ciało i duszę ich pana do piekieł, co też ciągle tłumaczył im tutejszy szynkarz, uciekli stąd czym prędzej, a za miastem, pewni i swego tragicznego losu, jaki jest im pisany, popełnili te zbrodnie na swych własnych ciałach. Ot, i cała prawda!

Bronisz zamyślił się.

Kochna pochyliła się nad nim i zapytała:

– O czymże teraz myślisz, mości rycerzu?

– Żal mi ciebie, pani, twego losu i utraconych nadziei...

– Nie załamuj rąk, nade mną, dobrotliwy i zacny Broniszu! Zamek moich bliskich zburzono, na jego miejscu stanął nowy z nowymi właścicielami, teraz książęcymi, z nowymi prawami i zasadami. Tam nie mam już czego szukać! Nie patrzę w przeszłość, gdyż pisana jest mi ona czarnymi znakami, pełnymi bólu, krwi i

boleści... Co dnia spoglądam w przyszłość i widzę tam ciągle jasne światło wielkiej szczęśliwości. I tym się pocieszam, wierząc mocno w miłosierdzie Pana... – uśmiechnęła się delikatnie i zamilkła.

Siedzieli tak dłuższą chwilę w kompletnej ciszy. Nawet cykanie świerszczy ucichło i tylko słyszane było gdzieniegdzie. Bronisz odezwał się pierwszy:

– Pani, pozwól sobie pomóc! – powiedział stanowczym tonem.

– Jak? W jaki sposób? – kobieta uniosła swe delikatne brwi ze zdumieniem.

– Ogłośmy tutaj wszem i wobec, przekazmy wszystkim mieszkańcom, iż cudownym zrządzeniem losu moce tajemne przywróciły ci prawdziwą twoją postać i już dłużej nie katuj się w tym stroju haniebnym!

– Tak, drogi Broniszu, kiedyś czas ten nastąpi! Jeszcze nie dziś, jeszcze nie o tej porze, lecz kiedyś ten dzień nadejdzie i ogłoszę to całemu światu! – roześmiała się radośnie i znowu zniżyła głos prawie do szeptu: – Tylko muszę czekać sposobnej chwili! Muszę być cierpliwa! Tak samo, jako i ty, Broniszu. Obojgu potrzeba nam teraz wiele cierpliwości, wiary i nadziei! Pan nas kocha i nigdy, przenigdy nas nie opuści! – to powiedziawszy, serdecznie przytuliła swymi delikatnymi, białymi dłońmi wielkie ręce siedzącego nieopodal rycerza. Ten spojrzał z przestraczeniem, bo oto na swych dłoniach poczuł dziwny ścisk. To ręce wieszczki przybrały znowu kształt czarnych, pomarszczonych

szponów, postać przygarbiła się mocno, zmierzwiłone włosy opadły jej na plecy i z bielmem na oczach pokuśtykała niemrawo w blasku Księżyca do swej zagrzybionej chaty.

Rycerz powrócił zadumany do oberży i położył się na łóżku, lecz długo po tym spotkaniu zasnąć nie umiał...

Minęło kilka miesięcy. Rycerz właśnie opuszczał na swym rumaku starą oberżę, ostatni raz spoglądając na piękne wzgórze i na widoki z niego: na Będzin i tam wzniesioną drugą warownię, na Siewierz po stronie przeciwnej, za rozległym pasmem gęstych lasów, na bobrownickie i wojkowickie bory. Wokół już zaczął robić się zgiełk, jak to rankiem w niedzielę, a dzwony biły mocno, głośno, echem prowadzone, jakby wzywały starego miecznika do pozostania tu dłużej.

– Broniu! Brońciu! – usłyszał za sobą gdzieś w oddali niewyraźne wołanie schorowanej, starszej kobiety. – Uważaj tam, abyś sobie i czego złego nie zrobił!

– Mamo, przecie–m duży! – kilkunastoletni, wysoki chłopak spuścił głowę zawstydzony troską matki i podał dłoń idącej obok niego dziewczynce.

– Wiem, wiem, ale lichy nie śpi! – zaśmiała się cichym, zachrypłym głosem pochylona, drobna kobieta w wielkiej ciemnej chustce na głowie. – Agnisiu, wolniej! – dodała jeszcze. Ubrana była w czarną suknię wełnianą, podartą w wielu miejscach i połataną starannie, za to jej kilkunastoletnie, dużo wyższe od niej dzieci wyglądały bardzo elegancko i odświeżenie, biegły przed nią drogą,

śmiejąc się i trzymając za ręce. Przeszła szybko za dziećmi obok rycerza, który mimowolnie na dźwięk swego imienia wstrzymał konia, przystanął zdumiony i wpatrywał się czas jakiś w tych obcych ludzi, mijających jego i spieszących wraz z całym tłumem wiernych pod górę do pobliskiego kościoła na niedzielną Mszę. Dzwony biły dalej, coraz silniej, coraz głośniej. Z oddali posłyszał śpiewy kościelne wiernych:

Cześć Maryi, Cześć Maryi,  
Panience Przenajświętszej!  
Cześć Maryi, Cześć Królowej  
Na tej ziemi największej!

Woń niesie  
Po lesie,  
Na łące  
Łzy lśniące –  
– Czar rosy  
Z Niebiosy,  
Dla chwały  
Świat cały  
Dziś śpiewa,  
Z nim drzewa,  
Ptaszyna,  
Zwierzyna,  
Gór szczyty,  
Jar skryty,  
Potoki,  
Obłoki,

Rzek wody,  
Kry lody,  
Kaniony,  
I dzwony,  
I zorza,  
Z nią morza,  
I kwiatki  
Dla Matki,  
Maj, Maryi maj,  
Śpiewa Jej cały kraj!

„Idą na nabożeństwo majowe!” – pomyślał jeszcze miecznik, spuścił głowę, zawrócił swego rumaka tyłem do spieszących na Mszę i zjechał powoli na koniu z górki, kierując się w stronę południa, ku Będzinowi. Zamyślony podążał tak czas jakiś, próbując przypomnieć sobie wszystkie szczegóły z bytomskiej rozmowy z piastowskimi synami swego pana o zaginionej ukochanej. Jechał tak wiele dni, nocami wypoczywając w oberżach lub po prostu – w stogach pachnącego siana na mijanych polach, aż dotarł znowu do granicy ze Śląskiem, tuż przy sąsiednich Czechach.

Z oddali dobiegły głosy młodych kobiet, idących w pole z grabiami, wspartymi na silnych, szerokich ramionach. Bronisz usłyszał ich piękne, donośne głosy, kiedy zaczęły śpiewać, co jakiś czas patrząc z uśmiechami to na siebie nawzajem, to znowu na mijanych ludzi. Jedna z nich, z grubym, długim i złotym warkoczem, przewieszonym swobodnie z boku na piersi i brzuch,

skandowała każdą zwrotkę, inne dokańczyły chórem refren:

Take–m ci ja tu była,  
Jake–m ci się wyśniła.  
O poranku–m wstawiała  
I jutrzeńkę witała!  
Oj, miłujesz mnie, miłujesz,  
Miłości nie żałujesz!  
O, mój luby, umiłuj mnie, umiłuj,  
Miłości mi nie żałuj!  
Kiedy–m kłosa zbierała –  
– To–m o tobie myślała.  
Kiedy–m grządy pielila –  
– Wtedy–m rada ci była.  
Oj, miłujesz mnie, miłujesz,  
Miłości nie żałujesz!  
O, mój luby, umiłuj mnie, umiłuj,  
Miłości mi nie żałuj!  
Kiedy–m snopy wiązała –  
– To–m cię mocno kochała,  
Kiedy–m zboże młóciła –  
– W myślach przy tobie–m była!  
Oj, miłujesz mnie, miłujesz,  
Miłości nie żałujesz!  
O, mój luby, umiłuj mnie, umiłuj,  
Miłości mi nie żałuj!  
Biegła–żem miedzami,  
Polnymi drogami,

Byle bliżej do ciebie –  
– Mego słonka na niebie!  
Oj, miłujesz mnie, miłujesz,  
Miłości nie żałujesz!  
O, mój luby, umiłuj mnie, umiłuj  
Miłości mi nie żałuj!

Rycerza wzruszyła ta prosta, wiejska piosenka, otarł łzy z pooranej twarzy, bo znowu przypomniał sobie ukochaną Adelcię, jej twarz jasną oraz delikatne dłonie, i długo uspokoić nie umiał drżenia głowy i bólu w piersi tak silnego, jakby serce jego chciało z niej wyrwać się i ulecieć czym prędzej dalej i dalej, ku dolinom, gdzie zaginęła bez śladu wiele lat temu.

Jechał tak przez wiele tygodni, szukając co jakiś czas spokojnego miejsca na odpoczynek i wytchnienie, aby nabrać sił do dalszej jazdy. Przy granicy śląskiej przyglądał się razu pewnego chłopom, siejącym ziarna zboża do dorodnych, pooranych skib żyznej, pachnącej ujmująco wilgocią i życiem ziemi.

Na pobliskich polach rozpoczęto już wiosenne prace rolnicze. Grupy chłopów drewnianymi radłami spulchniały ziemię: radlica odgarniała skiby, grzędziela była ciągnięta przez ubogiego włościanina, który zastępował woła lub byka. Za tymi rolnikami na poorane pola wchodził siewcy, którzy z przepasanymi przez ramię płachtami, pełnymi dobrze przesuszonego, poświęconego ziarna, szli teraz po grzędach między spulchnionymi skibami i równo obsiewali je, śpiewając przy tym głośno:

Ziarna w ziemię wrzucone

Dadzą zboża złocone,

Pokryją pola plonem,

Wzejdą za zagonem!

Siej się, ziarno siej!

Rośnij w górę het!

Ziarna w ziemię wrzucone

Dadzą zboża złocone.

Siej się, ziarno siej!

Rośnij w górę het!

Ziarna w ziemię wrzucone

Dadzą zboża złocone.

Kiedy–m dziś o świtaniu

Chodził przy posiewaniu

Radłem przewracał skiby,

Co by wzruszyć te niwy!

Siej się, ziarno siej!

Rośnij w górę het!

Ziarna w ziemię wrzucone

Dadzą zboża złocone.

Siej się, ziarno siej!

Rośnij w górę het!

Ziarna w ziemię wrzucone

Dadzą zboża złocone.

Ziarna zbóż wzejdą na tej ziemi

Kiedy już las się zazieleni,

Kiej będą łąki pełne kwiatów,

I kiej przyjdzie suche lato.



Siej się, ziarno siej!  
Rośnij w górę het!  
Ziarna w ziemię wrzucone  
Dadzą zboża złocone.  
Siej się, ziarno siej!  
Rośnij w górę het!  
Ziarna w ziemię wrzucone  
Dadzą zboża złocone.  
Ziemia żyzna na roli,  
Przyjmie ziarna do woli,  
Ugory poczywają,  
Plonów nie wydają!  
Siej się, ziarno siej!  
Rośnij w górę het!  
Ziarna w ziemię wrzucone  
Dadzą zboża złocone.  
Siej się, ziarno siej!  
Rośnij w górę het!  
Ziarna w ziemię wrzucone  
Dadzą zboża złocone.

Kiedy rycerz był już blisko austriackiej granicy, w pewien deszczowy, chłodny dzień, z oddali posłyszał, zrazu niezbyt wyraźne, straszliwe pojękiwania i odgłosy bóleści. Przystanął i z zaciekawieniem przyglądał się szarzejacej we mgle, tajemniczej tłuszczy. Odległy tłum setek osób w poobdzieranych łachmanach z wolna zbliżał się do niego. Głosy bólu i cierpienia dały się słyszeć teraz dużo wyraźniej. Ludzie szli z niemałym trudem, często

upadając na zabłoconą ziemię, słaniając się na bosych, poranionych nogach, potykając o wystające, ostre kamienie, w dłoniach trzymali różgi, łańcuchy lub grube powrozy, którymi biczowali swe plecy, nogi i ręce, a z ich licznych ran, pochodzących z upadków oraz biczowań, sączyła się obficie krew. Jęcząc i wyznając głośno swe grzechy, umartwieni i nieobecni dla innych, przemierzali tak w cierpieniu całe kraje, pogodzeni ze swym losem i sprawiedliwą pokutą, jaką sami sobie zadali, wierząc w nieskończoną łaskę Boga i przebaczenie ich win. Bronisz ustąpił im nieco drogi, zjechawszy z koniem na jej pobocze, pokornie pochylając głowę, kiedy przechodzili obok niego, i czyniąc znak krzyża. Biczownicy szli dalej, jęcząc i wznosząc głowy oraz zakrwawione ręce ku niebu, jakby chcieli jeszcze usilniej uprosić łaskę i przebaczenie u Najwyższego. Upadający podnosili się ciężko z zalanej, ubłoconej ziemi, a ich szlak znaczyły wielkie krwawe ślady, jakimi usiana była cała droga, prowadząca do austriackiej ojczyzny ukochanej Adelci.

Stary Bronisz dotarł do Austrii, kiedy panował tam Henryk Drugi Jasomirgott, rodzony brat zmarłej już księżnej polskiej, Agnieszki Babenberg. Księżę przyjął wiarusa serdecznie i udzielił mu schronienia na swym zamku. Stary rycerz zrezygnował jednakże z wygodnego życia na dworze wiedeńskim i osiadł na własne życzenie w skromnej, acz przepięknej, podalpejskiej posiadłości Saint Martin, należącej niegdyś do ojca jego ukochanej, kasztelana Ernesta. Tymczasem docierały tu niepokojące

wieści z polskiego, rodzinnego kraju. W 1172 roku młodszy syn zmarłego pana Bronisza, księcia Władysława Drugiego, zwanego Wygnańcem, Mieszko Płatonogi, ten sam, z którym nie tak dawno rozprawiał tak serdecznie na bytomskim zamku, zbuntował się teraz przeciwko swemu starszemu bratu, seniorowi Piastów śląskich, który ciągle samowładnie rządził całą ich dzielnicą. Poparł go nieoczekiwanie bratanek, syn Bolesława Wysokiego, Jarosław, którego macocha Krystyna starała się pozbawić całkowicie wpływów na rządy. Wobec tego buntu i związanej koalicji, najstarszy syn Wygnańca musiał ponownie uciekać do Rzeszy, gdzie znalazł schronienie oraz pomoc swego wieloletniego protektora i kuzyna, cesarza Fryderyka Barbarossy. Te niesnaski i wojny między braćmi, których tak ukochał Bronisz, mocno zasmucały starego wiarusa.

Barbarossa zawsze wspierał swego ulubionego polskiego księcia, teraz zatem również uznał bunt juniorów śląskich za obrażenie jego osobistego majestatu i zagroził im nową interwencją zbrojną na Polskę. Wobec takiego ultimatum panujący nadal w Krakowie Bolesław Kędzierzawy przygotował ogromną sumę pieniędzy – 800 grzywien srebra, aby udobruchać zagniewanego cesarza, lecz wkrótce potem ciężko zachorował i z takim zadośćuczynieniem do Fryderyka Pierwszego pojechał ostatecznie w jego imieniu młodszy brat, Mieszko Trzeci Stary, który obiecał ponadto umożliwienie Wysokiemu powrót na dziedziczny Śląsk. Najstarszy syn Wygnańca

wrócił tam jednak dopiero w 1173 roku, kiedy zmarł jego przyrodni stryj, Kędzierzawy i tron krakowski objął Mieszko Trzeci. Dzielnica śląska była już jednak wtedy podzielona między potomków Wygnańca – zbuntowany brat Wysokiego, Mieszko Płatonogi, władał samodzielnie Księstwem Raciborskim, zaś syn Wysokiego, Jarosław – dzielnicą opolską i obaj ani myśleli oddać swe posiadłości zniechęconemu krewniakowi.

W 1177 roku Piastowie rozpoczęli kolejne zmagania o tron – tym razem w spisku udział wzięli: Bolesław Wysoki jako książę śląski, jego najmłodszy przyrodni stryj, Kazimierz Sprawiedliwy, ówczesny książę sandomierski, a także najstarszy syn Płatonogiego, Odon Mieszkowic, który opanował Wielkopolskę. Niestety, zamach stanu przeciwko seniorowi, Mieszkowi Trzeciemu Staremu, nie powiódł się tylko Bolesławowi, gdyż przeciwko niemu ponownie wystąpili nieoczekiwanie Płatonogi i Jarosław, niwecząc atak Wysokiego i zmuszając go do ponownej emigracji. Ponieważ w tym czasie Barbarossa zajęty był sprawami włoskimi, książę śląski schronił się u swego przyrodniego stryja, Kazimierza Sprawiedliwego, któremu udało się opanować Kraków i przejąć tron po starszym bracie, Mieszku Starym. Wysoki wrócił wkrótce na Śląsk, lecz musiał przystać na przekazanie Księstwa Głogowskiego swemu kolejnemu bratu, Konradowi, przebywającemu dotychczas w Niemczech. Wygnany senior rodu piastowskiego, Mieszko Trzeci Stary, jeszcze kilkakrotnie w kolejnych

latach, aż do 1202 roku zajmował tron krakowski. Okazał się, jak widać, najbardziej wytrwałym w dążeniu do pozyskania dla siebie należnego mu dziedzictwa.

Natomiast młodszy syn Agnieszki Babenberg i Władysława, Konrad Głogowski, był od początku dzieckiem, a później młodzieńcem wątłego zdrowia, cichym, pokornym, nie wywyższał się nigdy ponad innych i starał zawsze jak najbardziej ustępować, by czasami nie narazić się na gniew czy pomstę kogokolwiek. Starsi bracia, Bolesław i Mieszko, mieli już wytyczone konkretne cele polityczno–wojskowe i zadania dynastyczne, jemu zatem pozostało długoletnie przebywanie w Rzeszy na dworze niezwykle życzliwego mu bratanka matki, cesarza Fryderyka Barbarossy. W 1177 roku został wprawdzie zmuszony przez swego starszego brata, Mieszka Piłtonogiego, do przyjazdu do Polski, gdzie najstarszy z jego krewnych, Bolesław zwany „Wysokim” musiał wydzielić mu z dzielnicy ich ojca Księstwo Głogowskie, lecz poważne choroby, trawiące jego wątły organizm oraz postępujący niedowład całej lewej nogi utrudniały sprawowanie władzy. Jasnooki i jasnowłosy młodzieniec, nazwany przez potomnych „Konradem Laskonogim”, zmarł w wieku 40 lat, nie założywszy rodziny.

Tymczasem Bronisz, przyjechawszy do ojczyzny swej ukochanej, zadomowił się w urokliwej podalpejskiej miejscowości. Przez kolejne lata swego tam pobytu przemierzył cierpliwie wszystkie okoliczne cmentarzyska,

nadaremnie – nigdzie nie znalazł grobu swej Adelci. Pytał w domach, siołach, sąsiednich miasteczkach, ale nikt nie słyszał o urodziwej dworcy polskiej księżnej. Załamany, w końcu postanowił tutaj, gdzie przeszło 60 lat temu przyszła na świat jego żona, dokończyć swego żywota. Osiadł w tej samej wiosce, w gospodzie, gdzie znalazł wytchnienie i zasłużony spokój.

Pewnego dnia niespodziewanie do drzwi jego komnaty zapukał schorowany garbus, łysiejący mocno na całej swej głowie, z gęstą siwą brodą i wielkimi, wyłupiastymi oczyma oraz szerokimi bliznami na nieogolonej, ogorzalej twarzy.

– Czy to jegomość pytał o jasnowłosą panią z orszaku polskiej księżnej, margrabianki austriackiej, Agnieszki Babenberg? – zapytał go chrapliwym głosem, kłaniając mu się nisko.

Bronisz otworzył drzwi na oścież i przyjrzał mu się podejrzliwie.

– Wiesz coś o niej? Gadaj! – odrzekł twardo, zmarszczywszy gęste brwi.

Tamten obłudnie wyszczerzył czarne, przerzedzone zęby i – niemrawo kuśtykając na jedną nogę – podszedł bliżej do jego pokoju, po czym bezceremonialnie wyciągnął otwartą dłoń.

Bronisz ryknął tylko złowrogo i natychmiast porwał go za strzępy poobdzieranej odzieży, którą miał na sobie, wciągnął do pokoju i zamknął z hukiem drzwi. Rzucił garbusem o podłogę tak, że jedno z pobliskich krzesel

rozprysło się od razu na drobne kawałki. Wieśniak chwilę szamotał się u jego stóp, ale błyskawicznie zrozumiał, że stary rycerz jest dużo silniejszy i szybszy od niego, więc skulił się cały w sobie i zaczął jęczeć: – Panie, przebacz kalece, chciałem co łaska poprosić, jeśli pan tak łaskawy...

– Po coś tu przylazł? – zapytał groźnie rycerz, siadając zrezygnowany. – Nie trzeba mi oszustów ni szarlatanów! Wynocha!

– Łaskawy panie, miej litość! Ja prawdziwie wiem, gdzie ta pani przebywała! Znam jej losy!

– Co? Co takiego? – Bronisz wstał powoli.

– Spójrz panie, oto znak! – tamten, nadal leżąc na podłodze, podniósł rękę i pokazał Broniszowi postrzępiony już mocno i miejscami obdarty rzemyk z krzyżem, jaki niegdyś podarowała mu przed wyprawą wojenną Adelajda.

Rycerz usiadł z powrotem na łożu, kiwając się przez chwilę otumaniony, jakby po mocnym uderzeniu w głowę, patrzył osłupiałym wzrokiem w ten strzęp rzemienia, jaki wziął od niego i sam trzymał teraz w dłoni. Oprzytomniał po kilku minutach i blady na twarzy poderwał leżącego, unosząc go prawie do samego sufitu:

– Skąd to masz, łachudro?! Gdzie–żeś to znalazł? Mów!

– Jam niczemu niewinny, panie, jam niewinny! – tamten mamrotał coś z przestachem, chowając głowę w cienkich ramionach.

Bronisz ochłonął i posadził go spokojnie na krześle, a

sam nachylił się nad kaleką i pytał gorączkowo:

– Skąd masz ten rzemień? I krzyż?! Skąd?! Gadaj!

– Panie, byłem tam, kiedy ją wywieźli!

– Kto? Kiedy? Co ty pleciesz?!

– Jej rycerze! Z orszaku księżnej pani! Widziałem u jednego na czerwonym polu złoty półksiężyc osmański i takiż sam krzyż, a wyżej pawie pióra!

– Co?! – Bronisz wykrzyknął gniewnie – Półksiężyc, krzyż i pawie pióra?! Toż to herb Szeliga! Dobiesz z Turyngii miał taki!

– Ścigali ją, obaj na koniach, jej wóz wywrócili! Pohańbić chcieli! Psubraty jedne! Myśmy ją odbili! Uratowaliśmy ją, panie! Przed pohańbieniem! Ubiliśmy niegodziwców! Ubiliśmy! – powtarzał gorączkowo, uderzając się chudą pięścią w zapadłą klatkę piersiową, jakby składał jakoweś przysięgi czy śluby.

Bronisz osłabł i usiadł znowu obok na łożu, oparł ręce na kolanach, ukrył głowę w dłoniach i zaczął mamrotać sam do siebie:

– Tyle lat byli obok niej! W paszczy lwa, w gnieździe żmij ją zostawiałem! Tak–żem się o nią zamartwiał, tak–żem drżał, aby się niebodze coś i złego nie przydarzyło i w ich sidłach ją ostawiałem!... Każdego dnia!... Na jej zgubę, na jej nieszczęście... niebogi mojej... – zaszlochał.

Nastąpiła cisza, przerywana tylko szlochaniem starego wiarusa.

Podniósł wreszcie głowę:



– Co było dalej?

Kaleki garbus przełknął głośno ślinę przez ściśnięte gardło. Wreszcie odważył się wymamrotać:

– Panie, jeśli łaska... Od tygodnia nic w ustach nie miałem...

Rycerz otarł zalaną łzami twarz, podszedł do drzwi, otworzył je silnie i krzyknął na dół, ku karczmarzowi:

– Wina mi tu i jadła, a migiem!

Drzwi zamknęły się same z trzaskiem, a rycerz pytał dalej:

– Co z nią? Co z nią się działo?! Gadaj wreszcie!

– Jam sam ratowałem ją z opresji! Sam ją z ich rąk wyrwałem! Tamci polegali, zabici, jak psy! Sam—żem tego, panie, dokonałem!

Ściskając mocno ramię w dłoni i całując go co kilka chwil, Bronisz krzyknął:

– Przeżyła?

– Tak, panie, osłabiona mocno i wiele czasu nieprzytomna, doszła powoli do siebie.

– Bogu Wszechmogącemu i Pannie Przenajświętszej niech będą dzięki! – rzekł z ulgą stary wiarus i po tych słowach rzucił się na przerażonego kalekę, ścisnął go mocno w pasie, przytulając, po czym padł na kolana przed krzyżem, wiszącym nad jego łóżem, w drewnie wyrzeźbionym i zaczął płakać głośno, zalewając się łzami. Po chwili spojrzał znowu na niego. A tamten mówił dalej chrapliwym głosem, co trochę przełykając głośno ślinę: – Brzemienną była, zatem kobiety z naszej

wsi pomogły jej przy wiezieniu w wozie do domów naszych, gdzie opatrywano ją i dogładano. Pan nasz, mistrz Gotfryd, był niegdyś doradcą jej ojca, kasztelana tych ziem, wielmożnego Ernesta. Po jego niespodziewanej śmierci popadł w niełaskę i musiał ukrywać się w lasach. Brat i zabójca ojca żony wielmożnego pana zagarnął jego włości, sam zajmując jego urzędnicze miejsce i odtąd te piękne i spokojne ziemie spłynęły krwią niewinnych, wszędzie dał się słyszeć w tym czasie tylko płacz i lament uciskanych poddanych okrutnego kasztelana. A myśmy, po lasach ukryci, sprawiedliwość wyznaczyli podług praw Boskich i naszych!

– Ach, tak! Jesteś zatem banitą?! – spojrzał na niego Bronisz. – Byłeś zbójem!?

– Byłem, tak, jak i pan mój! – tamten odrzekł niepewnie, lecz chętnie. – Jednak miłował on ojca pani Adelajdy, żony twojej, dlatego też nakazał swym ludziom troszczyć się o nią i mieć baczenie, aby włos jej z głowy nie spadł jakowys.

– A... – głos starego zachwiał się przez moment – a co z dzieckiem?...

Twarz tamtego rozjaśniła się i znowu ukazał w uśmiechu nierówne, poczerniałe zęby.

– Z dziećmi! – sprostował. – Dziećmi, mości panie! Pani powiła bliźnięta! Chłopca i dziewczynkę! Prześliczne niebożęta! – dodał z wymuszoną, fałszywą czułością, przewracając swoimi przeraźliwie wytrzeszczonymi oczami.

Bronisz zbyt wiele już usłyszał, jak na niego i jego schorowane serce. Opadł osłabiony na łóżko. Przez chwilę w komnacie panowała złowroga cisza.

– Bliźnięta? – wyszeptał z trudem.

– A jakże! Chowali się zdrowo! Urodziwe, wesołe dzieci!

– Co?... co z nimi? A ona? Co z nią?

– Panie łaskawy, mieszkali z nami w lasach, ukryci w jaskiniach oraz szałasach, maszerowali przez ziemie naszego pięknego państwa, podchodząc aż pod góry w obawie przed aresztowaniem i więzieniem.

Tymczasem służący z karczmy salzburskiej cicho zapukał do drzwi, wszedł do komnaty z wypełnioną po brzegi tacą, pełną kielichów, talerzy i pachnącego jadła. Postawił to na stole i ukłoniwszy z szacunkiem rycerzowi, spojrzawszy z obrzydzeniem na chorego biedaka, po czym szybko wyszedł.

Kaleka na znak ręki rycerza rzucił się łapczywie i zaczął zachłannie jeść z talerzy, popijając szybko winem. Mówił dalej, przetykając błyskawicznie:

– Żona twa, wielmożny panie, po dojściu do zdrowia i odchowaniu dzieci, czas jakiś jeszcze z nami mieszkała, zaś potem postanowiła udać się do kraju swej zmarłej niedawno pani.

– Jak to? Wszak tu jest jej ojczyzna!

– Tak, prawda to, lecz ona ciągle powtarzała, że księżna Agnieszka była zawsze panią piastowskiego księstwa, została stamtąd bezprawie wygnana, lecz tam

powinna była w spokoju odejść z tego świata do Boga, tam powrócić zawsze chciała i tam było jej miejsce. Dowiedziała się wprawdzie o jej śmierci na wygnaniu, lecz także o powrocie do Polski jej synów, księcia Bolesława i księcia Mieszka. Mówiła i o tobie, żeś ty stamtąd, że to twoja ojczyzna, tedy i jej miejsce tam być musi!

– A zatem przeżyła napaść... Moja nieboga.. Nie zginęła wtedy! – Bronisz, jakby dopiero teraz dotarła do niego ta wiadomość, powtarzał to sobie cicho, spoglądając nieprzytomnym wzrokiem gdzieś w dal, poza okno tej komnaty.

Kaleka łapczywie jadł nadal, uważnie śledząc byстрыm wzrokiem jego każdy ruch.

– Nie, panie, nie zginęła, lecz długo nieprzytomną była, zaleknioną i wyczerpaną podróżą oraz uprowadzeniem, ledwo co odratowano ją i jej dzieci. Na dworze jej pani, margrabianki austriackiej, panowało wciąż przekonanie, iż zginęła tragicznie.

Bronisz spojrzał na niego uważnie i podejrzliwie:

– Nie łżesz?! Prawdę–ż– li mi powiadasz?

Tamten przestał jeść i wydawszy policzka, uderzył się mocno w pierś.

– Jak mi Bóg miły!

– A czemuż jej nie oddaliście samej księżnej babanberskiej, odbiwszy z rąk niegodziwców, kiedy do Rzymu jechała? – zapytał powoli.

Tamten spochmurniał i zwiesił głowę.

– No?! – Bronisz nagle dopadł do niego i przycisnął mocno pięścią jego wątle gardło.

Jedzenie i kielich wypadły z rąk biedaka.

– Zrabowaliśmy jej powóz, panie, bo pełen był kosztowności i pieniędzy! – wykrztusił wreszcie, opuszczając z udawanym wstydem głowę. – Baliśmy się sprawiedliwego gniewu i sądu księżnej pani...

– Łachudry! – rycerz ryknął na cały głos i znowu przycisnął jego brodę. Zaraz jednak zwolnił morderczy uścisk, ochłonął z trudem i zapytał go spokojniej nieco:

– A zatem pojechała do Polski?

– Tak zamierzała, panie, taki zamiar powzięła, lecz odkąd wyjechała stąd, nie wiemy, gdzie się podziewała. Miała zamiar szukać śladów swej pani, jednak w Rzeszy Niemieckiej trwała wówczas krwawa wojna.

Bronisz podszedł do okna i zamyślony spoglądał w dal.

– Gdzie mi ciebie szukać, miła moja? Gdzie? – dodał ze smutkiem. – I – czyś żywa jeszcze, niebogo?

Kiedy kaleka skończył jeść, rycerz nakazał karczmarzowi dać mu na drogę zapas jedzenia oraz podał kiesę z drobniakami. Ten wyszedł, kłaniając mu się nisko.

Rycerz pozostał sam. Długo bił się z myślami. Co robić? Dokąd jechać? Czy ona jeszcze żywa? Gdzie ich dzieci? Zrozpaczony uświadomił sobie, że z napływem emocji nie zapytał nawet garbusa o ich imiona.

Począł modlić się żarliwie przed obrazem Najświętszej Panienki, wiszącym na dole gospody,

przypominającym mu wizerunek, jaki w swej komnacie na zamku we Wrocławiu miała przed laty jego ukochana Adelcia. Matka Boska, cała w błękitach i bieli, w złotej koronie na głowie, stała pośrodku, rozpościerała swe ramiona i z radosnym uśmiechem zdawała się wołać, aby oddał się w Jej opiekę bez żadnych wątpliwości i przeszkód. Zamknął oczy, przez chwilę klęczał tak i żarliwie modlił się o pomoc w swych myślach. Ciszę przerwał nagły powiew wiatru. Okiennica rozwarła się z hukiem i okno potrzaskało pod wpływem mocnego uderzenia wiatru. Do gospody wpadło nieco śniegu. Bronisz na ten dźwięk wzdrygnął się mocno, spojrzał na potłuczone okno i usłyszał głośnie bicie dzwonów kościelnych. Wyszedł na dół, na zewnątrz, a widząc pędzącą pilnie ku sąsiedniemu budynkowi, zaaferowaną kobietę, zawołał do niej z daleka:

– A cóż to, pożar?! Albo i inne nieszczęście?

– Nie, panie, to nie pożar! – odrzekła kobiecina w jasnej chustce i otarła zapłakaną twarz. – Pan nasz miłościwy, Henryk, zakończył swój żywot... – Po tych słowach pobiegła dalej, rozpaczliwie zawodząc.

Dzwony biły nadal, coraz głośniejsze, i głośniejsze.

Bronisz zamyślił się znowu. Tak życzliwy mu brat księżnej Agnieszki Babenberg odszedł ze świata pogodzony z ludźmi, nigdy nie działający wbrew czy na szkodę żadnemu z nich, pozostając w pamięci poddanych jako mądry i sprawiedliwy władca. Któż teraz zapanować miał nad tym pięknym krajem?

Władzę po zmarłym ojcu przejął ambitny i żądny sławy Leopold Babenberg, piąty władca o tym imieniu na tronie Austrii. Zwano go „der Tugendhafte”, czyli „Pełen Cnót”. Długowłosy i długobrody, z kręconymi włosami, okalającymi całą jego twarz, przypominał on raczej mnicha bądź wędrownego trubadura, niżli nowego dziedzica tronu austriackiego.

Żoną Leopolda Piątego była znana z urody, wykształcenia i powszechnie cenionej wówczas na europejskich dworach ogłady córka węgierskiego króla Gejzy Drugiego z rodu Arpadów oraz Eufrozyny, córki księcia ruskiego Mścisława Pierwszego Haralda Rurykowicza. Swe imię, nawiązujące do greckiej mitologii i najpiękniejszej na ziemi kobiety, odziedziczyła po swojej babce ze strony ojca, serbskiej księżniczce Helenie. Miała istotnie niezwykłą urodę – gęste czarne włosy, poskręcane w liczne loki, okalające całą głowę, były mocno uciśnięte w dwa stożkowate koki, sterczące po obu stronach pociągłej, ślicznej twarzy i pokryte dla umocnienia niesfornych pasm drobną, białą siateczką. Zawsze pośród tych kosmyków Helena Węgierska nosiła powbijane, obwiązane bądź poskręcane tu i ówdzie czerwone wstążki. Oczy czarne, iskrzące, otoczone zasłoną gęstych brwi i rzęs, w naturalnej ciemnej oprawie, dopełniały piękna całej postaci tej uroczej władczyni.

Kiedy Bronisz przybył na dwór Babenberga, aby mu się pokłonić, władca przywitał go równie serdecznie, jak jego ojciec, powtarzając po wielokroć, iż takich wielkich,

wprawionych w boju i doświadczonych wojowników najbardziej teraz Europie potrzeba. Z początku nie bardzo rozumiał stary wiarus, co oznaczały te chwalebne słowa, skierowane do niego. Książę natychmiast jednak wyłuszczył mu całą tajemnicę. Oto bowiem na Wschodzie doszło do nowych rzezi chrześcijan i lada moment miała zostać przygotowana kolejna wyprawa rycerstwa europejskiego na odsiecz zabijanym i prześladowanym potomkom uczestników poprzednich krucjat. Leopold był dumnym wodzem i zamierzał rzecz jasna wzmocnić swoją władzę w tej części kontynentu. Akurat nadarzyła się zatem sposobna okazja. Na starym kontynencie trwał zażarty konflikt cesarza Fryderyka Barbarossy z papieżem. Jednocześnie Bliski Wschód wzywał ponownie władców Europy do podjęcia walki w obronie Ziemi Świętej.

– Jezu, Panie Miłościwy... – Bronisz powróciwszy z zamku książęcego do gospody modlił się żarliwie przez krzyżem – czy to jest znak od Ciebie? Czy to mi chciałeś powiedzieć? Nie byłem w Ziemi Świętej w owym czasie, kiedy niemiecki król Konrad przygotowywał swoją wyprawę, choć mnie do niej usilnie namawiał i czułem, że rad byłby mnie widzieć wtenczas u swego boku, lecz ja wtedy postąpiłem, jak bezbożnik – wybrałem własną miłość i przebywanie z moją ukochaną, miast niesienia pomocy potrzebującym chrześcijanom... Nie pomogłem innym rycerzom uwolnić Twojej ojczyzny z rąk niewiernych. Teraz stawiasz mnie przed kolejnym



wyborem, znowu czeka mnie próba silnej woli – szukać mojej lubej i naszych dzieci, teraz, kiedy po tylu latach tkwienia w głębinie rozpaczony nareszcie pojawiła się nikła nadzieja, że jeszcze żywych ich obaczyć mogę, czy jechać i walczyć za Twe ziemie, Jezu? – to mówiąc rzewnie płakał, bo serce rozdzierało mu zwątpienie, co ma uczynić.

Schorowane, stare ciało domagało się już należnego odpoczynku, ale serce powtarzało, że Bóg ocalił go, cudem jakimś uratował także z napaści Adelcię i ich dzieci, i nadal dodawał miecznikowi niezwykłych w tym wieku sił, bo ciągle czekał na ten dowód jego zawierzenia Najświętszej Pani, na jego udział w nowej krucjacie. Kiedy dodatkowo we śnie zobaczył swoją młodziutką, uśmiechniętą Adelcię, która na białej dłoni podawała mu miecz i tarczę, zrozumiał to Boskie przesłanie i wiedział już, co mu czynić wypada. Nawet, jeśli Bóg chciał, aby tam, na dalekiej Ziemi Świętej poległ, i aby nigdy już nie podjął się poszukiwań ukochanej, zdecydował się bohatersko wyruszyć na Wschód ze swoim nowym, austriackim panem.

W 1174 roku królem Jerozolimy został trzynastoletni zaledwie, głęboko wierzący i waleczny Baldwin Czwarty. Przyszło mu objąć tron w czasach niezwykle trudnych, oto bowiem sułtanem Egiptu i Syrii obrano ambitnego, ponad czterdziestoletniego polityka, Saladyna z dynastii Ajjubidziów, który zamierzał przejąć wszystkie obszary, kontrolowane dotychczas na tym terenie przez

chrześcijan. 25 listopada 1177 roku pod Montgisard ciężko chory na trąd król Baldwin, ledwo stojący na polu bitwy, z obandażowanymi rękami oraz głową, odniósł niespodziewanie, przy niesionych przez swych poddanych relikwiach świętych, spektakularne zwycięstwo nad wielokrotnie silniejszymi wojskami muzułmańskimi, co uznano w szeregach jego rycerstwa za cud Boży, a sam sułtan, zaskoczony takim niepowodzeniem swojego wojska, z trudem zdołał zbiec z pola bitwy na swym najszybszym wielbłądzie. Zawarty wówczas, bardzo korzystny dla chrześcijan rozejm z Turkami, był jednak wielokrotnie łamany przez awanturniczych poddanych Baldwina, zwanego potocznie z racji jego choroby „Trędowatym”, takich jak chociażby awanturniczy i niepokorny Renald de Châtillon, który wciąż nękał i atakował muzułmanów, w dodatku bezradny król Baldwin zachorował jeszcze na febrę i trawiący jego wątłe ciało trąd uniemożliwił mu całkowicie poruszanie się, zaś pod koniec życia odebrał mu dodatkowo wzrok, doprowadzając wreszcie do śmierci bohaterskiego, choć od początku rządów bardzo poważnie chorego władcy w 1185 roku. Był to jeden z nielicznych koronowanych królów w dziejach całego świata, który pomimo ciężkiej choroby, starał się, aby pamiętano odwagę i bohaterstwo oraz wyjątkowy hart ducha, nie zaś jego schorowane, bezwładne ciało, nad którym jednak zdołał nadzwyczaj długo zapanować, odnosząc sukcesy ku chwale Bożej.

Jerozolima była mocno osłabiona niesnaskami

wewnętrzny, dlatego pobity Saladyn zdecydował się to wykorzystać i wyruszył przeciwko niej pod pretekstem ciągłego łamania rozejmu przez chrześcijan, co istotnie było niezaprzeczalnym faktem. 4 lipca 1187 roku pod Hittin rozbił doszczętnie armię nieprzyjaciela, dowodzoną przez nowego jerozolimskiego króla, szwagra zmarłego Baldwina, Gwidona de Lisignan, który sam dostał się w tej bitwie do niewoli. Kiedy Saladyn wyruszył na Jerozolimę, bohaterską obroną tej stolicy chrześcijan kierował możnowładca Balian z Ibelinu, jednak wobec zdecydowanej przewagi muzułmanów musiał skapitulować.

Upadek Jerozolimy i zajęcie jej na powrót przez niewiernych tureckich żołdaków wywołały straszliwy wstrząs w średniowiecznej Europie. Ówczesny papież Grzegorz Ósmy uznał to tragiczne wydarzenie za słuszną karę Bożą i zarządził dla wszystkich chrześcijan na całym kontynencie umartwienie ciała za popełnione grzechy, aby uzyskać przebaczenie Pana i odtąd przez pięć kolejnych lat wszyscy wierni mieli przestrzegać ścisłego postu w każdy piątek oraz dodatkowo odmawiać sobie spożywania mięsa w soboty i środy, a krewni Ojca Świętego i kardynałów – dodatkowo jeszcze w poniedziałki. Władcom i wielmożom zakazano prowadzenia jakichkolwiek walk w Europie przez lat siedem. Papiestwo ponownie wezwało koronowane głowy starego kontynentu do udzielenia zbrojnej pomocy tamtejszym chrześcijanom i do wyzwolenia Ziemi Świętej spod

władzy niewiernych.

W odpowiedzi na ten papieski apel zorganizowano wówczas trzy niezależne wyprawy. Pierwszą z nich poprowadził już w maju 1189 roku uczestnik poprzedniej, waleczny cesarz rzymski, Fryderyk Pierwszy Barbarossa. To właśnie w tej wyprawie wziął udział austriacki książę, Leopold Piąty, pod którego rozkazami jechał sędziwy Bronisz. Madziarski władca, Bela Trzeci, chętnie udzielił cesarzowi pomocy i koniecznego wsparcia podczas przemarszu wojsk niemieckich przez Węgry, natomiast podejrzliwy cesarz bizantyjski Izaak Drugi Angelos, czując się zagrożonym przez awanturniczego władcę Niemiec, niespodziewanie uwięził posłów cesarskich, za co dumny Fryderyk, oburzony takim zachowaniem, zaatakował jego ziemie, splądrował je, po czym ostatecznie wyniośle ominął stolicę Bizancjum, kierując się dalej na Wschód.

Po stoczeniu kilku zwycięskich bitew, wybitny wódz Barbarossa 10 czerwca 1190 roku nieoczekiwanie, podczas porannej kąpieli, tak niefortunnie pośliznął się na mokrych kamieniach, że wpadł do rzeki Salef i utonął w niej, wywołując tym wstrząs w swoim wojsku, co triumfujący muzułmanie uznali za ewidentny cud, zesłany im przez samego Allacha. W szeregach cesarskiej armii wybuchła nieopisana wprost panika, którą próbował opanować syn niefortunnie zmarłego cesarza, władca Szwabii Konrad, ten sam, jaki w 1169 roku przybrał imię po swym starszym zmarłym bracie – Fryderyk. Wojsko

niemieckie, przybite tak niefortunnym zgonem swego wielkiego wodza i stratega, uległo podziałowi i część z niego, załamana i przekonana o rychłej klęsce, powróciła do Europy, zaś pozostali ruszyli dalej na Wschód i wykruszyli się podczas nowych walk z muzułmanami, do czego w dużym stopniu przyczyniła się dziesiątkująca ich szeregi malaria. Leopold Austriacki kierował tymi niedobitkami, które parły, znużone morderczym marszem, dalej na Wschód. Za nimi, jak złowrogi cień czarny, podążała armia cywilnych rabusiów – maruderów, którzy, żądni łatwych łupów, czekali tylko sposobności, aby po krwawych bitwach rzucić się bez sumienia, jak wściekłe psy, na zabitych czy nawet rannych, i poobdzierać ich z reszty szat, ozdób oraz wszelakiej godności.

Pierwszej nocy po tragicznej śmierci cesarza stary wiarus Bronisz z kilkoma kompanami pełnił straż przy namiocie oddziałów rycerskich, przybyłych z ziem austriackich. W głębokiej nocnej ciszy nagle coś zaszeleściło. Inni strażnicy dawno już posnęli, zatem tylko on jeden to słyszał. Rycerz z początku przypuszczał, że to może jedynie wiatr pustynny gna suche trawy i zmierzwione gałęzie splecionych ciasno, połamanych krzewów, lecz szelest dał się słyszeć coraz wyraźniej tuż przy namiotach książęcych. Miecznik wstrzymał oddech i nasłuchiwał przez chwilę w całkowitym bezruchu. Szelest był coraz głośniejszy i wkrótce wyraźnie dały się słyszeć miarowe kroki lekkich, skórzanych butów. Bronisz z trudem wstał i ze zdumienia przetarł oczy. Przed nim z

mroku wyłoniła się czarna, wysoka i niezwykle pokracczna postać, Poświecił jej w oczy pochodnią, poderwaną błyskawicznie z żarzącego się nieopodal ogniska.

– Ktoś ty?! – spytał groźnie szeptem.

– Nie lękaj się, mości rycerzu – usłyszał chrapliwy kobiecy głos.

– Czego tu chcesz, maro przeklęta?! – rycerz zamachnął się w jej kierunku pochodnią tak silnie, iż kilka iskier z impetem upadło na jej ubranie, lecz – o dziwo – żadnej szkody jej one nie poczyniły, jeno spadły niżej, na piasek, i tam błyskawicznie zgasły.

– Nie bój się, nie zrobię ci nic złego... – postać podeszła bliżej. W ogniu pochodni rozświetlającej jej oblicze Bronisz ujrzał pomarszczoną i ciemną twarz chudej kobiety z ogromnym garbem na plecach. Trzęsącymi się ze starości dłońmi podniosła nieco swoje siwe włosy, spadające jej bezwładnie na oczy i czoło i rycerz wyraźnie zobaczył, iż jedno jej oko całkowicie zaszło bielmem.

– Po coś tu przyszła i kim jesteś?! – mruknął groźnie, przekładając szybko pochodnię do lewej ręki i chwytając ostrzegawczo prawą dłońią za miecz tkwiący w pochwie.

– Nie potrzebuję ja niczego! Mam wszystko! I nie potrzebuje też nikogo! Jeśliś jedną z owych markietanek, co to ciągną za nami wszędzie, to – zaprawdę powiadam tobie – źle–ś trafiła! U mnie nie szukaj zarobku, bo nie dam ci go! Nie trzeba mi pocieszenia!

– Nie, nie jestem ja z nich! – odpowiedziała

stanowczo. – Przyszłam cię przestrzec, abyś nie zwątpił w tę wyprawę i nie zrezygnował z niej, gdyż Pan nasz wielkie rzeczy przeznaczył dla ciebie!

– Nigdy nie wątpiłem! – stwierdził ostro.

– Czyżby? – wyszczerzyła w odpowiedzi swojej szerniałe zęby. – A jednak przed laty wzgardziłeś zaproszeniem króla niemieckiego i udziałem w szlachetnej wyprawie krzyżowej... I teraz też wielokroć serce twe oplatała nić niepewności i wielkiego zwątpienia...

Bronisz zagryzł wargi i spuścił głowę, lecz zaraz podniósł ją znowu i zamachnął się z pochodnią ku twarzy nieznajomej.

– Po cóżeś mnie dręczyć tu przyszła? Mało–m jeszcze wycierpiał przez te wszystkie lata? – zapytał ją z rozpaczliwym wyrzutem.

– Broniszu... – zaczęła tamta, próbując przybrać nieco łagodniejszy ton.

– Skąd znasz imię moje? I skądże tyle o mnie wiesz?!

– Wiem znacznie więcej... – powiedziała tamta w zadumie. – Znacznie więcej...

– Czego chcesz?

– Powiedz panu swemu, księciu Leopoldowi, że wolą moją niewzruszoną jest, aby to on sam, człek prawy i uczciwy, potomek wielkich Babenbergów, z których i ja się wywodzę, rozkazał sługom swoim pochować mnie na tej świętej ziemi, gdzie przed laty narodził się i gdzie ukrzyżowany został Pan nasz, Jezus Chrystus!

– Pochować? – twarz Bronisza straszliwie zbladła i cofnął się o krok. – Czy ty umarłą jesteś, pani?

– Tak, w istocie, nie mylisz się, zmarłam wiele lat temu, w wojnie, podczas niefortunnej szarży twego poprzedniego, dawnego niemieckiego pana, króla Konrada Hohenstaufa, którego wezwanie na ową wojnę dumnie odrzuciłeś, kiedy to nieopatrznie ruszył on, wbrew moim ostrzeżeniom, na niezwyciężoną armię turecką. Poległam na placu boju podczas krwawej bitwy, przed którą tak bardzo starałam się przestrzec butnego władcę! Jam jest... Jestem Emma Ines! – powiedziała w końcu głośno i doniośle.

Na te słowa zamarł z przerażenia stary wiarus. Wstawił zarzając się pochodnię do ogniska i przysiadł przy nim, patrząc dalej na dziwaczną, majaczącą w półmroku postać.

– Nie lękaj się, niczego złego uczynić ci nie chcę! Dobry Bóg przysłał mnie do ciebie, abym cię wspierała i dodała ci otuchy, abyś nie zwątpił i wytrwał w swym męznym dziele, gdyż wielkie rzeczy przeznaczył ci Pan nasz. I chcę, aby książę pochował mnie tu ze wszystkimi należnymi mi honorami, bo mi tego zapomniano uczynić za poprzedniej wojny, kiedy–m krew swą za bałwochwalczego króla przelewała!

– Pani... – z trudem rycerz wykrztusił słowa przez ściśnięte gardło. – Czy ty demonem jesteś... albo i innym duchem nocnym?

– Ot, błąkam się ja między niebem a ziemią, ani mi tu



dobrze, ani mi tu źle, lecz tęsknię już za spokojem duszy mojej i za odpoczynkiem... Odkąd poległam podczas boju, chodzę po świecie dniami i nocami, wszędzie spotykam zagubione dusze nieszczęśników oraz wędrowców powątpiewających w dobrze obraną życia drogę, takich, jako i ty, dzielny Broniszu. Wiem wiele i wiele przepowiedzieć umiem, lecz sama sobie poradzić nie potrafię, by wreszcie zakończyć to moje ziemskie pielgrzymowanie.

Ostatnie zdanie rozświetliło oblicze zastrachanego wojownika. Zerwał się, uklęknął z szacunkiem i schwycił bez żadnej już bojaźni kościste dłonie przerażającej garbuski.

– Pani... ja prośbę mam do ciebie najpokorniejszą i najszczerzą... Skoro, jak mówisz, znasz wyroki Boskie, powiedz—że mi, czy dane mi będzie obaczyć jeszcze błękitne prześliczne oczęta moje ukochane... Oczęta mojej lubej... mojej... – tu zaczął łkać i przerwał, gdyż płacz nagły oraz wielce bolesny uniemożliwił mu dalsze mówienie.

Kobieta podeszła jak najbliżej i położyła obie swe kościste dłonie na jego pochylonej głowie.

– Wiem, o co pytać pragniesz... – powiedziała spokojnie, ujmując go pod brodą jedną dłonią i delikatnie podnosząc głowę wiarusa, a potem spoglądając głęboko w jego zalane łzami oczy. – Ja ci tego powiedzieć nie mogę, mości Broniszu. Pytaj swego serca. Ono wie najlepiej i zna tajniki wszystkie losu twego! Ono wie! – powiedziała

mocno i uśmiechnęła się krzywo, po czym spokojnie odeszła w ciemność nocy.

– Pani, jakże cię znaleźć może–m? Jak prośbę twą spełnić? Pani!... – zawołał zdumiony jej nagłym odejściem miecznik.

– Obaczysz niebawem, mości rycerzu! – posłyszał z oddali niewyraźny głos, kroki ucichły i wokół zapadła znowu przerażająca, grobowa cisza.

Rankiem, kiedy tylko rozwidniać się zaczęło, zszokowany nocną rozmową Bronisz nieopodal ogniska znalazł niewielki drewniany krzyż, otulony czarnymi łachmanami garbatej wieszczki i ten oto symbol z wielkim namaszczeniem przyniósł księciu panu, opowiadając mu z przejęciem o spotkaniu nocnym. Władca z początku uszom nie chciał wierzyć, szczególnie że inni strażnicy – pytani szczegółowo przezeń – niczego i nikogo nie widzieli. Na odwrocie krzyża widniały imiona wypalone ogniem: „EMMA INES”. Książę, truchlejąc, uniósł brwi ze zdumieniem, przeżegnał się, tak samo jego najbliższe otoczenie i sam Bronisz, po czym wyszedł z namiotu i nakazał, jak mu to stary wiarus przekazał, aby słudzy jego zbili czym prędzej z desek trumnę małą drewnianą, zaś inni – by niedaleko wzgórza nad rzeką wykopali dół głęboki, do którego po odbytym, uroczystym nabożeństwie z honorami wstawiono krzyż kobiety w czerni otulony jej łachmanami, pochowany w przygotowanej i poświęconej trumnie. Ukopano na tym miejscu kurhan i postawiono krzyż wielki, na którym

napisano wypalonymi literami po łacinie: „TU SPOCZYWA EMMA INES – WIELKA BOHATERKA WYPRAW KRZYŻOWYCH”. Miecznik nie przypuszczał jeszcze wówczas, jak szybko prorocze słowa spotkanej wieszczki diametralnie odmienią całe jego życie.

Podczas jednego z wieczornych postojów Bronisz usłyszał ze zdumieniem swoje imię. Przypomnił sobie wówczas, iż już kiedyś, przed laty, padło ono z ust nieznannej mu kobiety w żałobnym stroju, zmierzającej wraz z dwójką dzieci na Górę Świętej Doroty w podbędzyńskim Grodźcu. I teraz spojrzął mimowolnie, kim jest jego imiennik. Rycerz ten był roslym, świetnie zbudowanym i przystojnym mężczyzną, na oko czterdziestoletnim, z wyrazistym spojrzeniem jasnych oczu i wielką czupryną gęstych włosów, przypominających łany zbóż.

Stary wiarus znowu zamyślił się, przypominając sobie z rozrzewnieniem, że oto znał niegdyś tak piękny kolor włosów u swej ukochanej Adelci. Serce ścisnął mu niewypowiedziany żal. Wszechogarniająca tęsknota prawie powaliła całe jego muskularne ciało na ziemię. Naszedł go nagle żal głęboki, że jednak nie szukał jej dalej, że porzucił nadzieje i wyjechał tutaj, na nieznaną sobie, obcą, nieprzyjazną ziemię, gdzie i polec wkrótce może. Zaczął płakać cicho, wtulając głowę w olbrzymie ramiona, aby nikt przy blasku ognia nie ujrzał łez, gęsto płynących mu po twarzy. Młody rycerz przysiadł

niedaleko, ciężko dysząc.

– A cóż tam, co tak dyszycie, panie? – zagadnął uspokojony nieco Bronisz, podając mu z niepokojem rękę na powitanie, lecz zaraz cofnął ją odruchowo.

– Wybacz, panie... – młodzieniec smutno zwiesił głowę, nie podam ja ci mojej prawicy... – to powiedziawszy, schował ukryty pod starganym ubraniem kikut swej obciętej, prawej dłoni. – Ot, i ona sama... Pamiątka po walkach z Turczynami – odrzekł cicho.

Bronisz kiwnął głową z szacunkiem i ze zrozumieniem i tak siedzieli cicho czas jakiś, spoglądając w ogień.

– Co z twym kompanem? Żyw? – stary rycerz pierwszy przerwał ciszę, wskazując głową w stronę namiotu, w którym usłyszał kilka minut wcześniej rzucone do młodzieńca swoje imię i skąd teraz dochodziły przytłumione jęki.

– Jego dni już policzone! Febra zabierze go do domu Pana Najjaśniejszego najpóźniej jutro... – odparł cicho zasmucony rycerz.

– Skąd–żeś?

– Z Polski!

Na te słowa poruszyło się serce w wiarusie i spojrzał nań serdecznie.

– I ja także!

– Jak–żesz to, panie? – zdumiony młodzian przyjrzał się uważnie jego twarzy. – Nie widziałem ciebie w naszym obozie.

– To długa historia. Szedłem z wojskami austriackimi.

– Teraz rozumiem. Ja zaś przez Węgry przedarłem się do niemieckiej armii sławnego cesarza rzymskiego. Czy, panie, to prawda, że on nie zginął, jeno ukrył się w jaskini?

– Co? Co takiego?

– Ludzie tu poczęli powiadać, że Fryderyk, Rudobrodym zwany, nie utonął w rzece, lecz celowo wieści takowe rozpuścić nakazał, aby omamić i oszukać niewiernych, a sam tymczasem schronił się ze swymi rycerzami w pobliskiej jaskini, aby tam przeczekać na sposobny moment i uderzyć znienacka na siły nieprzyjacielskie i w proch je zetrzeć!

– Ej, tam! – zdenerwowany Bronisz machnął ręką, jakby i słów na ten temat nie był w stanie więcej wypowiedzieć i nagle wzrok jego padł na lewą dłoń młodzieńca.

– Skąd... skąd to masz?! – wyrzekł przez oniemiałe, zdrętwiałe wręcz wargi.

Młodzian spojrział na swoją dłoń i przybliżając do światła płynącego z ogniska trzymany na palcu pierścień odpowiedział z uśmiechem:

– Matka moja, dobrodziejka, dała mi go na drogę, aby mnie strzegł i życie moje uchronił przed nieszczęściem jakowymś.

– Matka?... – Bronisz spojrział raz jeszcze na niego. – Dała ci ten pierścień? Jak się zowiesz?

– Matka moja ukochana dała mi na chrzcie Bronisz po zmarłym tragicznie ojcu moim, wielkim, sławetnym rycerzu! Ród mój zwie się Miecznikowski, herbu Lubisz, jaśnie panie!

Wiarus słysząc to, osłabł i omdlał. Opadł ciężko i bezwładnie na ziemię, obok której spoczywał. Schorowane serce waliło mu, jak młot w piersi. Słyszał jeszcze wołanie zatrwożonych, biegnących ku niemu rycerzy dokoła siebie:

– Panie, co tobie, panie?!

Ktoś złapał go mocno za ramiona, nic dalej już nie pamiętał...

Młody Miecznikowski starał się oblać twarz starego wiarusa zimną wodą, nabraną na kawałek płótna z pobliskiego jeziora, równocześnie zdejmując ciężką zbroję z tułowia. Przesunąwszy rzeczy i cały rynsztunek wiarusa, spojrzawszy mimowolnie na wielką tarczę, na której widniał pokryty kurzem i bitewnym pyłem znak rodowy. Otarł rękawem jej środek i zamarł – oczom jego ukazał się wizerunek podkowy z krzyżem kawalerskim oraz trzy strusie pióra w górze.

– Toż to znak Lubiczów! – wyrzekł zdumiony i przyjrzał się twarzy nieprzytomnego jeszcze starca.

Ten zaś z wolna przychodził do siebie. Otworzył oczy, zobaczył młodzieńca i łzy napłynęły mu do oczu.

– Czy... Czy twoja matka to pani Adelajda z Salzburga, dworka księżnej krakowskiej Agnieszki Babenberg? – zapytał tylko z trudem, a widząc, jak

zdumiony młodzian potakuje mu z wolna, rzucił się ociężale na niego, ściskając i wołając z trudem przez ściśnięte gardło: – Synu!

Płacz i szczęście niewypowiedziane odebrały mu głos. Płakał tylko ciągle, a rześiste łzy zalewały jego starczą twarz. Dziwili się rycerze, każdy przekazywał kolejnemu wiadomość o tym, co tu zaszło. Radość wielka nastąpiła w obozie chrześcijańskim po tym wydarzeniu, zaś młody Bronisz zrozumiał, kim jest ów starzec i zaczął całować z uszanowaniem i uciechą jego ręce. Wiarus wzbraniał się i całował głowę płową rosłego młodzieńca. Przytuleni, poczęli wypytywać o swe losy. Okazało się zatem, iż Adelfia z dziećmi przebyła wiele dróg, szukając synów swej zmarłej pani, lecz oni powrócili już na dziedziczny Śląsk. Wtedy zdecydowała się i ona tam osiedlić, lecz po powrocie do Polski w kraju wybuchła wspomniana już nowa wojna domowa między książętami piastowskimi, która ostatecznie rzuciła jej rodzinę na ziemię przyległe do księstwa śląskiego dwóch braci: Bolesława Wysokiego i Mieszka Płatonogiego. Tam też zamieszkali wszyscy troje: Adelfia i dwoje jej dzieci i tam młody Bronisz zdobył szlify rycerskie, a potem służył wiernie u możnych miejscowych, by w końcu, w wieku dojrzałym, stać się miecznikiem samego kasztelana grodzieckiego, Przemszy, rezydującego na zamku na Górze Świętej Doroty.

Wiarus był wstrząśnięty tymi opowieściami! Teraz zrozumiał, że Bóg celowo prowadził go ku tamtej górze i

tamtemu miejscu, że owa w żałobie wchodząca na górkę kobieta, którą przypadkiem spotkał przed laty podczas pielgrzymki na Dorotkę, prowadząca w pośpiechu dwoje nastoletnich dzieci, to była jego ukochana Adalcia! Największe wrażenie jednak zrobiła na nim wiadomość o tym, że i ona nadal żyje, Dobry Bóg bowiem, pomimo wielu ciężkich przeżyć, bestialskiego porwania i poważnej choroby, jakiej doświadczyła, miłosiernie ocalił ją, dodawał wciąż sił nowych i pozwolił dalej pielgrzymować co roku na Górę „Dorotkę”, aby tam modliła się za pomyślność tej krzyżowej wyprawy i szczęśliwy powrót do domu jej jedyne go syna.

Teraz pojął w pełni stary rycerz, jakie plany miał wobec niego Pan i czemu nakazał mu tutaj przybyć. Upadłszy na kolana, z pokorą modlił się do Niego żarliwie, dziękując za cud, jakim go doświadczył. Syn jego także szczęśliwy był niezmiernie z odnalezienia ojca, którego nigdy nie widział na oczy i którego z dawna miał za zmarłego.

Wiarus pytał o siostrę. Agnieszka, bo tak jej było, po księżnej babenberskiej miała to imię, była jego siostrą bliźniaczką; wyszła za mąż za zanego syna kasztelana Przemszy, Miłosza, któremu urodziła troje dzieci, i który wyjechał wraz z nim na tę wyprawę, lecz poległ zaraz na jej początku, podczas przeprawy do Bizancjum. Najstarsza córka Agnieszki, Berta, poślubiła syna siewierskiego kasztelana, sławnego rycerza Bolesława Frankenberga, z którym zamieszkała w sąsiedniej



miejsowości, założonej niegdyś przez rycerza księżnej–Tygryscy, a mijanej swego czasu przez starego wiarusa w drodze z Bytomia, w Dobieszowicach. Oboje władali obecnie tym siółem.

Bronisz nadziwić się nie mógł, iż syn jego tak pięknie wygląda, tak wyrósł i zmężniał. Dumny i szczęśliwy, gotów był natychmiast zabrać go z powrotem do bezpiecznego grodzieckiego domu, lecz złożone przez obu rycerzy przed wyruszeniem z Europy śluby krzyżowców zmuszały ich nadal do prowadzenia walki z niewiernymi muzułmanami o Ziemię Świętą.

– Zaś niejaka Kochna Bendzińska, nasza sławetna wieszczka i wetula, dawna Chwalimira, potomkini rodu rycerza Bendy, zawiaduje teraz łaskawie całym naszym księstwem, od Będzina, aż po Grodziec! – dodał jeszcze z radością młody Broniś.

Na te słowa rozpromieniła się twarz starego wiarusa i zaczął dziękować w duchu Bogu za ten kolejny, niezwykły cud!

Tymczasem armia europejska przeżywała poważny kryzys. Saladyn triumfował. Jednak i on napotkał na wschodnich terenach ostatnie punkty oporu chrześcijańskiego – w Tyrze miasto oraz jego mury skutecznie wzmocnił siostrzeniec polskiej księżnej Agnieszki, Konrad z Montferratu, natomiast baron Renald z Sydonu bronił w tym czasie zamku Beaufor. Uwolniony po rocznej niewoli Gwidon przysiągł wprowadzić Saladynowi powrót do Francji, ale przysięgi tej nie

dotrzymał, potajemnie przekradł się na Wschód, obległ Akkę, zaś później, dzięki dotarciu tu wojsk trzeciej krucjaty, wziął udział w jej walkach, a po śmierci żony Sybilli, siostry Baldwina Trędowatego, wykupił w 1192 roku od templariuszy Cypr, zostając ostatecznie jego królem.

Do terenów Ziemi Świętej zbliżyły się już bowiem nowe wojska trzeciej wyprawy krzyżowej, dowodzone przez walczących ze sobą ciągle i rywalizujących, dumnych europejskich królów: angielskiego – Ryszarda Lwie Serce i francuskiego – Filipa Augusta. W armii sprytnego Gwidona znalazły się także niedobitki wojsk Barbarossy z oboma rycerzami Broniszami Miecznikowskimi. Swe oblężenie Akki rozpoczęły one 28 sierpnia 1189 roku. Żadna ze stron nie uzyskała początkowo przewagi w tych zaciekłych zmaganiach, więc walki o to miasto niebezpiecznie przeciągnęły się. Niecierpliwie oczekiwano na obiecane posiłki z Zachodu. Jednak obaj skłóceni władcy wzbudzali na dworach europejskich niepokój i ociągano się z wysłaniem im jakiegokolwiek pomocy.

W celu zorganizowania swej krzyżowej wyprawy, król Anglii Ryszard Plantagenet, zwany od późniejszego incydentu w więzieniu i pożarcia wydartego własnymi rękami, bijącego jeszcze serca zabitego lwa, oraz od niespotykanej odwagi „Lwim Sercem”, wprowadził w swym królestwie wysokie podatki, a wielmożom nakazał nawet płacić hojne sumy pieniędzy za sprawowane

urzędy. Nienawidził swojego kraju, co zarzucali mu często jego poddani. Kpił wielokrotnie ze swej monarchii podkreślając, iż Anglia to państwo, gdzie stale jest zimno, wszędzie wszystko spowijają mgły i nieprzerwanie pada deszcz, dlatego często zwykł mawiać, iż najchętniej sprzedałby Londyn, gdyby tylko znalazł się odpowiedni do takiej transakcji kupiec. Nie bez racji poddani zarzucali nie lubianemu Ryszardowi, że ojczyzna jest mu potrzebna tylko dla korony królewskiej na skroniach i podatków na nieustannie toczony wojny. A prowadził ich naprawdę wiele, nawet ze swym ojcem oraz bratem i kuzynami! Jednym z jego zaciętych wrogów był, początkowo jego bliski przyjaciel, francuski władca, Filip Drugi August z dynastii Kapetyngów. Latem 1190 roku wyruszyli obaj na krucjatę z Vézelay, lecz Filip podczas podróży zmienił trasę i nie dołączył ze swoją flotą do Ryszarda w Marsylii, a za to dopłynął do Messyny. W wyniku wojny domowej na Sycylii Ryszard musiał interweniować w obronie swej siostry, Joanny, wdowy po zmarłym królu Wilhelmie Drugim Dobrym i to wydarzenie w poważnym stopniu opóźniło jego planowany marsz na Wschód.

Dalsza droga znowu zmieniła plany obu królów, gdyż Filip dobił do Azji wcześniej i 20 kwietnia 1191 roku stanął pod obleganą przez krzyżowców Akką, rozpoczynając budowę potężnych machin oblężniczych celem jej zdobycia. Tymczasem gwałtowna burza zepchnęła flotę Ryszarda Lwie Serce aż na wyspę Rodos, zaś przybyła na spotkanie z nim narzeczona – królową

Nawarry, Berengarię – inny sztorm zagnał na Cypr, co wykorzystał tamtejszy zarządca, samozwańczy cesarz, Izaak Komnen, wtrącając ją celowo do więzienia, by sprowokować tym awanturniczego króla Anglii, co istotnie mu się udało. W krwawej wojnie, zatrzymany znowu nieoczekiwanie Ryszard, pokonał ostatecznie przeciwnika Izaaka i 12 maja 1191 roku poślubił Berengarię. Rosły, muskularny olbrzym o gęstej, czarnej brodzie i zniewalającym spojrzeniu groźnych, czarnych oczu, budził niespotykany respekt i podziw zarazem. Dopiero 8 czerwca jego flota angielska dotarła wreszcie pod mury Akki, gdzie trwało nietypowe prowadzenie walki, ponieważ wojska Saladyna dotarły tu już i otaczały oblegającą miasto armię krzyżowców, którzy przybyli tu wcześniej. Zmordowany ciężkimi warunkami takiej walki stary Bronisz musiał często wypoczywać, lecz zapału do boju nadal mu nie brakowało.

Tymczasem pewnego dnia, wczesnym rankiem, pośród budzących się z wolna rycerzy wszczął się nagle dziwny harmider. Pola dookoła namiotów oplecione były wciąż jeszcze wyjątkowo gęstą mgłą i dlatego niewiele można było dostrzec o brzasku. Ci, którzy rozłożyli swój obóz najbliżej szańców, spojrzeli na mury miasta i struchleli. Jeśli wskazywać jeden drugiemu dziwaczne postacie, majaczące niewyraźnie w mglistych oparach, unoszących się ponad ich głowami. Ktoś wykrzyknął:

– Wszelki duch Pana Boga chwali! A któż to?! Kto tam stoi?!

Inni spojrzeli w tamtą stronę, kolejni do nich dołączali i także spoglądali oniemieli na te niezwykle mary, ukazujące się całej armii krzyżowców coraz wyraźniej. Stali tak czas jakiś, jak zahipnotyzowani, jakby ktoś urok jakowyś rzucił na nich i kamieniem tak stać rozkazał. Podszedł i Bronisz z synem. Mrużąc oczy, z trudem wypatrywali z oddali zjawiska, które takowy popłoch w europejskiej armii poczyniło. Ze zdumieniem stwierdzili, że i ich oczom ukazały się ciemne postacie rycerskie w zbrojach i obszernych płaszczach, stojące wyraźnie na najwyższych murach obronnych obleżonego miasta. Jedna z nich podniosła dostojnie prawą rękę i pozdrawiała zgromadzonych na placu pod obleganą Akką. Gest i ruchy dłoni wydały się rycerzom dziwnie znajome. Postać ta czyniła je dumnie, z pewnością siebie, z powagą. Inne, majaczące na wzniesieniach postacie, zgromadzone przy niej w liczbie kilkunastu, były rozstawione po obu bokach, także stały na murach obronnych i spokojnie – zdawało by się – spoglądały w dół, na pobliskie, rozłożyste pola, nie czyniąc gestu ani ruchu żadnego. A tamten rycerz, machając tak z góry Europejczykom, przechodził dalej nieco, przystawał i znowu ich pozdrawiał, po czym czynił to ponownie, jak gdyby całą wielką armię chciał wesprzeć, dodać jej otuchy i wiary z zwycięstwo. Jego oddalona postać majaczyła niewyraźnie wśród rannych mgieł i oparów, jednak mimo tego ktoś z przyglądających się temu zjawisku rycerzy nagle padł na kolana i zawołał donośnym głosem:

– Boże Litościwy! Toż to nasz pan! To sam cesarz!

Uklękęli z pokorą i inni. Poszła ta wieść po całym obozie, każdy zadzierał głowę do góry i mrużył oczy, aby dokładniej rozpoznać rysy lub choćby sylwetkę zmarłego tragicznie władcy, lecz nie było to możliwe.

– Barbarossa do nas przyszedł! On żywie! Poprowadzi nas do zwycięstwa! Zwycięży–m! Bogu niech będą dzięki!

Szum i poruszenie dały się słyszeć w całym wojsku. Z czasem przybierały coraz żywszy wydźwięk, aż w końcu wrzawa powstała nieopisana, zaczęły się wiwaty i skandowania, a tamta postać, jakby tylko na to czekała, tym mocniej znak pozdrowienia czyniła, podniósłszy na końcu w górę swój miecz. Owacje i bicie mieczami w tarcze rycerskie zagłuszyły olbrzymi entuzjazm. Mgły, poderwane tymi wiwatami, znowu spowiły całe miasto i okalające je mury obronne. Kiedy rycerze spojrzeli tam po kilku chwilach, na murach nie było już nikogo. Jednak widok ten bardzo podniósł ich na duchu. Uwierzyli święcie w to, że zdobędą miasto, a poprowadzi ich sam Barbarossa. Niektórzy wprost twierdzili znowu, iż widzieli go wyraźnie, że to na pewno był ich pan, wielki cesarz Fryderyk Pierwszy, który nie utonął w rzece, jak głosi pusta, czcza plotka, stworzona jedynie dla ogłupienia wrogów, lecz ukrywa się z grupą zaufanych sobie doradców w pobliskich jaskiniach, czekając sposobnego momentu, aby swą armię na powrót wesprzeć i poprowadzić do zwycięstwa w kulminacyjnym

momencie. W wojskach niemieckich zapanowało niezwykle ożywienie i radość.

Rozpoczęto zatem kolejny szturm na miasto. W czasie ciągłych ataków, prowadzonych na pozycje muzułmańskie, biała zbroja księcia Leopolda Babenberga stała się dość szybko czerwona od krwi, a kiedy władca zdjął podczas odpoczynku swój rycerski pas, ukazała się w jego miejscu biała smuga pośrodku, tworząc charakterystyczne zestawienie barw, które Leopold uznał za symboliczne i odtąd nosił je jako swój znak rozpoznawczy, a po jego powrocie do Europy cesarz Henryk Szósty wyraził uroczyście zgodę na ustanowienie go flagą narodową Austrii.

W wyniku kilku następujących po sobie szturmów na mury obronne, wzmocnionych silnym atakiem machin Filipa Augusta, Akka poddała się ostatecznie 12 lipca 1191 roku. Zwycięzcy krzyżowcy zatknęli dumnie na murach powiewające sztandary swych państw – obok angielskiej i francuskiej pojawiła się tam także czerwono–biała flaga austriacka Leopolda, przyrównującego się w ten sposób do królów europejskich jako zastępca nieżyjącego cesarza Barbarossy, którego wszak wojskami dowodził. Jednak chępliwi Anglicy zareagowali natychmiast, zrzucili demonstracyjnie jego sztandar, z szyderczymi okrzykami podeptali go zabłoconymi butami, po czym wyrzucili do fosy, ku uciechu swego butnego króla Ryszarda.

Rozgniewany książę z rodu Babenbergów mało nie

stracił tchu, kiedy to zobaczył. Sam Bronisz musiał go uspokajać. Całą noc księżę walczył długo ze sobą, nie potrafiąc znieść tej potwornej zniewagi, dokonanej na oczach tylu zbrojnych oddziałów. Udobruchał się wreszcie na tyle, aby pozwolić swoim rycerzom odpocząć po ciężkich bojach i nabrać sił do dalszej wyprawy, jaka ich czekała, tym razem – z powrotem, na Zachód.

Rankiem zdecydował zatem o ukaraniu chełpliwego Ryszarda Lwie Serce i jego ludzi, odmawiając mu dalszego wsparcia i zarządzając natychmiastowy odwrót prowadzonych przez siebie wojsk, co skwapliwie uczynili także pozostali wodzowie europejscy – Filip August i Konrad z Montferratu. Kiedy maszerowali ku Europie, doszły ich słuchy o bestialskich mordach osamotnionego Ryszarda Trzeciego Lwie Serce, jakich dopuścił się on w zajętej Akce na tysiącach jeńców muzułmańskich. Leopold poprzysiągł sobie w duchu, iż wkrótce zemści się za znieważenie na oczach wszystkich krzyżowców jego i jego narodowego sztandaru przez pewnego siebie króla Anglii, zwanego już przez współczesnych mu „diabłem wcielonym”, i zaczął przygotowywać zasadzkę. Miała ona w zamyśle Leopolda doprowadzić do ostatecznego pozbycia się wybitnego władcy z rodu Plantagenetów i bohatera trzeciej krucjaty oraz doprowadzenia go do rychłej klęski, co się jednak ostatecznie nie stało.

Tymczasem umęczony tą wyniszczającą wyprawą Bronisz wracał z umiłowanym i tak cudownie odnalezionym synem przez Bizancjum, dalej przez



państwka włoskie i Węgry do swego z dawna nie widzianego, ojczystego kraju. Posuwali się stopniowo, wiele po drodze wypoczywając i opatrując ciężkie rany, zadane im podczas licznych walk na Wschodzie.

Na piękną ziemię będzińską przybyli jesienią 1191 roku. Z oddali młody Bronisz zobaczył już wypoczywającą przed niskim białym domem ze słomianą strzechą matkę, przy której siedziała na ławce siostra Agnieszka, a obok biegały, wesoło krzycząc, jej młodsze dzieci. Obie kobiety były ubrane w czarne szaty – Adelajda nosiła ten kolor stale, począwszy od owej tragicznej wieści o śmierci Bronisza, przekazanej jej przed laty w Niemczech przez polską księżną, natomiast Agnieszka – od tragicznej wiadomości o zabiciu przez Turków jej męża, Miłosza, którą przynieśli służący już pierwszego roku wyprawy. Agnieszka pierwsza zobaczyła machającego ku nim brata. Wiedziały, iż stracił dłoń w walce, lecz modliły się żarliwie każdego dnia po kilkakroć o to, aby Najświętsza Paniienka przywróciła im go żywego z tak trudnej wyprawy.

– Boże Wszchemogący! Paniienko Przenajświętsza! Jezu Nazareński! – wykrzyknęła. – Mamo, toż to Broniu! Broniś jedzie ku nam! – powiedziała do matki, a ta szybko podniosła siwą głowę i spojrzała w stronę drogi, mrużąc swe zmęczone oczy.

Obie ujrzały dwóch ledwo poruszających głowami i rękami, umęczonych rycerzy, jadących powoli ku nim na swych zmordowanych rumakach. Oczy Adelci

powędrowały ku towarzyszowi syna i nagle zaszły mgłą. Spojrzała raz i drugi i gardło ścisnęło się jej tak mocno, że nie wypowiedzieć nie potrafiła przez dłuższą chwilę. Serce zabiło mocno w piersiach, podeszło aż do szyi, jakby wyrwać się chciało i biec tam, gdzie nogi schorowane pobiec by już nie zdołały. Odganiała myślami nadzieję, która, nie wiedzieć skąd, nadeszła nagle i odejść już nie chciała... Poruszyła się i zrobiła kilka kroków. Potoki łez zalały twarz pooraną zmarszczkami, lecz szczęśliwą, choć nadal uwierzyć jeszcze nie umiała w to, co widzi.

Patrzyła na swego wysokiego syna i drugiego mężczyznę, przygarbionego, jadącego na koniu obok młodego Bronisia. Oczom uwierzyć nie mogła. Podjechali w końcu do nich obaj rycerze. Młodzian zszedł z konia i z obolałą, zakrwawioną nogą, kuśtykając ciężko, padł do stóp rodzicielki, ucałował jej zmęczone, pomarszczone, tak ukochane dłonie. Podniósł się z pomocą uszczęśliwionej siostry, która przytuliła go mocno i zaczęła szlochać na wspomnienie swego zabitego męża. Tymczasem stary wiarus zszedł ciężko z konia i podał rękę zbliżającej się do niego ukochanej Adelci. Patrzyli czas jakiś na siebie w całkowitym milczeniu, uśmiechnięci, oniemieli, jakby nadal śnili swój najpiękniejszy sen. Kobieta położyła delikatnie dłoń na jego policzku ciemnym, zarośniętym, brudnym i ukurzone bitewnym pyłem. A on z czułością zgiął kark w bok i przytulił ją, zatrzymując na swej twarzy dotyk tak

ukochany i bliski sercu.

Małe dzieci uściskały serdecznie wujka i wszyscy spoglądali na dwoje starszych.

– Tyś to? Zali? To... ty?... – zaczęła słabym głosem Adelajda.

– Jam! – powiedział rycerz i padli sobie w ramiona. Stali tak, przytuleni, a łzy płynęły po ich twarzach gęstym strumieniem, jak wezbrane, górskie potoki. Dzieci ich i wnuki dostąpiły i przytuliwszy rodziców oraz dziadów, stanęły wraz z nimi w tym rodzinnym, serdecznym utuleniu.

– A to Agnisia? – Bronisz spojrzał serdecznie i dumnie na swoją dorosłą córkę. – Piękna!

Dziewczyna spłoniła się i uściskała serdecznie twarz i ramiona starego wiarusa.

– Jak i jej imienniczka, tako samo, jak i ona – silna, wiele przetrzyma, wiele przecierpi, byle cios jej nie zwali, o, nie! Taka sama, jak i nasza pani – wielka księżna austriacka, Agnieszka Babenberg, Tygrysica! – odrzekła z dumą Adelcia i znowu wszyscy zaczęli ze szczęścia padać sobie w ramiona i płakać rzewnie.

– A to dzieci Agnieszki, najmłodsze z Miecznikowskich: Gościmir i młodsza o rok Modliboga.

– Chodźcie-ż, moje dziatki ukochane, pokażcie się dziadusiowi! – Bronisz serdecznie uściskał przytulone do niego i do swej matki maluchy.

Pewnego razu w ogrodzie, nieopodal domu, jak dawniej, kiedy jeszcze młodymi byli, Bronisz usiadł ciężko przy nogach Adelci, rękami przygarnął jej wątle

kolana i, wpatrując się z miłością w jej twarz, pomarszczoną teraz i poraną licznymi ciosami, zapytał z wielką miłością: – A miłujesz–że ty mnie choć trochę?

A ona uśmiechnęła się cudownie i oczy znowu rozświecił jej ten sam blask, co dawniej. Posiwiące kosmyki włosów nadały wyrazowi jej twarzy zdumiewającego ciepła. Dotknęła z czułością jego głowy. Ucałowała rozmierzwione, stargane, siwe włosy. Odrzekła serdecznie miękkim głosem:

- Miłuję.
- Mam–że ja ci wierzyć, miła moja?
- Masz.
- Jako Bóg w niebiesiech?
- Jako i Bóg...

Po tych słowach zamilkli oboje, objęli się serdecznie i czule, i siedzieli tak dłuższą chwilę, przytuleni, nie mówiąc ani słowa, a ja głowę i dać mogę, że na świecie wtedy i długo jeszcze potem nie było szczęśliwszych ludzi od tych dwojga. Nie było.